

TERRY PRATCHETT



CARPE JUGULUM

Terry Pratchett

**Świat Dysku
Tom 23**

Carpe Jugulum

Przełożył: Rafał Jasiński

muaddib2@poczta.onet.pl

*Wszystkie noce bezsenne i przespane dni,
których poświęcenie wymagało poniższe tłumaczenie
dedykuję Wszystkim Fanom twórczości Prachetta –
a w szczególności najcudowniejszej z nich – Ithil*

Słowo Od Tak Zwanego Tłumacza:

Efekt mojej translatorskiej pracy jest zamierzeniem ze wszechmiar niekomercyjnym, a nawet anty-komercyjnym i wynika z historycznego wręcz uwielbienia prozy Terry'ego Prachetta. Wiem jednakowoż, że praca jaką temu poświęciłem godzi w interesy samego – uwielbianego przeze mnie pisarza, jak i Wydawnictwa, którego nakładem powieści jego ukazują się w naszym kraju.

Takoż śpieszę z wyjaśnieniami – by Wydawnictwo owo uspokoić. Moje tłumaczenie tak się ma do Kapitalnych Tłumaczeń pana Cholewy, jak kawał krwistego, surowego mięcha, do wspaniale przyrządzonej pieczeni serwowanej, co najmniej, w Ritzu... albo i gdzie indziej, gdzie podaje się takowe specjały. Tak, tak... godzien nie jestem rzemyków ni wiązać, ni rozwiązywać Panu Piotrowi i z niecierpliwością czekam na zapowiadaną przez Wydawnictwo Prószyński i S-ka „Maskaradę”!

Z drugiej strony – by nie być gołosłownym – wziąłem na „warsztat” tom 23... co specjalnie nikogo w interes :-)) nie ugodzi, boć tom ów wyjdzie pewnikiem w Polsce za szmat czasu. Drugim powodem tłumaczenia właśnie „Carpe Jugulum” jest fakt, że uwielbiam Cykl o Wiedźmach i... wampiry.

A niektórzy lubią też krwiste, niemal surowe mięso, no nie?

P.s.: Pozwoliłem sobie na zachowanie pewnych nazw własnych i stosowanie nazewnictwa zaproponowanego przez Pana Piotra W. Cholewę w poprzednich, wydanych w Polsce książek z serii „Discworld” za co serdecznie PRZEPRASZAM. Zrobiłem to tylko po to, by nie dezorientować Czytelnika! Dziękuję!

Rafał Jasiński
muaddib2@poczta.onet.pl



Na wskroś czarnych strzępiastych chmur, niczym ginąca gwiazda ogień zmierzał ku ziemi – ku Światu, którym był Świat Dysku – jednak na przekór jakiegokolwiek innej gwieździe, płomień ów zdawał się manewrować upadkiem, to wznosząc się, to wirując, aczkolwiek nieuchronnie spadając.

Śnieg załśnił krótko na zboczach gór, kiedy płomień przelatywał obok z trzaskiem. Pod jego wpływem, ziemia zaczęła się zapadać. Błyski odbijały się od ścian błękitnego lodu, gdy płomień coraz szybciej opadał wzdłuż żlebu i lecąc przezeń z hukiem wił się i wirował.

Płomień błysnął jaskrawym światłem. Jednak coś wciąż sunęło między skałami w świetle promieni księżyca. Wyleciało ze żlebu przy szczycie urwiska, gdzie zatrzymała się stopiona z lodowca woda, i zagłębiło się w zimnym bajorze.

Wbrew jakemukolwiek uzasadnieniu znajdowała się tutaj dolina, a nawet sieć dolin, kurczowo trzymających się stoków gór przed długim upadkiem na równiny. Maleńkie jezioro migotało na świeżym powietrzu. Wokół roztaczały się lasy, maleńkie pola, przypominające pikowane kołdry zarzucone na skały.

Wiatr ustał i powietrze stało się cieplejsze.

Cień zaczął krążyć.

Daleko w dole, niezauważone przez nikogo i nie zwracające na siebie uwagi pewne istoty wkraczały do owej doliny. Nawet gdyby ktoś je spostrzegł, byłoby niezwykle trudno stwierdzić kim dokładnie były. Jałowiec zadrzał, wrzos zaszeleścił, jakby olbrzymia armia istot - bardzo małych istot – zmierzała ku jednemu celowi.

Cienie dotarły do skalnej półki, która oferowała wspaniałą widok na pola i lasy, z których spomiędzy korzeni drzew wylaniała się armia. Składała się ona z bardzo małych, niebieskich ludków, noszących sterzące niebieskie czapeczki. Jednak wielu z nich, obdarzonych przez naturę czerwonymi włosami, nie nosiło żadnego nakrycia głowy. Wszyscy wyposażeni byli w miecze, chociaż żaden z nich nie był dłuższy niż sześć cali.

Ustawili się w szereg, spoglądając ku nieznanemu miejscu, a potem broń szczęknęła, miecze uniosły się i rozległ się okrzyk bojowy. Byłby to imponujący okrzyk bojowy, gdyby uzgodnili wcześniej, co każdy z nich powinien krzyknąć. Jednak z gardeł każdego małego wojownika wydobywał się jego własny – absolutnie osobisty – okrzyk bojowy, za który gotów byłby spuścić łanie każdemu, kto chciałby mu go odebrać.

- Nac mac Feegle!
- Ach, skopiem im dupska!
- Dokopiemy skurcybykom!
- Może być tylko jeden z tysionców!
- Jezdeźmy Nam mac Feeglowie!
- Wdepcymy ich w blocko!



Niewielka dolina, skąpana w czerwieni zachodzącego słońca zwie się Królestwem Lancre. Ludzie powiadają, że z jego najwyższych położonych miejsc, można ujrzeć wszystkie szlaki wiodące ku Krawędziom świata. Inni, przeważnie ludzie spoza Królestwa, snuli również opowieści o grzmących morzach, przelewających się poza Krawędź i tym, że ich świat przemierzał wielką przestrzeń na grzbietach czterech olbrzymich słoni, stojących na skorupie równie wielkiego żółwia morskiego.

Lanrańczycy, oczywiście, słyszeli o tym. Sądzą nawet, że brzmi to niemal logicznie. Świat był w rzeczy samej płaski, chociaż w Królestwie Lancre jedynymi naprawdę płaskimi powierzchniami były blaty stołów i wierzchołki głów niektórych ludzi. Także słonie – wiadoma rzecz – były wystarczająco silnymi stworzeniami. Kto wie, może i żółwie morskie mogą unieść spory ciężar? Nie wyglądało na to, że teoria ta ma jakieś poważne luki, więc Lanrańczycy najzwyczajniej się z nią pogodzili.

Nie oznaczało to bynajmniej, że mieszkańcy Lancre nie interesowali się sprawami reszty świata. Wprost przeciwnie! Głęboko i żarliwie się weń angażowali. Zamiast jednak stawiać pytania typu „*Skąd się tu wzięliśmy?*”, pytali po prostu „*Ciekawe, czy przed żniwami spadnie deszcz?*”.

Filozofowie mogli ubolewać nad owym jawnym brakiem ambicji umysłowych, jednak dopiero wówczas, kiedy byli absolutnie pewni swego kolejnego posiłku.

Prawdą jest, że Lancre ze swym surowym klimatem i odosobnionym położeniem płodziło ludzi twardych, acz szczerych, którzy wielokrotnie przewyższali światowców z płaszczyzn. Jednakże właśnie z Lancre wywodziło swe korzenie wielu z największych magów i najpotężniejszych czarownic. Filozofowie – po raz kolejny – mogliby być zaskoczeni, iż tak prostolinijny lud dając światu tak olbrzymią liczbę natchnionych magią osobistości, wciąż tkwił nieświadom tego, że ci z nich stąpający teraz po ziemi, mogli budować – dajmy na to – zamki na niebie.

I tak oto córki i synowie Lancre rozsiani po całym świecie, wykuwali swe kariery, pnąc się po szczeblach sukcesu, wciąż jednak pamiętając o tym, by wysyłać pieniądze do domu.

Ci, którzy pozostawali w domu, nie zastanawiali się nazbyt nad światem zewnętrznym – nie licząc odnotowywania adresów zwrotnych z kopert.

Jednak Świat Zewnętrzny o nich pamiętał.

* * *

Półka skalna opustoszała. Niżej, na bagnach gałęzie wrzosu rozchyły się w kształcie litery „V”, której szpic kierował się ku dolince.

- Gin's a haddie!

- Nac mac Feegle!

* * *

Istnieje mnóstwo odmian wampirów. Ludzie mawiają nawet, że jest ich równie wiele, jak wiele jest rodzajów wszelkich chorób.¹ I nie są one zupełnie ludzkie (o ile wampiry w ogóle pochodzą od ludzi. Pośród dawnych wierzeń mieszkańców Ramtopów można napotkać wiarę w to, iż jeśli jakieś – z pozoru niewinne – narzędzie, dajmy na to młotek, czy piła nie będzie używana przez trzy lata, zacznie samo szukać krwi. W Ghat są i tacy, którzy wierzą w wampiryczne arbuzy, chociaż folklor milczy o takich przypadkach.).

Dwie sprawy od wieków stanowią zagadkę dla badaczy wampirów. Po pierwsze: skąd wampiry czerpią swą wielką moc? Przecież tak łatwo je zabić! Istnieje wiele różnych metod uśmiercania ich, włącznie z wbiciem kołka w samo serce, co swoją drogą działa równie skutecznie na zwykłych ludzi. Klasyczny wampir spędza dni w trumnie, bez jakiegokolwiek ochrony, jeśli nie liczyć podstarzałego garbusa, który nie wygląda nazbyt dziarsko, by stawić opór nawet bardzo skromnemu tłumowi.

A jednak wystarczy tylko jeden, by zakuć całą wioskę w kajdany ponurej uległości.

Drugą frapującą zagadką jest fakt przysłowiowej wręcz głupoty wampirów. Jakby noszenie smokingu przez cały dzień nie było dostateczną przesłanką dotyczącą ich nieśmiertelnej natury, wybierają do tego życie w starych ponurych zamczyskach, które roją się od rozmaitych sposobów unicestwienia wampira. Łatwe do zerwania zasłony, dekoracje na ścianach, z których z łatwością można sklecić jakiś symbol religijny. Ponadto naprawdę wierzą, że pisząc swe imiona wstecz kogokolwiek nabiorą!

¹ Mają na myśli pewnie fakt, że niektóre z nich bywają groźne i zabójcze, a inne sprawiają jedynie, że chodzi się w zabawny sposób i czuje się wstręt do, na przykład, owoców.

Powóz kołysał się z turkotem, jadąc przez bagniska leżące wiele mil od Lancre. Jego światła migotały, kiedy podskakiwał w koleinach. A za nim podążał mrok...

Konie, jak i cały powóz, poza herbem na drzwiczkach, były czarne. Między uszami każdego z koni tkwiło czarne pióro. Takie same pióra kołysały się na każdym rogu karocy. Nie wykluczone, że właśnie owe pióra wywoływały niesamowity efekt wśród cieni jadącego powozu, tak że zdawał się wlec za sobą ciemność.

Na wzniesieniu wśród wrzosowisk, między kilkoma drzewami znajdowały się ruiny budynku. Powóz zatrzymał się przy nich. Konie stały nieruchomo, co jakiś czas tupiąc kopytami i zarzucając łbami. Trzymający wodze stangret siedział zgarbiony czekając.

Cztery postacie płynęły ponad chmurami w srebrzystym świetle księżyca. Z tonu ich rozmów można było wyczytać, że ktoś zdawał się być zaniepokojony, aczkolwiek kąśliwe, nieprzyjemne brzmienie głosu sugerowało, iż lepszym określeniem byłaby „irytacja”.

- Pozwoliliście mu odejść! – głos był jękiem kogoś chronicznie narzekającego.

- Zraniliśmy go, Lacci – ten brzmiał ugodowo, po ojcowsku, z delikatną sugestią pragnienia, by dać pierwszej osobie w ucho.

- Naprawdę nienawidzę tych stworzeń. Są takie... ckliwe!

- Otóż to, kochanie. To echo naiwnej przeszłości.

- Gdybym potrafiła tak lśnić, nie chowałabym się tutaj... Po prostu wyglądałabym pięknie! Dlaczego to robią?

- W ich czasach mogło to być użyteczne, jak sądzę.

- Znaczy się... że są... tą... jak to nazywasz?

- Ślepą uliczką ewolucji, Lacci. Rozbitkowie pozostawieni sami sobie na bezludnej wyspie pośród Morza Postępu.

- I dlatego robimy im przysługę, kiedy je zabijamy?

- Trafiłaś w samo sedno. Teraz cisza...

- Ale kurczęta nie świecą – odezwała się ponownie osoba nazywana Lacci – W każdym razie nie same z siebie.

- Słyszeliśmy już milion razy o twoich eksperymentach. Jednym z najbardziej szlachetnych był ten z zabiciem ich najpierw. – odezwał się trzeci głos; młody męski głos, chociaż równie dobrze mógł należeć do zmęczonej kobiety. Jednak pobrzmiewał „starszym bratem” w każdej sylabie.

- Po co to wszystko?

- To je trochę uspokoji, kochanie.

- Słuchaj ojca, moja droga – ten głos mógł należeć tylko do matki. Głos ów kochałby pozostałe, niezależnie od tego, co by zrobiły.

- Jesteście tacy... niesprawiedliwi!

- Pozwoliliśmy ci zrzucić głazy na chochliki, kochanie! Życie nie może być wieczną zabawą!

Woznica drgnął, kiedy głosy przeniknęły chmury. Po chwili cztery postaci zmaterializowały przy karocy. Z trudem wygramolił się z kozła i otworzył drzwiczki powozu, gdy się zbliżyli.

- Wiele z tych nieszczęsnych istot odeszło – zadumała się Matka.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, kochanie. – powiedział Ojciec.

- Tak bardzo ich nie znoszę! Czy oni też są ślepą uliczką? – zapytała Córka.

- Wciąż nie wystarczająco ślepą, mimo twoich nieustających wysiłków – odpowiedział

Ojciec – Igor! W drogę, do Lancre!

Woznica odwrócił się – Tak, mistfu?

- Och, człowieku... po raz ostatni mówię... nie możesz mówić inaczej?

- To jedyny sfosóf, jaki znam, mistfu – odpowiedział zakłopotany Igor.

- I zabierz te cholerne pióra z powozu, ty idioto!

Stangret cofnął się zbity z tropu.

- Czarne fióra to tfadycja! – powiedział. – Mufimy je mieć!

- Natychmiast się ich pozbadź – rozkazała Matka – Co ludzie sobie pomyślą?

- Tak, profe pani – mruknął Igor. Zatrzasnął drzwiczki, pokołysał się wokół koni usuwając pióra i z pełnym nabożeństwem umieścił je pod kozłem.

- Ojcze? Czy Igor też jest ślepą uliczką ewolucji? – odezwał się poirytowany głos z powozu.

- Możemy mieć jedynie nadzieję, iż nie, kochanie

- Dfanie – mruknął do siebie Igor, unosząc lejce.

* * *

Treść zaczynała się od słów: „*Serdecznie Zapraszamy...*”. Pismo było nadzwyczaj eleganckie, rozwlekłe do granic czytelności, ale nad wyraz urzędowe.

Niania Ogg uśmiechnęła się, złożyła kartę i z szacunkiem umieściła ją na ramce kominka. Uwielbiała słowo „*serdecznie*”. Brzmiało bogato, jak również pobrzmiwało ochryplą alkoholową nutką.

Właśnie prasowała swą najlepszą halkę. Oznaczało to, iż siedziała na krześle przy kominku, podczas gdy jedna z jej synowych, której imię w tej chwili wyleciało jej jakoś z głowy, wykonywała całą robotę. Niania, oczywiście, pomagała wskazując fragmenty, które dziewczyna przeoczyła.

To cholernie dobre zaproszenie, myślała. A zwłaszcza ta złocista ramka, gęsta niczym syrop. Być może nie jest to prawdziwe złoto, myślała, ale mimo wszystko nieźle się błyszczy.

- O... tam! Zdaje się, że został jeszcze kawałek – pomogła synowej i nalała sobie piwa.

- Dobrze, Nianiu.

Inna synowa, której imię przypominałaby sobie z łatwością, gdyby tylko zastanowiła się nad tym chwilę, polerowała czerwone trzewiki Niani. Trzecia z szacunkiem czyściła lnianą szmatką czubek jej najlepszego kapelusza, wiszącego na specjalnym stojaku.

Niania podeszła do tylnych drzwi i otworzyła je. Poprzez strzępy chmur sączyło się słabe światło a wyżej wschodziły już pierwsze gwiazdy. Wciągnęła powietrze. Tutaj, w górach zima trzymała się kurczowo, a jednak powietrze niesło już woń wiosny.

Och, oczywiście wiedziała, iż nowy rok rozpoczął się w Noc Strzeżenia Wiedźm, kiedy teoretycznie kończyła się pora zimowa, lecz dla niej początkiem nowego roku był czas, w którym zielone pędy zaczynały przebijać się przez śnieg. Zmiany wisiały w powietrzu. Czują to w kościach.

Oczywiście jej jedyna przyjaciółka, Babcia Weatherwax ciągle powtarzała, że nie należy zbyt ufać kościom, lecz Babcia Weatherwax wygłaszała wiele podobnych dyrdymałów przy każdej nadarżającej się okazji.

Niania Ogg zamknęła drzwi.

Między gałęziami drzew rosnących na końcu jej bezlistnego teraz ogrodu, coś zatrzepotało skrzydłami, zaszczębiało i pod zasłoną mroku wzbiło się w niebo.

* * *

Kilka mil dalej, w swej chatce Agnes Nitt, wiedźma o rozdwojonej jaźni zastanawiała się nad swoim nowym kapeluszem. Zazwyczaj miała dwie opinie na każdy temat. Kiedy już poupychała oporne kosmyki włosów, przyglądając się krytycznym wzrokiem swemu odbiciu w lustrze, zaczęła nucić piosenkę. Śpiewała w harmonii z samą sobą. Oczywiście nie z sobą odbitą w lustrze, bo w takim wypadku prędko skończyła by, jak bohaterki śpiewające w

duecie z Panem Błękitnym Ptaszkiem, czy innymi mieszkańcami lasu – a na to mógł pomóc tylko dobry miotacz ognia.

Śpiewała, po prostu w harmonii z samą sobą. Ostatnimi dniami, kiedy tylko nie koncentrowała się dostatecznie by temu zapobiec, zdarzało się to coraz częściej. Perdita miała nieco ochrypnięty głos, jednak nigdy nie traciła okazji, by się przyłączyć.

Ludzie skłonni to kurtuazyjnego okrucieństwa zwykli mawiać, że wewnątrz każdej grubej dziewczynki znajduje się inna, szczupła dziewczynka. No i mnóstwo czekolady. Ta szczupła dziewczyna wewnątrz Agnes miała na imię Perdita. Czarownica nie była absolutnie pewna skąd wziął się ów niewidzialny pasażer. Matka opowiadała jej, że będąc małą dziewczynką, Agnes miała zwyczaj obwiniania winą za wszelkie tajemnicze wypadki – takie jak niespodziewane zniknięcie salaterki deseru, czy stłuczenie bezcennego dzbanka – „*innej małej dziewczynki*”.

Teraz, kiedy dorosła, zrozumiała, że tego typu postępowanie nie jest najlepszym pomysłem, kiedy jest się posiadaczką krwi przesiąkniętej magią. Wymyślony przyjaciel po prostu dorósł, bo tak naprawdę nigdy nie odszedł a do tego okazał się utrapieniem.

Agnes nigdy nie polubiła Perdity. Perdita była próżna, samolubna i złośliwa. Natomiast Perdita nie znosiła wnętrza Agnes, tak olbrzymiego, że niektórzy wolili ją przeskakiwać, niż obchodzić dookoła.

Młoda wiedźma wolała myśleć, że Perdita to zwykły wymysł, poręczny przydomek, określający wszystkie niebezpieczne myśli i pragnienia, których nie wypadało mieć. Taki mały, dokuczliwy komentator, którego celem jest żyć by drwić. Niestety, o wiele częściej pojawiała się nie dająca spokoju myśl, że to Perdita stworzyła Agnes, jako swój własny worek treningowy do okładania pięściami.

Agnes zawsze przestrzegała reguł. Perdita nigdy. Perdita, będąc „*chłodną*” nigdy nie zamierzała przestrzegać jakichkolwiek reguł. Agnes przestrzegała logiki. Jeśli ktoś ostrzega „*Nie wpadaj do dołu z kolcami*”, logika podpowiadała, że musi mieć rację. Perdita uważała, że cokolwiek zbliżonego do Dobrych Manier jest pomysłem ze wszech miar głupim i do tego represyjnym. Agnes była w stanie wyrazić sprzeciw jedynie w subtelny sposób, a i to dopiero wtedy, kiedy trafiały w nią kapuściane głąby rzucane przez ludzi.

Perdita uważała, że szpiczasty kapelusz czarownicy jest symbolem władzy. Agnes natomiast twierdziła, że pękata dziewczyna nie powinna nosić wysokiego kapelusza, zwłaszcza w kolorze czarnym. Wyglądała jak lukrecja, na którą ktoś upuścił rożek lodów.

Sęk w tym, że zarówno Agnes, jak i Perdita miały rację. Szpiczasty kapelusz wiele znaczył w Ramtopach. Ludzie zwracali się do raczej do kapelusza, niż do osoby, która go nosiła. Gdy bywali w poważnych tarapatach, zawsze udawali się do czarownicy.²

Oczywiście należało się też nosić na czarno. Perdita uwielbiała czerń i uważała, że kolor czarny jest „*chłodny*”. Zdaniem Agnes czerń nie była nazbyt prowokującym kolorem. A co do tego durnego słowa „*chłodny*” to – w jej opinii – ludzie, którzy go używali posiadali mózgi wielkości nie wystarczającej by wypełnić nim łyżeczkę do herbaty.

Magrat Garlick nigdy nie nosiła się w czerni. I prawdopodobnie nigdy nie wypowiadała słowa „*chłodno*”, jeśli nie odnosiło się ono do temperatury.

Agnes zakończyła analizę swego wyglądu i rozejrzała się wewnątrz chatki. Należała wcześniej do Magrat. Teraz należy do mnie, pomyślała wdychając. Pochwyliła wzrokiem kosztowną, złożoną na brzegach kartę leżącą na skraju kominka.

A zatem Magrat odeszła na dobre, by pełnić rolę Królowej. Jeśli do tej pory istniały co do tego jakiegokolwiek wątpliwości teraz rozwiały się zupełnie. Agnes łamała sobie głowę, jak znaczną rolę odegrały w tym wszystkim Niania Ogg i Babcia Weatherwax, które napomykały o tym od czasu do czasu. Były nazbyt dumne, że Magrat poślubiła Króla i zgodziła się z nimi,

² Niekiedy, oczywiście, tylko po to, żeby prosić ją by przestała robić to, co robi.

co do tego, że był to właściwy dla niej rodzaj życia. Nigdy jednak nie wyrażały jasno swych myśli, które wydawały się wisieć ponad ich głowami, błyszcząc jaskrawymi kolorami: Magrat musiała zadowolić się drugim miejscem.

Agnes nieomal pękła ze śmiechu, kiedy po raz pierwszy to sobie uświadomiła. Nie miała jednak dość siły by spierać się ze starszymi czarownicami. Nawet nie zauważyłyby czegoś, co mogłaby nazwać swymi mocnymi argumentami. Babcia mieszkała samotnie w swej wiekowej chatce, tak sędziwej, że rosnące wokół polanki drzewa zdawały się w porównaniu z nią dziarskie. Budziła się, myła się w beczulce na deszczówkę i chodziła spać. Samotnie. Niania Ogg, natomiast, była najbardziej tutejszą osobą, jaką Agnes kiedykolwiek poznała. Bywała w obcych krajach, a jakże! Jednak zabierała Lancre ze sobą, niczym jakiś niewidzialny kapelusz. Obie czarownice uważały siebie za pępek świata i najwyższy jego szczyt razem wzięte. Ich zdaniem reszta świata istniała tylko po to, by ją poprawiały.

Perdita uważała, że bycie Królową to najlepsza rzecz jaka może spotkać kobietę. Agnes miała co do tego inne zdanie – najlepszą rzeczą jaka może przytrafić się kobiecie to, po pierwsze: znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w Lancre, a po drugie: mieć swoją własną głowę tylko dla siebie.

Poprawiła kapelusz i wyszła z chatki. Wiedźmy nigdy nie zamykają drzwi. Nigdy nie musiały tego robić.

Kiedy oddaliła się pośpiesznie, dwie sroki wylądowały na dachu oświetlonym srebrzystym blaskiem księżyca.

* * *

Ukryty obserwator był by co najmniej zaintrygowany tym, co wyprawiała w tej chwili czarownica Esmeralda Weatherwax. Przez chwilę przyglądała się schodkom przy kuchennym wyjściu, potem uniosła stary szmaciany dywanik. Następnie podreptała do drzwi frontowych, których nigdy nie używała i zrobiła to samo. Przebiegła palcami po framudze drzwi.

Wyszła z chatki. Na zewnątrz panował tej nocy kłujący mróz, mściwa sztuczka konającej zimy. Zaspy uśpione w cieniach domku wiedźmy wciąż trzymały się hardo. Czarownica przeszukała donice i krzaki rosnące tuż przy drzwiach, nie zważając na przenikliwy ziąb.

Wróciła do środka.

Babcia posiadała zegar. Lancrańczycy cenili zegary, chociaż czas nie był czymś, do czego przykładali wagę o ile obejmował okres krótszy niż jedna godzina. Chcąc zagotować jajko, śpiewali po prostu piętnaście linijek „*Gdzie Zniknęły Wszystkie Kremy?*”. Jednak tykanie było pociechą w długie zimowe wieczory.

Wreszcie usiadła w bujanym fotelu, spoglądając wściekle ku drzwiom. Zahuczały sowy. Rozległ się tupot biegnących stóp a potem ktoś z hukiem walnął o drzwi. Nie obeznany z przysłowiową już samokontrolą Babci, którą zdolna była zginać podkowy, mógłby stwierdzić, że rozległo się westchnienie ulgi.

- Nareszcie – mruknęła wiedźma. – Lepiej późno niż wcale.

Podniecenie, które opanowało górne partie zamku, tu w stajniach pobrzmiwało jedynie delikatnym szumem. Sokoły i jastrzębie siedziały spokojnie na swych żerdziach, pozostawione samym sobie w ich wewnętrznym świetle kiwania głowami. Od czasu do czasu rozlegało się brzęknięcie łańcucha, tudzież trzepot skrzydeł.

Sokolnik Hodgesaargh przygotowywał się w swojej komórce. W pewnej chwili poczuł, że dzieje się coś niewłaściwego. Popędził ku stajniom. Ptaki zdawały się pobudzone,

czujne i wyczekujące. Nawet Król Henry, orzeł do którego sokolnik nie zbliżał się, jeśli nie miał na sobie pełnej zbroi płytowej, nerwowo rozglądał się dookoła.

Zachowywały się jakby szczur czaił się gdzieś w pobliżu, jednak Hodgesaargh żadnego nie dostrzegł. Być może już odszedł?

Na dzisiejszy wieczór sokolnik wybrał myszołowa Williama, na którym zawsze mógł polegać. Owszem, mógł polegać na pozostałych ptakach, tak jak one mogły liczyć, że pojawi się w zasięgu ich złośliwego ataku. William był inny. William myślał, że jest kurczęciem i z reguły był nieszkodliwy w towarzystwie.

Teraz i on poświęcał niespodziewanie wiele uwagi światu, który zazwyczaj dlań nie istniał jeśli nie zawierał bodźca w postaci ziaren.

Dziwne, pomyślał Hodgesaargh. A potem dał sobie spokój.

Ptaki nadal wpatrywały się w dach – co było o tyle dziwne, że dachu tam po prostu nie było.

* * *

Babcia Weatherwax spoglądała na rumianą, okrągłą i przepelnioną niepokojem twarz.

- Nie jesteś miejscowy... – powiedziała. – Jesteś dzieciakiem Wattleya z Kromki, prawda?

- Tttt... mmm... ttt... – wyjąkał chłopak oparty o framugę, z trudem łapiąc oddech.

- Po prostu oddychaj – poradziła babcia. – Chcesz się napić wody?

- Taaa... – wydusił chłopiec.

- Tak, tak, wszystko w porządku. Byleś oddychał.

Chłopak kilka razy łyknął łapczywie powietrza.

- Musi pani iść do Pani Bluszcz i jej dziecka – rzucił jednym szybkim strumieniem słów.

Babcia pochwyciła kapelusz z kołka przy drzwiach i miotłę ze schowka pod strzechą.

- Myślałam, że stara Paternoster się tym zajmuje – powiedziała, wciskając kapelusz na głowę ruchem wojownika przygotowującego się do nieoczekiwanej bitwy.

- Powiedziała – powiedział chłopiec – że wszystko poszło zupełnie nie tak, psze pani.

Babcia już pędziła ścieżką na wskroś polanki. Miotła nigdy nie zaskakiwała nim dotarła do miejsca, w którym polanka pochylała się przechodząc w łagodny stok. Babcia biegła dalej, depcząc kłujące krzaki. Magia zadziałała i wiedźma uniosła się lekko w powietrze ciągnąc butami pędy martwej paproci. A potem miotła wzniosła się ku nocnemu niebu.

* * *

Szlak wił się pośród gór niczym upuszczona wstążka. Tu w górach, zawsze słychać było zawodzenie wiatru. Koń zbójcy – czarny duży ogier – był prawdopodobnie jedynym koniem z drabiną przytroczoną do siodła. Imię zbójcy brzmiało Casanunda a był on krasnoludem, co w sumie wiele wyjaśnia. Większość ludzi żywi opinię, że krasnoludy w swym zachowaniu były rozważne, a prawo traktowały z należyтым szacunkiem. Takoz w delikatnej materii spraw sercowych tudzież innych wstydlivych związanych z nią organów. Generalnie była to prawda. Jednak genetyka rzuca nieraz swe dziwne kości na zielonym suknie życia i w ten sposób stworzyła Casanundę. Krasnolud ów wolał zabawę od złota – a czas które inne krasnoludy poświęcały właśnie złotu, on poświęcał kobietom.

Casanunda żywił również szczególny szacunek dla prawa. Uważał je za wiele użyteczną rzecz i nawet go przestrzegał. Kiedy było to dla niego dogodnie, oczywiście. Z drugiej strony krasnolud gardził fachem zbójcy, ale dzięki temu mógł cieszyć się świeżym

wiejskim powietrzem, które dobrze robiło jego zdrowiu. Szczególnie kiedy wszystkie nędzne miasta pełne były mściwych mężów grożących użyciem siły.

Jedynym problemem bywało to, że wielu nie brało go nazbyt poważnie. Do perfekcji opanował zatrzymywanie powozu, jednak problem zaczynał się od pytania „*Co tam? To chyba jakiś niziołek, sir. A to ten człowieczek wysoki inaczej?*”. Nie miał wtedy wyboru – i ktoś miał postrzelone kolano.

Dmuchał kilka razy w zwinięte dłonie. A potem usłyszał turkot zbliżającego się powozu. Już miał wyjechać ze swojej małej kryjówki w zaroślach, kiedy spostrzegł innego zbójcę pędzącego kłusem z przeciwnej strony lasu. Powóz zatrzymał się. Krasnolud niewiele mógł dosłyszeć, kiedy zbójca podjechał do drzwiczek i pochylił się ku pasażerom...
...ręka wystrzeliła z okna karocy i porwała go z konia, wciągając do środka.

Powóz kołysał się przez chwilę na resorach, a potem drzwi otworzyły się i zbójca wytoczył się na drogę. Karoca ruszyła dalej...

Casanunda odczekał chwilę, po czym podjechał do ciała. Koń stał cierpliwie, kiedy odwiązywał drabinę i zsiadał.

Zbójca był martwy niczym głaz. *Ludzie żyjący*, myślał krasnolud, *mają w sobie więcej krwi.*

* * *

Zaprzęg zatrzymał się na szczycie wzgórza, kilka mil dalej skąd droga rozpoczynała swój długi kręty zjazd ku dolinie Lancre. Czworo pasażerów wyszło z powozu. Nad nimi przetaczały się chmury, jednak tutaj powietrze było mroźne i czyste. W świetle księżyca rozciągał się wspaniały widok ukazujący wszystkie szlaki wiodące ku Krawędziom. A poniżej znajdowało się maleńkie królestwo otoczone zewsząd górami.

- Brama świata – rzekł Hrabia de Srokacz.

- Przez nikogo nie strzeżona – dodał jego syn.

- Wprost przeciwnie – powiedział Hrabia – Ma swoich nadzwyczaj skutecznych obrońców. – dodał uśmiechając się w ciemności. – Bynajmniej miało... Do tej pory...

- Czarownice powinny stanąć po naszej stronie – stwierdziła Hrabina.

- Jedna z nich wkrótce będzie musiała – odpowiedział Hrabia. – Niesłychanie... zajmująca kobieta. Z interesującego rodu. Wujek opowiadał mi kiedyś o jej babci. Weatherwaxówny zawsze tkwiły jedną nogą po ciemnej stronie. Mają to we krwi. A większość ich mocy trwoniałaby się przed tym bronić! Jednak – jego zęby błysnęły, kiedy obnażył się w uśmiechu – niebawem przekona się, która jej strona jej kromki posmarowana jest masłem!

- Albo, z której strony jest polukrowany jej piernik – dodała hrabina.

- Cudownie to ujęłaś, kochanie. Oczywiście to będzie kara za bycie Weatherwaxówną. Kiedy stają się starsze drżą przed dźwiękiem zatraskiwanych drzwiczek piekarnika.

- Słyszałem, że jest twarda – powiedział syn Hrabiego. – I bardzo przebiegła.

- Zabijmy ją! – krzyknęła z entuzjazmem córka.

- Ależ, kochanie, nie możesz zabijać wszystkich!

- Niby dlaczego?

- Ponieważ mam inny pomysł. Użyteczny. Ta wiedźma postrzega świat w dwóch kolorach. Czerni i bieli a to zawsze pułapka dla władających mocą. Takie umysły można z łatwością... poprowadzić. Oczywiście z małą pomocą.

Zafurkotały skrzydła i czarno-biały ptak wylądował na ramieniu Hrabiego.

- Spójrzcie na to – rzekł Hrabia głaszcząc srokę a potem pozwalając jej odlecieć. Z kieszeni płaszcza wyjął białą kartę. Jej krawędź rzuciła krótki błysk. – Możecie uwierzyć? Tego typu rzeczy nie zdarzały się wcześniej! Zaprawdę, nowy porządek świata...

- Masz chusteczkę, kochanie – powiedziała Hrabina. – Poproszę... Masz kilka plamek... – powiedział wycierając jego podbródek, po czym wepchnęła zakrwawioną chustkę z powrotem do kieszeni. – Są tam... – zaczęła niepewnie.

- ...inne czarownice – dokończył syn, głosem człowieka, którego trapi myśl o czekającym go do zgryzienia ciężkim orzechu.

- Ach, tak... – powiedział Hrabia. – Mam nadzieję, że je spotkamy. Będzie zabawnie... Zapakowali się z powrotem do powozu.

* * *

Daleko za nimi zbójca, który próbował obrabować powóz podniósł się z ziemi. Przez moment miał dziwne uczucie, że dał się na czymś przyłapać. Potem rozdrażniony potarł kark i rozejrzał się za swoim koniem. Zwierzę stało za niedaleko, ukryte za skałami.

Kiedy zbójca próbował założyć mu uzdę, stwierdził że przenika przez skórę i kark konia, niczym dym. Stworzenie stanęło dęba i pognało obłąkańczo przed siebie.

To z pewnością nie była dobra noc, myślał zbójca. Bez konia nic nie miało sensu. No i cały zarobek...

Kim, do diabła byli ci ludzie. Nijak nie potrafił sobie przypomnieć, co zdarzyło się w powozie, jedna coś podpowiadało mu, że nie było to przyjemne.

Zbójca był typem, który uderzony przez kogoś większego od siebie, zawsze znajdzie kogoś mniejszego aby się odegrać. Ktoś dzisiaj nieźle oberwie, przyrzekł sobie. I ktoś na pewno straci dzisiaj konia.

Nagle usłyszał niesiony wiatrem odgłos końskich kopyt. Wyszarpnął miecz i ruszył za dźwiękiem.

- Stać i oddawać! – wrzasnął.

Wierzchowiec zatrzymał się posłusznie kilka stóp przed nim. A może, pomyślał zbójca, ta noc nie będzie taka podła. Oto naprawdę wspaniałe stworzenie! Raczej koń bojowy, niż zwykła szkapala!

Koń był tak blady, że niemal jaśniał w świetle nielicznych gwiazd. I na oko, ocenił zbójca, ma srebrną uprząż. Siedzący na nim jeździec szczerze otulił się przed zimnem.

- Pieniądze albo życie! – krzyknął zbójca.

PRZEPRASZAM?

- Pieniądze – wycedził zbójca – lub życie! Którą część mam powtórzyć?

ACH, ZACZYNAM ROZUMIEĆ. MAM TROCHĘ PIENIĘDZY.

Kilka monet potoczyło się po oszronionej drodze. Zbójca szukał ich po omacku, jednak żadnej nie mógł podnieść, co jedynie zwiększyło jego irytację.

- Dobra... – powiedział – pora żegnać się z życiem!

Jeździec potrząsnął głowę – DOPRAWDY, NIE WYDAJE MI SIĘ. Wyciągnął długi kij z olstra. Przez chwilę zbójca myślał, że to kopia, jednak po chwili pojawiło się ostrze. Błękitne światło błysnęło wzdłuż jego krawędzi.

MUSZĘ PRYZNAĆ, ŻE JESTEŚ ZADZIWIJAJĄCO UPARTY W SWOJEJ WOLI ŻYCIA – powiedział jeździec. Był to dziwny głos. Nie tyle głos, ile echo wewnątrz głowy. – A RACZEJ WOLI ZACHOWANIA PRZYTOMNOŚCI UMYSŁU.

- A kim ty jesteś? – zapytał zbity z tropu zbójca.

JESTEM ŚMIERĆ, powiedział Śmierć. I NAPRAWDĘ NIE INTERESUJĄ MNIE TWOJE PIENIĄDZE. KTÓRĄ CZĘŚĆ MAM POWTÓRZYĆ?

* * *

Od okna stajni dobiegł cichy trzepot skrzydeł. W oknie tym nie było szyb, jedynie cienkie drewniane kraty, przez które mogło dostawać się powietrze. Zabrzmiało drapanie i delikatne stukanie dziobem. A potem zapanowała cisza.

Jastrzębie były pobudzone. Przy oknie coś błysnęło. Promienie jasnego światła zatańczyły na przeciwległej ścianie. Kraty zaczęły się tlić.

* * *

Tymczasem Niania Ogg rozpatrywała ważny dylemat. Wiedziała, iż właściwe przyjęcie będzie miało miejsce w Wielkiej Sali, a jednak prawdziwa zabawa czekała na zewnętrznym dziedzińcu, wokół wielkiego ogniska. W środku podadzą przepiściorcze jajka, gęsią wątróbkę i maleńkie kanapki, które Niania pochłaniała po cztery na raz. Na dziedzińcu za to czekały pyszne pieczone ziemniaki pływające w olbrzymiej kadzi masła i cały jeleń z rożna. A potem miały się odbyć pokazy człowieka, który przepuszczał łasice przez nogawki swoich spodni a tę formę rozrywki czarownica ceniła bardziej, niż wielką operę.

Będąc wiedźmą zawsze i wszędzie była równie mile widziana. To przyjęcie stanowiło dobry pretekst by przypomnieć o tym wszystkim, gdyby o zapomnieli. Wybór był trudny. Ostatecznie postanowiła zostać na zewnątrz na sutym obiedzie z dziczyzny, bo jak niemal wszystkie starsze panie, Niania Ogg była studnią bez dna, jeśli w grę wchodziło darmowe jedzenie. A później pójdzie do środka i uzupełni wszystkie luki delikatniejszymi daniami. Prawdopodobnie podadzą również kosztowne, musujące wino, które uwielbiała. Zwłaszcza jeśli było podawane w odpowiednio dużym dzbanie. Zanim jednak zabierze się za rzeczy luksusowe musi napić się odpowiedniej ilości piwa.

Chwyciła kufel i bez pardonu pomaszerował na początek kolejki stojącej przy beczce. Odepchnęła głowę człowieka, który najwyraźniej miał zamiar spędzić noc leżąc pod kurkiem i naląła sobie pół kwarty. Kiedy się odwróciła ujrzała nadchodzącą Agnes, która wciąż była odrobinę zażenowana publicznym obnoszeniem się z nowym kapeluszem.

- Hej, dziewczyno! – zawołała wesoło Niania. – Spróbuj tylko tej dziczyzny! Pyszota!

Agnes zerknęła niepewnie na piekące się mięso. Lancrańcycy umieli zadbać o kalorie przy absolutnej ignorancji względem witamin.

- Sądzisz, że mogłabym dostać jakąś sałatkę? – zaryzykowała młoda czarownica.

- Nie robiłabym sobie zbytnej nadziei – odpowiedziała Niania.

- Sporo tu ludzi – stwierdziła Agnes.

- Zaprosili wszystkich – wyjaśniła wiedźma. – Uważam, że to bardzo miło ze strony Magrat.

Agnes rozejrzała się wyciągając szyję – Nigdzie nie widzę Babci – stwierdziła.

- Na pewno jest w środku – powiedziała pewnym głosem Niania. – Z tymi wszystkimi ważnymi osobistościami.

- Ostatnio nie widuję jej zbyt często – powiedziała Agnes. – Myślę, że czymś się martwi.

Niania zmrużyła oczy. – Tak uważasz? – powiedziała. – Stałaś się spostrzegawcza, dziewczyno.

- Zachowuje się tak odkąd dowiedzieliśmy się o dziecku – powiedziała Agnes, machając pulchną dłonią pośród ogólnej celebracji ku czci cholesterolu. – Jest taka... jakby... spięta? Jak gdyby cierpiała.

Niania Ogg nabiła fajkę i zapaliła potarła zapałkę o but.

- A więc zwróciłaś na to uwagę? – powiedziała pykając fajkę. – Zwróciłaś uwagę... Będziemy musiały nazywać cię Panią Uwagą.

- Zauważyłam również – powiedziała poirytowana Agnes – że kiedy palisz fajkę i nad czymś się zastanawiasz, zawsze chodzisz w kółko. To twój sposób Aktywizacji Umysłu – dodała.

Faktycznie, pogrążona w chmurze pachnącego dymu stara czarownica zastanawiała się, czy Agnes wyczytała to wszystko w Książkach. Każda wiedźma, która mieszkała w tej chatce spędzała czas z nosem w książkach. Wydawało im się, że książki mogą poprowadzić je przez życie, ale nie zauważały nigdy, że tak naprawdę słowa przyłączają się gdzieś po drodze.

- Rzeczywiście jest trochę zbyt spokojna – stwierdziła Niania. – Zawsze taka była, kiedy coś nie grało.

- Myślałam, że jest zła przez kapłana, który przybył na Chrzest – powiedziała Niania.

- Ech, staruszek Peredore jest w porządku – uspokoiła ją Niania. – Mamrota w jakimś starożytnym języku, ale za to mówi zwyczajnie. A do tego bierze tylko sześć pensów. A potem pakuje się go na osiołka i po kłopotcie.

- Co? Nie słyszałaś? – zdziwiła się Agnes. – Braciszek Peredore leży chory w Skundzie. Złamał sobie nadgarstek i obie nogi spadając z osła.

Niania Ogg wyciągnęła fajkę z ust – Dłaczego nikt mnie nie poinformował – mruknęła.

- Nie wiem, Nianiu. Sama dowiedziałam się dopiero wczoraj od Pani Weaver.

- Ooo... ta kobieta! Mijałyśmy się dzisiaj rano! Powinna była mi powiedzieć!

Wiedźma wpakowała fajkę z powrotem do ust, które do tej pory były pierwszymi zwiastunami podobnych nowin.

- Jak można złamać obie nogi spadając z osła? – zadumała się.

- To się stało w górach, na wąskiej ścieżce na zboczu – wyjaśniła Agnes. – Spadł z sześćdziesięciu stóp.

- Tak? – nie dowierzała Niania. – Tak. To musiał być cholernie wysoki osioł.

- Król posłał do omiańskiej misji w Ohulan, żeby przysłali nam kapłana – oznajmiła młoda wiedźma.

- Co on zrobił!? – wycedziła przez zęby Niania.

* * *

Na polu leżącym na krańcu miasta stał niezręcznie rozbity, niewielki szary namiot. Wzmagający się wiatr szarpał afiszem rozciągniętym na tablicy. Napis na nim głosił: „*DOBRA NOWINA – Om Czekaj Na Ciebie!!!*”. I chociaż nikt nie stawiał się na nabożeństwo, które Wielebny Oats przygotował na to popołudnie, postanowił mimo wszystko je rozpocząć. Odśpiewał kilka radosnych pieśni przygrywając sobie na małym akordeonie. Następnie wygłosił krótkie, acz porywające kazanie dla wiatru i nieba.

W tej chwili Dość Wielebny Oats przeglądał się w lustrze. Szczerze mówiąc, korzystanie z lustek zawsze wprawiało go w lekkie zażenowanie. Lustra były powodem licznych schizm w Kościele. Kiedy jedna ze stron utrzymywała, że są bezwzględnie złe, ponieważ zachęcały do bycia próżnym, druga uważała że były absolutnie święte ponieważ odbijała się w nich dobroć Oma. Oats nie miał na ten temat jednoznacznej opinii, jednak był on z natury człowiekiem starającym się postrzegać pewne racje po obu stronach każdego zagadnienia. W tym momencie za najistotniejszy uważał fakt, iż dzięki lustru mógł prawidłowo założyć koloratkę. Ten element ubioru wciąż stanowił nowość. Arcywielebny Mekkle u którego pobierał duszpasterskie nauki uważał, że sztuka krochmalenia była umiejętnością ważną, chociaż opcjonalną. Oats chcąc uniknąć jakichkolwiek błędnych kroków zawsze o to dbał, a jego koloratką można było się golić.

Z czcią odłożył na miejsce święty wisior z wizerunkiem Morskiego Żółwia, przyglądając się z dumą jego blaskowi. Potem wziął swą wytworną kopię Księgi Oma. Jego

koledzy z seminarium spędzali godziny ostrożnie przerzucając strony, które dawały im pewne i oczywiste dowody. Oats nigdy tego nie robił. Swoją drogą znał niemal całą Księgę na pamięć. Czasem czuł się winny, gdyż w seminarium stosowano kary dla tych, którzy nie używali pisma jako jedyne go wyznacznika postępowania.

Zamknął oczy, przerzucając strony na chybił-trafił. Potem nagle spojrzął i odczytał pierwszy akapit, który zobaczył. Trafił mniej-więcej na połowę Drugiego Listu Bruthy do Omian, w którym łagodnie karcił ich za to, że nie odpowiedzieli na Pierwszy List do Omian.

„...cisza to odpowiedź, która stawia jeszcze więcej pytań. Szukajcie a znajdziecie, lecz pierwszej upewnijcie się, że wiecie czego szukacie...”

Ach, oczywiście... Zatrzasnął książkę.

Cóż za miejsce! Cóż za śmietnik! Po nabożeństwie postanowił się przejść. Każda tutejsza ścieżka wydawała kończyć się klifem, albo urwiskiem. Nigdy wcześniej nie widział tak pionowego kraju.

W krzakach wokół niego wciąż coś szeleściło a wszędzie pełno było błota. A ci ludzie... cóż, prości wieśniacy. Sól tej ziemi, owszem. Jednak wydawało mu się, że wciąż przyglądają mu się z daleka, jakby oczekiwali, że lada moment stanie się mu coś niedobrego i nie chcieliby znaleźć się wtedy w pobliżu.

Wciąż jednak pamiętał o słowach z Listu Proroka Bruthy do Symonitów: jeśli pragniesz by wszyscy ujrzeli światłość, sam musisz je nieść ku mrocznym miejscom. A to miejsce było z pewnością mroczne.

Zmówił krótką modlitwę i przyśpieszył kroku ku zawodzącemu wiatrem i chlupoczącemu błotem mrokowi.

* * *

Babcia leciała wysoko ponad wierzchołkami szumiących drzew na tle sierpa księżyca. Nigdy nie ufała takiemu księżycowi. Kiedy był w pełni mogło go najwyżej ubywać, po nowiu zawsze przybierał, ale sierp niebezpiecznie równał szale między światłem a mrokiem... To mogło doprowadzić do wszystkiego.

Czarownie zawsze żyją na krawędzi.

Poczuła mrowienie w dłoniach. Nie tylko z powodu z mroźnego powietrza... Gdzieś istniała krawędź. Coś się zaczynało.

Na innej części niebios Zorza rzuciła blaski spomiędzy gór w centrum świata, tak jasne że mogły konkurować z bladym księżycowym światłem. Zielono-złote refleksy tańczyły w powietrzu. Było to rzadkie zjawisko o tej porze roku i Babcia zastanawiała się co to mogło oznaczać.

Kromka leży wewnątrz górskiej bruzdy, której nawet gorliwy optymista nie nazwałby doliną. Kiedy lądowała ujrzała w blasku księżyca bladą twarz kogoś, kto oczekiwał jej w półmroku ogrodu.

- Bry wieczór, Panie Bluszcz – powiedziała zeskakując z miotły. – Jest na piętrze?

- W stodole – odpowiedział twardo Bluszcz. – Krowa ją kopła... mocno.

Wyraz twarzy Babci pozostał niewzruszony. – Zaraz zobaczymy, co da się zrobić – powiedziała.

Rzut oka na twarzy Pani Paternoster wystarczył by dowiedzieć się jak niewiele można było zrobić. Staruszka nie była czarownicą, ale znała się na miała dobrą praktykę akuszerską, jakiej może nabrać ktoś kto w odizolowanej od świata wsi pomaga krowom, kozom, koniom i, oczywiście, ludziom.

- Jest źle – wyszeptwała Babcia spoglądając na pojękującą postać leżącą na słomie – Boje się, że stracimy oboje... – powiedziała. – A być może tylko jedno z nich... – dodała tonem, z którego ktoś uważny wyczytałby sugestię pytania. Babcia skoncentrowała się.

- To chłopiec – powiedziała. Pani Paternoster nie zastanawiała się skąd Babcia o tym wie, ale jej wyraz twarzy mówił, że oto kolejny ciężar został dołożony do już i tak ciężkiego brzemienia.

- Lepiej pójde i wytłumaczę to Johnowi Bluszczowi – powiedziała stara akuszerka.

Nie zdążyła się nawet ruszyć, kiedy dłoń Babci Weatherwax zacisnęła się na jej ramieniu.

- On już do tego nie należy – powiedziała.

- Jednak mimo tego... – zaproponowała staruszka.

- On już do tego nie należy – powtórzyła z naciskiem Babcia.

Pani Paternoster spojrzała w wpatrujące się w nią błękitne oczy i zrozumiała dwie rzeczy: po pierwsze Pan Bluszcz już do tego nie należał, a po drugie to, nikt nigdy nie wspomni o tym, co stało się tej stodole.

- Wydaje mi się, że ich pamiętam – powiedziała Babcia konwersacyjnym tonem, podwijając rękawy. – Uroczą parą, jak sobie przypominam. Wszyscy mówili, że był dobrym mężem. – dodała nalewając ciepłej wody z dzbana. Pani Paternoster skinęła głową.

- Oczywiście, będzie mu trudno uprawiać ziemię samemu – Babcia odsunęła się, myjąc ręce. Pani Paternoster ponownie skinęła ze smutkiem głową. – Wydaje mi się, że powinna go pani wziąć do domu, Pani Paternoster i zrobić filiżankę herbaty – nakazała Babcia. – I niech mu pani powie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Tym razem akuszerka skinęła z wyraźną ulgą.

Kiedy odeszła, Babcia dotknęła dłonią spoconego czoła Pani Bluszcz. – Już dobrze, Florencjo Bluszcz – powiedziała łagodnie. – Spójrzmy, co da się zrobić... Najpierw jednak... wcale nie boli.

Kiedy obracała głowę dostrzegła sierp księżyca zagładający przez nie oszklone okno. Pomiędzy światłem a mrokiem. Cóż, czasem musisz być właśnie taki.

ZAISTE.

Babcia nawet nie drgnęła.

- Spodziewałam się ciebie tutaj – powiedziała, wciąż klęcząc na słomie.

GDZIEŚ JESZCZE? powiedział Śmierć.

- Wiesz po kogo tu przyszedłeś? – zapytała.

TO NIE MÓJ WYBÓR. PRZED PRZEKROCZENIEM OSTATNIEJ GRANICY ZAWSZE POJAWIAJĄ SIĘ WĄTPLIWOŚCI.

Słowa trwały w głowie Babci jeszcze przez kilka sekund, niczym małe topniejące kostki lodu. Przed przekroczeniem ostatniej granicy czekał jeszcze... sąd.

- W tym przypadku to zbyt wielki koszt – powiedziała po chwili. – Zbyt wielki.

Kilka minut później czuła, jak życie przepływa przez nią strumieniem. Śmierć miał dość przyzwoitości by odejść bez słowa.

Pani Paternoster drążącymi rękoma zastukała do wrót. Potem otworzyła je i ujrzała Babcie stojącą w zagrodzie krów, trzymającą w ręce fragment kolca. – Tkwił w kopycie zwierzęcia przez cały dzień – wyjaśniła. – Nic dziwnego, że była rozdrażniona. Dopilnuj by nie zabijali krowy – nakazała czarownica. – Jestem pewna, że będą chcieli to zrobić.

Pani Paternoster spojrzała na zawiniątko leżące na słomie. Babcia taktownie położyła je poza zasięgiem wzroku śpiącej Pani Bluszcz.

- Porozmawiam z nim – powiedziała Babcia gładząc sukienkę. – A ona... Cóż, jest młoda i silna. Wie Pani, co robić. Dopilnuj jej a ja lub Niania zajrzemy kiedy będziemy mogły. Kiedy się obudzi, będzie potrzebowała opieki a wszystko powinno się jakoś ułożyć.

Niemożliwe było by ktokolwiek w Kromce próbował się kiedykolwiek przeciwstawić Babci Weatherwax, jednak czarownica spostrzegła blady cień dezaprobaty w twarzy akuszerki.

- Wciąż sądzisz, że powinnam była spytać Pana Bluszcza? – powiedziała.

- Mogłam sama to zrobić... – wymamrotała kobieta.

- Nie lubisz go? Uważasz, że to zły człowiek? – spytała Babcia poprawiając szpilki w kapeluszu.

- Nie!

- Zatem, czy zrobił mi coś złego, bym miała go skrzywdzić?

* * *

Agnes przyspieszyła kroku by nadążyć. Podniecona Niania Ogg mogła poruszać się niczym napędzana tłokami.

- Przecież sprowadzamy do nas wielu kapłanów, Niani. – wydyszała młoda wiedźma.

- Nie takich jak Omianie! – wypaliła Niania. – Byli tu w zeszłym roku. Kilku nawet zastukało do moich drzwi!

- Cóż, zdaje się, że do tego właśnie słu... – zaczęła Agnes.

- I wpychali te swoje ulotki! „*Żałuj za grzechy!*” – mówiła dalej Niania. – Żałować? Ja? Nie mogę zacząć żałować grzechów w tym wieku! A wcześniej ani mi to było w głowie! Swoją drogą – dodała uśmiechając się. – Nie mam czego żałować.

- Za bardzo się tym przejęłaś, Nianiu – próbowała ją uspokoić Agnes.

- Palili ludzi na stosach! – powiedziała z oburzeniem Niania.

- Tak, przypominam sobie... Gdzieś o tym czytałam – powiedziała Agnes, postępując z wysiłku. – Ale to było dawno temu, Nianiu. W Ankh-Morpork widziałam, jak rozdawali prospekty, wygłaszali przemowy i śpiewali nudne pieśni w takim dużym namiocie...

- Phy! Lampart nigdy nie zmienia swoich instynktów, dziewczyno!

Pędziły korytarzem w kierunku zgiełku dobiegającego z Wielkiej Sali.

- Roi się tu od ważnych osobistości – stwierdziła Niania wyciągając szyję. – O, tam jest nasz Shawn!

Cała lancreńska armia czaiła się w cieniu kolumny, z nadzieją że nikt nie dostrzeże upudrowanego lokaja, noszącego perukę zrobioną dla o wiele większego lokaja.

Królestwo Lancre nie posiadało wielu organów wykonawczych rządu, których większość należała właśnie do najmłodszego z synów Niani Ogg. Król Verence był władcą myślącym przyszłościowo, a mimo to lancreńscy wciąż nie dali się przekonać do demokracji. To miejsce stanowiło białą plamę na mapie ustrojów i sposobów rządów. Co tylko utwierdzało władcę w przekonaniu, iż wiele jeszcze powinien dla niego zrobić. Większość związanych z tym spraw, których w żaden sposób nie dało się uniknąć spadało na głowę Shawna. Opróżniał pałacowe wygodki, dostarczał rzadką pocztę, pilnował murów, zajmował się Królewską Mennicą i budżetem, zastępował ogrodnika, kiedy ten miał wolny dzień a w niektóre dni – jeśli zaszła potrzeba – pracował jako celnik. Verence uważał, że słupki w żółto-czarne pasy nadawały krajowi profesjonalny wygląd. Shawn stemplował paszporty i wszelkie inne papiery, jakiegokolwiek posiadali podróżni. Pieczęć wykonał własnoręcznie z połówki ziemniaka. Shawn traktował swoje obowiązki bardzo poważnie. A przy okazjach takich, jak ta – kiedy stary Spriggins miał wychodne, bądź potrzebna była dodatkowa para rąk – pracował jako lokaj.

- Bry wieczór, Shawn! – zawołała Niania. – Widzę, że znowu założyłeś na głowę zdechłą owcę!

- Oj, Mamo – jęknął Shawn starając się doprowadzić perukę do stanu względnego porządku.

- Gdzie jest ten kapłan od Chrzcina? – zapytała Niania.
- Że co? Nie wiem, Mamo! Przestałem śledzić Chrzcina już pół godziny temu, jak poszedłem roznosić te kawałki sera na patykach... – powiedział Shawn. – Eeeej... Mamo! Nie możesz brać tylu na raz!³

Niania Oggssała równocześnie cztery słomki koktajli, wodząc wzrokiem po zebranym tłumie.

- Muszę zamienić słówko z młodym Verencem – powiedziała po chwili.
- Nianiu! On jest Królem – napomniała ją Agnes.
- To jeszcze nie powód, aby łązić w koło i zachowywać się jak jakiś Monarcha! – stwierdziła Niania.
- Wydaje mi się, że on praktycznie jest monarchą.
- Na to jest za bezczelny – powiedziała czarownica. – Znajdź tego Ormianina i dobrze go pilnuj!
- Czego mam szukać? – spytała kwaśno Agnes – Słupa dymu?
- Wszyscy ubierają się na czarno – powiedziała z pewnością siebie Niania – Phy!

Typowe!

- Jak by to ująć... – powiedziała młodsza czarownica. – My ubieramy się tak samo...
- Owszem! Ale my... my... – Niania Ogg walnęła pięścią w pierś wzbudzając drganie – My ubieramy w właściwą czerń! A teraz idź już i szukaj kogoś niepozornego – powiedziała Niania, kobieta nosząca czarny kapelusz wysoki na dwie stopy. Rozejrzała się dookoła i szturchnęła syna. – Shawn? Na pewno dostarczyłeś zaproszenie do Esme Weatherwax? Spojrzał na nią z przerażeniem.

- Oczywiście, Mamo.
- Wepchnąłeś je pod drzwiami?
- Nie, Mamo. Ile się nasłuchałem, kiedy ślimaki oblażyły jej pocztówki w zeszłym roku! Wepchnąłem zaproszenia za zawiasy, mocno i pewnie. – wyjaśnił.
- Dobry chłopiec – pochwaliła go wiedźma.

Lancreńczycy nie umieszczali z swoich drzwi szczelin na listy. Poczta była czymś, co zdarzało się rzadko, w przeciwieństwie do ostrych zawieruch. Na co komu dodatkowa szpara w drzwiach, przez którą mógł wpadać nieproszony wiatr? Sporadyczne listy umieszczano pod dużymi kamieniami, wpychano do doniczek na kwiaty, bądź wsuwano je po prostu pod drzwiami. Tak czy siak nigdy nie było ich nazbyt wiele.⁴

W Lancre obowiązywał dość specyficzny system feudalny, który zakładał, że wszyscy byli zwaśnieni ze wszystkimi i wszyscy przekazywali ową zawiść swoim potomkom. Tkwiące w sercach drzazgi nienawiści przekazywane były pieczołowicie z pokolenia na pokolenie. Wiele z nich miało już wartość zabytkową. Krwawa, dobra zawiść była niczym znakomite stare wino. Opiekowano się nią troskliwie i zostawiano w spadku dzieciom.

Dlatego rzadko do kogoś pisano. Jeśli chciało się coś komuś powiedzieć, mówiono to prosto w twarz. Dawalo to radość i satysfakcję.

Agnes stała zakłopotana na skraju tłumy. Często to robiła. Teraz rozumiała, dlaczego Magrat Garlick zawsze ubierała te ckiwe, rozwleczone suknie i nigdy nie nosiła kapelusza. Nosząc kapelusz i ubierając się na czarno – a na Agnes mieściło się sporo czerni – zmuszała ludzi, by mijali ją z daleka. Każdy postrzegał ją tylko jako czarownicę. Miało to kilka plusów. Jednak do minusów zaliczała fakt, że ludzie zawsze zwracali się do niej z

³ Ludzie w Lancre wciąż uznawali, że demokracja jest nonsensem, chociaż nigdy nie próbowali tego powiedzieć wprost. Zatem całe zamieszanie z zrobieniem z nich dobrych służących spełzło na niczym. Owszem, mogli gotować i sprzątać, robić z siebie kretyńców i tak dalej... ale nigdy nie wykazywali się odpowiednią mentalnością służącego.

⁴ Pomijając przekazy pocztowe z załączonymi do nich liścikami o podobnej treści: *Droga Matko i Ojczy! W Ankh-Morpork wiedzie mi się nieźle! W tym tygodniu zarobiłem okrągłe siedem dolarów!*

kłopotami, nawet nie dopuszczając myśli, że mogłaby im nie pomóc. Owszem, nawet ci którzy znali ją wcześniej – nim zaczęła nosić kapelusz – zaczęli ją teraz traktować poważniej. Schodzili jej z drogi, a raczej woleli się na niej nie znaleźć, wzięwszy pod uwagę jej gabaryty, zwłaszcza gdy nabrała rozpędu.

- Dobry wieczór, panienco.

Obróciła się i zobaczyła Hodgesaargha w pełnych oficjalnych regaliach. Najważniejsze było zachowanie powagi w momentach takich, jak ten. Agnes starała się całych się nie uśmiechać, ignorując histeryczny rechot Perlity w swojej głowie. Wcześniej widywała Hodgesaargha na skraju lasu i na wrzosowiskach. Przeważnie królewski sokolnik szamotał się ze swoimi podopiecznymi, które atakowały go dla zabawy, tudzież pod wpływem zewu natury, co miało miejsce w wypadku Króla Henry'ego – sokół chwycił sokolnika, unosił i upuszczał na ziemię w przekonaniu, że jego opiekun jest olbrzymim zółwem.

Nie znaczyło to, że Hodgesaargh był kiepskim sokolnikiem. Wielu innych hodowców sokołów z Lancre uznawało go za jednego z najlepszych treserów w górach. Być może dlatego, że był bardzo gorliwy w tym, co robił. Tak dobrze szkolił małe, upierzone maszyny do zabijania, które zasmakowawszy tego, nie mogły się oprzeć atakowaniu wszystkiego, co ujrzały.

Dlatego nie zasługiwał na to, co go spotkało. Nie zasługiwał na ten ceremonialny strój. Przeważnie, kiedy nie zabierał ze sobą Króla Henry'ego, nosił na sobie skórzaną odzież i ze trzy plastry. To, w co był ubrany teraz zostało zaprojektowane przez kogoś, kto z nostalgią spoglądał na wiejski krajobraz. Kogoś, kto nigdy nie był zmuszony uciekać przez jeżyny z jastrzębiem przyczepionym do ucha. Strój składał się z mnóstwa czerwieni i złota i, być może, wyglądałby o wiele lepiej na kimś o jakieś dwie stopy wyższym, kto zwykł ubierać się w czerwone rajtuzy. O kapeluszu nie można było powiedzieć złego słowa. Był to po prostu wielki, czerwony, sflaczały kapelusz z piórem.

- Panienko Nitt? – przypomniał o sobie Hodgesaargh.

- Przepraszam... Przyglądałam się pana kapeluszu.

- Robi wrażenie, prawda? – powiedział z dumą sokolnik. – A to William. Jest mysołowem, ale wydaje jej się, że jest kurczęciem. Niestety, nie lata. Chcę nauczyć ją polować.

Agnes rozglądała się szukając przejawów jawnej działalności religijnej, ale nietypowość nieco potarganego stworzenia, siedzącego na przegubie Hodgesaargha przyciągała jej uwagę.

- W jaki sposób – spytała.

- Wchodzi do króliczych nor i kopie króliki na śmierć – wyjaśnił sokolnik. – I prawie oduczyłem jej piac. Prawda, Williamie?

- Williamie? – zdziwiła się Agnes. – Ah... jasne. – przypomniała sobie, że sokolnik na wszystkie swoje ptaki mówi „ona”. – Może pan widział jakiegoś omianina?

- A co to za gatunek ptaka, panienko? – zapytał niepewnie Hodgesaargh. Zawsze zdawał się być wypełniony powietrzem, gdy nie mówiono o sokołach, niczym człowiek z olbrzymim słownikiem, który nijak nie może znaleźć indeksu.

- Yyyy... nieważne. Nie zaprzataj sobie głowy – powiedziała Agnes gapiąc się na Williama. – Jak... To znaczy, dlaczego on... To znaczy, dlaczego ona wyobraza sobie, że jest kurczęciem? – spytała.

- O to nietrudno, panienko – powiedział Hodgesaargh. – Thomas Peerless z Głupiego Osła znalazł jajko i dał je do wysiedzenia kwoce, panienko. Potem trochę się spóźnił... i William myślała, że skoro jej mama jest kurą... ona również musi być kurą.

- Cóż, rozumiem...

- Tak to się właśnie dzieje, panienko. – dodał sokolnik. – Ja nigdy na to nie pozwalam. Kiedy wyjmuję pisklęta... mam taką specjalną rękawicę, panienko i...

- To musi być naprawdę ciekawe – powiedziała pośpiesznie Agnes – ale niestety na mnie pora.

- Dobrze, panienko.

Dostrzegła ofiarę, maszerującą przez środek sali.

Było w nim coś oczywistego. Jak gdyby był wiedźmą. Nie miało znaczenia, że jako czarna szata kończyła się za kolanami i przechodziła w parę nóg odzianych w szare skarpety i sandały, ani to, że jego kapelusz miał niewielki wierzchołek i olbrzymie rondo, na którym z łatwością można byłoby podać obiad. Jednak kiedy szedł wokół tworzyła się wokół niego pusta przestrzeń, która zdawała się przemieszczać wraz z nim. Zupełnie, jak wokół czarownic. Nikt nie chciał znaleźć się nadto blisko wiedźm.

Nie mogła dostrzec jego twarzy. W końcu dotarł tunelem powietrznym do bufetu.

- Panienko Nitt, przepraszam... – Shawn pojawił się nagle obok niej. Stał sztywno, bo z każdym gwałtownym ruchem nie pasująca peruka wirowała mu na głowie.

- O co chodzi Shawn? – spytała Agnes.

- Królowa chciałaby zamienić słówko, panienko – powiedział Shawn.

- Ze mną? – zdziwiła się młoda wiedźma.

- Tak, panienko. Oczekuje panienki w Bładozielonym Salonie. – Shawn obrócił się ostrożnie. Peruka obróciła się w ślad za nim.

Agnes wahała się. To był królewski rozkaz i nawet jeśli pochodził od Magrat Garlick wciąż był rozkazem. Swą wagą wypierał nawet wagę tego, co kazała jej robić Niania Ogg. Tak czy siak znalazła kapłana i w wyglądało na to, że w tej chwili nie zamierza nikogo palić, skoncentrowawszy swą uwagę na kanapkach.

Podążyła na spotkanie z Królową.

* * *

Lufcik otworzył się z trzaskiem za plecami ponurego Igora.

- Po co zatrzymaliśmy się tym razem? – padło pytanie.

- Tfol na dfodze, mistfu – wyjaśnił woźnica.

- Co takiego?

Igor przewrócił oczyma – Tfol stoi na drodze – powtórzył.

Lufcik zatrzasnął się. Z karocy dobiegł odgłos prowadzonej szeptem narady. Lufcik otworzył się.

- Masz na myśli trolla? – upewnił się głos.

- Tak, mistfu.

- Rozjedź go! – rozkazał głos.

Troll zbliżał się, trzymając nad głową łopoczącą pochodnię. Gdyby ktoś uznał, że trzeba znaleźć temu trollowi odpowiedni uniform, jedyną odpowiednią rzeczą znajdującą się w zbrojowni – i co ważniejsze: pasującą rzeczą – byłby hełm. I tylko wtedy, jeśli przywiązałby go do głowy sznurkiem.

- Stary Hfabia nigdy nie kazałby mi fozjechać tfolla – zamruczał pod nosem Igor. – Ale on był pfawdzifym dżentelmenem.

- O co chodzi? – warknął żeński głos.

Troll podszedł do powozu i z szacunkiem walnął kłykciami w hełm.

- Szacuneczek – powiedział. – To być trochę krępujące... Ty wiedzieć, co to być pal? – zapytał.

- Pal? – spytał podejrzliwie Igor.

- Taki długi drewniany palu...

- Tak – przerwał mu Igor. – I co? O co chodzi z tym palem?
- Sę w tym, że ty musisz sobie wyobrazić taki jeden w poprzek drogi – powiedział troll. – Taki w żółte i czarne pasy, rozumieć? Bo my mieć tylko jeden, a tamten być dziś wieczorem używany na drodze do Miedzianki. – wyjaśnił wyraźnie zakłopotany.

Lufcik otworzył się ponownie.

- Rusz się, człowieku! Przejedź go!

- Ja móc pójść po pal jeśli chcecie – mówił troll przestępując przebijając nerwowo wielkimi stopami. – Tylko to móc potrwać do jutra, rozumieć? Ale wy móc udawać, że pal być tutaj już teraz a ja móc udać, że ja go podnosić i wszystko być jak trzeba, rozumieć? – dokończył z nutką nadziei w głosie.

- Więc z fób to – zgodził się Igor, ignorując gderanie dobiegające zza pleców. Stary Hrabia był zawsze uprzejmy względem trolli, mimo że nie można ich ugryźć. Stary Hrabia był wampirem z klasą.

- Tylko najpierw ja musisz przybić stempel – powiedział troll wyjmując połówkę ziemniaka i nasączając ją farbą z wilgotnej szmaty.

- Po co?

- Żeby wszyscy wiedzieć, że ja was przepuścić – wyjaśnił troll.

- Aha... ale i tak pfejedziemy – powiedział Igor wskazując na trakt – To znaczy, i tak wszyscy fędą wiedzieli, że pfejechaliśmy, ponieważ będziemy tamtędy pfejeżdżać.

- Tak, ale to pokazać, że wy robić to oficjalnie – odpowiedział troll.

- A co, jeśli pfo pfostu pfojedziemy dalej? – zapytał Igor.

- Eee... wtedy ja nie podnieść ten szlaban – odrzekł troll.

Obaj – pochwyceni w pułapkę metafizycznej zagadki – spojrzeli w kierunku, gdzie wirtualny szlaban zagrażał drogę. W innym wypadku Igor nie marnował by czasu, ale obecna rodzina działała mu na nerwy i zareagował z znany wszystkim służącym sposób, udając idiotę.

- To kontfola graniczna, panie – powiedział nachylając się do okienka. – Musimy dać coś do ostemflowania.

Szmary wewnątrz karocy zwiększyły napięcie a po chwili duży biały prostokąt o złocistych brzegach wysunął się gwałtownie przez lufcik. Igor podał go trollowi.

- Czego oni się wstydzicie? – mruknął pod nosem troll. Przybił niezręcznie pieczęć i oddał papier Igorowi.

- Co to ma być – spytał Igor.

- Nie rozumieć. – odparł lekko zakłopotany troll.

- Ten... głufi znak!

- Eeee... ziemniak być trochę mały na urzędowa pieczęć – wyjaśnił zmieszany troll. – A ja nie widzieć, jak musisz wyglądać prawdziwa pieczęć. Ja myśleć, że figura kaczki być w porządku – dodał radośnie. – A teraz... wy być gotowi. Uwaga... teraz ja podnosić szlaban. Podnosić... Podnosić... O tak... Wy patrzeć gdzie ja pokazywać... W górę... W górę... teraz wy móc przejechać!

Karoca ruszyła by po chwili zatrzymać się tuż przed mostem.

Troll zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku dreptał w pobliżu, słuchając czegoś, co uznał za skomplikowaną rozmowę. Jednak dla Wielkiego Jima Wołowiny większość rozmów zawierających wielogłoskowe słowa skrywał całun tajemnicy.

- A teraz proszę wszystkich o uwagę!

- Ojczy... robiliśmy to tyle razy...

- Nie możemy popełnić błędu w tym momencie. W dole płynie rzeka Lancre. To płynąca woda! Ale my ją przekroczyliśmy! Pragnę w tej chwili przypomnieć, że nasi przodkowie, chociaż podejmowali się dalekich podróży, wciąż tkwili w przekonaniu, iż nie mogą przekroczyć płynącej wody. Czy muszę przypominać o tym, że byli w błędzie?

- Nie, Ojczy.

- Cóż... Poddanie się uwarunkowaniom kulturowym oznaczałoby dla nas pewną śmierć. Jednak będziemy ostrożni. Naprzód, Igor!

Troll spoglądał na odjeżdżający powóz. Zdawało się, że chłód podąża za nim poprzez rzekę.

* * *

Babcia Weatherwax ponownie przemierzała niebo, ciesząc się czystym, rześkim powietrzem. Czowała się znakomicie, unosząc się ponad wierzchołkami drzew. Ludzie w dole czuli się również znakomicie, bo dzięki temu mało ryzyko spotkania się z nią twarzą w twarz.

Samotne farmy przesuwwały się w dole. Większość z nich tonęła w mroku, nie licząc kilku rozświetlonych okien. Większość ludzi już dawno udała się na ceremonię do pałacu.

Pod każdą strzechą drzemała jakaś opowieść. Babcia wiedziała o opowieściach wszystko. Te w dole były historiami nigdy nieopowiedzianymi. Małymi, sekretnymi opowieściami, toczącymi się w małych izbach...

Kiedy medycyna zawodziła i nie można było użyć głowologii, gdyż umysł szalał w ciele, które nieoczekiwanie stało się jego wrogiem i więzieniem, musiała pomóc mu się wydostać. Pomóc odejść... Nie chodziło, oczywiście o te rozpaczliwe próby z poduszką, czy też o rozmyślne błędy w sztuce lekarskiej. Nie wyrzucała ich ze świata. Po prostu wstrzymywała świat i zabierała ich z niego. Sięgała do ich wnętrza i... wskazywała drogę.

Nigdy o tym nie mówiono. Niekiedy widziała na twarzach rodziny niewymowną prośbę. Czasem pytali wprost: „Czy jest COŚ, co możesz dla niego zrobić?”. Brzmiało to niczym znany wszystkim szyfr. Gdyby się spytała co dokładnie mieli na myśli, byli by oburzenie, że ktoś śmiał o czymś takim pomyśleć, że myśleli o czymś zupełnie innym niż – na przykład – poduszka.

A akuszerka знаła wszystkie małe sekrety, które skrywała każda samotna chata. Nie zdradzone nikomu sekrety...

Była tutejszą wiedźmą przez całe życie. I jedną z konsekwencji tego faktu, było to, że zawsze stała dokładnie na granicy, w miejscu gdzie wciąż trzeba dokonywać wyboru. Robiła to, aby inni nie byli do tego zmuszeni. By nikt inny, nigdy nie musiał podejmować podobnych decyzji i dzielić żadnych małych sekretów. By wszystko toczyło się jak należy. Z nikim nie dzieliła się tym, co wiedziała. I nie oczekiwała niczego w zamian.

Ujrzała błyszczący od świateł Zamek. Mogła niemalże dostrzec sylwetki tańczące wokół ognisk. Jednak jej oczy pochwyciły coś innego, gdyż Babcia – mimo iż spoglądała właśnie na Zamek – miała oczy dookoła twarzy. Mgła rozciągnęła się wokół gór i z wolna spływała ku tonącym w blasku księżyca dolinom. Niewielkie pasmo odbiegało od jej krawędzi i płynęło powoli ku Wąwozowi Lancre.

Każdej wiosny, kiedy zmieniała się pogoda pojawiały się mgły.

Jednak taka mgła mogła pochodzić tylko z Uberwaldu.

* * *

Millie Chillum otworzyła drzwi do komnaty Magrat. Pokojówka dygnęła na widok Agnes, a raczej jej kapelusza i zostawiła ją sam na sam z Królową, siedzącą przy toalecie. Agnes nie znała się na protokole, więc dla pewności spróbowała dygnąć, co wywołało niemałe poruszenie w dolnych partiach jej ciała.

Magrat, Królowa Lancre wysiąkała nos, po czym upchnęła chustkę w rękawie szlafroka.

- Ach, cześć Agnes! – powiedziała. – Siadaj... Nie musisz tak podskakiwać. Millie wciąż to robi. Dostaję od tego choroby morskiej. A poza tym wiedźmy nie powinny się kłaniać.

- Eee... – jęknęła Agnes, wpatrując się w stojącą w rogu komnaty kołyskę. Było na niej więcej kokard i wszelkich koronek niż powinno być na jakimkolwiek meblu.

- Śpi... – powiedziała Magrat. – Ah... kołyska? Verence zamówił wszystko z Ankh-Morpork. Tłumaczyłam mu, że stara, którą od zawsze tu używali też jest śliczna, ale wiesz... Jest taki... nowoczesny. Siadaj, proszę.

- Chciałaś mnie widzieć, Wasza Wyso... – zaczęła niepewnie Agnes. Wszystko stało się takie skomplikowane. Teraz nie miała nawet pewności jak powinna zwracać się do Magrat. Kobieta zostawiła część siebie w chatce – starą bransoletę, która zawieruszyła się pod łóżkiem, ekliwe notatki w starożytnych notesikach, wazony pełne suszonych kwiatów. Na podstawie rzeczy zostawionych w kredensie, można stworzyć dość dziwny obraz ich właściciela.

- Chciałam po prostu z kimś pogadać – powiedziała Magrat. – Nic więcej. Wiesz, mam naprawdę wielkie szczęście, ale... Cóż, Millie jest miła, ale wciąż mi przytakuje. A Niania i Babcia ciągle traktują mnie, jakbym wcale nie była, no... Królową, rozumiesz? Nie, nie chcę być cały czas traktowana, jak Królowa – dodała szybko. – Chcę żeby wreszcie pojęły, że jestem Królową, a nie ciągle jedną z nich, rozumiesz? – powiedziała wymachując rękoma, jakby starała się opisać coś, czego opisać się nie da. Zużyte chusteczki spływały kaskadami na podłogę.

- Wydaje mi się, że tak – powiedziała z rezerwą Agnes.

- I jeszcze... Wciąż mam zawroty głowy przez tych wszystkich dygających mi ludzi. – mówiła Magrat. – Chciałbym, żeby traktowali mnie normalnie. Żeby na mój widok myśleli „Ah, przecież to Magrat. Owszem, teraz jest Królową, ale potraktuję ją zwyczajnie.”...

- ...ale troszkę uprzejmiej, bo mimo wszystko, to Królowa? – zasugerowała Agnes.

- Cóż, tak... Dokładnie tak. Nie jestem właściwie zła na Nianię, bo ona traktuje wszystkich jednakowo, ale kiedy Babcia na mnie patrzy, doskonale widzę, co ma na myśli... „Och, to Magrat. Zaparz herbaty, Magrat!” Przysięgam, że pewnego dnia tak jej odpowiem, że jej w pięty pójdzie! Wydaje im się, że to co muszę robić to moje hobby!

- Doskonale cię rozumiem. – powiedziała Agnes.

- Wydaje im się, że pewnego dnia zostawię królowanie i wrócę do czarownictwa. – zżymała się Magrat. – Oczywiście, nigdy się do tego nie przyznają, ale jestem pewna, że to sobie właśnie wyobrażają! Nie mogą zrozumieć, że można żyć inaczej!

- Racja.

- A jak tam stara chatka?

- Ciągle sporo myszy – powiedziała Agnes.

- Pamiętam. Zawsze je dokarmiałam. Tylko nie mówi Babci! Jest tutaj, prawda?

- Jeszcze jej nie widziałam – odpowiedziała młoda czarownica.

- Oh, na pewno czeka na jakiś dramatyczny moment – stwierdziła Magrat. – Wiesz, że nigdy nie przyłapałam jej w chwili, kiedy oczekuje na dramatyczny moment? Nigdy, a sporo razem przeżyłyśmy! Wiesz, ja albo ty czekałybyśmy w jakimś pokoju, czy gdziekolwiek... Ale ona po prostu wchodzi i robi to zawsze we właściwym czasie.

- Wciąż powtarza, że wszystko trzeba robić we właściwym czasie – dodała Agnes.

- Tak – powiedziała Magrat.

- Tak – zgodziła się Agnes.

- I mówisz, że jeszcze jej nie ma? – spytała niepewnie Królowa. – Pierwsze zaproszenie wysłaliśmy właśnie do niej! – Magrat nachyliła się bliżej. – Verence kazał pokryć je dodatkowym złotkiem. Zdziwiłabym się, gdybym nie usłyszała pobrzękiwania, gdy przyjdzie z zaproszeniem. A jak postępy w parzeniu herbaty?

- Za każdym razem narzekają – powiedziała Agnes.
- Właśnie to robią! I trzy kostki cukru dla Niani Ogg?
- Nie jest tak źle. Bywa, że dadzą mi pieniądze na herbatę – powiedziała Agnes.

Pociągnęła nosem. W powietrzu unosiła się jakaś stęchlizna.

- Moim zdaniem to nie zwraca nawet kosztów pieczenia herbatników – mówiła Magrat. – Spędziłam wiele godzin spełniając ich zachcianki... Ciasteczka w kształcie półksiężycy i inne takie! Można je zwyczajnie kupić w sklepie!

Magrat również pociągnęła nosem. – To na pewno nie dziecko – stwierdziła. – Shawn Ogg był taki zajęty planowaniem wszystkiego, że już ze dwa tygodnie nie czyścił wygodki. Przeciąg unosi zapach ku garderobie przez Dzwonnicę. Próbowałam wieszać pachnące zioła, alegniły od tego.

Wyglądała nieswojo, jak gdyby zakładała istnienie gorszej alternatywy, niż nieszczęlny system zamkowej wentylacji. – Eee... nie mogła nie dostać zaproszenia?

- Shawn zarzekał się, że je dostarczył – odpowiedziała Agnes. – Ale pewnie powiedziała coś w stylu – głos Agnes zmienił się, nagle stając się głęboki i ponury – „Nie mogę się tak zachowywać w moim wieku! Na pewno nie zjawię się tam za wcześnie! Nikt nigdy nie powie, że Esmeralda Weatherwax zjawiła się gdzieś za wcześnie!”

Magrat ze zdumienia uformowała usta w wielkie „O”. – Dokładnie jak ona!? To przerażające!

- To jedna z niewielu rzeczy, w których jestem dobra – powiedziała Agnes, już zwyczajnym głosem. – Burza włosów, miła osobowość i dobry słuch – I dwa umysły, dodała Perdita. – Przyjdzie, tak czy siak. – dodała Agnes, ignorując wewnętrzny głos.

- Jest już po wpół do jedenastej... O rany, lepiej się ubiorę! Możesz podać mi rękę? Popędziła ku garderobie ciągnąc za sobą Agnes.

- Napisałam nawet, że prosimy ją by była Matką Chrzestną – powiedziała sadowiąc się naprzeciw lustra i grzebiąc w stercie przyborów. – Wiem, że w duchu zawsze tego pragnęła.

- To coś, czego można życzyć dziecku – powiedziała Agnes bez zastanowienia.

Dłoń Magrat zatrzymała się wpół drogi do twarzy, a Agnes dostrzegła pośród chmury pudry, przerażony wzrok w lustrzanym odbiciu. Szczeka Magrat zacisnęła się i przez chwilę wyraz jej twarzy przypominał taki, jaki przybierała niekiedy twarz Babcy.

- Jeśli miałabym wybierać między życzeniem memu dziecku zdrowa, bogactwa i szczęścia a strzegącą jej Babcją Weatherwax, doskonale wiem, co bym wybrała – powiedziała w końcu. – Gdybyś widziała ją w akcji...

- Owszem, widziałam... Raz czy dwa. – przyznała Agnes.

- Nikt jej nie pokona – dodała Magrat. – Wystarczy poczekać, dopóki nie ujrysz jej w ukrytej w cieniu. Zna taki sposób... chowania się... Tak jakby... Tak jakby wkładała siebie do czegoś innego. Żeby się ukryć na jakiś czas... To dzięki jej umiejętności Pożyczenia. Tylko ona to potrafi!

Agnes skinęła głową. Niania ją uprzedzała, ale mimo wszystko wołała nie zjawiać się w chatce Babcy właśnie w tym momencie, kiedy leży rozciągnięta na podłodze i sztywna jak kij, trzymając w niemal sinych palcach kartkę z napisem: NIE JEZDEM MARTFA.⁵ Oznaczało to, że kręciła się gdzieś w okolicy, dzieląc ciało z borsukiem, albo gołębiem jako niezauważona pasażerka w ich umysłach.

⁵ Kiedy nie było do zrobienia nic pilnego, Babcia zajmowała się Pożyczeniem, pakując swój umysł na gapę do głowy innego stworzenia. W ciągu wielu lat doskonalenia tej sztuki, posiadała ją w sposób tak biegły, iż potrafiła wnikać nawet w umysł czegoś, co teoretycznie umysłu nie posiadało. Z tego powodu w Lancre zmalało okrucieństwo względem wszelkich stworzeń, w myśl zasady, że szczer, w którego dzisiaj rzuciłeś kamieniem, jutro może okazać się wiedźmą a ty możesz potrzebować pomocy medycznej. Z drugiej strony ci, którzy odwiedzali ją i znajdowali zimną i bez życia, z ledwie wyczuwalnym pulsem, mogli wziąć Babcję za martwa. Kartka zapobiegała późniejszemu zamieszaniu.

- I wiesz co – kontynuowała Magrat. – To mi przypomina tych magów z Howondalandu, którzy dla bezpieczeństwa chowają gdzieś swoje serce zamknięte w słoju. I nie można ich wtedy zabić. Czytałam o tym w którejś z książek z chatki...

- Nie chciałabym być wielkim słojem – stwierdziła Agnes.

- Nie zawsze było to uczciwe... – powiedziała Magrat zastanawiając się przez chwilę. – Cóż to rzadko było uczciwe. W każdym razie przeważnie nie. Ale czasami... Możesz mi pomóc z tą piekielną krezą?

Od strony kołyski dobiegło gaworzenie dziecka.

- Jak imię jej nadacie? – zapytała Agnes.

- Na to będziesz musiała poczekać – odpowiedziała Magrat.

Agnes, kierowana jakimś impulsem, podążyła za Magrat i pokojówkami ku Wielkiej Sali. Tradycją Lancre było nadawanie dzieciom imion dokładnie o północy, by początek nowego dnia zaczynały już z własnym imieniem. Młoda czarownica nie wiedziała, czy miało to jakkolwiek głębszą wymowę, ale tak po prostu być musiało i już. Ktoś, dawno temu, stwierdził, że to działa a mieszkańcy Lancre nigdy nie pozbywali się czegoś, co działało. Sęk w tym, że równie rzadko zmieniali coś, co sprawnie działa.

Słyszała, że wywoływało to depresję u Króla Verence'a, który poznawał zasady panowania z książek. Owszem, ludzie dość ciepło przyjmowali jego innowacyjne plany w dziedzinie irygacji i rolnictwa, a potem najzwyczajniej o nich zapominali, nie robiąc niczego w tej sprawie. Nie podejmowali też jakichkolwiek kroków w związku z jego planami poprawy warunków sanitarnych, zostając przy starych pomysłach, takich jak budowa antypoślizgowych ścieżek do wygódek, czy też umieszczanie w nich almanachów z odpowiednio miękkimi stronami.

Zgadzała się z nim odnośnie konieczności założenia Królewskiego Towarzystwa Dla Poprawy Warunków Bytowania Ludu, jednak - jako że zajmowało to większość czasu z czwartkowych popołudni Shawna Ogga - Lud na jakiś czas był bezpieczny od zbytniego Poprawienia Warunków. Swoją drogą Shawn opracował system wentylacyjny w wietrznych częściach Zamku, za co otrzymał od Króla mały medal.

Lancreńczycy nie wyobrażali sobie życia w ustroju innym od monarchii. Żyli tak od tysięcy lat i byli pewni, że to działa. Poza tym zakładali, że nie trzeba poświęcać nazbyt wiele uwagi temu, czego pragnął Król, bo za jakieś czterdzieści lat inny król z pewnością będzie pragnął czegoś zupełnie innego. Po prostu, oszczędzali sobie zbędnej fatygi. Ich zdaniem każdy powinien zająć się tym, do czego został stworzony. Król powinien przebywać w zamku, od czasu do czasu machać do tłumu, umieszczać swój wizerunek na monetach a im pozwolić orać, siać i zbierać plony. Na tym polegała, według nich, umowa społeczna. Robili to, co zawsze a on powinien im w tym nie przeszkadzać.

Tylko od czasu do czasu królować...

* * *

Król Verence II spojrzął na swoje odbicie w lustrze i westchnął.

- Pani Ogg – powiedział, poprawiając koronę. – Jak pani wie, darzę olbrzymim szacunkiem wszystkie czarownice z Lancre, ale to jest - z całym szacunkiem - szeroko pojęta kwestia zasadniczej polityki, która – z całym szacunkiem – jest sprawą tylko i wyłącznie Króla. – Ponownie poprawił koronę, podczas gdy lokaj Spriggins szcztokował jego strój. – Musimy być tolerancyjni. Szczerze mówiąc, Pani Ogg, nigdy nie widziałem pani w takim stanie...

- Łazą w koło i tylko szukają kogoś do spalenia – powiedziała Niania, poirytowana tym całym szacunkiem.

- Sądzę, że to jakieś zabobony – stwierdził Verence.

- Kiedyś palili nawet wiedźmy!

Verence zdjął koronę i przetarł ją nerwowo rękawem, zachowując przy tym nienaganne maniery.

- Myślałem, że palili praktycznie każdego – powiedział. – Ale to było dawno temu, prawda?

- Nasz Jason słyszał ich kazania w Ohulan! Wyrażali się o wiedźmach wyjątkowo paskudnie! – powiedziała Niania.

- Nie wszyscy znają czarownice tak dobrze, jak my – próbował uspokoić ją Verence. W stanie takiego podniecenia Niani dyplomacja była zbędna.

- Nasz Wayne mówił, że chcą nawrócić ludzi na swoją religię – kontynuowała Niania. – Kiedy założyli tą ich misję to nawet Offlerianie spakowali laski i odeszli! Chodzi o to, że mogą sobie gadać, że ten ich bóg jest najlepszy i inne takie... Ale oni twierdzą, że jest jedyny! To bezczelność, ot co! Doskonale wiem, gdzie można spotkać co najmniej dwóch w tygodniu... aha! I gadają, że każdy rodzi się zły i jak wierzy w Oma, to staje się dobry! Jeśli chcesz znać moje zdanie, to cholerny idiotyzm! Spójrz tylko na twojego berbecia... Jak jej będzie na imię...?

- Za dwadzieścia minut wszyscy się dowiedzą, Nianiu – powiedział spokojnie Verence.

- Ha! – Ton Niani wyraźnie sugerował, że Radio Ogg nie pochwała tego typu cenzury informacyjnej. – Cóż, spójrz... Najgorsze, co może zrobić w jej wieku, to zabrudzić kilka pieluch i wrzeszczeć po nocy! Moim zdaniem, to nic grzesznego!

- Nie miałaś nic przeciwko Posepnym Brethrenom... i przeciwko Ciagle Zdziwionym... A Mnisi Równowagi wciąż tutaj przyjeżdżają.

- Nikt z nich nie miał nic przeciwko mnie – odpowiedziała Niania.

Verence odwrócił się. Był zaniepokojony. Doskonale znał Nianię Ogg, ale dotychczas z tej wiecznie uśmiechniętej strony, jako osobę kryjącą się zazwyczaj w cieniu Babci Weatherwax. Z rozgniewaną Nianią było więcej kłopotu.

- Wydaje mi się, że bierze to pani zbyt poważnie – stwierdził.

- Babcia Weatherwax nie będzie zadowolona – Niania wyciągnęła chowanego w rękawie Asa. Ku jej przerażeniu nie wywarło to oczekiwanego skutku.

- Babcia Weatherwax to nie Król – powiedział spokojnie Verence. – Świat się zmienia. Nastaje nowy porządek... Kiedyś trolle były potworami pożerającymi ludzi, a teraz dzięki wysiłkom ludzi oraz, oczywiście, dobrej woli i pokojowym zamiarom trolli, współistniejemy i sądzę, że się zrozumieliśmy. To już nie te czasy, kiedy małe królestwa musiały martwić się swymi małymi troskami. Odgrywamy rolę w na scenie wielkiego świata. I musimy dobrze ją zagrać... Na przykład, co powinniśmy zrobić w kwestii Muntab?

- A co to jest to Muntab, na demony?! – spytała z właściwym sobie stosunkiem do dyplomacji.

- Muntab leży kilka tysięcy mil stąd, Pani Ogg – wyjaśnił Król. – Ale to bardzo ambitne królestwo i w wypadku wojny z Borogravią będziemy musieli zająć stanowisko.

- Moim zdaniem, stanowisko położone o kilka tysięcy mil od nich wygląda na świetną pozycję. – powiedziała Niania. – Nie wydaje mi się...

- Obawiam się, że się nie rozumiemy – powiedział Verence. – Jednak to nie pani kłopot, pani Ogg. Sprawy mające początek w odległych krainach mogą niespodziewanie zakończyć się w pobliżu naszego domu. Mawiają, że kiedy Klatch kicha, może to znaczyć, że Ankh-Morpork jest przeziębione. Musimy być czujni. Nie chcemy przecież ciągle być częścią hegemonii Ankh-Morpork, prawda? Mamy koniec Ery Owocowego Nietoperza... czyż nie znaleźliśmy się w unikalnym położeniu? Kraje Osi Ramtopów muszą wreszcie zaistnieć. Odpowiedzieć na zew patrycjuszowskiej „gospodarki wilkołaka”! Oto na arenie międzynarodowej pojawiły się nowe siły. Pradawne kraje błyszczą w promieniach

wschodzącego milenium. Musimy zatem nawiązać przyjazne stosunki ze wszystkimi blokami i tak dalej... A Omnia, pomimo swej burzliwej historii, jest dziś przyjaznym krajem... To znaczy, gdyby wiedzieli o istnieniu Lancre na pewno nawiązalibyśmy przyjacielskie stosunki. Oczywiście złe potraktowanie jednego z ich kapłanów wcale by się temu nie przysłużyło, a tak... Cóż, jestem pewien, że niczego nie będziemy żalowali, pani Ogg.

- Mam nadzieję – mruknęła Niania, posyłając mu mordercze spojrzenie. – Wiedz jednak, że pamiętam cię, kiedy byłeś jeszcze człowieczkiem w śmiesznym kapeluszu.

Nawet to nie poskutkowało. Verence po prostu westchnął po raz kolejny i odwrócił się do drzwi.

- Nadal nim jestem, Nianiu – powiedział. – Tylko, że ten jest o wiele cięższy. Pora na mnie. Nie możemy pozwolić naszym gościom zbyt długo czekać. Ach, Shawn...

Shawn Ogg pojawił się w drzwiach, salutując.

- Jakże radzi sobie nasza armia, Shawn?

- Właśnie kończę mój nóż, sir!⁶ Jeszcze tylko zamontuję szczypcę do obcinania włosów z nosa i składaną piłę, sir! W tej chwili jednak przybywam tu jako herold, sir.

- Ach, więc już czas...

- Tak, sir.

- Myślę, że tym razem wystarczy króciutka fanfara, Shawn. – powiedział Król. – Oczywiście doceniam twoje zdolności, ale wolałbym abyś teraz zagrał coś krótkiego, coś prostszego niż kilka taktów „Piosenki O Jezusie”.

- Tak jest, sir.

- Zatem prowadź.

Wyszli na główny korytarz dokładnie w momencie, kiedy przechodziła nim Magrat ze świętą. Król podał jej ramię. Niania Ogg podążyła za nimi powłócząc nogami. Król miał rację. W pewnym sensie. Jednak mimo to wciąż była poirytowana, jakby ubrała za ciasny podkoszulek. Cóż, tak czy siak niebawem zjawi się Babcia, a kto jak kto, ale ona potrafiła rozmawiać z królami. Trzeba było posłużyć się odpowiednią techniką... Nie mówić rzeczy w stylu „Niby po kim odziedziczyłeś tron?”, bo to wiedział każdy. „Ty i czyja armia?” zabrzmiało by równie głupio, ponieważ armia Verence’a składała się z Shawna i trolla i było bardziej niż nieprawdopodobne, by Shawn zwrócił się przeciwko swej własnej matce, o ile chciał jeszcze kiedyś wpaść do niej na herbatkę.

Kiedy procesja dotarła do szczytu wielkich schodów, Niania odciągnęła Agnes na bok.

- Będziemy miały dobry widok z balkonu minstrela – szepnęła ciągnąc Agnes ku dębowej konstrukcji. Dokładnie w tym momencie rozbrzmiał dźwięk fanfary.

- To mój chłopak – powiedziała z dumą Niania, kiedy końcowe dźwięki fanfary wywołały spore poruszenie wśród zebranych gości.

- Tak. Nikt nie kończy fanfary melodią do „...*golono i strzyżono, rachuciachu nóg nie spostrzeżono...*” – przyznała Agnes.⁷

- To trochę rozluźniło atmosferę – powiedziała lojalnie matka herolda.

Agnes ponownie złapała wzrokiem sylwetkę duchownego, przeciskającego się przez tłum gości.

⁶ Z wiadomych względów Lancre nie dysponowało nazbyt liczną armią, dlatego król Verence poszukiwał innych dróg wzmocnienia znaczenia militarnego królestwa. Wówczas Shawn wystąpił z propozycją stworzenia uniwersalnego Noża Armii Lancrańskich – narzędzia mającego zastąpić żołnierzowi wiele innych. Prace nad nim trwały od miesięcy. Jednym z powodów przeciągających się badań był fakt, że król brał czynny udział w jego doskonaleniu, czasami wprowadzając nawet trzy poprawki dziennie. Obecnie trwały prace nad *Możliwie Najmniejszym Przyrządem Do Szukania Rzeczy Zagubionych* oraz *Przypominającym Hak Ostrzem Które Można Użyć Do Wielu Rzeczy*. Shawn przyjmował wszystkie uwagi z dyplomatyczną cierpliwością, dlatego wiele wysiłku kosztowało go wyperswadowanie stworzenia *Jedynego Na Świecie Scyzoryka Na Kólkach*.

⁷ Hymn Gildii Fryzjerów i Chirurgów.

- Znalazłam go, Nianiu – powiedziała. – Swoją drogą nie było to wcale takie trudne. Nie sądzę, by próbował jakichś sztuczek w tym ścisku.

- Który to? – zapytała Niania.

Agnes pokazała jej. Stara wiedźma przyglądała mu się przez chwilę, a potem odwróciła się do Agnes, mówiąc – Niekiedy myślę, że ciężar korony za bardzo obciąża głowę Verence'a. – Sądzę, że nie wie, co należy do jego obowiązków. Kiedy zjawi się Esme i zobaczy tego kapłana, nie będzie bynajmniej zadowolona, o nie! Będzie kwaśna, jak zjełczały kapuśniak!

Goście ustawili się po obu stronach czerwonego dywanu, który rozpościerał się u dołu schodków. Agnes przyglądała się królewskiej parze. Wydawali się na coś oczekiwać, najwyraźniej zakłopotani. Tak, jakby czekali na właściwy moment. Babcia Weatherwax zawsze powtarzała, że każdy musi znaleźć swój własny właściwy moment. Jednak oni robili to niewłaściwie. Kilku z gości rzucało ukradkowe spojrzenia ku wielkim, dwuskrzydłowym wrotom, które na czas ceremonii zostały zaryglowane. Zostaną otwarte później, kiedy zacznie się nieoficjalna, dużo przyjemniejsza część uroczystości. Teraz jednak były zamknięte...
...jakby czekały, aż ktoś otworzy je z trzaskiem a na tle ognistego światła zarysuje się zgarbiona sylwetka...

Agnes przywołała ten obraz oczami wyobraźni.

Nie można tak po prostu przewidzieć działania Babci, pomyślała Perdita.

Pośród gości rozległy się szmery rozmów a potem Millie pobiegła ku galerii do czarownicy.

- Mag... to znaczy Królowa zapytuje, czy Babcia Weatherwax się zjawiała czy też nie? – wysapała.

- Oczywiście, że się zjawiała – odpowiedziała Niania.

- Tylko, eee... Król się trochę... niepokoi. Powiedział, że na zaproszeniu napisał RSVP – powiedziała Millie starając się unikać wzroku Niani.

- Och, czarownice nigdy nie są eresupe – odrzekła Niania. – Czarownice po prostu się zjawiają.

Millie zasłoniła dłonią usta tłumiąc nerwowy kaszel. Spojrzała niewyraźnie na Magrat, posyłając szaleńcze sygnały rękoma.

- W takim wypadku, Królowa zapytuje, czy... eee... żeby nie komplikować sprawy... eee... czy mogłaby pani zająć miejsce matki chrzestnej, Pani Ogg?

Liczba zmarszczek podwoiła się, kiedy uśmiech zakwitł na twarzy Niani.

- Ujmę to tak – powiedziała radośnie. – Pójdę tam... ale tylko do czasu, aż zjawi się Babcia, dobrze?

* * *

Babcia Weatherwax przemierzała wzdłuż i wszerz swą spartańską kuchnię. Od czasu do czasu rozglądała się po podłodze. Pod drzwiami była spora szczelina i niekiedy przeciąg porywał to i owo. Jednak szukała już z tuzin razy. Jej podłoga była teraz chyba najczystsza podłogą w kraju. Swoją drogą i tak było już za późno.

I jeszcze... Uberwald...⁸

Zrobiła jeszcze kilka kursów w tę i z powrotem.

- Musiałabym zdurnieć do reszty, żeby dać im satysfakcję – mruzczała pod nosem.

Usadowiła się w swoim fotelu na biegunach, by po chwili podnieść się tak gwałtownie, że krzesło nieomal się przewróciło. I ponownie ruszyła w swój krótki spacer poprzez wokół kuchni.

⁸ Na nielicznych mapach, na których naniesiono Uberwald – pisze się jego nazwę dokładnie tak. Ludzie w Lacnre zwykli nie zwracać sobie głowy interpunkcją czy też stawianiem jakichś idiotycznych kropek tu czy tam.

- To znaczy nie jestem typem osoby, która się wprasza – powiedziała do powietrza. – O, nie to nie w moim stylu... Nie pójdę tam, gdzie nie jestem mile widziana!

Zabrała się do parzenia herbaty. Czajnik dygotał w jej zaciśniętej dłoni... a potem upuściła cukierniczkę, która rozbiła się na drobne kawałeczki.

Pochwyliła wzrokiem błysk półksiężyca wiszącego ponad murawą.

- Przejmuję się, jakbym nie miała nic innego do roboty – powiedziała. – Nie można wciąż myśleć o zabawie... Zresztą i tak bym nie poszła.

Dopiero po chwili zrozumiała, że miota się z jednego końca kuchni w drugi. Gdybym je znalazła, myślała, chłopak Wattlejów stukał by do drzwi pustej chatki... Poszłabym i świetnie się bawiła, a tymczasem John Ivy zostałby samotny.

- Do diaska!

To było najgorsze w byciu tą dobrą – powinność, która podążała za tobą zawsze i wszędzie.

Znowu opadła na siedzenie bujanego fotela, owijając się szalem przeciw chładowi. Nie dbała nawet o podtrzymanie ognia w palenisku. Nie spodziewała się spędzić tego wieczora w domu.

Cienie wypełniały wszystkie kąty pomieszczenia, jednak nie zapaliła lampy. Wystarczyła jedna świeca.

Cienie wydłużyły się kiedy czarownica, utkwivszy wzrok w ścianie, zaczęła się wściekle kołysać.

* * *

Agnes podążyła za Nianią na dół, na salę. Być może nie powinna, ale ludzie zazwyczaj nie wyrażają wprost swych sprzeciwów wobec kapelusza władzy.

Małe państwka w tej części Ramtopów były normalne. Były niemal w każdej polodowcowej dolinie, oddzielone od sąsiednich krain szlakiem wymagającym wspinaczki, a w ekstremalnych warunkach drabiny. Każde z nich było, mniej lub bardziej, autonomiczne. Każda z tych krain, jak przypuszczała Agnes, posiadała własnego króla, nawet jeśli jego panowanie ograniczało się do pory wieczornej, zaraz po wydojeniu krów. Większość z nich przybyła głównie dlatego, że mało który pogardziłby darmowym jedzeniem. Zjawił się nawet jakiś krasnoludzki senior spod Miedzianki, przezornie trzymający się z dala od grupy trolli. Jako, że nie nosiły one broni, Agnes założyła, że były politykami. Trolle nie były właściwie poddanymi Króla Verence'a, ale przybyli po to, by oznajmić – w swej oficjalnej mowie ciała – że gra w piłkę ludzkimi głowami, była czymś, czego nigdy więcej robić nie będą. Prawie nigdy. Bynajmniej nie w tej okolicy. Zabraniało tego prawo.

Millie doprowadziła czarownice przed trony, po czym dyskretnie się oddaliła.

Omnijski kapłan skinął im głową na przywitanie.

- Cóż... eee... dobry wieczór – powiedział tonem sugerującym, że bynajmniej w tej chwili nie nosi się zamiarem podpalenia kogokolwiek. Był dość młody, a przy jego nosie wisiał dorodny bąbel. Wewnątrz Agnes, Perdita świdrowała go wzrokiem.

Niania Ogg chrząknęła. Agnes spróbowała niewyraźnego uśmiechu. Kapłan wytarł hałaśliwie nos.

- Szanowna pani musi być jedną z tych... eee... czarownic, o których tak wiele słyszałem? – powiedział uśmiechając się czarująco uśmiechem przypominającą rozwartą nagle okiennicę. W jednej chwili go nie było, a w następnej był. Potem równie nagle zniknął.

- Ehem, owszem – odpowiedziała Agnes.

- Ha! – zachnęła się Niania Ogg, która potrafiła wyniosłe odwracać się do ludzi plecami, nawet kiedy patrzeli jej w oczy.

- A ja... a ja... aaaaa... – zaczął kapłan, zaciskając grzbiet nosa palcami – Och, przepraszam. Górskie powietrze najwyraźniej mi nie służy. Jestem Dość Wielebny Mocarny Oats – przedstawił się.

- Jesteś... kim? – spytała Agnes. Ku jej zdziwieniu, człowiek się zarumienił. Teraz, kiedy bliżej się mu przyjrzała, stwierdziła, że nie był dużo starszy od niej.

- To skrót od Mocarny Chwały Godzien Wielbiący Oma Oats – wyjaśnił. – W omiańskim brzmi to, oczywiście, odpowiednio krócej. Czy znasz Słowo Oma?

- Które słowo? „Ogień”? – spytała Niania Ogg. – Heh!

Wiszącą na włosku wojnę religijną powstrzymała Pierwsza Oficjalna Fanfara Królewska, kończąca się kilkoma taktami „Piosenki O Jezusie”. Królewska para schodziła po schodkach.

- I wybij sobie z głowy twoje pogańskie metody – mamrotała Niania Ogg stając za kapłanem. – Żadnego chlapania wodą i olejkami albo sypania dookoła piasku albo obcinania jakichś kawałków... A jeśli usłyszysz choć jedno dziwne słówko, to pamiętaj... Stoję za tobą z laską!⁹

Z drugiej strony dobiegło – To nie jest jakiś potworny inkwizytor, Nianiu!

- Jednak moja laska to wciąż moja laska, dziewczyno!

Co w nią wstąpiło?, pomyślała Agnes, wpatrując się w czerwieniące się uszy kapłana. Tak działała Babcia, dodała Perdita. Być może myśli, że powinna nieść to brzemie, kiedy nie ma tu tego starego nietoperza?

Agnes wzdrygnęła się słysząc swoje myśli.

- Masz robić wszystko na naszą modłę, rozumiesz? – mówiła Niania.

- Ehem... Król wszystko mi wyjaśnił – powiedział kapłan. – Eee... czy ma pani coś na migrenę? Obawiam się, że...

- W jedną rączkę włożysz jej klucz, a drugą położysz na koronie – mówiła nieprzerwanym potokiem słów Niania Ogg.

- Tak, tak... eee... tak właśnie zrobię.

- A potem powiesz, jakie imię jej nadajesz i wymienisz imiona jej mamy i jej taty, coś tam pomruczysz, jeśli mama nie będzie pewna...

- Nianiu, przecież to królewskie prerogatywy!

- Ha! Mogłabym ciebie uczyć historii... a potem, słuchasz? A potem podasz mi ją... a ja też powiem jej imię i ją oddaję... A ty mówisz ludziom, jak brzmi jej imię i znowu podasz ją mnie, a ja oddam ją ojcu. A on wyniesie ją przed bramę i pokaże wszystkim. Ludzie rzucają w górę swoje kapelusze i krzykną „Hurra!!!” a potem *finito*, pakujesz kapelusz na głowę, wsiadasz na koń i *adios*... Spróbuj tylko tych gadek o grzechu, a wpakujesz się w tarapaty!

- A jaką rolę... eee... odgrywa pani, madam?

- Jestem jej Matką Chrzestną!

- Z ramienia jakiego... ehem... boga? – zapytał kapłan lekko drżącym głosem.

- To pradawny zwyczaj – wtrąciła pośpiesznie Agnes. – Coś podobnego do „matki chrzestnej”. Wszystko w porządku... my, czarownice jesteśmy zwolenniczkami tolerancji religijnej.

- Jasne – przyznała Niania Ogg – ale tylko względem właściwych religii... Więc uważaj!

Królewscy rodzice dotarli do tronów.

Magrat usiadła, posyłając Agnes - ku jej zdziwieniu - chytre mrugnięcie okiem.

Verence nie mrugnęła. Stała w miejscu i głośno chrząknęła. – Ehem!

- Mam tu gdzieś pastylkę – powiedziała Niania, szukając po kieszeniach.

⁹ W Lancre uważa się, że jakieś religijne formułki wypowiedane w dziwnym, niezrozumiałym języku żadną miarą nie mogą być szczere.

- Ehem! – oczy Verence'a powędrowały ku tronowi. Coś, co do tej pory wydawało się być szarą, zwiniętą poduszką, ziewnęło i posyłając Królowi krótkie spojrzenie, zaczęło się myć.

- Och, Greebo – zawołała Niania. – Jakże się tu dostałeś!?

- Czy mogłaby go pani zabrać, pani Ogg? – zapytał Król.

Agnes zerknęła na Magrat. Królowa chichotała przysłaniając dłonią usta.

Niania porwała kota z tronu.

- Kot może również patrzeć na Króla – powiedziała.

- Wydaje mi się, że nie w ten sposób – powiedział Verence, machając dobrodusznie zabranemu towarzystwu. W tym momencie zamkowy kurant oznajmił nadejście północy.

- Proszę zacząć, Wielebny.

- Eee... przygotowałem małe kazanie dotyczące... eee... nadziei... – zaczął Dość Wielebny Oats. Zza jego pleców dobiegło znaczące chrząkanie Niani a potem nagle lekko podskoczył. Mrugnął kilka razy a jego jabłko Adama skakało nerwowo z góry na dół. – Obawiam się jednak, że nie mamy na to czasu – dokończył pośpiesznie. Magrat nachyliła się do ucha męża. Agnes usłyszała, jak szepcze „Cóż, kochany, myślę, że powinniśmy zacząć, niezależnie od tego czy jest tutaj, czy nie...”.

Nadbiegł zziębnięty Shawn w przekrzywionej peruce, niosąc wielki zamkowy klucz, na wytartej aksamitnej poduszce. Millie Chillum ostrożnie podała dziecko kapłanowi, który – równie ostrożnie – wziął je na ręce. Królewska para była nieco zdziwiona, kiedy zaczął mówić, wielce się przy tym wahając. Za jego plecami Niania Ogg sprawiała wrażenie niesamowicie zainteresowanej jego słowami, co było w stu procentach udawane. Wydawało się też, że młody człowiek cierpi na częste skurcze.

- Zebraliśmy się tu wszyscy w imieniu... ehem... w imieniu nas wszystkich...

- Wszystko w porządku, Wielebny? – zapytał, nachylając się ku przodowi, Król.

- Zapewniam, sir, że nigdy nie czułem się lepiej – powiedział Oats niewyraźnie. - ...i nadaję ci imię... tobie... to znaczy...

Nastąpiła okropna, pełna napięcia przerwa. Przezroczyście niczym szkło kapłan wręczył dziecko Millie, po czym zdjął kapelusz i wydobyl z podszewki mały skrawek papieru. Przeczytał go kilkakrotnie, poruszając wargami, jakby mówił sam do siebie, następnie założył kapelusz na zalane potem czoło i ponownie wziął dziecko.

- Nadaję ci imię... Esmeralda Margaret Uwaga Na Pisownię z Lancre!

Na chwilę zapanowała szokująca cisza.

- Uwaga Na Pisownię?! – powiedziały razem Magrat i Agnes.

- Esmeralda? – zdziwiła się Niania.

Dziecko otworzyło oczy...

* * *

...drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Wybór. Zawsze był jakiś wybór.

Dawno temu żył w Spackle pewien człowiek, który zabił swe maleńkie dzieci. I ludzie posłali po nią. Wystarczyło, że na niego spojrzano a dostrzegła w jego umyśle winę, wijącą się niczym czerwony robak. Zaprowadziła ich na jego farmę i wskazała miejsce, gdzie powinni szukać. A on padł przed nią na kolana, błagając o litość, tłumacząc się, iż kiedy to uczynił był zupełnie pijany i w ogóle to wszystko wina wypitego alkoholu.

To, co wtenczas powiedziała, wracało do niej wielokrotnie. Powiedziała trzeźwo: *Będziesz wisiał!*

Zabrali go i powiesili na konopnym sznurze. Była przy tym, gdyż czuła się winna jego śmierci.

Przeklął ją – choć nie był godzien nawet tak czystej śmierci, jaką było powieszenie. Wieśniacy chcieli mu zgotować śmierć mniej godną, ale nikt nie ośmielił sprzeciwić się jej woli. A potem ujrzała cień Śmierci przychodzącego po niego a wraz z nim maleńkie, jaśniejące postaci. I wówczas...

Fotel skrzypiał, kołysząc się nieprzerwanie w tył i w przód.

Wieśniacy orzekli, że sprawiedliwości stało się zadość. I wtedy straciła cierpliwość i kazała im się wynosić się do domów. Później modliła się do wszelkich bogów, do których – jak uważała wcześniej – nigdy by się nie zwróciła. Tryumfująca maska cnoty wydawała się równie okropna, jak odkryta twarz nikczemności.

Zadrzała w myślach. Niemal tak samo okropna, jednak niezupełnie...

O dziwo, wielu wieśniaków przyszło na jego pogrzeb. A z żalobnego konduktu dobiegały nieliczne głosy, że... cóż, w sumie nie był takim złym facetem. A – kto wie? – może ona kazała mu się przyznać? I rzucali jej ponure spojrzenia.

Można wierzyć, że – wbrew temu wszystkiemu – istnieje sprawiedliwość? Dla niemal niezauważanego żebraka? Sprawiedliwość za każde złe słowo? Za każdy zlekceważony obowiązek? Za każdy mały... Za każdy wybór? To wszystko musi mieć jakiś sens, prawda? Trzeba było wybrać. Wybór mógł być słuszny, lub nie, ale trzeba było wybrać. Nawet wtedy, kiedy nic nie było wyraźne – ani dobro, ani zło. Nawet wówczas, kiedy istniał wybór tylko między mniejszym, czy większym złem.

I zawsze... Zawsze była samotna. Samotna na granicy, obserwując i słuchając. Nigdy nie płacząc, nie oczekując przeprosin i nie okazując skruchy. Kiedy było trzeba, poświęcało się wszystko.

Nigdy nie rozmawiała o tym z Nianią Ogg, ani z jakąkolwiek z czarownic. To był jej sekret. Niekiedy, późno w nocy, kiedy rozmowa niebezpiecznie zbliżała się do tych obszarów, Niania zaczynała śpiewać „Stary Scrivens zszedł w pokoju...”, co mogło oznaczać cokolwiek. Niania – o ile w ogóle się nad tym zastanawiała – nie dręczyła się tym nazbyt. Według niej niektóre rzeczy po prostu trzeba było zrobić i to wszystko. Na wszelkie podobne myśli zamykała się szczelnie, czego Babcia zawsze jej zazdrościła.

Kto przyszedłby na jej pogrzeb, gdyby umarła?

Nie zaprosili jej!

Powróciły wspomnienia. Wśród cieni tańczących poza kręgiem światła świec uformowały się kolejne postaci. Robiła kiedyś wiele rzeczy i była w wielu miejscach. Znała sposoby, by zawrócić znad granicy gniewu, które czasem zaskakiwały ją samą. Pokonałaby innych o wiele silniejszych od niej, jeśli tylko sprawiłaby, by w to uwierzyli. Poświęciła tak wiele, jednak wiele się nauczyła...

To był znak. Wiedziała, że stanie się to prędzej czy później... Osiągnęli wszystko, a teraz nie była im już potrzebna... Czy kiedykolwiek zyskała cokolwiek? Nagrodą za trud było jeszcze więcej trudu. Jeśli kopało się najlepsze rowy, dawali większą łopatę.

A w zamian dostawała nagie ściany i nagą podłogę tej zimnej chatki.

Mrok rozlewał się z kątów i zaczął wplatać się w jej włosy.

Nie zaprosili jej!

Nigdy, przenigdy nie prosiła o nic w zamian. W nie proszeniu o zapłatę najgorsze było to, że czasami się jej nie dostawało.

Zawsze próbowała podążać ku światłu. Zawsze. Jednak kiedy zbyt długo wpatrujesz się w blask, tonąc w jego blasku nie możesz oprzeć się w końcu pokusie, by obejrzeć się i spojrzeć, jak długi, gęsty i potężny stał się twój cień, podążający za tobą.

Ktoś wypowiedział jej imię.

Błysnęło światło. Rozległ się hałas. Nadeszło oszołomienie.

A potem zbudziła się i spojrzała w napływające ciemności. Dostrzegła wszystko czarno na białym.

* * *

- Wybaczcie... mieliśmy małe kłopoty na drodze, wiecie jak to jest...

Nowi goście pośpiesznie dołączyli do tłumu, który i tak nie poświęcił im nazbyt wiele uwagi. Ludzie skupieni byli na dodatkowym widowisku rozgrywającym się wokół tronów.

- Uwaga Na Pisownię?

- Zbyt skomplikowane, na mój gust – stwierdziła Niania. – Wystarczyłoby, po prostu, Esmeralda... Owszem, Gytha też było by dobre... Jednak Esmeralda to Esmeralda... Ale, dalej... Hm, dzieci bywają okrutne! Na pewno będą za nią wołały... „Panienska Pisowiennka” albo jakoś tak...

- Najważniejsze, żeby była szczęśliwa – powiedziała smutno Agnes.

- Skąd miałam wiedzieć, że to powie? – syknęła Magrat. – Chciałam tylko być pewna, że moje dziecko nie skończy z imieniem „Magrat”!

Dość wielebny Oats stał jak wmurowany z oczami wlepionymi w sufit i zaciśniętymi rękami. Co jakiś czas wydawał piskliwie dźwięki.

- Możemy to jeszcze zmienić? Powiedzcie mi, że możemy to zmienić! – dopytywał się Król Verence. – Gdzież się podział Królewski Historyk?

Shawn zakasłał. – To nie jest, co prawda, środowy wieczór... ale mogę pójść po właściwy kapelus, sire.

- Można to zmienić czy nie!? Mówże, człowieku!

- Eee... właściwie imię zostało już wypowiedziane, sir. W odpowiednim czasie. Sądzę, że w związku z tym, tak właśnie brzmi jej imię. Będę musiał to sprawdzić dokładnie... Wszyscy je słyszeli, sire.

- Nie! – odezwała się Niania, która będąc mamą Królewskiego Historyka, dysponowała wiedzą większą niż Królewski Historyk. – Nie można tego zmienić. Dla przykładu stary Muukrowa z Kromki...

- Co niby się mu stało? – zapytał ostro król.

- Jego pełne imię brzmi James Co Do Diaska Robi Tutaj Ta Krowa – wyjaśniła Magrat.

- Tak, to był bardzo dziwny dzień. Doskonale go pamiętam... – dodała Niania.

- Gdyby moja matka była na tyle rozsądna – usprawiedliwiała się Magrat – by poprawnie napisać moje imię Bratu Peredore, moje życie byłoby zupełnie inne! Pewnie gorsze – dodała, posyłając Verence’owi nerwowe spojrzenie.

- Zatem mam, tak po prostu pokazać Esmeraldę jej poddanym i powiedzieć im, że drugie imię ich przyszłej królowej brzmi... Uwaga Na Pisownię? – spytał Verence.

- Cóż, mieliśmy kiedyś króla, co zwał się Na Bogów Jaki Ciężki I – wszy. – powiedziała Niania. – I tak czekają już dobre kilka godzin na obiecane piwo, więc będą w doskonałym nastroju, tak czy siak. I będzie im wszystko jedno, co powiesz.

Poza tym, myślała Agnes, słyszałam o ludziach, którzy nazywali się Syfiliada Wilson, Jodełka Lightley a nawet Absoluta Biszkopt.¹⁰

Verence uśmiechnął się – Cóż, skoro tak... możecie mi ją podać?

- Whip – powiedział Wielebny Oats.

- ...a jemu niech ktoś poda coś do picia.

- Tak mi... tak bardzo... tak mi strasznie przykro – szepnął duchowny, kiedy Król przechodził między rzędami gości.

- No, mam nadzieję, że teraz podadzą coś do picia – powiedziała wesoło Niania.

¹⁰ Działo się tak dlatego, że mieszkańcy Lancre mieli pewien dziwny, nowatorski zwyczaj nadawania imion – wykorzystywali po prostu najbardziej lubiane dźwięki. Czasami – dziwnym zbiegiem okoliczności – miało to sens. Było tak w przypadku Płaszczówny Tkacz, która do dzisiaj borykała by się z tym imieniem, gdyby jej matka nie uznała, że imię Sally jest łatwiejsze do wymówienia.

- Nigdy w życiu nie piłem alkoholu – zachnął się kapłan, wycierając mokre od łez oczy.

- Od pierwszego spojrzenia domyśliłam się, że z tobą coś nie gra – stwierdziła Niania. – Gdzież, u licha, podziała się Esme!?

- Nie wiem, Nianiu – odpowiedziała Agnes.

- Musiała się dowiedzieć... wspomnisz moje słowa! To jak pióro na czubku jej kapelusza! Księżniczka nosząca jej imię! Będzie o tym krakała przez miesiące! Idę się rozejrzeć... – powiedziała Niania, po czym oddaliła się.

- Niech pan idzie za mną – powiedziała Agnes, wzdychając.

- Nie wiem, czy dam radę... eee... wyrazić, jak bardzo nad tym ubolewam...

- To bardzo dziwny wieczór. Wszystko staje na głowie.

- Ja... Ja... Nigdy wcześniej nie słyszałem o podobnych obyczajach.

- Miejscowi ludzie przykładali kiedyś dużą wagę do słów.

- Obawiam się, że Król wyśle... wyśle niepochlebny raport dotyczący mojej osoby... do Brata Melchio...

- Nie sądzę.

Istnieją ludzie, którzy potrafią nawet u najbardziej łagodnej owieczki wywołać brutalne reakcje i ten duchowny zdawał się być jednym z nich. Było w nim coś przygnębiającego. Jakiś rodzaj bezradnej desperacji, która budziła w ludziach raczej agresję, niż miłosierdzie. Wydawało się, że gdyby cały świat bawił się na wielkim przyjęciu, on wciąż lądowałby w toalecie.

Wyglądało na to, że jest na niego skazana. Większość VIP-ów całkowicie zakorkowała otwarte wrota a dochodzące stamtąd wiwaty sugerowały, że lud uznał imię Uwaga Na Pisownię za imię całkiem miłe, jak na przyszlą królową Lancre.

- Powinien pan po prostu gdzieś usiąść i spróbować się uspokoić – powiedziała. – Później może pan potańczyć.

- Ach, ale ja nie tańczę – powiedział Wielebny Oats. – Taniec jest pułapką dla słabych duchem.

- Aha... W takim razie na zewnątrz można spróbować pysznej pieczeni...

Wielebny ponownie przetarł oczy. – Może ryba?

- Nie sądzę.

- W tym miesiącu jadamy tylko ryby – wyjaśnił Oats.

- Aha – jej pełen dystansu ton zdawał się nie pomagać. Wielebny wciąż chciał rozmawiać.

- To z powodu Proroka Bruthy – mówił dalej Oats. – Kiedy wędrował przez pustynię, nie jadł mięsa.

- Ani kawałka przez czterdzieści dni?

- Nie rozumiem?

- Przepraszam, coś mi się obilo o uszy. – Agnes zasądziła wyrok w sporze między zdrowym rozsądkiem a ciekawością na rzecz ciekawości – Jakie mięso można znaleźć na pustyni?

- Hm, wydaje mi się, że żadnego.

- Więc w sumie nie miał wielkiego wyboru, prawda? – stwierdziła Agnes obserwując zgromadzony tłum. Nikt nie przejawiał ochoty włączenia się do tej małej dyskusji.

- Hm... musiałaby pani zapytać Brata Melchio. – powiedział Oats. – Boże, tak mi przykro... I do tego ta migrena.

Nie wierzysz we wszystko, co mówisz, pomyślała Agnes. Promieniowała z niego jakaś niepewność i wielkie zdenerwowanie. *Jest jak mały wilgotny robak*, dodała Perdita.

- Pora na mnie... i... powinnam pójść pomóc królowej – powiedziała młoda czarownica, wycofując się. Skinął jej głową. A kiedy odeszła ponownie wytarł nos. Potem

wydobył z kieszeni małą czarną książeczkę, westchnął i otworzył ją w miejscu zaznaczonym zakładką.

Wzięła tacę, by nadać sens swojemu alibi. Skierowała się do stołu z jedzeniem, a potem odwróciła się i... wpadła na postać, która nagle znalazła się w miejscu, gdzie przed momentem nie było nikogo.

- Kimże jest ta miła osóbką – zaszeptał głos przy jej uchu. Agnes usłyszała, jak Perdita wyzywa ją w duchu, za jej gwałtowne ruchy, ale szybko się opanowała i uśmiechnęła się nieporadnie.

Był to młodzieniec. I do tego bardzo atrakcyjny. Atrakcyjni młodzieńcy stanowili w Lancre zdecydowaną mniejszość. W tych stronach uznawano polizanie dłoni i przyglądanie nią włosów, przed spotkaniem z dziewczyną za wystarczająco szpanerskie.

Ma kucyka, pisnęła Perdita. To jest teraz „chłodne”.

Agnes poczuła, jak rumieniec zaczyna swój nieunikniony bieg z okolic kolan ku górnym partiom jej ciała.

- Ehem... przepraszam? – bąknęła.

- Czuję od ciebie jego zapach – powiedział młodzieniec, wskazując głową załamanego kapłana. – Nie uważasz, że przypomina małą, brudną wronę?

- Eee... chyba tak – powiedziała Agnes, starając się nad sobą zapanować. Rumieniec opanował krągłości jej biustu, zalewając go czerwoną, wzbierającą wciąż falą. Młodzieniec z kucykiem był niespotykanym w Lancre zjawiskiem. Nawet krój jego ubrania sugerował, że spędzał czas w miejscu, gdzie moda wciąż rodziła się i umierała. Nikt w Lancre nie nosił kamizelki zdobionej haftem w pawie oczka.

Odezwij się do niego!, wrzeszczała w jej głowie Perdia.

- Wstfgl?!- powiedziała Agnes. Za nią Wielebny Oats podejrzliwie przyglądał się jedzeniu.

- Słucham?

Agnes przełknęła ślinę, po części z tego powodu, że Perdita próbowała ją udusić.

- Wygląda na bardzo zakłopotanego – powiedziała. Och, tylko nie zmuszaj mnie do chichotu, dodała w duchu.

Młodzieniec strzelił palcami. Kelner nagle odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni.

- Czy mogę zaproponować pani drinka, panno Nitt?

- Eee... białe wino? – szepnęła Agnes.

- Nie, nie chcesz białego wina. Czerwień to o wiele przyjemniejsza barwa – powiedział podając jej kieliszek. – Cóż robi nasza ofiara? Och, nakłada sobie biszkopcików.

Zapytaj go o imię, wrzasnęła Perdita. Nie, to on powinien spytać pierwszy, odpowiedziała w myślach Agnes. *Łudzisz się, że to robi, głupia niedołęgo?*, krzyczała Perdita.

- Pozwolisz, że się przedstawię. Jestem Vlad – powiedział uprzejmie. – Ach, a teraz zajął się krewetkami... Krewetki? W górach? Widzę, że Król nie żałował żadnych kosztów.

- Sprowadził je tutaj zamrożone w lodzie, aż z Genoi – wymamrotała Agnes.

- Tak... przyrządzają tam wyśmienite owoce morza – przyznał Vlad.

- Nigdy tam nie byłam – wykrztusiła Agnes. Wewnątrz jej umysłu, Perdita położyła się i rozplakała.

- Kto wie? Może kiedyś odwiedzimy Genoę – powiedział Vlad.

Rumieniec wezbrał w okolicy szyi Agnes.

- Nie uważasz, że trochę tu gorąco? – zapytał młodzieniec.

- To przez ogień – wyjaśniła Agnes – O spójrz – dodała skinąwszy głowę w kierunku płonącemu w ogniu kominka stosowi drzewa. Tylko człowiek z wiadrem na głowie mógłby tego nie spostrzec.

- Moja siostra i ja chcielibyśmy... – zaczął Vlad.

- Przepraszam, panienko Nitt?

- O co chodzi, Shawn? – *A niech cię demony porwą, Shawnie Ogg*, przeklęła Perdita.

- Mama prosiła, aby panienka pośpieszyła... no, żeby panienka do niej przyszła w te pędy. Czeka na dziecińcu. Mówi, że to ważne.

- To zawsze jest ważne – mruknęła Agnes. – Przepraszam. Muszę pójść i pomóc starszej pani – powiedziała, posyłając Vladowi szybki uśmiech.

- Jestem pewien, że się jeszcze spotkamy, Agnes – powiedział Vlad.

- Ach... tak. Dziękuję.

Wyszła pośpiesznie. Była już w połowie drogi, kiedy uzmysłowiła sobie, że nie podawała mu imienia. Dwa kroki później pomyślała: cóż, mógł kogoś zapytać. Dwa kroki dalej Perdita powiedziała: Z jakiego powodu miałby kogoś pytać, jak masz na imię? Agnes przeklęła wszystkie te dni, kiedy dorastała z swym niewidzialnym wrogiem.

- Chodźże tu! Tylko na to popatrz! – syknęła Niania, ciągnąc ją za rękę ku powozom zaparkowanym nieopodal stajni. Niania wskazała palcem drzwiczki najbliższego z nich.

- Widzisz to? – zapytała.

- Wygląda dość imponująco – stwierdziła Agnes.

- Poznajesz ten herb?

- Na moje oko to... para czarno-białych ptaków. Sroki?

- Aha! A teraz przeczytaj ten napis – powiedziała Niania Ogg posepnym tonem, które starsze panie rezerwują dla szczególnie złowieszczych spraw.

- *Carpe Jugulum* – przeczytała Agnes na głos. – To znaczy... Coś w stylu „*Carpe Diem*”? Chwytaj dzień, tak?

- „Chwytaj Gardło” – dodała Niania. – Nasz beznadziejny król gada, że mamy grać w jakimś przedstawieniu o Nowym Porządku Świata i takich tam! Wiesz, kiedy Klatch dostaje po nosie to Ankh-Morpork zalewa się krwią, czy jakoś tak. A teraz zaprosił wszystkie te szychy, nawet z Uberwaldu! Olaboga! Olaboga! Wampiry i wilkołaki! Wilkołaki i wampiry! Pomordują nas w naszych własnych łózkach!

Zbliżyła się do przodu powozu i zastukała w drewno obok skulonego stangreta w ogromnym płaszczu. – Skąd jesteś, Igor?

Ukryta w cieniu postać odwróciła się.

- Skąd wief, że mam na imię, Igof?

- Strzelałam. – powiedziała Niania.

- Myślif, że jak jestem z Ubefwaldu, mufę nazyfać się Igof, tak? Mogę nazyfać się zufełnie inafej, kofieto!

- Aha. Ja jeftem Niania Ogg a to jeft... Przepraszam. To jest Agnes Nitt. Z kim mamy przyjemność?

- Nazywam się... cóf... iftotnie nazyfam się Igof – powiedział Igor pośpiesznie unosząc palec – Jefnak mogfo bfmieć zufełnie inafej!

- To taka zimna noc, Igorze – powiedziała pogodnie Niania. – Może przynieść ci coś, co by cię rozgrzało?

- Może koc? – zapytała Agnes. Niania Ogg uciszyła ją kuksańcem w zębra.

- Może szklaneczkę wina? – zapytała.

- Nie pijam... wina – odpowiedział wyniośle Igor.

- Mam tu ciupkę brandy – powiedziała Niania, zadzierając spódnice.

- Och, bfandy nie odmófię.

Z ciemności dobiegło brzdąknięcie naciąganej gumki od półczoch.

- Proszę – powiedziała Niania, podając mu piersiówkę. – A cóż porabiasz tak daleko do domu, Igorze?

- A co fobił na mofcie ten głufi tfoll? – zapytał Igor sięgając wielką, pokrytą masą szwów i blizn dłonią po butelkę.

- To Wielki Jim Wołowina. Król pozwolił mu mieszkać pod mostem, a on w zamian udaje celnika, kiedy mają przyjechać jacyś goście.

- Fołofina to dzifne imię dla tfolla.

- Lubi jego brzmienie – wyjaśniła Niania. – Wydaje mi się, że to tak samo, kiedy jakiś człowiek nazywa się Rocky. Swoją drogą znałam kiedyś jednego Igora. Właśnie z Uberwaldu. Miał jedno oko wyżej, a drugie niżej. I mówił podobnie. A poza tym, też miał tęgą głowę.

- Zufelnie jakfym fidział mojego stfyjka, Igofa! – powiedział Igor. – Pfacował kiedyś dla falonego doktora w Blinz. Ha! To był frawdziwy falony doktor! Nie taki, jak ci dzifiejsi faleni doftorkofie. I ci ich sfudzy! Żenada! Żadnych fowodów do dumy! – mówił, uderzając butelką dla dodania wagi swoim słowom. – Jak stfyjek Igor był poślany po mófg jakiegoś genufa, to zafsze pfynosił cholernie dobry mófg! Nie jakif wygrzefany z ziemi albo pomyłony mófg z tych „Idealnie Obfąkanych”, jak to foblili niektófy. Myfleli, że nikt fię nie fozna!/? Tak, on był rzetelnym flugą!

Niania cofnęła się o krok. Była to jedyna rozsądna metoda podtrzymania rozmowy z Igorem. Chyba, że miało się parasol.

- Wydaje mi się, że mówimy o tym samym facecie – powiedziała. – Czy to nie on zszywał wieśniaków z martwych kawałków?

- Nie?! Naprawdę? – powiedziała wstrząśnięta Agnes. – Auć!

- To pfawda. Cof nie w pořądku?

- Nie, mnie się to wydaje całkiem rozsądne – powiedziała Niania, zdejmując stopę z palców Agnes. – Moja mama była specjalistką w zszywaniu prześcieradeł ze starych szmatek a ludzie są przecież więcej warci niż płótno, prawda? Teraz ty mu służysz, Igorze?

- Nie, mój stfyjek Igor wciąż jefcze dla niego fracuje. Oberfał już chyba z tfysta fazy piofunem... a wciąż fracuje w pefnym fymiarze godzin! Nafet nocami!

- Łyknij sobie jeszcze kropelkę brandy. Jest tu diablo zimno – zachęcała go Niania. – W takim razie dla kogo teraz pracujesz, Igorze? Kto jest twoim Mistrzem?

- Nazyfasz go Mistfem!/? – powiedział Igor z jadem w głosie. – Eh! Stafy Hfabia był dzentelmenem ze stafej fkoły! Fiedział, jak to fszystko fowinno fyglądać! Odpofiedni stfój wieczorofy na kafdą okafię!

- Strój wieczorowy, tak? – mruknęła Niania.

- Ofszem! Nofił go, co frawda wieczorami... A refbę czafu sfędział w długim fłaszczu z fantazyjnym kofnierzem z kofonki! A wief, co frobili oni?

- Cóż takiego?

- Naolifili zafiasy – zachnął się Igor, biorąc wielki haust wyjątkowej brandy Niani. – Pfez fiele fieków ufażano okrofne frzaski za fłaściwe! A tefaz sfyszę: „Igoł, pořbądź się tył okrofnych fajaków z lochów” albo „Igoł, zamół jakieś nofmalne lampy olifne. Te migofące fochodnie gafną po kilku minufach!”. Czy takie miejfce mofe fyglądać na stafodawne? Co z kontynuofaniem fampirzycyf tfadycyf? Jakfe tak!/? Miefkając w jakimś famku na fadupiu, mogę ofekiwać odpofiednich frzasków, skfypienia drzwi i offobiny facunku dla dafnego sfciata, pfawda?

- Oczywiście. I sypialni w wielkim balkonem – dodała Niania.

- Otół to!

- I falujących zasłon w oknach!

- Nief to demony, facja!

- I prawdziwych kapiących świec?

- Of, całe fiefki koftowało mnie, by je odpofiednio fytopić. Nikt inny, oczyfście się o to nie zatfoszczy!

- Zawsze powtarzam, że najważniejsze są szczegóły – poparła go Niania. – Tak, tak...
Więc nasz król zaprosił wampiry?

Rozległo się głucho uderzenie, gdy Igor wylądował na plecach i metaliczny dźwięk spadającej na bruk piersiówki. Niania podniosła ją i starannie ukryła, gdzieś w swoich zakamarkach.

- Trzeba przyznać, że ma mocną głowę – zauważyła. Niewielu ludzi wytrzymało tak długo, po skosztowaniu domowej roboty brandy Niani Ogg. Było to praktycznie niemożliwe. Kiedy trunek dotykał ust, zmieniał się w gryzący dym. Kosztowało się go przez zatoki.

- Co teraz zrobimy? – zapytała Agnes.

- Co zrobimy? Król ich zaprosił. To jego goście. – powiedziała Niania. – Jak go o to zapytam, powie że bym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Oczywiście ujmie to nieco grzeczniej – dodała, ponieważ wiedziała doskonale, że Król nie przejawiał skłonności samobójczych. – Pewnie użyje kilka razy słowa „szacunek”. W sumie i tak wyjdzie na to samo.

- Jednak wampiry... co na to Babcia?

- Posłuchaj, dziewczyno... Jutro będą już przeszłością. Właściwie już dzisiaj. Wystarczy, że będziemy miały ich na oku a potem pomachamy im na do widzenia.

- Nie wiemy nawet, jak wyglądają!

Niania popatrzała na leżącego Igora.

- Może powinnam była go najpierw zapytać – stwierdziła ponuro, ale po chwili dodała pogodnie – Są inne sposoby, żeby ich znaleźć. Wie to każdy, kto słyszał cokolwiek o wampirach...

Rzeczywiście, ludzie wiedzą wiele o wampirach, ale z reguły nie uwzględniają faktu, że wiedzą to również wampiry.

* * *

Zamkowy hol rozbrzmiewał gwarem rozmów. Tłum cisnął się wokół bufetu. Niania i Agnes nakładały jedzenie.

- Ma ktoś ochotę na koreczki? – pytała Niania przepychając się z tacą w kierunku podejrzanie wyglądającej grupy.

- Słucham? A, kanapki – zauważył ktoś, sięgając po jedną. Wsadził ją do ust i nie zwracając dalej uwagi odwrócił się w kierunku swoich rozmówców - ... więc mówię jego lordowskiej mości... Aghrr! Co to ma być, na litość bogów!?

Odwrócił się gwałtownie napotykać utkwiony w sobie wzrok starszej pani w szpiczastym kapeluszu.

- O co chodzi? – zapytała niewinnie.

- Tu... w tym jest pełno czosnku!

- Nie lubimy czosnku, co? – zapytała surowo Niania.

- Uwielbiam czosnek... ale to przechodzi ludzkie pojęcie! To nie jest doprawione czosnkiem! To składa się w całości z czosnku, moja droga kobieto!

Niania przyjrzała się tacy z teatralną krótkowzrocznością.

- Niemożliwe... tak trochę tego jest... wasza miłość ma rację... Troszeczkę przesadziliśmy. Teraz po prostu pójdę i... przyniosę coś... Tak, pójdę i przyniosę coś.

Przy wejściu do kuchni zderzyła się z Agnes. Obie tace upadły na podłogę, która pokryła się czosnkiem *vol-au-vents*, sosem czosnkowym, czosnkiem faszerowanym czosnkiem i małymi koreczkami czosnku na patyczkach powbijanych w główki czosnku.

- Albo robimy coś nie tak, albo są tu same wampiry – stwierdziła stanowczo Agnes.

- Wciąż powtarzam, że czosnku nigdy za wiele – mruknęła Niania.

- Wszyscy są innego zdania, Nianiu.

- Cóż, co teraz? Ach... każdy wampir nosi strój wieczorowy...

- Każdy tutaj nosi strój wieczorowy, Nianiu. Poza nami.

Niania przyjrzała się swojemu ubraniu – Zawsze noszę tę sukienkę wieczorami.

- Podobno wampiry nie mają lustrzanego odbicia? – zauważyła Agnes.

Niania strzeliła palcami – Doskonały pomysł! – powiedziała. – Jest jedno w toalecie. Tak, pójdę tam i będę pilnowała. Prędzej czy później każdy będzie musiał tam się udać.

- A jeśli przejdzie normalny człowiek.

- Och, nie mam nic przeciwko – powiedziała spokojnie Niania. – Nie będę skrepowana.

- Myślę, że oni mogą czuć się skrepowani – powiedziała Agnes, z trudem powstrzymując się od śmiechu, kiedy w jej umyśle pojawił się obraz Niani, siedzącej w toalecie. Niania była miłą osobą, ale istniały sytuacje, kiedy nikt nie chciałby, żeby na niego patrzyła z tym swoim uśmiechem na twarzy.

- Musimy coś zrobić. Co pomyślałaby o nas Babcia, gdyby się zjawiała – lamentowała Niania.

- Możemy po prostu zapytać – odpowiedziała Agnes.

- Jak? „Kto jest wampirycznego usposobienia niech podniesie rękę”?

- Drogie Panie?

Odwróciły się. Młodzieniec, który przedstawił się jako Vlad stał za nimi. Agnes załapała się rumieńcem.

- Zdaje się, że wspominałyście coś o wampirach – powiedział, sięgając po czosnkowy pasztecik i zjadając go z wyraźnym zadowoleniem. – Czy mogę w czymś pomóc?

Niania zmierzyła go wzrokiem.

- Ile o nich wiesz?

- Cóż, jestem jednym z nich – powiedział. – Więc wydaje mi się, że odpowiedź brzmi: wszystko. Jestem zachwycony spotkaniem z panią, pani Ogg. – uklonił się, sięgając po jej dłoń.

- Ani się waż! – warknęła czarownica, cofając rękę. – Nie bratam się z pijawkami!

- Domyślam się. Jednak nadejdzie taki czas, że będzie pani musiała. A może chciałaby pani poznać resztę rodziny?

- Każ im się chromolić! Co też Król sobie wyobrażał!?

- Nianiu!

- O co chodzi?

- Nie musisz podnosić głosu. To trochę... niegrzeczne!

- Vlad de Srokacz – przedstawił się Vlad, pochylając głowę. – Do usług.

- Chce ugryźć mnie w szyję! – wrzasnęła Niania.

- Ależ skąd! – powiedział Vlad. – Dopiero co skosztowaliśmy jakiegoś zbójcy. A pani Ogg to posiłek, którym wypada się delektować. Macie więcej tych czosnkowych delicji? Są bezwzględnie pikantne!

- Że co?! – zdziwiła się Niania.

- Zabiłeś kogoś... i mówisz o tym tak zwyczajnie? – wyjąkała Agnes.

- Oczywiście, przecież jestem wampirem – odrzekł Vlad bez cienia emocji – Czy raczej, jak wolimy by o nas mówiono, *vampyrem*. Przez „y”. To brzmi nowocześniej. A teraz zapraszam panie na spotkanie z ojcem.

- Przecież to morderstwo!?! – wciąż niedowierzała Agnes.

- Tak, tacy właśnie są! – warknęła Niania, oddalając się pewnym krokiem. – Zaraz pójdę po Shawna i wrócimy tu z wielkim, ostrym...

Vlad chrząknął cicho i nagle Niania stanęła, jak wryta.

- Ludzie wiedzą wiele o wampirach – powiedział. – Miedzy innymi to, że możemy przejąć kontrolę nad umysłami mniej rozgarniętych stworzeń. A teraz, moje drogie panie, zapomnijcie o wampirach. To rozkaz. I chodźmy na spotkanie z moją rodziną.

Agnes zamruła. Była świadoma, że coś się stało... Czowała, jak skrawki obcych myśli przenikają jej umysł.

- Wydaje się być miłym młodzieńcem – powiedziała Niania, lekko stłumionym głosem.

- Jak... jak... on... – mamrotała Agnes. Coś pojawiło się w jej głowie. Niczym wiadomość w butelce spisana w jakimś nieznanym języku. Nie mogła jej odczytać, chociaż się starała.

- Chciałabym, żeby była z nami Babcia – powiedziała w końcu. – Wiedziałyby, co zrobić.

- Z czym? – zapytała Niani. – Ona nie nadaje się na przyjęcia.

- Czuję się jakoś... dziwnie. – powiedziała Agnes.

- Ach, jesteś pewnie lekko podchmielona – stwierdziła autorytatywnie Niania.

- Przecież nie piłam.

- Na pewno? Więc nie ma problemu. Chodźmy!

Pospieszły do holu. Mimo, że było już dobrze po północy poziom hałasu zbliżał się do progu bólu. Kiedy północ zaczyna się z odpowiednio dużym kielichem, granica zabawy zostaje automatycznie przesunięta o kilka dobrych godzin.

Vlad posłał im ponaglącą falę i skinął głową w kierunku grupy ludzi zebranej wokół Króla Verence'a.

- Ach, Agnes i Niania – powiedział Król. – Hrabio, pozwolisz że przedstawię...

- Gythę Ogg i pannę Agnes Nitt – dokończył człowiek, do którego zwracał się Król. Skłonił się dystyngownie. Gdzieś w głębi umysłu, Agnes spodziewała się zobaczyć człowieka z fantazyjną fryzurą ubranego w operowy płaszcz. Nie mogła zrozumieć dlaczego.

Człowiek ów wyglądał, jak... cóż jak dżentelmen mający dość środków do życia, by nie kłopotać się o pracę. Jak ktoś o umyśle badacza. Jak ktoś, kto chadza na długie poranne spacerki a popołudnie spędza doskonaląc swój umysł w własnej, prywatnej bibliotece albo robiąc ciekawe eksperymenty na warzywach, i nigdy nie martwi się o pieniądze. Promieniował od niego jakiś dziwny entuzjazm, który pojawia się po przeczytaniu interesującej książki, tak że chce się o opowiedzieć o niej wszystkim dookoła.

- Panie pozwolą... Oto Hrabina De Srokacz – powiedział. – A to są czarownice, o których tak wiele tobie opowiadałem, moja droga. Widzę, że poznała już pani mojego syna. A oto moja córka, Lacrimosa.

Agnes napotkała wzrok chudej ubranej w białą suknię dziewczyny, o długich czarnych włosach i stanowczo zbyt silnym makijażem pod oczami. Jej oczy epatowały nienawiścią od pierwszego spojrzenia.

- Hrabia właśnie przedstawił mi swój plan zajęcia zamku i przejęcia władzy w kraju – powiedział spokojnie Verence. – Uważam, że będzie to dla nas olbrzymi zaszczyt.

- W takim razie – powiedziała Niania – jeśli nie macie nic przeciwko... Nie chciałabym stracić występu tego człowieka z łasicą...

- Najgorsze jest to, że ludzie postrzegają nas przez pryzmat naszej odmiennej diety – powiedział Hrabia, kiedy Niania oddaliła się w pośpiechu. – To naprawdę krzywdzące. Przecież spożywacie mięso zwierząt i rośliny, ale definiuje to was z niewielkim stopniem, nieprawdą?

Twarz Verence'a wykrzywiła się w niewyraźnym i nierealnym uśmiechu.

- Mimo wszystko pijecie przecież ludzką krew? – powiedział.

- Owszem. Czasem zabijamy ludzi, chociaż zdarza się to ostatnio coraz rzadziej. Doprawdy, ciężko pojąć w czym tkwi sedno problemu? Zwykła zależność – myśliwy i zwierzyna, zwierzyna i myśliwy. Owca została stworzona by być obiadem dla wilka, a wilk zapobiega nadmiernemu przyrostowi owiec. Kiedy przyjrzesz się swoim zębom, wasza łaskawość, stwierdzisz że i one zostały zaprojektowane dla charakterystycznego rodzaju diety. Także twoje całe ciało jest zbudowane, by z tego korzystać. Z nami jest podobnie. Czy orzechy albo kapusta winią cię za to, że je zjadasz? Myśliwy i zwierzyna to tylko część wielkiego cyklu życia.

- Fascynujące! – powiedział Verence. Małe kropelki potu spływały po jego twarzy.

- Naturalnie w Uberwaldzie wszyscy rozumieją to instynktownie – rzekła Hrabina. – Tamto miejsce jest jednak nieco zacofane dla naszych dzieci. Idziemy naprzód... jak w Lancre.

- Rad jestem to słyszeć – rzekł Verence.

- To miły gest, wasza łaskawość, że nas pan zaprosił – mówiła dalej Hrabina. – W przeciwnym wypadku nie moglibyśmy tu przyjechać.

- Och, niezupełnie – dodał Hrabia, posyłając żonie promienny uśmiech. – Niemożność zjawiania się nieproszonym jest symbolem czegoś trwałego. Musi być to związane z pradawnymi instynktami terytorialnymi. Jednak – dodał pogodnie – pracuję nad nową techniką i być może... Za kilka lat...

- Och, nie zaczynaj znów tych nudnych wykładów – jęknęła Lacrimosa.

- Tak, oczywiście. Nie chciałbym zanudzać, waszej wysokości – powiedział Hrabia, uśmiechając się życzliwie do córki. – Czy dostanę więcej tego cudownego sosu czosnkowego?

Król wciąż wygląda na zaniepokojonego, zauważyła Agnes. Było to dziwne, gdyż Hrabia i jego rodzina sprawiali wrażenie absolutnie czarujących, a wszystko, co mówili miało wiele sensu. Wszystko było w najlepszym porządku.

- To prawda – zgodził się Vlad, który nagle zjawił się tuż obok niej. – Zaszczyci mnie pani tańcem, panienko Nitt? – Po przeciwnej stronie sali, łomotała - bliżej nieokreśloną kanonadą dźwięków - Mała Orkiestra Symfoniczna z Lancre (pod batutą Shawna Ogga).

- Eee... – wydusiła z siebie młoda wiedźma, z trudem opanowując chichotanie. – Nie wiem, doprawdy... Nie tańczę za dobrze...

Nie słyszałaś, co powiedzieli? To wampiry!

- Cicho bądź! – powiedziała na głos.

- Co proszę? – zapytał zaintrygowany Vlad.

- Cóż... To nie jest najlepsza orkiestra.

Na nic nie zwracasz uwagi!? Mimo tego wszystkiego, co mówili, ty beużyteczna bryło!

- To wręcz okropna orkiestra – przyznał Vlad.

- Cóż, Król kupił instrumenty dopiero w zeszłym miesiącu. W zasadzie to ich pierwsza, wspólna próba.

On cię kontroluje! wrzasnęła Perdita. Powinnaś zrobić mu czosnkową lewatywę!

- Jestem nieco... osłabiona przez to całe zamieszanie – wymruczała Agnes. – Powinnam pójść do domu. – Jakiś instynkt z poziomu szpiku kości sprawił, że dodała – Poproszę Nianię, żeby mnie odprowadziła.

Vlad posłał jej zdziwione spojrzenia, tak jakby zupełnie nie spodziewał się takiej reakcji. A potem uśmiechnął się. Agnes spostrzegła, że miał wyjątkowo białe zęby.

- Nie spodziewałem się spotkać kogoś takiego, jak pani, panno Nitt – stwierdził dwornie. – Ma pani w sobie coś...

To ja! Mówi o mnie! – wydzierała się Perdita. – Nie może mnie kontrolować! A teraz pozwolisz, że sobie pójdziemy!?

- Mam nadzieję na rychłe spotkanie – dodał.

Agnes skinęła a potem odeszła, trzymając się za głowę. Czuła jakby w środku nie miała nic poza kłębkami waty, w której – w niewyjaśnionych okolicznościach – tkwiła igła. Minęła Wielebnego Oats'a, który upuścił swoją książeczkę na podłogę i teraz siedział, jęcząc utrzymawszy głowę wspartą na rękach. Podniósł na nią wzrok.

- Eee... czy nie ma czegoś panienka... Czegoś, co pomogłoby mojej głowie – spytał. – To naprawdę... bardzo boli.

- Królowa opracowała jakieś pigułki od bólu głowy. Z kory wierzby – wysapała Agnes i popędziła dalej.

Niania Ogg stała przygnębiona, dzierząc w dłoni kufel piwa. Było to dotychczas niespotykane połączenie.

- Facet z łasicą nie przyjechał – powiedziała ponuro. – Będę musiała rzucić na niego jakiś urok. Będzie to dla niego koniec kariery w *showbusinessie*. Bynajmniej w tych stronach.

- Nianiu... chciałabym, żebyś odprowadziła mnie do domu. Proszę?

- Eh, co z tego, że będzie spalony tutaj, skoro i tak jest mnóstwo obcych stron, gdzie może występować? Ej, dobrze się czujesz?

- Czuje się wyjątkowo podle, Nianiu.

- Więc, chodźmy. Dobre piwo i tak się skończyło, więc nic mnie ty nie trzyma. W każdym razie, nie ma tu już nic zabawnego.

Kiedy wracały, wiatr gwizdał ponad nimi. W sumie wiatru zdawało się być o wiele mniej, niżby wskazywały na to owo pogwizdywanie. Bezlistne drzewa skrzypiały, kiedy się mijały a nikłe światło księżyca wypełniło gęsty las złowieszczymi cieniami. Zaczęły się gromadzić chmury, a po chwili spadł rzęsiasty deszcz. Agnes dostrzegła, że Niania podnosi coś, kiedy tylko opuściły miasto. Był to kij. Nigdy wcześniej nie widziała czarownicy, noszącej kij.

- A to po co, Nianiu?

- Co? Ach... Naprawdę nie wiem. To wyjątkowo hałaśliwa noc, nie sądzisz?

- Jednak nigdy nie bałaś się niczego w Lanc...

Coś przedzierało się przez gęstwinę a potem załomotało na drodze przed nimi. Przez moment wydawało się Agnes, że to tętent koni, a potem zobaczyło to w świetle księżyca. Kiedy ich spostrzegł, zniknął w mroku po drugiej stronie drogi.

- Dawno żadnego nie widziałam – stwierdziła Niania.

- A ja widywałam centaury tylko na obrazach – powiedziała Agnes.

- Na pewno pochodzi z Uberwaldu – rzekła Niania. – Miło było go znowu zobaczyć.

Kiedy dotarły do chatki, Agnes pośpiesznie zasunęła sztaby w drzwiach i zapaliła świece.

- Usiądź wreszcie – powiedziała Niania. – Wypiję może filiżankę wody. Doskonale znam drogę do siebie.

- Wszystko w porządku, ja...

Lewa dłoń Agnes drgnęła. Ku jej zgrozie, dłoń zaczęła samowolnie podnosić się i opadać, a potem machać przed jej twarzą, zupełnie bez udziału jej woli.

- Wydaje mi się, że masz gorączkę – powiedziała z wahaniem Niania.

- Muszę napić się wody! – wysapała Agnes.

Popędziła do kuchni, zaciskając prawą dłoń na nadgarstku lewej. A potem dłoń wyrwała się na wolność i chwyciła nóż z suszarki, wbiła go w ścianę, ryjąc nim, aż na kruszącym się tynku pojawiły się prymitywne litery: VMPIR.

Nóż wypadł z jej samowolnej dłoni a ta chwyciła jej włosy i przyciągnęła jej twarz o cal od napisu.

- Wszystko z tobą w porządku – zawołała Niania z pokoju.
- Eee... Tak, ale myślę, że próbuję do siebie przemówić.

Nagły ruch obrócił ją. Na parapecie stał maleńki, niebieski człowieczek w szpiczastej czapce, pokazujący jej język. A potem wykonał nieprzyzwoity gest i zniknął za torbą granulek do zmywania.

- Nianiu?
- Tak, moja droga?
- Czy istnieją niebieskie myszy?
- Nie, o ile jesteś trzeźwa, kochanie.
- W takim razie myślę, że powinnam się upić. Masz jeszcze trochę brandy?

Niania weszła i podała jej piersiówkę.

- Napełniłam ją na przyjęciu. Oczywiście, to kupna brandy, ale od biedy...

Lewa dłoń Agnes chwyciła butelkę. Rozległo się łapczywe chleptanie. A potem zakaszła, aż odrobina alkoholu buchnęła jej przez nos.

- Powoli, powoli... To dość mocne – upomniała ją Niania.

Agnes odstawiła butelkę na kuchenny stół.

- Faktycznie – powiedziała a jej głos wydał się Nianiu zupełnie inny – Mam na imię Perdita i właśnie przejęłam władzę w tym ciele!

* * *

Wracając do stajni, Hodgesaargh poczuł swąd palącego się drewna. Przypisał go ognisku na dziedzińcu. Opuścił przyjęcie dość wcześnie, bo nikt nie chciał rozmawiać o sokołach.

Zapach stawał się coraz silniejszy, a kiedy zajął do ptaków, pośrodku podłogi spostrzegł niewielki płomień. Przez chwilę gapił się bez ruchu, a potem chlusnął w ogień wiadrem wody.

Płomień nadal łagodnie płonął na nagiej posadzce, teraz zalanej wodą.

Hodgesaargh przyjrzał się ptakom. Wpatrywały się weń z dużym zainteresowaniem, chociaż normalnie szalałyby w obecności ognia.

Sokolnik nigdy nie panikował. Przyglądał się jeszcze chwilę, a potem chwycił kawałek drewna i delikatnie dotknął nim płomienia. Drewno zajęło się ogniem, chociaż nawet się nie osmalilo.

Znalazł kolejną gałązkę i dźgnął nim płomień. Z łatwością przechodził z jednego kawałka drewna na drugi. Mógł istnieć tylko jeden płomień. Nigdy nie zapali niczego, po prostu przechodzi z jednej rzeczy na drugą.

Prawie cała krata w oknie uległa spaleni. Kilka klatek też było lekko osmalonych, na samym końcu stajni, gdzie znajdowały się najstarsze gniazda. Powyżej, poprzez wypaloną w dachu dziurę, dostrzec można było gwiazdy prześwitujące przez pasma mgły.

Mieliśmy tu mały pożar, pomyślał Hodgesaargh.

Dość intensywny, jak widać. I tak, jakby gorąco skupiło się w jednym miejscu. Sięgnął dłonią ku płomieniowi, tańczącemu na krańcu kija. Był ciepły, ale... nie gorący. Bynajmniej nie tak gorący, jak powinien być ogień. Teraz płomień skręcał się na czubku jego palca, wywołując dziwne mrowienie. Kiedy pomachał palcem, wszystkie ptaki machały głowami, nie odrywając wzroku.

Z płomykiem na palcu udał się ku resztkom zwęglonych gniazd. W popiele znajdowały się kawałki rozbitej skorupki jajka.

Sokolnik zebrał je i zaniósł do maleńkiego, zagraconego pokoiku na tyłach stajni, który służył mu jednocześnie za pracownię i sypialnię. Odłożył płomień na spodek. Dopiero tutaj, w ciszy, usłyszał, że płomień wydaje słaby, skwierczący odgłos.

W słabej poświacie przebiegł wzrokiem wzdłuż zatłoczonej półki nad łóżkiem. Wyciągnął wielki, podniszczony tom, napisany przez kogoś całe wieki temu. Kogoś o nazwisku „Burns”. Była to opasła księga. Grzbiet był wielokrotnie rozcinany i nieudolnie poszerzany, tak by można było wkleić nowe strony.

Lancrańscy Sokolnicy wiedzieli Lance ptakach wiele. Królestwo leżało na głównej trasie migracyjnej, między Osią a Krawędziami. W przeciągu wieku osiadało tu wiele dziwny gatunków sokołów a sokolnicy prowadzili bardzo staranny rejestr ptaków. Strony pokrywały niewprawne ryciny i zwarte pismo. Zapiski były poprawiane i aktualizowane na przestrzeni wielu lat. Wsuwane między karty księgi pióra znacznie zwiększyły jej objętość.

Nikt nie zawracał sobie głowy indeksem. Jednak któryś z dawnych sokolników starannie posegregował zapiski w kolejności alfabetycznej.

Hodgesaargh raz jeszcze rzucił okiem na płonący na spodku ogień a potem, starannie przewracając szeleszczące stronicę, zatrzymał się na „O”.

Po jakimś czasie znalazł to, czego szukał pod „F”.

W najgłębszym mroku stajni kuliło się małe stworzenie.

* * *

W chatce Agnes znajdowały się trzy półki pełne książek. Według wiedźnich standardów była to olbrzymia biblioteka. Dwie, małe niebieskie postaci stały na szczycie półki, przyglądając się z zainteresowaniem wydarzeniom poniżej.

Niania Ogg wycofywała się, wymachując pogrzebaczem.

- Już dobrze – mówiła Agnes. – To ja. Agnes Nitt, ale... Ona wciąż tu jest... Potrafię ją powstrzymać! Tak? Tak! Już dobrze, a ty się zamknij! Posłuchaj, to moje ciało a ty jesteś tylko tworem mojej wybujałej wyobraźni... Co? No, dobrze... Może to nie do końca prawda... Daj mi tylko pogadać z Nianią, dobrze?

- Która z was teraz mówi? – zapytała Niania Ogg.

- Oczywiście to ja... Agnes – powiedziała młoda wiedźma przewracając oczami. – No, dobrze. Jestem Agnes aktualnie konsultującą się z Perdita, która teoretycznie też jest mną. W pewnym sensie. I wybacz, ale wcale nie jestem taka gruba!

- Ile was jest tam w środku – zapytała Niania.

- Myślisz, że to dziesięcioosobowy pokój?! – wydarła się Agnes. – Cicho bądź! Posłuchaj... Perdita mówi, że na przyjęciu zjawily się wampiry. Mówi, że to jakaś rodzina Srokacz. Perdita nie może zrozumieć naszego zachowania. Myśli, że w jakiś sposób wpłynęli na wszystkich. Łącznie ze mną. Dlatego musiała się przebić. Tak... właśnie jej to powiedziałam!

- A dlaczego niby nie wpłynęli na nią? – spytała Niania.

- Ponieważ jest umysłem samym w sobie. Nianiu, przypominasz sobie cokolwiek z tego, co mówili?

- Teraz, kiedy o tym wspomniałaś... Nie. Wydawali się takimi miłymi ludźmi.

- A pamiętasz rozmowę z Igorem?

- A kimże jest Igor?

Małe niebieskie postaci przyglądał się z fascynacją przez kolejne pół godziny.

- Powinnyśmy jej wierzyć? – zapytała na koniec Niania.

- Przecież ona to ja.

- Ludzie mówią, że w każdej pulchnej dziewczynie, jest szczupła i... – zaczęła filozoficznie Niania.

- Tak – przerwała jej cierpko Agnes. – Słyszałam. Szczupła dziewczyna i mnóstwo czekolady.

Niania nachyliła się do ucha Agnes – Co cię napadło, że tkwisz tam w środku? – powiedziała podniesionym głosem. – Myślisz, że to w porządku, tak?

- Hahaha.... Nianiu, boki zrywać!

- I tak po prostu mówili o tych wszystkich okropieństwach, jak picie krwi czy zabijanie ludzi a wszyscy kiwali głowami i powtarzali „Ach, jakie to fascynujące”?

- Tak!

- Jedli czosnek?

- Tak.

- To nie ma sensu. Absolutnie!

- Skąd mam wiedzieć? Może użyłyśmy nieodpowiedniego rodzaju czosnku?

Niania potarła podbródek, rozdarła między wieścią o pojawieniu się wampirów a palącą ciekawością względem Perdity.

- Więc jak działa Perdita? – spytała.

Agnes westchnęła. – To tak, jakby część ciebie chciała robić wszystko, czego nigdy nie ośmieliłabyś się zrobić i wyobrażasz sobie rzeczy, o których wstydzisz się nawet myśleć. Rozumiesz?

Twarzy Niani pozostawała czysta od jakichkolwiek śladów zrozumienia. Agnes brnęła dalej – Na przykład... Na przykład... Pragnienie by zderzyć z siebie ubranie i biegać goło po deszczu.

- Ach, rozumiem. – powiedziała Niania.

- Więc... Myślę, że Perdita jest właśnie tą częścią mnie.

- Naprawdę? Zawsze miałam taką część siebie. – stwierdziła Niania. – Najważniejsze to zapamiętać, gdzie się zostawiło ubranie.

Agnes za późno zrozumiała, że Niania Ogg do wielu kwestii podchodziła nazbyt dosłownie.

- Twoje myśli... Wydaje mi się, że wiem, o co chodzi. – mówiła Niania nad czymś się zastanawiając. – Też mi się zdarzało, że chciałam zrobić coś naprawdę głupiego, ale się powstrzymywałam... – potrząsnęła głową. – Jednak... wampiry... Nawet Verence nie byłby, aż tak durny, żeby wysłać zaproszenie wampirom. – umilkła. Po chwili zastanowienia dodała. – Owszem, byłby. Na pewno myśli o nawiązywaniu przyjaznych stosunków i takich tam.

Wstała. – To prawda. Sami nie odejdą. Zrobili nam przecież wodę z mózgow. – powiedziała. – Załatw więcej czosnku i jakieś kołki, a ja pójdę po Shawna, Jasona i resztę chłopaków.

- To na nic, Nianiu. Perdita widziała na co ich stać. Chwila w ich pobliżu, i znowu wszystko zapomniny. Oddziałują jakoś na nasze umysły, Nianiu.

Niania zawahała się. – Musimy udawać, że nic nie wiemy o wampirach – postanowiła.

- Perdita sądzi, że potrafią również przejrzeć nasze myśli.

- Podobnie, jak Esme – rzuciła mimochodem Niania. – Mieszanie w głowach i tak dalej. To jej chleb powszedni.

- Mówili, że chcą tu pozostać, Nianiu! Musimy coś zrobić!

- Swoją drogą, gdzie ona się podziała? – powiedziała, niemal zawodząc, Niania. – Esme musi zrobić z tym porządek!

- A może dopadli ją pierwszą?

- Wcale w to nie wierzysz, prawda? – powiedziała spokojnie Niania, chociaż wyglądała, jakby ogarniała ją panika – Nawet nie chcę myśleć, że jakiś wampir zbliżył by się do Esme, z tymi swoimi zębiskami...

- O to się nie martw. Kruk krukowi oka nie wykole. – mruknęła Perdita, jednak to Agnes poczuła, kiedy Niania wymierzyła jej policzek. To nie był dystyngowany klaps dezaprobaty. Niania Ogg wychowała kilku krzepkich synów. Przedramię Niani samo w sobie posiadało niezwykłą siłę.

Kiedy Agnes spojrzała z wyrzutem, Niania rozcierała rękę, wpatrując się z powagą w młodą wiedźmę.

- Nigdy więcej nie wspomnimy o tym ani słowem, dobrze? – nakazała. – Nie jestem przekonana do podobnych metod, ale dzięki temu unikniemy wielu nieporozumień. A teraz powinniśmy wracać do zamku...

* * *

Hodgesaargh zamknął księgę i zerknął na płomień. Więc to jednak prawda. Rycina w księdze przedstawiała jednego z nich, starannie naszkicowanego przez innego królewskiego sokolnika przeszło dwieście lat temu. Pisał, że znalazł go pewnej wiosny, gdzieś w wysoko na górskich halach. Jego płomień jaśniał przez trzy lata, a potem istota znikła.

Kiedy przyjrzał się dokładnie, stwierdził, iż właściwie ów płomień nie jest płomieniem. To znaczy, był raczej czymś w rodzaju świecącego pióra...

Cóż, ostatecznie Lancre leżało na jednej z głównych tras migracji wielu rodzajów ptaków. Jego pojawienie się było tylko kwestią czasu.

Tak... młode pisklą musiało być gdzieś blisko. Potrzebowało czasu, by dojrzeć – tak mówiła księga. Dziwne, że złożył jajko właśnie tutaj. Księga twierdziła, że ich normalnym środowiskiem były gorące klatchańskie pustynie i tylko tam składały jaja.

Sokolnik poszedł rzucić okiem na ptaki. Wciąż zdawały się być bardzo czujne.

To mogło mieć sens. Przyleciał tutaj, gdzie znajdują się inne ptaki i ich gniazda i złożył swoje jajko. W księdze napisano, że kiedy tylko to robiły, spalały się a potem z jaja wykluwał się młody ptak.

O ile Hodgesaargh rozumował błędnie, wiązało się to z jego praktycznym podejściu do świata ptaków. Istnieją ptaki, na które się poluje i istnieją takie, z którymi się poluje. Owszem, istnieją inne, te ćwierkające pośród drzew, ale one tak naprawdę się nie liczą. Więc sokolnik uświadomił sobie, że jeśli kiedykolwiek istniał ptak, z którym zawsze chciał polować, tym ptakiem byłby feniks.

Och, tak. Teraz jednak był młody i słaby. Nie mógł odejść daleko.

Hmm... bynajmniej w ten sposób zachowywała się większość z piskląt. A jednak...

O wiele łatwiej byłoby go znaleźć, gdyby w księdze był jakiś rysunek. Owszem, było ich kilka, wszystkie starannie naszkicowane przez starożytnych sokolników, którzy utrzymywali, że tym, co ujrzeli, był Ptak Ognisty. Pomijając fakt, że wszystkie posiadały skrzydła i dzioby, nie istniały dwa takie same rysunki. Jeden przedstawiał ptaka podobnego do czapli. Inny do gęsi. Następny – sokolnik podrapał się w głowę – wyglądem przypominał wróbla.

Fragmenty łamigłówni, pomyślał i przestał szukać, kiedy znalazł rysunek przedstawiający osobnika zupełnie niepodobnego do znanych mu ptaków. Zerknął ku rękawicom, wiszącym na haku. Znał się na tej robocie. Mógł sprawić, że ptaki jadły mu z ręki. Mniejsza z tym, że trafiały wyłącznie z w jego rękę. Trzeba je było schwytać, kiedy są młode i szkolić od pisklęcia do siedzenia na przegubie. Ten zaś będzie Czempionem wśród jego ptaków...

Hodgesaargh żadną miarą nie mógł wyobrazić sobie feniksa, jako zwierzyny. Na przykład, jak go potem upiec?

...a w ciemnym kącie stajni, coś wskoczyło na żerdź...

Agnes znowu zmuszona była do poruszania się truchtem, z trudem dotrzymując tempa pędzącej olbrzymimi krokami, wściekle pomagającej sobie łokciami Niani Ogg.

Starsza pani maszerowała ku grupie mężczyzn, stojących wokół jednej z beczek. Chwyliła jednego z nich, potrącając wszystkich i rozlewając ich napoje. Gdyby zrobił to ktoś

inny, byłoby to wyzwanie równe rzuceniu rękawicy, albo – w mniej szlachetnym towarzystwie – rozbiciu butelki o krawędź baru.

Jednak mężczyźni sprawiali wrażenie zakłopotanych, a jeden czy dwaj zaszurali niepewnie nogami i próbowali ukryć kwartę piwa za plecami.

- Jason! Darren! Za mną! – rozkazała Niania. – Mamy problem z wampirami, rozumiecie? Mamy tu jakieś zastrzone kołki?

- Nie, mam – powiedział Jason, jedyny kowal w Lancre. A potem podniósł rękę – Ale będzie z dziesięć minut, jak kucharz wylazł z kuchni i robił raban, bo ktoś zapaskudził mu wszystkie potrawy czosnkiem. Zjadłem je, mam – dodał nie bez dumy.

Niania pociągnęła nosem i zatoczyła się do tyłu, wachlując się ręką. – Tak, to nam powinno pomóc. – powiedziała. – Na mój znak potężnie bekniesz, rozumiesz?

- Nie sądzę, że to zadziała, Nianiu – powiedział Agnes, tak śmiało, jak się odważyła.

- Niby dlaczego? Mnie nieomal powaliło.

- Mówiłam przecież, że nawet jeśli to miałyby poskutkować to i tak nie podejmiemy do nich wystarczająco blisko. Perdita to czuje. To tak, jakbyśmy były pijane.

- Tym razem będę na to przygotowana – powiedziała Niania. – Nauczyłam się od Esme tego i owego.

- Tak, ale ona przecież... – zaczęła Agnes, chcąc powiedzieć „...lepsza w tych sprawach”, jednak dokończyła - ...gdzieś indziej.

- Wiem. Jednak wolę stanąć przeciwko tym pijawkom, niż później tłumaczyć się Esme, dlaczego nic nie zrobiłam. No, chodźże już!

Agnes, wciąż podle się czując, ruszyła za rodziną Oggów. Nie do końca ufała Perdicie...

Kilku gości opuściło już zabawę, ale zamek wciąż oferował sutą biesiadę, a mieszkańcy Ramtopów wszech stanów nigdy nie przepuszczali uginającego się pod ciężarem jadła stołu.

Niania rozejrzała się po tłumie i pochwyciła Shawna, przechodzącego z tacą.

- Gdzie są wampiry?

- Że co?

- Ten hrabia... jak mu tam... Sroka...

- Srokacz – poprawiła ją Agnes.

- No właśnie, ten sam – powiedziała Niania.

- Ale on nie jest... poszedł do Solarium, mam. Wszyscy są... Co tak śmierdzi czosnkiem, mam?

- Twój brat. Nie przejmuj się tym. No, idziemy dalej!

Solarium znajdowało się na samym szczycie wieży. Było stare, zimne i pełne przeciągów. Verence, uległszy prośbom Królowej powstawił szyby w wielkich oknach, co zmieniło sytuację o tyle, że teraz pokój przyciągał uwagę bardziej podstępnych przeciągów. Jednak był to, oficjalnie, królewski pokój – nie tak publiczny jak Wielka Sala. Było to miejsce, gdzie Król przyjmował oficjalnych gości, na nieoficjalnych audiencjach.

Korpus ekspedycyjny pod dowództwem Nani Ogg ruszył korkociągiem wijących się ku górze schodów i depcząc gustowny, acz podniszczony dywan skierował się ku grupie osób zebranych pośród kominka.

Czarownica wzięła głęboki oddech.

- Ach, pani Ogg – powiedział Verence głosem pełnym desperacji – Zapraszam do nas.

Agnes zerknęła na Nianię i spostrzegła, że jej twarz wykrzywia się w dziwnej parodii uśmiechu.

Hrabia zasiadał na dużym krześle tuż przy kominku. Za jego plecami stał Vlad. Oboje bardzo przystojni, pomyślała. Verence, w porównaniu z nimi, w tych swoich wiecznie

niedopasowanych strojach i wciąż zaniepokojonym wyrazem twarzy, zdawał się być osobą nie pasującą do tego obrazka.

- Hrabia właśnie wyjaśniał mi, w jaki sposób Lancre stanie się prowincją Uberwaldu – powiedział Verence. – Owszem, nadal będziemy formalnie funkcjonować jako królestwo. Zdaje się, że to uczciwa propozycja, nieprawdaż?

- W każdym bądź razie szczodra – powiedziała Niania.

- Oczywiście dojdzie kwestia stosownych podatków – wyjaśnił Hrabia. – Nic nazbyt uciążliwego. Nie jesteśmy przecież pijawkami – rozpromienił się zadowolony ze swego żartu. – Metaforycznie – dodał.

- To brzmi naprawdę uczciwie – powiedziała Niania.

- Czyż nie? – stwierdził Hrabia. – Byłem pewien, że osiągniemy nić porozumienia.

Jestem niezmiernie rad z twojej postawy, Verence. Ludzie zazwyczaj są niewolnikami błędnych wyobrażeń o wampirach. Czy my wyglądamy na okrutnych morderców? – zapytał, uśmiechając się promiennie. – Cóż, w rzeczy samej nimi jesteśmy. Jednak wyłącznie wtedy, kiedy jest to konieczne. Jakże mielibyśmy władać tym królestwem, ciągle kogoś zabijając? Ostatecznie nie byłoby kim rządzić! – powiedział Hrabia śmiejąc się donośnym, choć uprzejmym śmiechem.

Agnes poczuła, jak z każdą chwilą cała ta sytuacja z wampirami wydaje jej się absolutnie właściwa. Hrabia sprawiał wrażenie dobrze wychowanego, miłego człowieka. Ktokolwiek myślał inaczej, powinien umrzeć.

- Niestety, jesteśmy tylko ludźmi – dodała Hrabina. – Słusznie... nie tylko ludźmi, prawdę mówiąc. Jednak też krwawimy, kiedy się nas rani! Chociaż to takie bezsensowne, swoją drogą.

Znowu cię mają, powiedział głos w głowie Agnes.

Głowa Włada podskoczyła, jakby coś nią szarpnęło. Agnes poczuła, jak świdruje ją wzrokiem.

- Przede wszystkim jesteśmy jednak nowocześni – rzekł Hrabia. – I muszę przyznać, że niezmiernie podoba mi się to, co zrobiłeś z tym miejscem.

- Och, bez tych niegustownych pochodni – powiedziała Hrabina, przewracając oczami. – I innymi paskudztwami w lochach! Kiedy je zobaczyłam, o mało co nie spaliłam się ze wstydu. Och, tak... było to całe piętnaście wieków temu. Nie ma to jak być – zaśmiała się ironicznie – wampirem. Trumny? Czemu nie... ale po co się kryć? Czemu mamy się wstydzić? Z powodu tego, kim jesteśmy!?! My wszyscy mamy... jakieś potrzeby!

Stoicie tutaj, niczym stado królików gapiących się na lisy! wrzeszczała Perdita w jaskini umysłu Agnes.

- Och! – zawołała Hrabina, zamykając dłonie z przyklaskiem. – Widzę, że macie pianino!

Stało w kącie komaty, od jakichś czterech miesięcy, przykryte całunem. Zamówił je Verence, kiedy usłyszał, że to bardzo nowoczesne, jednak jedyną osobą, która była blisko opanowania gry na tym instrumencie, była Niania Ogg – jako jedyna od czasu do czasu próbowała brzdąkać na klawiszach.¹¹ A potem pianino przykryto na polecenie Magrat a wieść pałacowa niosła, że Verence musiał się nieźle nasłuchać, za to iż kupił coś, co w znacznej części zostało zrobione z zamordowanego wcześniej słonia.

- Lacrimosa z przyjemnością nam zagra – rozkazała Hrabina.

- Och, ależ Matko... – zaprotestowała Lacrimosa.

¹¹ Król Verence uparł się przy tym, że Lancre powinno mieć swój hymn narodowy, sławiący jego piękne lasy i w ogóle. Wyznaczył nawet nagrodę dla jego twórcy. Niania Ogg uznała, że to łatwy pieniądz, gdyż hymny państwowe mają z reguły jedną czy dwie zwrotki w stylu „dam-dam-dam-pa-pa-dam”. Z czasem każdy podchwyci ostatni wers pierwszej zwrotki i zaśpiewa tak mocno, jak potrafi.

- Z pewnością nam się spodoba – powiedział Verence. Agnes nie zwróciłaby uwagi na płynący z niego pot, gdyby nie Perdita: Próbuje z tym walczyć, powiedziała. Powinnaś się cieszyć, że masz od tego mnie!

Po chwili grzebania wśród stosu kartek z nutami, wydobytych spod stołka pianina, młoda dama zasiadła do gry. Nim zaczęła rzuciła jeszcze Agnes wściekłe spojrzenie. Zachodziła jakaś niezdrowa reakcja chemiczna, z tych które kończą się ewakuacją całego budynku.

Co to za rejwach, stwierdziła Perdita po kilku taktach. Popatrz na nich! Wyglądają, jakby słuchali czegoś cudownego, ale to przecież potworny harmider!

Agnes skoncentrowała się. Muzyka była piękna... ale kiedy dokładnie się wsłuchiwała – głównie dzięki Perdicie szturchającej ją od środka – brzmiała zupełnie inaczej. Jakby ktoś z pozbawiony talentu i opanowany furją próbował grać na szczelkach drabiny.

Mogę jej to powiedzieć. W każdej chwili, pomyślała młoda czarownica. Mogę ocknąć się, kiedy tylko zechcę. Pozostali jak na komendę, grzecznie zabili brawo. Agnes również próbowała, ale jej lewa strona nieoczekiwanie zastrajkowała. Perdita panowała niepodzielnie nad lewą dłoń.

Vlad błyskawicznie znalazł się przy niej. Nawet nie zauważyła, kiedy się poruszył.

- Jest pan... fascynującą kobietą, panienko Nitt – powiedział. – I włosy... muszę przyznać, że są śliczne. Chciałbym jednak wiedzieć, kim jest Perdita?

- Nikim. Naprawdę. – wymamrotała Agnes. Walczyła z pragnieniem zaciśnięcia lewej dłoni w pięść. Perdita wydzierała się w środku.

Vlad pogłodził pasmo jej włosów. Były to – tego była pewna – dobre włosy. To nie były po prostu długie włosy. Te włosy były ogromne, jakby miały zrównoważyć ciężar jej ciała. Zawsze połyskiwały i nigdy nie rozdawały się na końcach. Poza tym zachowywały się poprawnie, pomijając nadzwyczajną tendencję do pochłaniania grzebieni.

- Pochłaniają grzebienie? – spytał Vlad, zwijając pukiel jej włosów wokół palca.

- Tak, są...

Czyta w twoich myślach!

Vlad rzucił jej zaintrygowane spojrzenie, kogoś kto próbuje wsłuchać się w jakiś odległy hałas.

- Ty... możesz się nam oprzeć, prawda – raczej stwierdził niż spytał. – Obserwowałem cię, kiedy Lacci nieudolnie grała na pianinie. Czy w twoich żyłach płynie wampirza krew?

- Co!?! Nie!

- Jednak w każdej chwili można to załatwić, chachacha... – zaśmiał się i wyszczerzył zęby w zaraźliwym, niczym odra, uśmiechu. Śmiech wypełnił jej najbliższą przyszłość. Przepływał przez nią niczym puchowa różowa mgielka, mówiąca: wszystko w porządku, wszystko dobrze, nie dzieje się nic niewłaściwego...

- Tylko popatrz na panią Ogg – powiedział Vlad. – Roześmiana niczym dynia, prawda? A podobno jest jedną z najpotężniejszych czarownic w tych górach. Nie sądzisz, że to trochę niepokojące?

Powiedz mu, że wiesz o tym, że potrafi czytać w myślach, rozkazała Perdita.

Znowu to zaintrygowane, pytające spojrzenie.

- Potrafisz... – zaczęła Agnes.

- Nie. Niezupełnie. Tylko ludzkie... – powiedział Vlad. – Wciąż się uczę. Odbieram to i owo – opadł na kanapę, przewieszając niedbale nogę przez poręcz i wpatrzył się w nią zamyślony.

- Kilka rzeczy się zmieni, moja droga Agnes Nitt – powiedział. – Ojciec ma rację. Dlaczego niby mamy ukrywać się w mrocznych zamczyskach? Czy mamy się czego wstydzić? Jesteśmy wampirami... albo *vampyrami*, Ojciec jest bardzo czuły na punkcie

pisowni. Mówi, że dzięki temu zerwiemy raz na zawsze z głupią i zabobonną przeszłością. To przecież nie nasza wina, prawda? Urodziliśmy się wampirami.

- Wydawało mi się, że wampirem staję się przez...

- ...ugryzienie innego wampira? Ależ skąd, kochaniutka! Och, oczywiście możemy przekształcić ludzi w wampiry, to żadna sztuka. Jednak jaki to ma sens? Czy kiedy jesz... co takiego jadasz? Ach tak, czekoladę... Czy pragniesz by czekolada stała się czymś innym Agnes? Pełno łączącej dookoła czekolady? – westchnął. – Och, zabobony i przesady, gdzie tylko nie spojrzeć! Nie wszystkie są prawdą... Przecież stoisz tu od jakichś dziesięciu minut, a na twojej szyi nie ma nic poza niewielką ilością mydła, którego nie splukałaś.

Ręka Agnes odruchowo powędrowała ku gardłu.

- Ujrzeliśmy to jasno – stwierdził Vlad. – Teraz przybyliśmy tu, aby wszyscy to dostrzegli. Och, Ojciec jest bardzo konsekwentny w swym przedsięwzięciu a do tego jest nowoczesnym uczonym... Chociaż nie sądzę by nawet on był świadom wszystkich naszych możliwości. Nie uwierzysz mi, jak dobrze znaleźć się wreszcie z daleka od tamtego ponurego miejsca, panienko Nitt. Wilkołaki... ech, wilkołaki. Owszem, cudowni ludzie, i chociaż Baron był nieco nieokrzesany, tak naprawdę... Na przykład wystarczyło zabrać ich nieraz na polowanie na jelenie, dać ciepłe miejsce przy ognisku i dużo pysznych kości i zapominali o całym świecie. Zrobiliśmy co w naszej mocy, uwierz mi. Nikt nie zrobił więcej, by wprowadzić naszą część kraju w Wiek Nietoperza niż nasz Ojciec.

- Przecież to już prawie koniec... – zaczęła Agnes.

- Może właśnie dlatego jest taki gorliwy – mówił Vlad. – Pewne miejsca są po prostu pełne... cóż pozostałości. Dajmy na to centaury. Naprawdę, nie są już nikomu potrzebne. A reszta niższych ras jest po prostu szkodliwa, jeśli mam być szczery. Trolle to głupki, krasnoludy są przebiegłe, chochliki są złośliwe a gnomy zostają między zębami. Ich czas minął. Powinny odejść, zniknąć na zawsze. Wiążemy z Lancre duże nadzieje – powiedział, rozglądając się wokół pogardliwie. – Oczywiście po małej renowacji.

Agnes poszukała wzrokiem Niani i jej synów. Wszyscy słuchali w skupieniu najgorszej muzyki od czasu, kiedy Shawn Ogg upuścił kobzę na schody.

- I tak po prostu... zajmujecie nasze królestwo? – zapytała.

Vlad ponownie obdarzył ją uśmiechem, po czym wstał i podszedł do niej. – Ależ tak. Bez rozlewu krwi. Oczywiście, ujmując rzecz metaforycznie. Ty naprawdę jesteś nietypowa, panienko Nitt. Dziewczęta w Uberwaldzie przypominają owce. Jednak ty... Ty coś przede mną ukrywasz. To co czuję, mówi mi, że jesteś pod moją absolutną władzą – a mimo to nie jesteś! – zachichotał. – To takie rozkoszne!

Agnes poczuła jak więzy, oplatające jej umysł, pękają. Różowa mgła w jej głowie nagle się rozwiła...

...a z pośród niej, niczym góra lodowa, zawzięta i zazwyczaj niewidoczna wynurzyła się Perdita.

Kiedy Agnes wydostała się z wszechobecnej różowości, poczuła jak mrowienie przebiegło poprzez jej ręce i nogi. Nie było to miłe. Zdawało jej się, jakby ktoś stojący dokładnie za nią ruszył krok na przód i przeniknął ją na wskroś.

Spróbowała to odepchnąć. To znaczy mimo opanowujących ją drgawek, próbowała mimo wszystko mówić, ale im bardziej walczyła tym większy czuła nacisk. Perdita wyrzuciła lewą rękę i uderzyła a kiedy ta była w połowie dłoni, rozczapierzyła palce, by użyć paznokci...

Chwycił jej przegub, ręką która zmieniła się w rozmazaną smugę.

- Znakomicie! – powiedział, śmiejąc się.

Jego druga ręka pochwyciła jej prawą dłoń, kiedy brała zamach.

- Lubię kobiety z charakterkiem!

Jednak nie miał więcej rąk, a Perdita posiadała w rezerwie kolano. Oczy Włada zezwoliły a on wydał dźwięk, brzącały mniej więcej jak – Ghni...

- Wspaniale – zarechotał zgięty w pół.

Perdita wyrwała się z uścisku i pobiegła ku Niani, chwytając kobietę za rękę.

- Wychodzimy, Nianiu!

- Nie wiem, czy powinniśmy, kochanie – powiedziała spokojnie czarownica, nie ruszając się z miejsca.

- Jason i Darren też!

Perdita nie była tak czytana, jak Agnes. Uważała, że książki są nudne. Teraz jednak naprawdę potrzebowała wiedzy – czego można użyć przeciwko wampirom?

Symbole religijne, podpowiedziała Agnes ze środka.

Perdita rozejrzała się rozpaczliwie. W komnacie nic nie wyglądało na szczególnie święte. Religia, poza stosowaniem jej dla formalizowania stanu cywilnego, nigdy nie przyjęła się w Lancre.

- Nie ma to jak porządne światło dzienne, kochanie – podpowiedziała jej Hrabina, która musiała pochwycić cząstkę jej myśli. – Czy to nie twój wuj miał takie duże okna z łatwo rozsuwającymi się zasłonami, Hrabio?

- W rzeczy samej – przyznał Hrabia.

- A co do płynącej wody, zawsze dbał o to by woda w fosie była w odpowiednim stanie, prawda?

- Specjalnie wykopał kanał łączący ją z górskim strumieniem, kochanie. – powiedział Hrabia.

- I jak przystało na prawdziwego wampira, otaczał się tyłoma dekoracjami, powyginanymi i poskręcanyymi w różne symbole religijne, o ile dobrze pamiętam.

- Tak. Cały wujek. Wampir starej daty.

- Otóż to – Hrabina posłała mężowi uśmiech – Starej, durnej daty – dodała. Potem odwróciła się do Agnes i zmierzyła ją wzrokiem. – Myślę, że wreszcie dotarło do ciebie, że zamierzamy tu zostać na dobre. Zdajesz się jednak robić dobre wrażenie na moim synu. Podejdź no, dziewczyno. Niechże się tobie dobrze przyjrę.

Nawet stłamszona wewnątrz własnego umysłu, Agnes poczuła ciężar woli wampirzycy, opadającej na nią niczym żelazna sztaba. Perdita została wypchnięta. Agnes uniosła się na powierzchnię, jakby tkwiła na drugim końcu huśtawki.

- Gdzie jest Magrat? Coście jej zrobili? – zapytała.

- Myślę, że w tej chwili układa dziecko do snu – odpowiedziała Hrabina, unosząc brwi. – Cudowne dziecko.

- Kiedy babcia Weatherwax się o tym dowie, przeklniecie dzień swoich narodzin... albo nie-narodzin, albo odrodzin... czy w jaki tam sposób przyszlście na świat!

- Z niecierpliwością czekamy na to spotkanie – powiedział spokojnie Hrabia. – Teraz jednak to miejsce należy do nas i nie wydaje mi się, że rychło zobaczymy tą sławną niewiastę. Może powinnaś po nią pójść? Możesz zabrać swoich przyjaciół ze sobą. A kiedy ją zobaczysz, panienko Nitt, przekaż jej, proszę, że nie ma potrzeby by czarownice i wampiry ze sobą walczyły.

Niania Ogg drgnęła. Jason wiercił się niespokojnie na swoim miejscu. Agnes postawiła ich na nogi i poprowadziła ku schodom.

- Jeszcze tu wrócimy! – krzyknęła.

Hrabia skinął głową.

- Znakomicie. – powiedział. – Jesteśmy znani z naszej gościnności.

Kiedy Hodgesaargh ruszał wciąż jeszcze panował mrok. Kiedy polowało się na feniksa – myślał – noc była do tego najlepszą porą. Lepiej widać światło, kiedy panuje ciemność.

Przygotował przenośną klatkę z drutu, wzięwszy pod uwagę to, co stało się z kratami w oknach i poświęcił trochę czasu na przerobienie rękawicy.

Była to praktycznie pacynka, zrobiona z żółtej szmatki z niebieskimi i purpurowymi łatami. Nie była dokładnie taka sama, jak na rycinach, przyznał w duchu, ale doświadczenie podpowiadało mu, że ptaki nie są wybrednymi widzami.

Świeżo wyklute ptaki, gotowe były uznać za swojego rodzica cokolwiek. Ktoś, kto umieszczał jaja pod kwoką, wiedział doskonale, że kaczątko gotowe było pomyśleć, że jest kurczakiem. Myszołów William był tego najlepszym przykładem.

Oczywiście jeśli chodzi o młodego feniksa, zazwyczaj nie oglądał on swego rodzica a co za tym idzie nie wiedział, jak powinien wyglądać. Mogło to stanowić drobną przeszkodę w zdobyciu jego zaufania, jednak był to dla sokolnika nieznany obszar. Był zdeterminowany i gotów użyć czegośkolwiek. Na przykład przynęta. Zapakował i ziarno, i mięso mimo, że rycina sugerowała, że będzie miał do czynienia z ptakiem raczej sokoło-podobnym. Jednak na wypadek, gdyby feniks preferował łatwopalne jedzenie, zapakował również kilka kulek na mole i pół litra oleju. Sieci i wnyki odpadały. Hodgesaargh miał swoje zasady. Swoją drogą i tak by nie zadziały. Prawdopodobnie.

A skoro wszystko było warte wypróbowania, przerobił też wabik na kaczki, starając się osiągnąć dźwięk określany przez sokolników, jako „*tak-jakby-krzyk-myszołowa-tylko-o-ton-niższy*”. Rezultat nie do końca go zadowalał, ale z drugiej strony młody feniks nie mógł wiedzieć jaki odgłos wydaje inny feniks.

Powinno zadziałać. Jeśli by nie spróbował, do końca swych dni by nad tym rozmyślał.

A potem wyruszył...

Po chwili odgłos przypominający krzyk spadającej kaczki rozległ się echem pośród wilgotnych, ciemnych wzgórz.

* * *

Szare światło poranka pojawiło się na horyzoncie, a padający deszcz ze śniegiem sprawiał, iż liście skrzyły się srebrzyście. Babcia Weatherwax odchodziła ze swej chatki. Miała wiele do zrobienia.

Wszystko, czego potrzebowała upchnęła w worku przerzuconym przez plecy. Miotłę zostawiła w kącie, przy kominku. Podparła drzwi kamieniem a potem, nie obejrzawszy się ani razu, wielkimi krokami podążyła przez las.

Niżej, we wsiach w odpowiedzi na schowany, gdzieś ponad chmurami świt, zaczęły pisać koguty.

Godzinę później na polance wylądowała miotła. Niania Ogg zsiadła i ruszyła pośpiesznie do drzwi kuchennych. Uderzyła nogą o coś, blokującego wejście. Rzuciła wściekle spojrzenie na kamień, jakby był czymś niebezpiecznym a potem poprzez szczelinę w drzwiach ujrzała mrok spowijający wnętrze chatki.

Kiedy kilka minut później wyszła na zewnątrz, zdawała się zmartwiona.

Następnie pośpieszyła do beczułki na deszczówkę. Rozbiła pięścią cienką warstwę lodu, chwyciła odłamek, popatrzyła na niego chwilę a potem cisnęła go daleko.

Ludzie zazwyczaj mieli o Niani Ogg błędne mniemanie a ona starała się, by tak w nim pozostawali. Jedną z tych rzeczy była myśl, że nie widziała dalej niż sięgało dno kieliszka.

Gdzieś w górze, pośród gałęzi pobliskiego drzewa, zaszczebiotała sroka. Niania cisnęła w nią kamykiem.

Agnes zjawiła się pół godziny później. Wolała przemieszczać się pieszo, kiedy tylko było to możliwe. Uważała, że zbyt wiele waży, aby latać.

Niania Ogg siedziała na stołku przy drzwiach, paląc swą fajkę. Ujrawszy Agnes, wyjęła ją i skinęła jej głową.

- Odeszła – powiedziała.

- Odeszła? Teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebujemy – zdziwiła się Agnes. – Nie mogę tego pojąć!

- Na pewno nie ma jej tutaj. – wyjaśniła Niania.

- Opuściła nas? Ta po prostu? – nie rozumiała Agnes.

- Aha. – powiedziała Agnes. – Będzie z dwie godziny temu, ale żaden ze mnie ekspert.

- Skąd wiesz?

Kiedys – a nawet jeszcze wczoraj – Niania wspomniałaby niejasno o swych magicznych umiejętnościach. Dziś wydawało się jednak, że jest rozstrzęsiona niczym galaretką.

- Każdego ranka, zanim zrobiła cokolwiek innego, nieważne czy świeciło słońce, czy padał deszcz, myła twarz w beczulce z deszczówką – wyjaśniła czarownica. – Ktoś robił lód jakieś dwie godziny temu. Zobacz sama... woda znów zamarzała.

- Och, i to wszystko? – powiedziała Agnes. – A może miała coś do załatwienia...

- Chodź, coś ci pokaże – powiedziała Niania, wstając.

Kuchnia była idealnie czysta. Każda powierzchnia była dokładnie wyszorowana.

Kominek wyczyszczony – i wciąż tlił się w nim ogień.

Wszystkie drobiazgi zostały ułożone na stole. Trzy filiżanki, trzy talerze, trzy noże, tasak, trzy widelce, trzy łyżki, dwie chochle, para nożyc i trzy świeczniki. Drewniane pudełko z igłami, nićmi i szpikami...

Wszystko, co można było wypolerować, zostało idealnie wypolerowane. Nawet stare cynowe cynowe świeczniki zostały wyczyszczone na połysk.

Agnes poczuła, jak nerwy zwijają się w rosnący kłębek. Czarownice nigdy nie posiadały zbyt wiele. Przedmioty zazwyczaj były własnością chatki. Nigdy nie należały do osoby. Nikt nie mógł ich zabrać ze sobą.

To, co znajdowało się na stole przypominało spis inwentarza.

Niania Ogg otwierała i zamykała szuflady sędziwego kredensu.

- Zostawiła chatkę w schludnym stanie – stwierdziła. – Wydrapała nawet rdzę z imbryka. Spizarnia jest niemal pusta, nie licząc wiszącego sera i herbatników, na które mógłby się skusić jedynie samobójca. W sypialni to samo. Jej kartka „*NIE JESTEM MARTFA*” wisi za drzwiami. A z podłóg można jeść... jeśli ktoś mia na to ochotę. I wyjęła pudełko z kredensu.

- Jakie pudełko?

- Och, trzym w nim różne drobiazgi – wyjaśniła Niania. – *Memorabilia*, czy jakoś tak.

- Mem... co?

- Pamiątki i inne takie, rozumiesz? Rzeczy, które należą tylko do niej...

- A co to takiego? – spytała Agnes, podnosząc zieloną, szklaną kulę.

- Och, Magrat jej to dała. – powiedziała Niania, zaglądając pod koc. – To taka... boja.

Nasz Wayne przywiózł to kiedys z wybrzeża. Rybacy używali ich do swoich sieci.

- Nie wiedziałam, że rybacy mają takie szklane kule – powiedziała Agnes.

Jęknęła w myślach i poczuła, jak oblewa ją rumieniec. Na szczęście Niania nie zauważyła. I w tym momencie Agnes zrozumiała powagę sytuacji. W normalnych warunkach Niania uczepliła by się takiej okazji, jak rzep psiego ogona. Robiła by potem uwagi w stylu „*Aha! Rybacy ze szklanymi kulkami, powiadasz?*”. Ten tekst byłby jej hitem do końca

tygodnia. Czarownica zaczepiała by zupełnie obcych ludzi i mówiła „*Nigdy nie zgadniesz, co takiego powiedziała Agnes Nitt...*”.

- Właśnie powiedziałam.... – zaryzykowała młoda czarownica.

- Domyślam się, że niewiele wiesz o rybołówstwie – powiedziała po prostu Niania. A potem stała przez chwilę w milczeniu, zamyślona, żując paznokcie kciuka. – Dzieje się coś niedobrego – powiedziała. – Pudełko... a wcześniej niczego nie zostawiała...

- Babcia nie odeszłaby, ot tak? – zapytała nerwowo Agnes. – To znaczy, tak naprawdę nigdy nas nie opuści. Zawsze tu była.

- Mówiłam ci ubiegłej nocy, że ostatnio była sobą – powiedziała niejasno Niania, opadając na bujany fotel.

- Chodzi ci o to, że NIE była sobą, prawda? – poprawiła ją Agnes.

- Doskonale wiem, co mam na myśli, dziewczucho! Kiedy jest sobą, psioczy na ludzi, dąsa się i staje się przygnębiona. Nigdy nie słyszałaś o kimś wychodzącym z siebie? Więc zamknij się na chwilę, bo próbuję myśleć.

Agnes przyjrzała się zielonej kuli trzymanej w rękach. Szklana rybacka boja, pięćset mil od morza. Ozdoba, ja muszla albo coś w tym stylu. Na pewno nie kryształowa kula. Owszem, mogła być używana jako kryształowa kula, ale na pewno nie była kryształową kulą...

...doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego to takie ważne.

Babcia była ortodoksyjną czarownicą a czarownice nie zawsze były lubiane. Dawnymi czasy, kiedy głoszenie wszem i wobec, o tym, że jest się czarownicą nie było dobrym pomysłem. A wszystkie te przedmioty miały sugerować, kim była ich posiadaczka. Później były niepotrzebne, ale mimo setek lat pewne zwyczaje zachowały się we krwi.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Czarownice darzone były w górach szacunkiem, ale tylko młode wiedźmy inwestowały w prawdziwe kryształowe kule, zdobione noże i ciekące świece. Starsze... coż, starsze czarownice pozostawały przy zwyczajnych kuchennych sztuczkach, bojach rybackich i kawałkach drewna, co w pospolity i subtelny sposób sugerowało ich stan. Tylko głupia wiedźma posługiwała się runicznym nożem, w czynnościach tak prostych, jak obieranie jabłek.

Dźwięk, którego nagle zabrakło odbił się echem.

Niania uniosła wzrok.

- Zegar stanął – powiedziała ponuro.

- I tak nie pokazuje właściwego czasu – stwierdziła Agnes, podążając za spojrzeniem Niani.

- Och, trzymała go tylko z powodu tykania – wyjaśniła Niania.

Agnes odłożyła szklaną kulę.

- Rozejrzę się trochę dookoła – powiedziała.

Nauczyła się odpowiednio rozglądać, kiedy odwiedzała czyjś dom. Dzięki temu mogła – na przykład, na podstawie pozostawionej odzieży – odgadnąć charakter jego mieszkańca. Mogła zobaczyć nie tylko to, czym się zajmowali, ale – w pewnym sensie – to, o czym myśleli. Często odwiedzała ludzi, którzy chcieli by wiedziała wszystko i o wszystkim, a w takich wypadkach chwytła się wszystkiego, co dawało jej najmniejszą nawet przewagę.

Ktoś powiedział, że chatka czarownicy to jej drugie oblicze. Myśl, że tym kimś była Babcia, jakoś dodała jej otuchy.

Z odczytaniem tego miejsca nie powinna mieć kłopotu. Babcine myśli odcisnęły jej osobowość w ścianach chatki z siłą młota. Gdyby chatka była jeszcze odrobinę bardziej organiczna, jej ściany tętniłyby pulsem.

Agnes podążyła ku małej, wilgotnej zmywalni. Miedziana misa do mycia naczyń została dokładnie wypucowana. Kilka błyszczących łyżek i widelec leżały obok, wraz z tarką do prania i szczotką do szorowania. Wiadro na odpadki błyszczało, chociaż spoczywające na

jego dnie skorupy rozbitej filiżanki, podpowiadały, że intensywne domowe roboty nie obyły się bez ofiar.

Pchnęła półotwarte drzwi, wiodące do starej szopy dla kóz. Babcia nie trzymała ich teraz, jednak wewnątrz znajdowało się starannie ułożone wyposażenie pszczelarskie. Nigdy nie potrzebowała wiele. Kiedy do zajmowania się pszczołami potrzebna była maska i kupa dymu, nie było sensu być czarownicą.

Pszczoły...

W okamgnieniu znalazła się w ogrodzie, z uchem przytkniętym do ula.

Wokół nie latała ani jedna pszczoła, ale z wnętrza dochodził huk.

- Wiedzą – usłyszała głos za plecami. Agnes wyprostowała się tak gwałtownie, że zahaczyła głową o dach ula.

- Jednak nic nie powiedzą – dodała Niania. – Zabroniła im. To dobrze, że o nich pomyślała. Mimo wszystko.

Pośród gałęzi pobliskiego drzewa rozległ się szczebiot.

- Witaj, Pani Sroczo – powiedziała odruchowo Agnes.

- Spadaj, ty cholerny gnojku! – mruknęła Niania, sięgając po patyk. Ptak pofrunął na przeciwległą stronę polany.

- Co za pech. – stwierdziła ironicznie Agnes.

- Dopiero ją spotka, jeśli uda mi się dobrze wymierzyć – powiedziała Niania. – Stój spokojnie, ty diabelskie nasienie!

- „*Pierwsza znaczy smutek*” – wyrecytowała Agnes, przyglądając się podskakującemu wzdłuż gałęzi ptakowi.

- Tak – przyznała Niania. – Za chwilę wcale nie będzie jej do śmiechu – przymierzyła a potem opuściła patyk.

- „*Dwie, to sama radość*” – powiedziała Agnes.

- Chyba „*Dwie, to już zabawa*”?

- Co za różnica?

- A co ty możesz o tym wiedzieć? – zachnęła się Niania. – Kiedy urodziłam naszego Jasona, byłam radosna, ale nie mogę powiedzieć, że się przy tym dobrze bawiłam. Powinnyśmy się jeszcze trochę rozejrzeć.

Kolejne dwie sroki usadowiły się na zabytkowej strzesze babcinej chatki.

- A teraz „*Trójka, dla dziewczęcia*” – powiedział podenerwowana Agnes.

- W wersji, którą znam jest „*Trójka, znaczy pogrzeb...*” – powiedziała Niania. – Jest mnóstwo wierszyków o srokach. Nieważne. Weź miotłę i obejrzyj wszystko z góra, a ja tymczasem...

- Poczekaj – powiedział Agnes.

Wewnątrz Perdita zwracała jej na coś uwagę. Wrzeszcząc. Agnes słuchała cierpliwie.

Trójka...

Trzy noże. Trzy łyżeczki. Trzy filiżanki.

Agnes tkwiła w bezruchu, obawiając się, że kiedy drgnie albo zacznie oddychać stanie się coś niedobrego.

Zegar stanął...

- Nianiu?

Niania Ogg była wystarczająco bystra, by spostrzec, iż coś właśnie się działo, więc nie traciła czasu na głupie pytania.

- Słucham? – zapytała.

- Idź do chatki i sprawdź o jakiej porze stanął zegar, dobrze?

Niania skinęła głową i pobiegła.

Napięcie w głowie Agnes wzrastało, napinało aż wydało dźwięk niczym drgająca struna. Zdziwiła się, że odgłos nie rozszedł się echem po całej polanie. Jeśli się ruszy, jeśli podejmie taki wysiłek, coś w niej pęknie.

Niania wróciła.

- Trzecia? – powiedziała Agnes, nim stara czarownica otworzyła usta.

- Tuż po...

- Ile dokładnie?

- Dwie, może trzy minuty...

- Dwie czy trzy?

- Raczej trzy.

Trzy sroki przeniosły się na kolejne drzewo i zaczęły gonić się między gałęziami, głośno przy tym szczebiocząc.

- Trzy po trzeciej – powiedziała Agnes, czując jak napięcie opada a słowa napierają znaczenia – Trzy. Trójka, Nianiu. Myślała o trójce. W szopie też był świecznik i jakieś sztuce. Jednak postarała się, by w chatce było wszystkiego po trzy.

- Były też jakieś przedmioty ułożone parami – stwierdziła Niania, chociaż jej bez przekonania.

- Tylko dlatego, że miała jedną lub dwie takie rzeczy. – wyjaśniła Agnes. – W zmywalni było więcej łyżek i różnych drobiazgów, które do niej należały. Myślę jednak, że z jakiegoś powodu nie wyłożyła ich więcej, niż trzy.

- Faktycznie. Miała przecież cztery filiżanki – przyznała Niania.

- Trzy – poprawiła ją Agnes. – Stukła jedną z nich. Skorupki są w wiadrze na odpadki.

Niania Ogg wlepiła w nią wzrok – Nigdy nie była niezdarą – powiedziała. Pomiędzy liśćmi drzew coś zaszeleściło, a po chwili czwarta sroka wylądowała na polanie. - „*Czwarta niesie małe dziecko*” – powiedziała machinalnie czarownica. – A więc o to chodzi.

Wiedziała, że nie zrozumie, ale z Esme nigdy nie było pewności. Obedrę ze skóry młodego Shawna, jak tylko wrócę do domu! Zarzekał się, że dostarczył zaproszenie!

- Może zabrała je ze sobą?

- Nie! Jeśli dostałaby zaproszenie, na pewno zjawiała by się tej nocy. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości – warknęła Niania.

- O co chodzi? Czego nie zrozumiała? – spytała Agnes.

- Córeczka Magrat! – powiedziała enigmatycznie Niania.

- Na pewno, o niej wiedziała! Nie można tak po prostu zatuszować faktu istnienia dziecka! W królestwie wiedzieli o niej wszyscy.

- Chodzi o to, że Magrat ma teraz córkę! Jest matką! – wykrzykiwała Niania.

- Skoro ma dziecko, jest matką! Co w tym dziwnego?

Wrzeszczały do siebie, aż w końcu pojęły to równocześnie.

Deszcz rozpadał się na dobre. Krople spływały z kapelusza Agnes, przy każdym ruchu jej głowy. Niania przez moment łapała oddech. – Myślę, że w tej chwili najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to schować się przed tą cholerną ulewą.

- W każdym razie możemy rozpaść ogień – powiedziała Agnes, kiedy znalazły się w zimnej kuchni. – Zadbaj, żeby wszystko było przygotowane do...

- Nie!

- Nie trzeba znowu krzyczeć!

- Po prostu nie rozpalaj ognia, dobrze? – poprosiła ją Niania. – Nie dotykaj niczego, poza tym, co musisz.

- Mogę przynieść podpałki z podwórka i...

- Chyba wyraziłam się jasno? Ten kominek nie jest przeznaczony do tego, żeby palił w nim ktokolwiek inny. I zostaw w spokoju te drzwi.

Agnes przestała odsuwać kamień, blokujący drzwi.

- Bądźmy rozsądni, Nianiu. Zimno, deszcz i liście dostają się do środka!
- Zostaw je!

Niania padła na bujany fotel, sięgnęła pod spódnicę, pogmerła przez chwilę w czeluściach jej rozległych pantalonów i wydobyła piersiówkę jabłkownika. Pociągnęła spory łyk. Jej ręce drżały.

- Nie mogę zostać staruchą w moim wieku – mruzczała pod nosem. – Nie z moją figurą.

- Nianiu?
- Słucham?
- O czym ty, do diabła, mówisz? Córka? Nie rozpalenie ognia? Starucha?

Niania odstawiła butelkę i rozpoczęła poszukiwania w drugiej nogawce, zakończone znalezieniem fajki i torebki tytoniu.

- Nie jestem pewna, czy są to sprawy, o których chciałabyś wiedzieć – rzekła.

* * *

Hrabia de Srokacz przyglądał się blaskowi wschodzącego słońca.

- Oto i jesteś – powiedział. A potem zwrócił się do rodziny. – Nastął poranek, a my wciąż tu jesteśmy.

- Sprowadziłeś chmury – stwierdziła ponuro Lacrimosa. – Prawie wcale go nie widać.

- Krok po kroku, kochanie. Krok po kroku – powiedział radośnie Hrabia. – Tylko tak osiągniemy cel. Dzisiaj jest za chmurami. Jednak możemy nad tym popracować. To tylko kwestia aklimatyzacji. A kto wie... może pewnego dnia... plaża?

- Nie mogę wyjść z podziwu dla twoich zdolności, mój drogi mężu – powiedziała Hrabina.

- Och, dziękuję, moja najdroższa – odpowiedział Hrabia, poufnym małżeńskim kodem – Vlad? Co wyczyniasz z tym korkiem?

- Czy to na pewno dobry pomysł, Ojczy? – zapytał Vlad, zmagając się z butelką i korkociągiem. – Wydawało mi się, że nie pijamy... wina.

- Nadszedł czas, byśmy spróbowali.

- Blee... – powiedziała Lacrimosa. – Nie tknę czegoś, co jest wyciskane z warzyw.

- Z owoców. I uważam, że będzie ci smakowało – tłumaczył cierpliwie Hrabia. Wziął butelkę i sprawnie usunął korek. – Cudowne czerwone wino. Skusisz się, moja najdroższa? Hrabina uśmiechnęła się nerwowo, wspierając męża wbrew wewnętrznym oporom.

- Czy... eee... czy my... eee... czy to... czy to aby nie za gorące? – zapytała.

- Sugerują tutaj temperaturę pokojową.

- Przecież to chore – jęknęła Lacrimosa. – Nie wiem, czemu na to pozwalasz.

- Zrób to dla twojego tatusia, kochanie – ponagliła ją Hrabina. – Pośpiesz się, bo skrzepnie.

- O nie, moja najdroższa. Wino pozostaje płynne.

- Naprawdę? Jakie to praktyczne!

- Vlad? – zapytał Hrabia, nalewając kieliszek. Syn wyglądał na zdenerwowanego.

- Jeśli ci to pomoże, pomyśl o tym, jak o krwi winogrona – starał się pomóc Hrabia, kiedy Vlad niepewnie chwycił kieliszek. – A ty, Lacci?

Złożyła pewnie ręce na piersiach – Co ja?

- Wydaje mi się, że polubisz tego typu rzeczy, kochanie – powiedziała Hrabina. – To jedna z tych rzeczy, którymi zajmują się twoi przyjaciele, nieprawdaż?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi! – parsknęła dziewczyna.

- Wstawanie przed południem, ubieranie się pstrokato i nadawanie sobie śmiesznych imion – podpowiedziała jej Matka.

- Na przykład Gertruda – zaszydził Vlad. – Albo Pam. Wydaje się im, że to „chłodne”.

Lacrimosa odwróciła się i przeszła go zabójczym spojrzeniem. Uśmiechnął się chwytając pędzącą ku niemu zaciśniętą dłoń.

- Nie twój interes! – warknęła.

- Pani Strigoiuł opowiadała, że jej córka zaczęła nazywać się Wendy – mówiła Hrabina. – Nie mam pojęcia dlaczego! Przecież Hieroglyphica to takie urocze imię dla dziewczynki. Jeśli ja byłabym jej matką nie wypuściłabym jej z domu, bez odpowiedniego makijażu!

- Ale to nie to samo, co picie wina – broniła się Lacrimosa. – Tylko skończony dziwak z tępymi zębami pije wino.

- Maladora Krvopijac pije – powiedział Vlad. – To znaczy „Freda”. Tak każe się teraz nazywać...

- Wcale, że nie pije!

- Nie? A kto nosi na łańcuszku srebrny korkociąg? Nieraz tkwi w nim jeszcze korek!

- To tylko taka modna ozdoba! Och, wiem, że gada wszystkim, że pija niekiedy kropelkę *porto*, ale naprawdę w kieliszku ma krew. Kiedy Henry przyniósł na przyjęcie butelkę wina, zemdląła kiedy je tylko powąchała!

- Henry? – zainteresowała się Hrabina.

Lacrimosa spuściła wzrok. – Graven Gierachi – powiedziała.

- Ten z obciętymi na jeża włosami? Co to udaje księgowego? – zapytał Vlad.

- Mam nadzieję, że ktoś powiedział o tym jego ojcu – powiedziała Hrabina.

- Spokojnie – przerwał im Hrabia. – To kwestia uwarunkowania kulturowego. Proszę was, naprawdę ciężko nad tym pracowałem! Spełnienie naszych marzeń, jest kwestią kilku dni. Czy zbyt wiele wymagam? A wino to tylko wino. Nie ma w nim nic metafizycznego. Więc weźcie kieliszki. Ty również, Lacci. Proszę? Za zdrowie Tatusia?

- A jak opowiesz o tym „Cyrilowi” i „Timowi” padną z wrażenia – powiedział Vlad do siostry.

- Zamknij się! – syknęła. – Ojczy, chyba się rozchoruję!

- Nie. Twoje ciało się przystosuje, uwierz mi – powiedział Hrabia. – Przetestowałem to na sobie. Nieco wodniste, nie da się ukryć. Odrobinę kwaśne, ale w sumie całkiem smaczne. Proszę?

- Nooo, dobra...

- Świetnie – powiedział Hrabia. – A teraz wzniesmy puchary...

- *Le sang nouveau est arrive* – powiedział Vlad.

- *Carpe Diem* – powiedział Hrabia.

- Przez gardło. – dodała Hrabina.

- Ludzie nie uwierzą mi, kiedy im o tym opowiem – mruknęła Lacrimosa.

Przełknęli.

- I już – powiedział Hrabia Srokacz. – Naprawdę było takie okropne?

- Odrobinę zimne – stwierdził Vlad.

- Następnym razem przygotuję nieco cieplejsze wino – przyznał Hrabia. – Nie jestem przecież głupim wampirem. Sądzę, że nie minie rok a całkowicie wyleczę nas z *phenofobii*... Może będziemy mogli spożywać nawet jakieś lekkie sałatki, kto wie?

Lacrimosa odwróciła się, udając, że wymiotuje do wazy.

- Kto wie? Może wtedy właśnie poczujesz, co to wolność Lacci? I nikt z nas nie będzie więcej samotny.

Vlad właściwie był na to przygotowany i dlatego niemal nie zareagował, kiedy ojciec wyszarpnął gwałtownie kartę z kieszeni.

- Symbol Podwójnego Węża djelibejbiańskiego Kultu Wody – stwierdził bez emocji.

- A widzisz! – krzyknął podekscytowany Hrabia. – Nieledwie drgnąłeś! *Sacrefobia* może być pokonana! Wciąż to powtarzam. Owszem, droga nie była łatwa, ale...

- Najgorsze było to, jak wyskakiwałaś na nas w korytarzach i oblewałaś święconą wodą – powiedziała Lacrimosa.

- Nie była w ogóle poświęcona – powiedział jej ojciec. – No, była silnie rozcieńczona. Zaledwie błogosławiona, można powiedzieć. Przecież dzięki temu stałaś się silniejsza, prawda?

- Na pewno stałam się bardziej zakatarzona.
Ręka Hrabiego powędrowała ku kieszeni.
Lacrimosa wydała z siebie teatralne westchnienie – Wszechwiedząca Twarz Jończyków – powiedziała znużona.

Hrabia nieomal wywinął młynka z radości.

- A widzisz!?! Działa! Nawet nie mrugnęłaś okiem! A wiesz, że to potężny symbol religijny!

- Mam nadzieję, że to wszystko zrekompensuje nam te okropne chwile, kiedy kazałeś nam sypiać na poduszkach wypchanych czosnkiem.

Hrabia chwycił ją pod ramię i poprowadził ku oknu.

- Czy to, że świat stał się twoją ostrygą nie wystarczy?

Zakłopotana zmarszczyła czoło. – Po co miałabym pragnąć tego paskudnego małego, morskiego stworzenia?

- Ponieważ ostrzygi jada się żywcem – wyjaśnił jej Hrabia. – Nie sądzę jednak, byśmy znaleźli plasterek cytryny o średnicy pięciuset mil. Jednak to tylko metafora.

Dziewczyna rozchmurzyła się odrobinę. – Dooooobrze – powiedziała.

- Świetnie. Uwielbiam widzieć uśmiech na twarzy mojej małej dziewczynki – pochwalił ją Hrabia. – Cóż... pora na śniadanie. Kogo proponujecie?

- Dziecko.

- Nie. Nie uważam, że to dobry pomysł. – powiedział Hrabia, pociągając za sznurek przy kominku. – W tym miejscu mogłoby to być uznane za niedyplomatyczne.

- Swoją drogą królowa wygląda na dość anemiczną. Vlad powinien zatrzymać tą pulchną dziewczynę – powiedziała Lacrimosa.

- Nie zaczynaj! – ostrzegł ją Vlad. – Agnes to... niezwykle interesująca dziewczyna. Ma w sobie wiele...

- Jej jest WIELE – przerwała mu Lacrimosa. – Zostawiasz ją na później?

- Proszę o ciszę! – powiedział Hrabia. – A poza tym twoja droga matka też nie była wampirem, kiedyśmy się poznali.

- Tak, tak... opowiadałaś nam o tym z milion razy – powiedziała Lacci, przewracając oczami, jak ktoś kto był nastolatkiem przez ostatnie osiemdziesiąt lat. – Balkon, nocna koszula i ty w swym płaszczu. Ona wrzasnęła i...

- Kiedyś wszystko było łatwiejsze – rozmarzył się Hrabia. – Ale bardzo głupie – dodał. – Gdzież jest Igor, na demony!

- Hmm... Skoro jesteśmy przy tym temacie, chciałabym zamienić z tobą słówko, kochanie – powiedziała Hrabina. – Igor stanowczo musi stąd odejść.

- Właśnie! – wypaliła Lacrimosa. – Wszyscy moi znajomi się z niego nabijają!

- Te jego gotyckie maniery są niebywale irytujące – mówiła Hrabina. – I ten idiotyczny akcent... A wiesz na czym go złapałam w zeszłym tygodniu?

- Nawet nie staram się zgadywać – mruknął Hrabia.

- Był w lochu z pejczem i pudłem pełnym pajaków. I zmuszał je, żeby plotły wszędzie swoje sieci!

- Zastanawiam się, skąd je bierze – przyznał Hrabia.

- To naprawdę dziwne, Ojczy – powiedział Vlad. – Igor znakomicie pasował do Uberwaldu, ale tutaj, w kulturalnym towarzystwie... Czy ktoś taki może być naszym kamerdynerem?

- A poza tym cuchnie! – dodała Hrabina.

- Swoją drogą, jest w naszej rodzinie od wieków... częściowo. – zastanowił się Hrabia.

– Musze jednak przyznać, że staje się coraz większym pośmiewiskiem. – dodał pociągając za sznurek.

- Tak, mistfu? – odezwał się głos za jego plecami.

Hrabia obrócił się gwałtownie – Czy nie prosiłem cię, żebyś tego nie robił!?

- Fego nie fobił, mistfu?

- Żebyś nie pojawiał się nagle za moimi plecami!

- To jedyny sfosóf, w jaki się fojafiam, mistfu.

- Idź i poproś Króla Verence, rozumiesz? Przyłącz się do naszego lekkiego śniadania.

- Tak, mistfu.

Wszyscy podążyli wzorkiem w ślad za kulejącym sługą. Hrabia pokręcił głową.

- Nigdy nas nie opuści. – powiedział Vlad. – Nie chwyta żadnej aluzji.

- Jakie to staroświeckie, mieć sługę o imieniu Igor – narzekła Hrabina. – To wstyd!

- To łatwe! – powiedziała Lacrimosa. – Po prostu, zabierzcie go do lochu, zamknijcie w Żelaznej Dziewicy, albo rozciągnijcie na ruszcie ponad ogniem na dzień czy dwa a potem wystarczy pokroić go na cieniutkie plasterki od góry do dołu. Wtedy może zrozumie.

Wyświadczymy mu w ten sposób przysługę, naprawdę.

- Sądę, że to jedyny sposób – powiedział ze smutkiem Hrabia.

- Tak, jak wtedy kiedy kazałeś mi skrócić męczarnie mojego kotka – przypomniała sobie Lacrimosa.

- Chodziło mi o to, żebyś przestała go wreszcie... – zaczął Hrabia. - Jednak... macie rację, Igor musi odejść.

Igor właśnie wprowadził Verence'a. Król stał z lekko otępiąłym wyrazem twarzy wpatrując się w Hrabiego.

- Ach, wasza łaskawość – zaczął Hrabia. – Raczy pan dołączyć do naszego lekkiego posiłku...

* * *

Agnes postawiła nogę na trzeszczącej gałęzi.

Fajtlapa, narzekła Perdita. *Ja wdrapałabym się na to drzewo, jak gazela!*

- Gazele nie łążą po drzewach! – mruknęła pod nosem Agnes.

- Co mówiłaś? – zapytał głos z dołu.

- Och, nic takiego...

Agnes powoli posuwała się dalej. Nagle jej pole widzenia wypełniły czarno-białe skrzydła. Sroka wylądowała na gałązce, o kilka centymetrów od jej twarzy i wrzasnęła jej, prosto w nos. Kolejnych pięć sfrunęło z innych drzew i dołączyło do chóru. Młoda wiedźma nie przepadała za ptakami. Owszem, bywały piękne, kiedy tak po prostu sobie latały, a ich treli słuchało się z przyjemnością, ale z bliska wydawały się małymi, szalonymi i kłującymi kłębkami, o inteligencji przeciętnej muchy domowej.

Spróbowała pacnąć siedzącą najbliżej srokę, ale ta przefrunęła jedynie na wyższą gałąź, gdy Agnes walczyła o odzyskanie równowagi. Kiedy konar przestał się kołysać, ostrożnie ruszyła dalej, starając się ignorować rozłoszczone ptaki i zajrzeć do gniazda.

Nie mogła stwierdzić, czy były to resztki opuszczonego gniazda, czy zaczątek nowego, jednak znajdowały się w nim różne błyskotki, skorupy stłuczonego szkła i jeszcze coś. Coś, co byłyszało mimo ponurego nieba. Coś białego, o błyszczących krawędziach...

- „*Pięć srebrne jest... sześć złoci się...*” – powiedziała do siebie.
- Chyba „*Pięć w niebie jest, sześć piekła zew...*”! – zawołała z dołu Niania.
- Nieważnie... Mogę to sięgnąć...

Konar pękł z trzaskiem. Poniżej znajdowało się sporo innych, które stanowiły jedynie krótkie przystanki w błyskawicznej podróży ku ziemi. Ostatni odbił Agnes prosto w krzaki ostrokrzewu.

Niania wyjęła pogniecione zaproszenie z ręki młodszej czarownicy. Deszcz rozmył atrament, ale słowo *Weatherwax*, wciąż było czytelne. Niania przejechała palcem po złoconej krawędzi.

- Za dużo złota – powiedziała. – To wszystko wyjaśnia. Mówiłam ci, że te cholerne ptaki kradną wszystko, co błyszczysz.

- Dziękuję za troskę, nic mi nie jest – powiedziała z wyrzutem Agnes. – Ostrokrzew zamortyzował upadek.

- Skręć im karki! – zagroziła Niania. Sroki wrzeszczały na nią z drzew rosnących wokół chatki.

- Wydaje mi się jednak, że zniszczyłam sobie kapelusz – powiedziała Agnes, próbując wstać. Okazało się to daremnym wysiłkiem, gdyż wokół znajdowało się mnóstwo ślzigiego błota. Poddała się. – Dobrze, więc znaleźliśmy zaproszenie. Okazało się, że to straszna pomyłka. Niczyja wina. Teraz poszukajmy Babci.

- Nie znajdziemy jej, jeśli tego nie chce – stwierdziła Niania, pocierając w zamyśleniu brzeg kartki.

- Może użyjesz *Pożyczania*? Mimo tego, że wcześniej odeszła musiały być jakieś stworzenia, które ją widziały?

- Z zasady nie stosuję *Pożyczania* – powiedziała stanowczo Niania. – Nie mam tak dobrej samokontroli, jak Esme. Zostaję przeważnie... wchłonięta. Ostatnim razem, żyłam jako królik przez jakieś trzy dni, dopóki nasz Jason nie sprowadził Esme a ona mnie wydostała. Jeszcze trochę i w ogóle bym nie wróciła.

- Żyć jako królik... to musiałyby być nudne?

- Och, zawsze mogłam sobie... pokicać.

- Dobrze, więc użyjemy tej szklanej boi – powiedziała Agnes. – Magrat opowiadała mi, że jesteś w tym dobra. – Cegła wykruszona z komina wylądowała na polance.

- Dobrze, ale nie w tym miejscu – powiedziała Niania ze śladową niechęcią – To nieco irytujące...

Wielebny Oats wymaszerował z lasu. Szedł nieporadnie, jak ludzie z miasta, kiedy idą naprawdę wyboistą, pełną zgniłych liści i gałązek drogą i sprawiają wrażenie kogoś, kto czeka, że w każdej chwili może zostać zatakowany przez jakieś sowy albo chrząszcze.

W swoim dziwnym, czarno-białym stroju przypominał srokę.

Ptaki rozwrzeszczały się ze swoich drzew.

- „*Siedem dla tajemnicy, dotąd nie odkrytej*” – powiedziała Agnes.

- „*Siedem – oto diabeł we własnej osobie*” – wymamrotała złowrogo Niania. – Każdy ma swój własny wierszyk.

Oats poweselał odrobinę, kiedy spostrzegł wiedźmy. Głośno wytarł nos.

- Jakie marnotrawstwo materiału – mruknęła Niania.

- Ach, pani Ogg... i panienka Nitt – przywitał je Oats, powoli omijając kałużę – Eee... mam nadzieję, że zastałem panie w dobrym humorze?

- Do tej pory był dobry – powiedziała Niania.

- Miałem nadzieję spotkać... eee... panią Weatherwax.

Przez chwilę zapadła cisza, przerywana tylko szczebiotem ptaków.

- Na co miał pan nadzieję? – zapytała Agnes.

- Spotkać panią Weatherwax? – chciała wiedzieć Niania.

- Eee... owszem. To należy do moich... eee... to znaczy, że... to jedna z tych spraw... Więc, dowiedziałem, że źle się czuję a nawiedzanie starych i słabych należy do... eee... moich duszpasterskich powinności... Oczywiście wiem, że praktycznie nie mam żadnych powinności wobec tego miejsca... eee... bynajmniej formalnie... ale skoro jeszcze tu jestem... pomyślałem...

Twarz Niani przypominała teraz obraz, który namalował artysta obdarzony dziwnym poczuciem humoru.

- Przykro mi, ale jej tu nie ma – powiedziała w końcu a Agnes wiedziała, że mówiła szczerze i absolutnie bez życzliwości.

- Och... Chciałem... eee... Przyszedłem, żeby ją jakoś... Chciałem... eee... Czy ona aby nie zaniemogła?

- Na pewno poczułaby się lepiej, po twoich odwiedzinach. Co do tego nie mam wątpliwości. – powiedziała Niania, po raz wtóry z niespotykaną u niej szczerością – Opowiadała by o tym całymi dniami. Wiesz, możesz odwiedzić ją, kiedy tylko zapragniesz.

Oats wyglądał bezradnie – W takim razie sądzę, że najlepiej pójdę... eee... wrócę do mojego... eee... namiotu... – wyjąkał. – A może zechcą panie, bym odprowadził je do miasta? W lesie jest mnóstwo... eee... niebezpiecznych stworzeń...

- Mamy miotły – powiedziała stanowczo Niania. Duchowny wyglądał na zmartwionego. Agnes podjęła decyzję. – Miotłę – powiedziała. – Chętnie pana odprowadzę... To znaczy, będę zaszczycona, jeśli odprowadzi mnie pan odprowadzi. Jeśli pan chce, oczywiście...

Duchowny odetchnął z ulgą. Niania pociągnęła nosem i było w tym coś ze słynnego pociągania nosem Esmeraldy Weatherwax.

- Spotkamy się u mnie. I nie trwoń czasu – mruknęła.

- Nie trwonię czasu – zaoponowała Agnes.

- I nie spieraj się! Do zobaczenia... – ucięła Niania i ruszyła na poszukiwanie swej miotły.

* * *

Agnes i kapłan przez chwilę szli w kłopotliwej ciszy. Agnes odezwała się pierwsza – Co z bólem głowy?

- Och, znacznie lepiej, dziękuję. Minął. Jej wysokość była tak miła i dała mi swoje pigułki.

- To miłe – powiedziała Agnes. Powinna była dać mu szpilkę. Spójrz tylko na te bąble pod jego nosem!, powiedziała Perdita, specjalistka od przeziębień. Czemu nic z tym nie robi?

- Eee... nie przepadasz za mną, prawda? – zapytał Oats.

- Niedawno cię poznałam – odpowiedziała, ignorując potakiwanie Perdity w swej głowie.

- Większość z tych, których niedawno poznałem mnie nie znosi – powiedział Oats.

- Sądzę, że dzięki temu oszczędzasz czas – powiedziała Agnes i zakłęła. Tym razem Perdita przedostała się, jednak Oats chyba tego nie zauważył. Westchnął tylko.

- Obawiam się, że mam trudności w kontakcie z ludźmi – mówił – Zaczynam zastanawiać się, czy na pewno zostałem stworzony do duszpasterskiej pracy.

Nie angażuj się w znajomość z tym głupkiem, przestrzegala ją Perdita. Agnes zapytała mimo wszystko – Myślisz o nich, jak o owieczkach i takich tam?

- W seminarium wszystko wydawało się takie proste – mówił Oats, tonem człowiek rzadko poświęcającego uwagę temu, co mówią inni, kiedy on właśnie roztkliwia się nad swą niedolą – Kiedy opowiadam ludziom pouczające przypowieści z Księgi Oma, mówią „*Coś tu*

nie gra? Na pustyni rosną chyba jakieś grzyby, czy coś?” albo „To głupia metoda zarządzania winnicami”. Wszyscy tutaj są tacy... dosłowni.

Oats zakasłał. Coś zdawało się pożerać część jego umysłu. – Niestety, jeśli chodzi o czarownice Stara Księga Oma jest stanowcza. – powiedział.

- Naprawdę?

- Jeśli jedna dokładnie przestudiować ten fragment w oryginalnym tekście *Drugiej Omiańskiej IV* można wysunąć dość śmiałą teorię, iż słowo to w rzeczywistości określa... karaluchy.

- Tak?

- Szczególnie ustęp mówiący, że można je zabić ogniem albo „złapać w pułapkę z słodkiego syropu”. Ten sam fragment mówi, że są winne sprowadzania wyuzdanych snów.

- Na to nie licz – powiedziała Agnes. – Poprzestanę na pozwoleniu ci odprowadzenia mnie do domu.

Ku jej zdziwieniu Perdita zapała z zachwytu. Kapłan poczerwieniał w sposób niemożliwy nawet dla niej.

- Eee... można to tłumaczyć również, jako „gotowanie homarów” – dodał pośpiesznie.

- Niania Ogg wspominała, że omianie palili czarownice – przypomniała Agnes.

- Kiedyś paliliśmy każdego – stwierdził ponuro Oats. – Chociaż wydaje mi się, że czarownice topiono w dużych beczkach syropu.

Miał taki nudny głos. Okazał się taką nieciekawą osobą. Wyglądało jakby celowo chciał się zaprezentować jako nudziarz. Jednak coś przykuwało ciekawość Agnes.

- Dlaczego chciałeś odwiedzić Babcię Weatherwax?

- Cóż, ludzie mówią o niej wiele... eee... to znaczy bardzo ją szanują – powiedział Oats, starannie dobierając słowa, jak człowiek przebierający śliwki do kompotu. – Mówili o tym, że nie zjawiała się ubiegłej nocy i że to dziwne. Pomyślałem, że staruszce jest ciężko żyć samotnie. I...

- Tak?

- Otóż, wiem, że jest już stara, ale nigdy nie jest za późno by zastanowić się nad swą nieśmiertelną duszą. – wyjaśnił Oats. – Musi ją przecież mieć.

Agnes przyjrzała mu się z ukosa – Nigdy o niej nie wspominała. – stwierdziła.

- Pewnie wydaje ci się, że jestem głupcem.

- Wydaje mi się, że jest pan niesamowitym szczęściarzem, wielbny.

Swoją drogą... ktoś kto mówił o Babci Weatherwax w ten sposób i nadal szedł przez las, który drżał przed nią nawet, gdyby była pod postacią karalucha czy gotowanego homara. Nikt w Lancre nie pragnął ujrzeć Babci, dopóki czegoś nie potrzebował. Niekiedy zjawiali się z małymi podarkami (ponieważ, kiedyś może nadejść dzień, gdy będą potrzebowali pomocy), ale zwykle upewniali się wcześniej, że nie ma jej w domu. Pan Oats musiał oczekiwać czegoś po spotkaniu z Babcią. Musiał...

Para centaurów wyskoczyła z krzaków, tuż przed nimi i popędziło cwałem w dół ścieżki. Oats objął rękami drzewo.

- Biegały dookoła, kiedy szedłem – powiedział – Czy to normalne?

- Nie widywałam ich wcześniej – powiedziała Agnes. – Sądzę, że pochodzą z Uberwaldu.

- A te małe, okropne gnomy? Jeden z nich pokazał mi nieprzyzwoity gest!

- Nie mam o nich zielonego pojęcia.

- A wampiry? To znaczy... eee... spodziewałem się po tym miejscu różnych rzeczy, ale...

- Wampiry!? – wrzasnęła Agnes. – Widziałeś wampiry? Zeszłej nocy?

- Cóż, owszem... eee... to znaczy, tak. Uczono nas o nich w seminarium. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że ujrzę je stojące w pobliżu i opowiadające o picciu krwi i takich tam... eee... Naprawdę, to bardzo zaskakujące miejsce. Dziwne, że Król pozwala na takie rzeczy...

- I nie... i nie zawładnęły twoim umysłem?

- Miałem taki straszny ból głowy... Nie wiem, czy o to ci chodzi? Wydawało mi się, że to przez te krewetki.

Rozległ się krzyk. Dźwięk przypominał wrzask indyka, duszonego na drugim końcu cynowej rury.

- Cóż to za jazgot? – krzyknął Oats.

Agnes rozejrzała się oszołomiona. Wyrosła w tym lesie. Kiedy po nim spacerowała, słyszała niekiedy dziwne dźwięki, ale przeważnie nie pochodziły od nikogo bardziej niebezpiecznego niż ludzie. Teraz w tym przyćmionym świetle poranka, nawet drzewa wyglądały obco.

- Pójdziemy do Głupiego Osła – zarządziła, ciągnąc Oatsa za sobą.

- Głupiego... Osła?

Agnes westchnęła – To najbliższa wieś.

- Głupi Osioł?

- Posłuchaj – powiedział z niecierpliwością w głosie. – Był kiedyś osioł, który stanął pośroku rzeki i nie ruszał się ani w przód, ani nie zawracał – ludzie w Lancre byli przyzwyczajeni do wyjaśniania tego typu spraw. – Po prostu głupi osioł. Rozumiesz? Owszem, też sędzę, że „Zbuntowany Osioł” lepiej by brzmiało, ale...

Potworny wrzask znów rozniósł się echem po lesie. Agnes pomyślała o wszystkich historiach, opowiadanych w górach i... pociągnęła Oatsa za sobą niczym źle przyczepiony wóz.

Jakiś dźwięk rozległ się dokładnie przed nimi i zza zakrętu, zza krzaków wyłowniła się głowa.

Przed Agnes pojawił się struś.

To znaczy... coś zupełnie podobnego do strusia. Miało głowę i szyję w jaskrawożółtym kolorze a wokół niej wielki kołnierz z czerwonych i purpurowych piór. Do tego dwoje wielkich ślepi, o źrenicach podskakujących, kiedy głowa podskakiwała w tą i z powrotem...

- To odmiana tutejszych kurczaków? – zapiszczał Oats.

- Nie sędzę – powiedziała Agnes. Niektóre z piór zdobione były we wzór kraty.

Krzyk zaczął wzbierać, ale został gwałtownie stłumiony przez rękę Agnes, chwytającą ptaka za szyję.

Z poszycia podniosła się jakaś postać i ruszyła w ich kierunku.

- Hodgesaargh?

Zakwakał.

- Wyjmij to coś ze swoich ust. – poprosiła Agnes. – Brzmiś, jak *Pan Punch*.

Sokolnik wyjął wabik. – Przepraszam, panienko Nitt.

- Hodgesaargh, wyjaśnij mi... wiem, że pewnie mi się to nie spodoba, ale wyjaśnij... dlaczego chowasz się po lesie z ręką wystrojoną w pacynkę i robisz taki straszny hałas tym... gwizdkiem?

- Chciałem zwabić feniksa, panienko.

- Feniksa? Przecież to mityczny ptak, Hodgesaargh.

- Słusznie, panienko. Mamy jednego w Lancre, panienko. Jest jeszcze młody, panienko. Pomyślałem sobie, że mógłbym go przygarnąć.

Spojrzała na pstrokatą rękawiczkę. Ach, rzeczywiście – przy hodowli piskląt trzeba było uświadomić im, jakim są ptakiem, używając do tego rękawiczki-pacynki. Jednak...

- Hodgesaargh?

- Tak, panienko?

- Nie jestem ekspertką, ale jeśli mnie pamięci nie myli, legenda głosi, że feniksy nigdy nie widują swoich rodziców. Jednocześnie może istnieć tylko jeden feniks. Jest naturalną sierotą, rozumiesz?

- Jeśli mogę wtrącić? – powiedział Oats. – Panienska Nitt ma rację. Feniks buduje gniazdo a potem się spala. Nowy ptak rodzi się z jego popiołów. Czytałem o tym... Swoją drogą to tylko alegoria.

Hodgeaargh spojrział zakłopotany na marionetkę feniksa a potem zakłopotany opuścił wzrok.

- Przepraszam, panienko.

- Więc rozumiesz... feniks nigdy nie widzi innego feniksa – dodała Agnes.

- Nie wiedziałem o tym, panienko – powiedział cicho sokolnik, wpatrując się w swoje buty.

Nagła myśl pojawiła się w głowie Agnes. Hodgesaargh był wiecznie poza domem. – Hodgesaargh?

- Słucham, panienko?

- Byłeś w lesie o świcie?

- Och... tak, panienko.

- Widziałeś Babcię Weatherwax?

- Owszem, panienko.

- Gdzie?

- W lesie, niedaleko granicy, panienko. Zaraz o brzasku, panienko.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Panienska nie pytała.

- Eee... przepraszam. A co tam robiłeś?

Hodgesaargh dmuchnął kilka razy w wabik dla wyjaśnienia.

Agnes ponownie chwyciła duchownego.

- Chodźmy, wracajmy na drogę i znajdziemy Nianię.

Hodgesaargh został zostawiony sam na sam ze swą marionetką, wabikiem, plecakiem i uczuciem zażenowania. Musiał szanować czarownice, a panienska Nitt była jedną z nich. Towarzyszący jej człowiek nie był czarownicą, ale jego zachowanie pasowało do klasy ludzi, których sokolnik określał mianem „wiedzących lepiej”. Choć w jego przypadku, kategoria ta zawierała w sobie większość ludzi. Nie polemizował z lepszymi od siebie. Hodgeaargh był niczym jednoosobowy system feudalny.

Z drugiej strony – myślał, pakując wszystko z powrotem – książki pisane były przez ludzi, którzy z reguły więcej wiedzieli o księgach, niż o prawdziwym świecie. Te historie o ptakach wylęgających się z popiołów wymyślili pewnie ci, którzy nie mieli zielonego pojęcia o ptakach. A to, że istnieć może tylko jeden feniks jednocześnie... cóż... może ten, kto to napisał powinien częściej wychodzić na powietrze albo zacząć spotykać jakieś damy?

Ptaki wylęgały się z jajek. Owszem, feniks był jednym z tych stworzeń, które nauczyły się wykorzystywać magię, wplatając ją w swe istnienie. Jednak magia była niepewna i nikt nie używał jej więcej, niż potrzeba. Tak więc, musiało istnieć jajko. Zdecydowanie! Jajka natomiast potrzebowały ciepła, prawda?

Hodgesaargh myślał o tym przez cały ranek, kiedy włączył się przez wilgotne krzaki wprawiając w zakłopotanie kilka kaczek. Nigdy niczym nie przejmował się tak bardzo. Nie obchodziły go opowieści, poza historiami o polwaniach z sokołami. Wiedział jednak, że dawniej istniały miejsca – a niektóre z nich wciąż istnieją – o bardzo wysokim poziomie pola magicznego. Magia sprawiała, że były to miejsca niesamowite, chociaż niezbyt dobre, by wychowywać w nich swoje młode.

Może feniks – jakkolwiek wyglądał – był jedynie ptakiem, który opanował bardzo szybki sposób wysiadywania jaj?

Hodgesaargh przebył długą drogę. I postanowił poświęcić temu więcej czasu. I zrobić kolejny krok...

* * *

Było już po południu, gdy Babcia Weatherwax minęła wrzosowisko. Ktoś, kto obserwowałby tę scenę, zastanowiłby się pewnie, dlaczego przejście przez ten nieduży kawałek bagnisk zajęło jej tak wiele czasu.

Zdziwiłby się również, widząc małeńki strumyk, przecinający torf niemal niewidoczną bruzdą. Kobieta mogłaby z łatwością przez niego przeskoczyć, a mimo wszystko ktoś umieścił nad nim ciosany z kamienia most.

Babcia przyglądała się mu przez jakiś czas a potem sięgnęła do worka. Wyciągnęła długi pasek czarnego materiału i przewiązała nim oczy. Potem weszła na kamień. Ruszyła drobnymi kroczkami, balansując rękoma dla zachowania równowagi. W połowie drogi opuściła ręce i osunęła się na kolana. Tkwiła w miejscu przez kilka minut, głośno posapując. A potem niezdarne popęzła do przodu.

Kilka stóp niżej, niewielki torfowy strumyk wesoło szumiał pomiędzy kamieniami.

Niebo skrzyło się. Wciąż było błękitne i płynęły po nim małeńkie, białe obłoczki, ale zaczęło wyglądać jakoś dziwnie, jakby było obrazem namalowanym na stłuczonym i niewprawnie skleionej szybie. Chmurki zniknęły gdzieś w niewidocznej linii i pojawiały się w zupełnie innej części nieba.

Wszystko było zupełnie inne, niż się z pozoru wydawało. Swoją drogą – jak zwykła mawiać Babcia – wszystko zawsze wyglądało inaczej.

* * *

Agnes musiała siłą zaciągnąć Oatsa do domu Niani Ogg. Dom ten daleko odbiegał od ogólnego pojęcia chatki czarownicy. Jakby zbliżał się do niego zupełnie z innej strony. Przypominał coś wypełnionego po brzegi wesołymi kolorami, a nie coś tajemniczo mrocznego. I do tego pachniał czystością. Nie było żadnych dekoracji w stylu czaszek czy dziwnych świec, nie licząc jednej, różowej, która Niania kupiła kiedyś w Ankh-Morpork, by pokazywać ją gościom z odpowiednim poczuciem humoru.

Wokół stało mnóstwo stolików, które zastawione były ogromną ilością portretów i obrazów prezentujących wielkość klanu Ogg. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że zostały rozmieszczone przypadkowo. A kiedy odkryło się kluczn... Część obrazów zajmowała zaszczytne miejsca a inne były porozmieszczane w kątach pokoju, jeśli jacyś członkowie rodu chwilowo zawiedli bądź stracili przychylność Niani. Ci, których portrety kończyły na chybotliwym stoliku w pobliżu legowiska kota musieli mieć na sumieniu coś naprawdę obrzydliwego. Co gorsza w dół hierarchii można było spaść nie tylko dlatego, że zrobiło się coś złego, ale również kiedy ktoś zrobił coś lepszego.

Resztę wolnej przestrzeni wypełniały ozdoby, gdyż żaden Ogg przebywający dalej, niż o dziesięć mil z Ankh-Morpork ani myślał wracać bez podarunku. Oggowie kochali Nianię Ogg bo... cóż... istniały gorsze miejsca niż okolice kociego legowiska. Daleki kuzyn skończył pewnego dnia w korytarzu.

Większość ozdób stanowiła tanioccha kupowana na jarmarkach, lecz Niania nigdy się tym nie przejmowała. Najważniejsze, że były kolorowe i błyszczące. Pośród nich znajdowały się zezowate psy, różowe pastereczki i kubki z rojącymi się od błędów hasłami w stylu „*Dla najleprzej Matki na Świcie*” czy „*Kohamy Naszą Nianię*”. Był też ogromny kufel kadetów

kawalerii, odgrywający „*Ich Bin Ein Rattarsedschwein*”, zamknięty w oszklonym kredensie niczym zbyt wielki skarb, by mogły go oglądać pospolite oczy. Zapewnił on portretowi Shirla Ogga stałe miejsce na kredensie.

Niania Ogg robiła właśnie miejsce na stole dla zielonej kuli. Kiedy weszła Agnes, rzuciła jej ostre spojrzenie.

- Gdzie się podziewałaś? Pewnie trwoniłaś czas, co? – powiedziała przeciwpancernym głosem.

- Nianiu, mówisz zupełnie jak Babcia. – powiedziała z wyrzutem Agnes.

Niania zdrząła. – Masz rację, kochaniutka – powiedziała. – Musimy szybko ją znaleźć, prawda? Jestem zbyt wesoła, by stać się zrzędliwą staruchą.

- Wokół kręci się pełno dziwacznych stworzeń – powiedziała Agnes. – Mnóstwo centaurów. Musieliśmy skoczyć do rowu z wodą!

- Ach, zauważyłam trawę i liście na twojej sukience – mruknęła Niania. – Jestem jednak zbyt dobrze wychowana by o to pytać.

- Skąd się tu wzięły?

- Przypuszczam, że z dolin. Po co przyprowadziłaś Pana Wazeliniarza?

- Ponieważ wpadł w błoto, Nianiu – odpowiedziała ostro Agnes. – Powiedziałam, że będzie mógł się tu umyć.

- Eee... to na pewno chata czarownicy? – zapytał Oats, wpatrując się w ułożonych wobec rangi Oggów.

- A niech mnie! – warknęła Niania.

- Pastor Melchio mówił, że są one siedliskiem zepsucia i ekscesów seksualnych – powiedział młody człowiek, odruchowo się cofając. Trącił mały stolik, przez co niebieska mechaniczna tancerczka zaczęła tańczyć piruety do melodii „*Trzy Ślepe Myszki*”.

- Cóż nie potrzebujemy niczego – mruknęła Niania. – Czy to twoja najlepsza oferta?

- Nianiu, powinnaś być wdzięczna za taką uwagę! – upomniała ją Agnes. – Nie możesz go winić. Miał ciężki ranek.

- Eee... gdzie znajdę pompę? – zapytał Oats. Agnes wskazała mu drogę. Pośpiesznie wyszedł, nie bez ulgi.

- Jest bardziej miękki niż kanapka po burzy – stwierdziła Niania, kręcąc głową.

- Ktoś widział Babcie w okolicy długiego jeziora – powiedziała Agnes, sadwiąc się przy stole.

Niania spojrzała ostro w górę. – Na małym wrzosowisku? – spytała.

- Tak.

- Niedobrze. To zniekształcone miejsce.

- Zniekształcone?

- Wszystko się tam wygina.

- Co? Byłam nieraz w okolicy... Rośnie tam wrzos i jałowiec. Kilka starych jaskiń wokół doliny.

- Och, naprawdę? A przyjrzałaś się niebu? I chmurom? Cóż, nie mamy czasu do stracenia...

Kiedy wrócił Oats, czysty i lśniący zastał je sprzeczące się. Wyglądały na nieco zakłopotane, kiedy go spostrzegły.

- Powiedziałam, że do tego potrzeba nas trzech – powiedziała Niania, odpychając szklaną kulę. – Zwłaszcza, kiedy ona tam jest. Zniekształcone miejsce zmienia się wtedy w zabawne piekło, kiedy ogląda się ją przez kulę. Nie mamy nad nią żadnej mocy...

Potrzebujemy jej więcej.

- Nie chcę wracać do zamku!

- Magrat jest w tych sprawach najlepsza.

- Musi opiekować się dzieckiem, Nianiu!

- Jasne. Dziecko w zamku pełnym wampirów! Pomyślałaś o tym? Nigdy nie wiadomo, kiedy znowu poczują głód? Lepiej dla tych dwojga, jeśli ich stamtąd wyciągniemy.

- Ale...

- Pójdiesz po nich! Ja tu wychodzę z siebie, ale tobie wydaje się, że siedzę na tyłku i się uśmiecham, tak?

Agnes wycelowała palcem w Oatsa i powiedziała – Ty!

- Co ja? – wzdrygnął się.

- Mówiłeś, że domyśliłeś się, że są wampirami, prawda?

- Naprawdę?

- Tak. Tak właśnie powiedziałeś!

- Cóż, rzeczywiście się domyśliłem. Eee... i co z tego?

- Nie wydawało ci się, że twoje myśli stają się... no, różowe i szczęśliwe?

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał różowe i szczęśliwe myśli – powiedział

Oats.

- W takim razie, jakim cudem zostawili cię w spokoju?

Oats uśmiechnął się niewyraźnie, sięgając do kieszeni płaszcza.

- Chroni mnie wszechmocna ręka Oma – powiedział.

Niania przyjrzała się wisiorkowi. Mała postać przywiązana do skorupy morskiego żółwia.

- Co ty nie powiesz? – rzekła dziwnym tonem. – Zatem wydaje mi się, że to znakomity pomysł.

- Tak jak wtenczas, kiedyż to Om sięgnął swą prawicą i proroka Brutę od tortur uratował, także teraz rozciąga skrzydła swej opieki nad swym dzieckiem w godzinie próby – wyrecytował Oats, głosem, który teoretycznie miał dodawać otuchy raczej jemu samemu niż Niani. – Mam odpowiednie prospekty, gdybyście chciały dowiedzieć się czegoś więcej – dodał weselszym tonem. O ile racjonalnie myśląca osoba mogła powątpiewać w istnienie Oma, nikt nie mógł zaprzeczyć istnieniu czegoś takiego, jak prospekt.

- Nie, dziękuję – powiedziała Niania, oddając mu medalion. – Cóż, nie wydaje mi się, żeby Braciszek Peredore potrzebował jakiejś magicznej błyskotki, która ochraniała by go przed ludźmi.

- Wystarczyło, żeby chuchnął na nich alkoholem – dodała Agnes. – Więc pójdziemy razem, panie Oats. Nie zamierzam sama stawiać czoła księciu Szlamuli! I ani słowa więcej!

- Eee... ale przecież nic nie mówiłem...

- Nie mówiłam do ciebie, chodziło mi o... Słuchaj, wspomniałeś, że uczyłeś się o wampirach, prawda? Co jest dla nich najlepsze?

Oats zastanawiał się przez chwilę – Eee... wygodna, sucha trumna... eee... wiele świeżej krwi... eee... zachmurzone niebo... – głos zamarł mu gardle, kiedy dostrzegł wyraz jej twarzy. – Aha... cóż, o ile mnie pamięć nie myli, właściwie wszystko zależy od tego skąd pochodzą. Uberwald to dość obszerny teren. Eee... ucięcie głowy i przebicie serca kołkiem przeważnie wystarczy.

- To skutkuje na każdego – mruknęła Niania.

- Eee... w Splintz giną, kiedy włoży się im pod język monetę a potem odetnie głowę...

- No, to już coś nowego – powiedziała Niania, wyjmując notesik.

- Eee... w Klotz umierają po wetknięciu do buzi cytryny...

- Brzmi nieźle!

- ...tuż po odcięciu im głowy. Wydaje mi się, że w Glitz napełniano im usta solą, wbijano marchewki do obu uszów a następnie odcinano im głowy.

- Muszę przyznać, że musieli się nieźle przy tym bawić.

- Natomiast w dolinie Ah istnieje wierzenie, że najpewniejszy sposób to obcięcie im głowy i ugotowanie jej w occie.

- Będziesz musiała zabrać ze sobą kogoś, kto będzie nosił za tobą te wszystkie rzeczy, Agnes. – stwierdziła Niania Ogg.

- A w Kashncari powiadają, że najpierw trzeba poucinać im palce i powbijając gwoździe w szyję.

- I potem odciąć głowę?

- Właściwie, nie jest to konieczne.

- Z palcami jest łatwiej – powiedziała Niania. – Stary Windrow z Głupiego Osła uciął sobie dwa szpadlem i to zupełnie niechcący.

- Oczywiście, bywa tak, że wystarczy ukraść wampirowi lewą skarpetę, by go pokonać – powiedział Oats.

- Przepraszam? – zapytała zdziwiona Agnes. – Wydaje mi się, że źle usłyszałam.

- Hm, otóż wampiry są patologicznie pedantyczne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Niektóre plemiona cygańskie z Borogravii wierzą, że jeśli ktoś ukradnie im skarpetę i gdzieś ją schowa, spędzą wieczność na poszukiwaniach. Nie mogą wytrzymać, jeśli coś im się zgubi albo znajduje się nie tam, gdzie powinno.

- Nie sędzę, żeby to było popularne wierzenie – powiedziała Niania.

- Och, mieszkańcy niektórych wiosek uważają, że można je spowolnić rozsypując mak – mówił Oats. – Zaczną wtedy odczuwać potworne pragnienie, by policzyć wszystkie ziarenka. Wampiry bywają bardzo przesądne, jak widzisz.

- Nie wydaje mi się, że spotkaliśmy jednego z nich. Ci w zamku, są zupełnie inni – powiedziała Niania.

- Cóż... nie sędzę, że będziemy mieli dość czasu, by zapytać Hrabiego o jego dokładny adres – powiedziała szybko Agnes. – Musimy dostać się tam niezauważeni, uwolnić Magrat i wrócić, jasne? A właściwie dlaczego tak wiele wiesz właśnie o wampirach?

- Mówiłem przecież, że uczyli nas o nich w seminarium. Skoro mamy zwalczać złe moce, powinniśmy poznać przeciwnika... Wampiry, demony, czarow... – zamilknęła.

- Mów dalej – odezwała się Niania Ogg, głosem słodkim, jak arszelik.

- Jeśli chodzi o czarownice, sędzę, że wystarczy na czas zawrócić je ze złej drogi – wyjaśnił Oats, pokaszując nerwowo.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy to wreszcie powiesz – warknęła Niania. – Jeśli o mnie chodzi, chciałbym, żebyś wiedział, że nie noszę ognioodpornego gorsetu! A teraz wynoście się już... cała trójka!

- Jak to „trójka”? – spytał Oats.

Agnes poczuła drganie lewej dłoni. Poczuła, jak przegub zgina się wbrew jej woli, a dłoń zaciska się w pięść. Z trudem wygięła dwa palce. Tylko Niania to zauważyła.

- Jak widzę każdy ma własnego opiekuna – powiedziała.

- O co jej chodziło? – zapytał kapłan, kiedy ruszyli w kierunku zamku.

- Staruszce miesza się w głowie – odpowiedziała głośno Agnes.

* * *

Drogą ku zamkowi toczyło się mnóstwo, zaprzęzonych w woły, wozów. Agnes i Oats przyglądali się, stojąc na poboczu.

Furmani nie interesowali się widzami. Ubrani byli w brudną, źle dopasowaną odzież a ich szyje były tak ciasno owinięte szalami, jakby te służyły im za bandaże.

- Albo w Uberwaldzie zapanowała epidemia bólu gardła albo skrywają pod nimi paskudne nakłucia – szepnęła Agnes.

- Eee... słyszałem o ich metodach kontrolowania ludzi – powiedział Oats.

- Tak?

- Może to zabrzmieć nieco głupio, ale tak napisano w pradawnej księdze.

- A zatem?
- Z łatwością opanowują pojedyncze umysły.
- Pojedyncze? – zapytała podejrzliwie Agnes. Mijało ich coraz więcej wozów.
- Brzmi głupio, wiem. Myślisz, że proste umysły są trudniejsze do opanowania?

Wydaje mi się jednak, że łatwiej trafić w większy cel. W niektórych wioskach wampiry atakowały wydzierających się pijaków w pierwszej kolejności. Rozumiesz? Tarcza. To tak, jakby próbowały przebić mgłę...

Więc jestem mgłą?, odezwała się Perdita. A on... kiedy mu się dobrze przyjrzeć...

Agnes wzruszyła ramionami. Na twarzach furmanów wypisana była jakaś dziwna błogość. Owszem, widywano podobne wyrazy twarzy w Lancre, ale u miejscowych służyła ona za maskę przebiegłości, zdrowego rozsądku i uporczywego, jak gład. Oczywiście w tych twarzach były puste.

Są jak bydło, powiedziała Perdita.

- Tak – przyznała Agnes.
- Słucham? – zapytał Oats.
- Tylko głośno myślałam...

Pomyślała, że z taką samą łatwością człowiek kierowałby stadem krów, jeśli porzuciłby wszystkie swoje cklive skrupuły. Dziwne, że nikt nigdy o tym nie myślał.

Wydaje im się, że są od nas lepsi, myślała. Twierdzą, że – w porównaniu z nimi – jesteśmy tylko...

Jesteś za blisko zamku!, wrzasnęła Perdita. Zaczynasz myśleć, jak krowa!

Dopiero teraz Agnes spostrzegła, że za wozami maszeruje oddział zbrojnych. Nie wyglądali tak samo, jak furmani. Ci tutaj, powiedziała Perdita, to poganiacze bydlę.

Ubrani byli w mundury z czarno-białymi herbami Srokaczy. Nie byli jednak ludźmi, którzy dobrze wyglądali w takich strojach. Przypominali ludzi, którzy zabijali innych za pieniądze. I nie były to wielkie pieniądze. Krótko mówiąc, wyglądali na ludzi, którzy bez skrupułów i ze smakiem zjedliby kanapkę ze szczeniaka.

Kilku z nich spojrzęło łąpczywie na Agnes, kiedy przechodzili obok, ale był to rodzaj powierzchownego spojrzenia z ukosa, które zazwyczaj poświęca się komuś, kto nosi sukienkę.

Za nimi toczyły się kolejne wozy.

- Niania mówiła, że możemy zyskać na czasie przez zmianę skóry – powiedziała Agnes i ruszyła naprzód, kiedy ostatni wóz przejechał terkocząc przed nimi.

- Nie rozumiem?

- Tak właśnie myślałam. Przyzwyczajasz się.

Chwyła się tylniej burty wozu, machając do Oatsa, by podążył za nią.

- Próbujesz zrobić na mnie wrażenie – zapytał, kiedy wciągała go na pokład.

- Nie o ciebie chodzi – odpowiedziała. I w tej chwili uświadomiła sobie, że to na czym siedzi jest trumną. Na wozie znajdowały się dwie, obłożone dookoła snopkami.

- Przewożą swoje meble? – powiedział Oats.

- Eee... Myślę... Myślę, że te mogą być... zajęte – wycodziła Agnes.

Niemal wrzasnęła, kiedy niespodziewanie podniósł wieko. Trumna była pusta.

- Ty kretynie! W środku mógł ktoś leżeć!

- Wampiry w czasie dnia są osłabione. Wszyscy to wiedzą – powiedział z wyrzutem.

- Wyczuwam ich... są blisko – stwierdziła Agnes. Stukot kół zmienił się, gdy wóz wjechał na bruk zamkowego dziedzińca.

- Zobaczmy zatem, co jest w drugiej.

- Nie sądzę...

Odepchnął ją lekko i uniósł wieko, zanim zdążyła zaprotestować. – Nie. W tej też nie ma żadnego wampira. – powiedział.

- Domyśliłam się. Gdyby tu był, właśnie trzymałby cię za gardło.
 - Om jest moją Tarczą – powiedział kapłan.
 - Naprawdę? Jak miło.
 - Nabijasz się...
 - Wcale się nie nabijam.
 - Wszystko mi jedno. Jestem pewien, że postępuję właściwie. Czyż Sonaton nie pokonał Bestii Batrigore w jej okropnej jaskini?
 - Nie mam zielonego pojęcia.
 - Pokonał. A prorok Urduren? Czyż nie zwyciężył Smoka Slutha na Równinie Gidral, walcząc z nim trzy dni i trzy noce?
 - Nie sądzę, że to odpowiedni czas na...
 - I czyż nieprawdą jest to, że Synowie Smutku pobili władców Myrilomu?
 - Pobili.
 - Słyszałaś o tym?
 - Nie. Posłuchaj... tracimy czas. Nie chciałabym, żeby nas znaleźli, wiesz? Jeszcze nie teraz. I wolałabym, żeby nie byli to ci poganiacze. Na mój gust, nie wyglądają na miłych ludzi.

Wymienili znaczące spojrzenia nad trumnami, dotyczące czekającej ich, nieuniknionej przyszłości.

- Nie domyślą się? Przecież trumny będą cięższe – powiedział Oats.
 - Furmani nie wyglądali na takich, którzy zwrócili by uwagę na cokolwiek.

Agnes wpatrywała się w trumnę. Na dnie znajdowało się trochę ziemi, ale poza tym była całkiem czysta a w miejscu głowy znajdowała się poduszka. W podszewce były też jakieś kieszenie.

- To jedyna droga, żeby dostać się do środka – powiedziała. – Ty wejdiesz do tej, a ja schowam się w tej... Słuchaj... a ci wszyscy ludzie, o których mówiłeś... Istnieli naprawdę?
 - Oczywiście, przecież oni...
 - Cóż, a każdym bądź razie nie próbuj ich naśladować, dobrze? Inaczej też staniesz się postacią historyczną.

Zamknęła wieko, wciąż wyczuwając w pobliżu wampira.

Sięgnęła do bocznej kieszeni. Znajdowało się w niej coś miękkiego, zakończonego czymś ostrym. Badała to z przeraźliwą fascynacją i odkryła, że to zwykły kłębek wełny z wetkniętymi weń drutami. Albo ktoś wyznawał tu dziwną, domową formę wiary albo po prostu dział skarpetę. Kto mógł robić na drutach w trumnie? Swoją drogą, nawet wampiry mogły mieć niekiedy kłopot ze snem i wierciły się w trumnie przez cały dzień.

Wstrzymała oddech, kiedy poczuła, że trumna się unosi. Zastanawiała się dokąd mogli je zabierać. Potem usłyszała odgłos kroków na bruku i stukot na płytach głównego dziedzińca, odbijający się echem w wielkiej sali, z wolna cichnąc.

To muszą być lochy. Przecież to logiczne... ale niedobrze.

Chcesz zrobić na mnie wrażenie, co?, powiedziała Perdita. Chcesz być ruchliwą ekstrawertyczną.

Zamknijże się, pomyślała Agnes.

- Fołóście je tam – odezwał się głos na zewnątrz. – Mofecie oddejfć.

To ten, który ma na imię Igor.

Agnes żałowała, że nie pomyślała o zabraniu... broni.

- Pozbyć się mnie? – głos oddalał się przy wtórnie cichnących kroków. – To się źle skończy. Kto fędzie fyciągał ich głofy ze słojfów marynat? Kto ich fydobędzie, jak fpadną w pferębel? Fyciągałem fięcej ostfych kołkóf niż offymyfałem sfiężych posiłkóf!

Zalał ją blask świec, kiedy wieko uniosło się niespodziewanie.

Igor gapił się na Agnes. Agnes gapiała się na Igora.

Igor zaczął pierwszy. Uśmiechnął się – miał geometrycznie ciekawy uśmiech, z powodu rzędu szwów, biegnących w poprzek ust – i powiedział – A niech mnie! Ktosik nafluchał się za dużo opofiastek, co? Pefnie maf ze fobą fosnek?

- Całe tony – powiedziała Agnes leżąc w bezruchu.
- Nie zadziała. A może świecona woda?
- Hektolitry.
- Cóf...

Wiek trumny uderzyło go w głowę, z dziwnie metalicznym odgłosem. Sięgnął wolno ku głowie, pocierając trafione miejsce. A potem się odwrócił. Tym razem wieko trafiło go prosto w twarz.

- O... cholefa! – powiedział i upadł. Agnes ujrzała promieniującą prawością i adrenaliną, twarz Wielebnego Oatsa.

- Potężnie go walnąłem!
- Tak, tak... ale chodźmy stąd. Pomóż mi wstać!
- Gniew mój spadł na niego, jako...

- To było ciężkie wieko, a on nie jest już młodzieniaszkiem – przerwała mu Agnes. – Popatrz... bywałam tu kiedyś. Możemy się tędy dostać do tylnych schodów.

- To nie był wampir? Przypominał jednego z nich. Pierwszy raz widziałem tak pozszywanego człowieka.

- To sługa. Chodźmy już, proszę - powiedziała Agnes, a potem stanęła, jak wryta. – Potrafisz zrobić święconą wodę?

- Co? Teraz?

- To znaczy jakoś ją pobłogosławić, albo poświęcić Omowi, czy coś... albo zgotować w niej jakieś piekło dla tych kreatur? – spytała.

- Jest taki prosty obrzęd... – powiedział. – Ależ tak! Wampira można powstrzymać wodą święconą!

- Dobrze. W takim razie, poszukajmy kuchni.

Zamkowe kuchnie niemal zupełnie opustoszały. Jednak normalnie też nie krzątało się po niej wielu ludzi, ponieważ królewska para nie była z rodzaju tych, które wymagały trzech dań mięsnych w każdym posiłku. W tej chwili Pani Scorbic, kucharka, spokojnie wałkowała ciasto.

- Dzień dobry, Pani Scorbic – powiedziała Agnes. Najlepszym sposobem była teraz oficjalna defilada oparta na mocy szpiczastego kapelusza. – Proszę się nami nie przejmować. Zajrzeliśmy tylko po trochę wody. Wiem, gdzie jest pompa... Potrzebuję tylko kilka pustych butelek.

- Dobrze, kochanie – powiedziała pani Scorbic.

Agnes zatrzymała się i obróciła na pięcie.

Pani Scorbic była osobą absolutnie uszczypliwą, zwłaszcza kiedy w grę wchodziły kielki soi, kotlety orzechowe, posiłki wegetariańskie i wszelkie rośliny, które nie robiły się żółte po ugotowaniu. Nawet Król bał się pojawiać w kuchniach, ale on napotykał najwyżej gniewną ciszę. Zwykłych śmiertelników trafiała pełna moc jej gniewu. Pani Scorbic była wiecznie rozgniewana, tak jak góry są zawsze wielkie.

Dzisiaj ubrana była w białą suknię, biały fartuch, wysoką białą czapkę i biały bandaż wokół szyi. Wyglądała również na – to jedyne słowo jakie przychodziło na myśl, kiedy się na nią patrzyło – szczęśliwą.

Agnes wskazała Oatsowi drogę do pompy. – Poszukaj czegokolwiek, co można napełnić wodą – syknęła, a potem powiedziała pogodnie – Jak się pani czuje, pani Scorbic?

- Znakomicie, dziękuję za troskę, panienko.
- Przypuszcza, że ma pani wiele roboty z tymi wszystkimi gośćmi?
- Owszem, panienko.

Agnes zakaszlała. – A... eee... co podała im pani na śniadanie?
Potężne, krzaczaste brwi kucharki zmarszczyły się – Nie mogę sobie przypomnieć, panienko.
- Świetnie.
Oats szturchnęła ją z tyłu – Mamy kilka butelek. Odprawiłem nad nimi Obrzęd Oczyszczenia.
- I to podziała?
- Trzeba w to wierzyć.
Kucharka przyglądała im się życzliwie.
- Dziękujemy, pani Scorbic – powiedziała Agnes. – Proszę kontynuować... cokolwiek pani robiła.
- Dobrze, panienko. – odpowiedziała kucharka i wróciła do wałkowania ciasta.
Będzie z niej dużo posiłków, powiedziała Perdita. Kucharka i spiżarnia w jednym.
- To niesmaczne! – zganiała ją Agnes.
- O co chodzi? – zapytał duchowny.
- Och... pomyślałam o czymś. Pójdziemy na górę tylnymi schodami.
Były zrobione z nagich kamieni a na każdym poziomie łączyły się drzwiami z dostępnymi dla wszystkich częściami wieży. Po drugiej stronie każdego drzwi także były kamienne posadzki, ale lepiej wykonane, pokryte gobelinami i dywanami.
Agnes otworzyła drzwi.
Wzdłuż korytarza maszerowało kilku ludzi z Uberwaldu, niosąc coś przykrytego kocami. Nie zwracali uwagi na przybyszów. Agnes podążyła wprost do królewskich apartamentów.
Kiedy weszli do środka, zobaczyli Magrat, stojącą na krześle. Spojrzała w dół. W jej uniesionej dłoni zaplątane były sznurki, zakończone kolorowymi gwiazdkami i zwierzątkami.
- Co za czarostwo! – mruknęła. – Może się wydawać, że to proste! Cześć, Agnes. Mogłabyś przytrzymać krzesło.
- Co robisz? – spytała Agnes, przyglądając się uważnie. Nie dostrzegła bandażu wojół szyi Magrat.
- Próbuję przyczepić to ruchome coś do kandelabru – wyjaśniła Magrat. – Uff... no i zrobione! Niech to, wciąż się płacze... Verence powtarza, że małe dzieci powinny oglądać dużo kolorów i kształtów. Twierdzi, że to przyspiesza rozwój. Jednak nie mogłam się doszukać Millie.
W zamku roi się od wampirów a ona upiększa pokój dziecinny, powiedziała Perdita. Czy w tym drzeworycie nie ma nic niewłaściwego?
Jednak Agnes nie potrafiła zmusić się, by ją ostrzec. Na dodatek krzesło chwiało się niebezpiecznie.
- Mała Esmeralda ma dopiero dwa tygodnie – powiedziała w końcu. – Nie jest trochę za mała na edukację?
- Verence mówi, że na naukę nigdy nie jest za wcześnie – powiedziała nie bez przekonania królowa. – Co mogłabym dla ciebie zrobić?
- Musisz pójść z nami. Zaraz.
- Dlaczego? – spytała Magrat i – ku radości Agnes – zeszła z krzesła.
- Dlaczego? Magrat! W zamku są wampiry! Cała rodzina Srokacz, to wampiry!
- Nie wygłupiaj się! To tacy mili ludzie. Rozmawiałam rano z Hrabinią...
- O czym? – chciała wiedzieć Agnes. – Założę się, że nie możesz sobie przypomnieć!
- Rozmawiasz z Królową, Agnes – upomniała ją z wyrzutem Magrat.
- Przepraszam... ale oni potrafią opanować ludzki umysł...
- Twój również?

- Hm, nie bo ja mam... To znaczy, jestem... Sądzę, że jestem na to uodporniona – skłamała Agnes.

- A jego? – spytała ostro Magrat.

- Chroni mnie moja wiara w Wszechmocnego Oma – powiedział dumnie Oats.

Magrat uniosła brwi i spojrzała pytająco na Agnes. – On tak zawsze?

Agnes wzruszyła ramionami. – Przeważnie.

Magrat pochyliła się bliżej – Może się upił, co? Trzyma dwie butelki...

- To woda święcona – szepnęła Agnes.

- Verence mówił, że omianizm to prężna i rozsądna religia – syknęła Magrat.

Obie spojrzały na Oatsa, dopasowując w myślach słowa do jego wyglądu.

- Idziemy czy nie? – powiedział zakłopotany.

- Pewnie, że nie! – wrzasnęła Magrat wyprostowując się. – To przecież bez sensu, Agnes. Tak się składa, że jestem mężatką... i Królową. Mam małe dziecko! A ty przychodzisz do mnie i wmawiasz mi, że zaprosiłam tutaj wampiry i...

- Właśnie. Ci goście są wampirami, wasza wysokość – przerwała jej Agnes. – Król ich zaprosił.

- Verence mówi, że powinniśmy się nauczyć współpracować z istotami wszelkiego rodzaju...

- Myślmy, że Babcia Weatherwax ma poważne kłopoty – powiedziała Agnes.

Magrat umikła. – Bardzo poważne? – spytała.

- Niania Ogg się martwi. Jest kłębkim nerwów. Kazała przekazać, że trzeba naszej trójki, byśmy ją odnalazły.

- Cóż, ale ja...

- Babcia zabrała ze sobą pudełko. Cokolwiek by to miało znaczyć – dodała Agnes.

- To, które zawsze trzyma w kredensie?

- Tak. Niania nie wyjaśniła mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Magrat rozłożyła ręce, niczym wędkarz chwalcący się średniego rozmiaru rybą.

- Polakierowane drewniane pudełko? Tej wielkości?

- Nie mam pojęcia. Nigdy go nie widziałam. Niania sprawiała wrażenie, jakby to było coś ważnego. Nie wyjaśniła mi jednak, o co w tym wszystkim chodzi – powtórzyła Agnes, na wypadek gdyby Magrat nie zrozumiała aluzji.

Magrat przycisnęła dłonie do ust i wpatrywała się w podłogę, gryząc kłykcie. Kiedy podniosła wzrok, wyraz jej twarzy zdradził jej zamiary. Wskazała na Oatsa.

- Poszukasz jakiejś torby, albo czegokolwiek i zapakujesz wszystko, co znajdziesz w najwyższej szufladzie. Weźmiesz też nocniki i mały wózek, ach... i pluszowe zwierzątko, i torbę pieluch i jakąś torbę do zużytych pieluszek, i wanienkę, i ręczniki i pudełko zabawek, i coś do zawinięcia, i pozytywkę, i torbę z maleńkimi ubrankami, och... i wełnianą czapeczkę... a ty, Agnes poszukaj czegoś, co może posłużyć za nosidełko. Weszliście tylnymi schodami? Wyjdziemy w ten sam sposób.

- Po co nam nosidełko?

Magrat pochyliła się nad kołyską i wyjęła, zawinięte w kocyk, dziecko.

- Miałaby zostawić ją samą? – spytała.

Z miejsca, gdzie znajdował się Oats dobiegł brzęk. Obie ręce miał pełne a w zębach trzymał wielkiego, pluszowego królika.

- Na pewno potrzebujemy tego wszystkiego? – spytała Agnes.

- Nigdy nic nie wiadomo – odpowiedziała Magrat.

- Nawet pudło z zabawkami?

- Verence uważa, że może zostać małym konstruktorem – wyjaśniła Magrat.

- Przecież ona ma dopiero kilka tygodni!

- Tak, jednak bodźce w wczesnym dzieciństwie są istotne dla rozwoju dojrzewającej psychiki – powiedziała Magrat, przebierając małą Esme w dziecięcy kombinezon. – Poza tym musimy ją wzmacniać jej koordynację, kiedy to tylko możliwe. Nie możemy pozwolić jej, by wiecznie raczkowała. Ach, tak... zabierz też małą zjeżdżalnię. I tą gumową, żółtą kaczuszkę. I gąbkę w kształcie misia. I misia w kształcie gąbki.

Ze stosu, w którym tkwił Oats dobiegł kolejny brzęk.

- Dlaczego pudełko jest takie ważne? – spytała Agnes.

- Wcale nie jest takie ważne – powiedziała machinalnie Magrat, oglądając się przez ramię. – Och, mógłbyś zapakować jeszcze tą szmacianą lalkę? Myślę, że bardzo ją interesuje... Och, niech to... zapomniałabym, jeszcze ta czerowna torba z lekarstwami...
Dziękuję! Pytałaś mnie o coś?

- Pudełko Babci – podpowiedziała Agnes.

- Och... jest ważne wyłącznie dla niej.

- Jest magiczne?

- Co? Ależ nie... o ile mi wiadomo. Jednak wszystko, co w nim jest należy tylko do niej. Nie do chatki – wyjaśniała Magrat, podnosząc córkę. – Kto jest kochanym ciukiereczkiem mamusi? Właśnie... ty! – rozejrzała się dookoła. – Niczego nie zapomnieliśmy?

Oats wypuł królika – Prawdopodobnie sufitu – powiedział.

- Więc, chodźmy.

* * *

Sroki latały wokół zamkowej wieży. Większość wierszyków o srokach, kończy się na dziesięciu, najwyżej dwunastu wersach, jednak tutaj tłoczyły się setki ptaków, co mogło zaspokoić nawet najbardziej wybrednego poetę. Istnieje wiele wierszyków, ale żaden z nich nie jest wart zaufania. Żaden nie mówi, że sroki wiedzą wiele o sobie wiedzą.

Hrabia siedział poniżej, w ciemności wsłuchując się w ich umysły. Obrazy tańczyły przed jego oczami. Był to jego sposób władania tym krajem. Ciężko odczytać ludzkie umysły, jeśli nie znajdowali się wystarczająco blisko, tak że można było niemal widzieć słowa unoszące się zwyczajnie, zanim cokolwiek powiedzieli. Jednak ptaki mogły dostać się wszędzie. Widzą każdego rolnika w polu i myśliwego w lesie. I nasłuchują. Lepiej niż nietoperze i szczury.

Po raz kolejny stało się wbrew tradycji.

Mimo wszystko nie dostrzegł ani śladu Babci. To mógł być podstęp. Jednak to nieważne. Kiedyś sama go znajdzie. Nie może ukrywać się zbyt długo. To wbrew jej naturze. Weatherwaxowie zawsze są gotowi podjąć wyzwanie, nawet jeśli wiedzą, że przegrają. Są tacy przewidywalni.

Kilka ptaków dostrzegło małą, zapracowaną postać z mozołem posuwającą się przez królestwo, ciągnącą za sobą osła, załadowanego sprzętem do polowania z sokołem. Hrabia przyglądał się Hodgesaarghowi. Znalazł umysł wypełniony po brzegi myślami o sokołach. Zostawił go w spokoju. Ten człowiek i jego głupie ptaki... kogo to obchodzi. Tylko denerwowały sroki. Trzeba się go pozbyć. Sporządził notatkę, że musi wspomnieć o nim straży.

* * *

- Aaaaauooooou!

...nie istnieje żaden sposób zapisu samogłosek, oddający w pełni okrzyk Niani Ogg, który wydała na widok małego dziecka. Zawierał w sobie dźwięki znane tylko kotom.

- Czy to maleństwo nie jest śliczne? – zanuciła pod nosem. – Mam tutaj gdzieś jakiś cukiereczek...

- Nie je jeszcze twardych rzeczy – powiedziała Magrat.

- Wciąż nie daje ci spać po nocach?

- I dniach. Dzisiaj, chwala bogom, śpi wyjątkowo dobrze. Nianiu, oddaj ją panu Oatsowi i wyjaśnijmy wszystko bezzwłocznie.

Młody kapłan wziął dziecko i trzymał je jak, coś co może się stłuc lub w każdej chwili eksplodować.

- Ti, ti, ti.. – powiedział niewyraźnie.

- A zatem... co takiego stało się Babci? – zapytała Magrat.

Opowiedziały jej wszystko, spierając się w niektórych, ważnych momentach.

- Zniekształcone miejsce? Po drugiej stronie lasu? – spytała Magrat, kiedy zbliżały się do końca.

- Właśnie – odpowiedziała Niania.

- Co to za zniekształcone miejsce? – dopytywała się Agnes.

- Góry niemal kipią magią, rozumiesz? – powiedziała Niania. – Wszyscy wiedzą, że kiedyś, kiedy powstawały góry, wielkie masy ziemi zderzały się ze sobą. A więc, kiedy magia została złapana w pułapkę... a tak się właśnie stało... część ziemi znajduje się właśnie na tej samej przestrzeni... to znaczy... zostaje zgnieciona, rozumiesz? Może byłoby większe, gdyby mogło... ale to, tak jakby... odrobina zdeformowanego drewna w całym drzewie... albo zgnieciona chusteczka... wszystko się zgniata, ale wciąż jest wielkie. Trzeba tylko spojrzeć z innej strony i...

- Przecież byłam tak wiele razy i jestem pewna, że nie ma tam niczego. Tylko wrzosowiska.

- Stałaś po odpowiedniej stronie – powiedziała Niania. – Cholernie ciężko zobaczyć takie miejsce przez szklaną kulę. Obraz jest całkiem zatrząsiony. Tak jakbyś patrzyła na coś, co jest jednocześnie blisko i daleko. Wypełnia kulę, jakby to było akwarium.

- Dobrze. Dajcie mi trochę mocy, a ja postaram się naprowadzić...

- Eee... będziecie tu odprawiać jakieś czary? – zapytał Oats, zaglądając im przez ramiona.

- A w czym problem? – burknęła Niania.

- Chodzi o to, czy będziecie musiały... eee... – poczerwieniał na twarzy. – Eee... zdejmować z siebie części garderoby, tańczyć w koło oraz przywoływać lubieżne istoty? Chciałem zaznaczyć, że nie mogę brać w tym udziału. Księga Oma kategorycznie zabrania kontaktów z obłudnymi magami i czarow... wróżkami.

- Nigdy w życiu nie kontaktowałam się z żadnymi obłudnymi magami – stwierdziła Niania. – Za każdym razem odpadają im te ich sztuczne brody.

- Jesteśmy tak prawdziwe, jak to tylko możliwe – wyjaśniła Magrat.

- I na pewno nie przyzywamy jakichś sprośnych czy lubieżnych kreatur – dodała Agnes.

- Chyba, że nie będzie innego wyjścia... – mruknęła pod nosem Niania Ogg.

- Acha... w takim razie... wszystko w porządku – powiedział niepewnie Oats.

Kiedy użyli mocy, Agnes usłyszała, jak Perdita mówi – Co się dzieje z Magrat? Nie jest taka, jaką ją znałam. Cóż, na pewno nie jest. Bierze na siebie ten ciężar i nawet się nie waha. Nie jest już taka CKLIWA. To dlatego, że jest matką. Matki bywają zaledwie odrobinę CKLIWE.

Agnes nie rozumiała istoty powszechnie celebrowanego macierzyństwa. Przecież to takie... nieuniknione. Nawet nie za bardzo trudne. Nawet koty były do tego zdolne. Jednak kobiety zachowywały się, jakby dostawały odznaczenie, które upoważniało je, by rządzić

wszystkimi dookoła. Działo się tak zawsze, kiedy otrzymywały etykietkę „MATKA”. A wszystkich pozostałych traktowały tak, jakby nosili małe tabliczki z napisem „DZIECKO”...

Wzruszyła w myślach ramionami i skoncentrowała się na robocie.

Światło migotało wewnątrz zielonej kuli. Wcześniej korzystała ze szklanej kuli kilka razy, jednak jakoś nie przypominała sobie podobnie pulsującego światła. Zazwyczaj migotał przez chwilę, poczym rozwiewało się i obraz stabilizował się.

Wrzosowisko... drzewa... deszczowe chmury...

Przez moment pojawiła się postać Babci. Obraz ukazywał się i znikał a potem rozgorzała luna, która mówiła, że... to już wszystko, kochani.

- Położyła się – powiedziała Agnes. – Wszystko było takie zamazane.

- A więc jest w jednej z tych jaskiń. Powiedziała kiedyś, że pójdzie tam, kiedy będzie chciała zostać sam na sam ze swoimi myślami. – przypomniała sobie Niania. – Wyczułyście te wibracje? Próbowała nas powstrzymać!

- Te jaskinie... Przecież to tylko wgłębienia w skałach – powiedziała Agnes.

- Owszem... ale niezupełnie. – powiedziała enigmatycznie Niania. – Jeśli wzrok mnie nie mylił, widziałam w jej rękach jakąś kartkę?

- „NIE JESTEM MARTFA”. Czy o to ci chodzi? – zapytała Magrat.

- Nie... zostawiła ją w chatce.

- Teraz, kiedy tak jej potrzebujemy odchodzi medytować do jaskiń?

- Może nie wie, że jest potrzebna? Może nie wiedziała o wampirach? – dopytywała się Agnes.

- Może, po prostu, pójdziemy i ją o to zapytamy? – zapytała Magrat.

- W żadnym wypadku nie wolno nam tam polecieć – powiedziała Niania, drapiąc się w podbródek. – Zresztą i tak nie mogłybyśmy tego zrobić nad zniekształconym miejscem. Miotły śmiesznie się zachowują.

- W takim razie pójdziemy pieszo – powiedziała Magrat. – Do zachodu mamy mnóstwo czasu.

- Nie nabawisz się odcisków? – spytała zdumiona Agnes.

- Tak, jasne.

- Ale co z dzieckiem?

- Wydaje się, że podoba się jej w nosidełku. Ma tam ciepłutko. Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy spotkali jakies potwory – powiedziała królowa. – Jestem zdania, że można pogodzić macierzyństwo z karierą zawodową.

- Wydawało mi się, że zrezygnowałaś z czarownictwa? – powiedziała Agnes.

- Tak... no, cóż... owszem. Upewnię się tylko, czy z Babcią wszystko w porządku, doprowadzę to do normalnego stanu a potem, wiadomo, będę miała co innego na głowie.

- To może być niebezpieczne! – spróbowała Agnes. – Prawda, Nianiu?

Niania Ogg obróciła się na krześle i przyjrzała się badawczo dziecku.

- Kuci-kuci? – spytała.

- Mała główka poruszyła się i Esmę otworzyła swoje niebieskie oczka.

Niania Ogg wpatrywała się w nią, zamyślona.

- Zabieramy ją z nami – powiedziała w końcu. – Brałam naszego Jasona wszędzie, kiedy był malutki. Dzieci powinny przebywać z mamą.

Znowu dokładnie przyjrzała się dziecku. – Tak – dodała – uważam, że to cholernie dobry pomysł.

- Eee... wydaje mi się, że jest ociupinkę za mała, więc może... przydam się, żeby... – wydukał Oats.

- Och, nie możesz iść z nami. To zbyt niebezpieczne – powiedziała stanowczo Niania.

- Jednak, chciałbym żebyście wiedziały, że będę się za was modlił.

- To takie miłe – powiedziała Niania, teatralnie pociągając nosem.

Mżawka przemoczyła Hodgesaargha, który uparcie podążał przed siebie, wracając do zamku. Wabik wypełnił się wodą i wydawał teraz dźwięk, który mógł przyciągnąć jedynie jakieś dziwaczne, zaginione stworzenia, czające się w prastarych ujściach rzek. Albo zachrypniętą owcę.

Nagle usłyszał szczebiotanie srok.

Przywiązał osła do młodego drzewka i popędził ku polance. Ptaki wrzeszczały dookoła, jednak na widok Króla Henry'ego, siedzącego na żerdzi przymocowanej do osła, czmychnęły, czym prędzej na gałęzie drzew.

Sokolnik przycupnął przy porośniętej mchem skałce, która okazała się...

...małą sroką.

Wyglądała, jakby została brzydka, kanciasta rzeźba, stworzona przez kogoś, kto kiedyś widział jedną ze srok, ale nie do końca wiedział, jak funkcjonują ptaki. Kiedy go zobaczyła, próbowała się poderwać... a potem nastroszyła piórka i zmieniła się w małą kopię Króla Henry'ego, próbująca rozwinąć swoje poszarpane skrzydła.

Cofnął się. Zakapturzony sokół obrócił głowę w kierunku dziwnego ptaka...

...który teraz był gołębiem. Drozdem. Strzyżykiem...

Hodgesaargh odruchowo zasłonił oczy, ale wciąż czuł blask przenikający skórę jego palców, wyczuwał podmuch płomienia i zapach palonych włosów na swojej dłoni.

Kilka kepek trawy tliło się na brzegu okręgu wypalanej ziemi. Wewnątrz kręgu znajdowało się kilka żalonych kostek, tłących się czerwonym blaskiem, a po chwili nawet one rozpadły się w delikatny popiół.

Gdzieś w lesie sroki znowu zaczęły wrzeszczeć.

* * *

Hrabia Srokacz drgnął w mroku swej komnaty i otworzył oczy. Źrenice poruszyły się, łapiąc więcej światła.

- Sądzę, że odeszła na dobre – powiedział.

- To stało się stanowczo za szybko – powiedziała Hrabina. – Mówiłeś przecież, że jest nadzwyczaj potężna.

- Och, w rzeczy samej. Jednak mimo tego, wciąż jest istotą ludzką. Starzeje się, ot co! Z wiekiem człowiek nabywa wątpliwości. To proste... Samotna w swej pustej chatce, bez towarzystwa w blasku świec... To przypomina trochę pożar lasu, kiedy nagle wiatr zmienia kierunek i ryczące płomienie niszczą wszystkie te domy, które wydawały się takie solidne.

- Bardzo obrazowa metafora.

- Dziękuję, kochanie.

- Pamiętam Escrow. Byłeś z niego taki dumny...

- Stereotypy to przeszłość. Wampiry i ludzie, w idealnej harmonii. Zawsze powtarzałem, że nie ma powodów do wzajemnych animozji.

Hrabina zbliżyła się do okna i ostrożnie odciągnęła zasłony. Przez chmury sądziło się szare światło.

- Nie musisz być taka ostrożna – powiedział jej mąż, stając za nią i jednym ruchem odciągając zasłonę. Hrabina wzdrygnęła się i odwróciła twarz.

- Widzisz? Zupełnie niegroźne. Każdego dnia stajemy się coraz lepsi – powiedział radośnie Hrabia Srokacz. – Dzięki nam samym. Dzięki pozytywnemu myśleniu. Dzięki ćwiczeniom. I dzięki temu, że jesteśmy rodziną. Czosnek? Wyśmienita przyprawa! Cytryny? Po prostu jeden ze smaków! A wczoraj nawet zgubiłem gdzieś skarpetę i... po prostu nie obchodzi mnie to! Mam wiele skarpet! Mogę zamówić ich więcej! – Uśmiech spłynął z jego twarzy, kiedy spojrzał na żonę.

- Wciąż na końcu języka trzymasz to swoje „ale” – powiedział ponuro.
- Chcę tylko przypomnieć, że w Escrow nie było czarownic.
- To miejsce jest jeszcze lepsze!
- Owszem, ale...
- Znowu zaczynasz, moja droga. Musimy wyrzucić słowo „ale” z naszego słownika. O dziwo, Verence miał rację! Świat się zmienia. Nadchodzi nowy porządek i nie będzie już miejsca dla tych małych, okropnych gnomów, czarownic czy centaurów. A zwłaszcza dla tych ognistych ptaków, niech je demony! Nie są stworzone, by żyć!
- Jednak udało ci się jedynie zranić tego feniksa.
- To tylko potwierdza moje słowa. Dał się ranić, więc grozi mu śmierć! Nie, moja droga... Jeśli nie możemy skończyć z przeszłością, musimy dokonać paru zmian w nowym świecie. Czarownice? Niestety, wszystkie czarownice należą do przeszłości...

* * *

Miotły – wciąż jeszcze w teraźniejszości – wylądowały na brzegu lasu, tuż przy wrzosowisku. Agnes stwierdziła, że miejsce to nawet nie zasługiwało, by je tak nazywać. Bez specjalnego wysiłku, można było usłyszeć szmer strumyczka po drugiej stronie polany.

- Nie widzę niczego, co by wyglądało na zdeformowane – stwierdziła Agnes. Wiedziała, że to głupia uwaga, ale obecność Magrat, w jakiś sposób, działała jej na nerwy. Niania spojrzała na niebo. Spojrzenia pozostałych wiedźm podążyły za jej wzrokiem.

- Teraz tego nie widzisz, ale jeśli dobrze się skupisz, zrozumiesz – powiedziała kobieta. – Można to zobaczyć dopiero z wrzosowiska.

Agnes wpatrywała się w chmury, mrużąc oczy.

- Och... wydaje mi się, że widzę – powiedziała Magrat.

Założę się, że niczego nie widzi, syknęła Perdita. Bynajmniej ja nic nie widzę.

I w tym momencie Agnes ujrzała... Było to zbyt skomplikowane, by dostrzec na pierwszy rzut oka. Przypominało połączenia między szklanymi płytami i wydawało się oddalać, kiedy była już pewna, że to widzi. Istniała jednak jakaś... niezgodność. Migotanie obrazu na krawędziach.

Niania polizała palec i wystawiła go do wiatru. A potem wskazała. – Tędy. I... zamknijcie oczy.

- Nie widzę ścieżki – stwierdziła Magrat.

- Właśnie. Złap moją rękę a Agnes chwyci twoją. Byłam tutaj kilka razy i to wcale nie takie trudne.

- Brzmi to, jak opowiadka dla małych dzieci – mruknęła Agnes.

- Aha! Teraz to poczujecie... Przeniknie nas do szpiku kości – wyjaśniała Niania. – Idziemy... Idziemy...

Agnes czuła wrzos łaskoczący jej stopy. Otworzyła oczy.

Wrzosowisko rozciągało się daleko w każdą stronę, nawet tam skąd przyszły. Atmosfera stała się bardziej mroczna, chmury wyglądały na cięższe i zaczął wiać bardziej przenikliwy wiatr. Góry zdawały się leżeć gdzieś daleko. Z oddali dobiegał huk płynącej wody.

- Gdzie teraz jesteśmy? – spytała Magrat.

- Wciąż tutaj – powiedziała Niania. – Pamiętam, jak mój tato opowiadał czasami o jeleniach i innych zwierzakach, które zagonione w polowaniu uciekały właśnie w to zniekształcone miejsce.

- Musiały być zdesperowane – powiedziała Agnes. Wrzos miał tutaj ciemniejszy odcień, a jego dotyk wydawał się bardziej drażliwy. – Wszystko jest tu takie... paskudne.

- Podobno dużą rolę odgrywa nastrój – powiedziała Niania. Kopnęła w coś nogą.

Był to... cóż, był to zwykły kamień. Jednak tutaj wydawał się być jakby fałszywym kamieniem. Mech pokrywał go grubą warstwą.

- Znak. Trudno się stąd wydostać, jeśli się o nich nie wie – wyjaśniła Niania. – Idziemy w kierunku gór. Magrat, dobrze opatuliliś Esme? Małą Esme, ma się rozumieć.

- Ona śpi.

- Dobrze – powiedziała Niania tonem, który wydawał się Agnes jakiś dziwny. – Więc wszystko w porządku. Chodźmy. Pomyślałam, że możemy potrzebować...

Zaczęła szperać w nieskończonym magazynie swych pończoch, aż wydobyła kilka par skarpet, tak grubych, że z łatwością mogły stać pionowo.

- Lancrańska wełna – wyjaśniła. – Nasz Jason dzierga je wieczorami. Wiecie, jakie ma silne paluchy. Z łatwością mógłby orać nimi ziemię.

Wrzos uparcie czepiał się wełny, kiedy kobiety ruszyły dalej przez wrzosowisko. Słońce nadal świeciło – w każdym bądź razie było jaśniejszą plamą na zachmurzonym niebie – jednak ciemność zdawała się wylewać z pod ziemi.

Agnes... odezwała się Perdita ze swojej części umysłu.

O co chodzi?, zapytała w myślach Agnes.

Niania o czymś myśli. To coś związanego z dzieckiem i Babcią. Zauważyłaś?

Wiem, że Niania spogląda na Małą Esme, jakby wahała się nad podjęciem jakiejś decyzji – odpowiedziała Agnes – jeśli właśnie o to ci chodzi.

Właśnie! Myślę, że w grę wchodzi Pożyczenie...

Uważasz, że Babcia wykorzystuje dziecko, żeby mieć nas na oku?

Nie wiem. Coś tutaj się dzieje...

Huk z przodu przybrał na sile.

- Powinien tam płynąć maleńki strumyk, prawda? – spytała Agnes.

- Racja – przyznała Niania. – O tutaj.

Wrzosowisko opadało ku otchłani, która wydawała się bezdenne. Była olbrzymia. Daleko, w dole, ledwie widoczna płynęła biała wstęga wody. Zimne, wilgotne powietrze uderzyło w ich twarze.

- To nie może być prawdziwe – szepnęła Magrat. – Jest szerszy i głębszy od wąwozu Lancre!

Agnes wpatrywała się w mgłę poniżej. *Ma zaledwie kilka stóp głębokości*, stwierdziła Perdita. *Widzę każdy kamyczek na jego dnie.*

- Perdita uważa, że to... no, że to złudzenie optyczne – powiedziała głośno Agnes.

- Może ma rację – zamyśliła się Niania. – Zniekształcone miejsce, rozumiesz?

Większe od środka.

Magrat podniosła kamień i cisnęła go w otchłań. Odbił się kilka razy, a kiedy straciły go z oczu, słyszały echo jego uderzeń. Rzeka była zbyt daleko, żeby dostrzec rozbryzg wody.

- Wyjątkowo realistyczne złudzenie, prawda? – powiedziała słabym głosem.

- Możemy skorzystać z mostu – powiedziała pokazując Niania.

Spojrzały w tym kierunku. Most wyglądał jak zupełne zaprzeczenie swego przeznaczenia. Przejście przez otchłań mieściło się w granicy prawdopodobieństwa – to znaczy mogły spróbować przejść przez coś niewidzialnego, z nadzieją na przyjazne prądy wznoszące, czy raczej cząstki powietrza, które wpadły by jednocześnie na szalony pomysł popędzenia ku górze. Z równie dużym prawdopodobieństwem mogły skutecznie skorzystać z tego właśnie mostu, chociaż to wydawało się absolutnie śmieszne.

Nie było w nim zaprawy murarskiej. Filary tkwiły w skałach niczym świeżo postawione murowane słupy, na które zrzucono od razu kilka dużych, kamiennych płyt. Rezultat wyglądałby dziwnie, nawet dla pierwotnych ludzi, którzy byli zbyt prymitywni, by znać znaczenie słowa „PRYMITYWNIE”. Most skrzypiał złowieszczo, kołysany wiatrem. Mogły usłyszeć zgrzyt kamienie ocieranego o kamień.

- Nie wygląda dobrze – powiedziała Magrat. – Nie wytrzyma wichury.
- Nie wytrzymałby nawet martwej ciszy – mruknęła Agnes. – Nie wydaje mi się, żeby był prawdziwy.

- Ach, widzę, że nasza przeprawa staje się trochę trudna – powiedziała Niania.

To tylko kamienna płyta położona w poprzek niedużego rowu, obstawała przy swoim Perdita. *Można by przez nią przejechać wozem*. Agnes zamrugła.

- Och, rozumiem – powiedział. – To coś w rodzaju próby? Mam rację? Jesteśmy przygnębione. Za bardzo przerażone tą widmową otchłanią. Perdita jest zawsze pewna siebie, więc tego nie widzi...

- Jednak my widzimy, co tam jest – powiedziała Magrat. – To most.

- Tracimy tylko czas – powiedziała Agnes i ruszyła pewnym krokiem przez kamienne płyty. Zatrzymała się w połowie drogi.

- Lekko kołysz, ale nie jest tak źle – zawołała. – Musicie po prostu...

Płyta, na której stała przesunęła się i nachyliła.

Agnes, w ostatniej chwili, wyrzuciła ręce przed siebie i złapała się krawędzi płyty. Miała silne palce, ale większa część Agnes dyndała poniżej.

Spojrzała w dół. Próbowała się powstrzymać, ale właśnie ten kierunek zajmował teraz większość jej pola widzenia.

Stopę niżej jest tylko woda, naprawdę – powiedziała Perdita. *Wszystko, co musisz zrobić to upaść. Jesteś w tym najlepsza*.

Agnes ponownie spojrzała w dół. Byłby to bardzo długi upadek, pomyślała. I prawdopodobnie nikt nie usłyszy nawet plusku. Otaczała ją wilgotne powietrze, a pod nogami czuła ssącą pustkę.

- Magrat wrzuciła tam kamień! – syknęła przez zęby.

Tak, widziałam. Upadł kilka cali niżej.

- Szybko. Położę się na brzuchu a ty, Magrat złap mnie za nogi – powiedziała konwersacyjnie Niania. Głos dochodził gdzieś z góry, z prawej strony. – Złapię cię za nadgarstki i zacznę odliczać, słyszysz? Jeśli lekko się rozbujasz, może dasz radę oprzeć nogę na którejś z tych kolumn a potem spróbuj się podciągnąć.

- Nie musisz mówić do mnie, jakbym była jakąś przerażoną idiotką! – wrzasnęła Agnes.

- Próbuję tylko być uprzejma.

- Nie mogę poruszać rękami!

- Ależ możesz. Popatrz, teraz cię trzymam.

- Nie mogę ruszyć rękami!

- Bez pośpiechu, mamy cały dzień – uspokajała ją Niania. – Poczekamy, kiedy będziesz gotowa.

Agnes wisiała przez chwilę w bezruchu. Teraz zupełnie nie czuła własnych rąk. Pewnie nawet nie poczuje, kiedy wyśliznie się z uścisku Niani.

Kamienie stękały, ocierając się o siebie.

- Brrr... Nianiu?

- He?

- Mogłabyś porozmawiać ze mną jeszcze trochę? Tak, jakbyś mówiła do jakiejś przerażonej idiotki...

- W porządku.

- Eee... zastanawiam się dlaczego nazywają to dziesięciopensówką? To jakieś przeciwieństwo dziesięciopensówki, czy jak?

- Ciekawe. Może chodzi o...

- Mogłabyś mówić nieco głośniej!? Perdita wydziera się we mnie, że kiedy spadnę, wyląduję w potoku, osiemnaście cali niżej.

- Myślisz, że ma rację?
- Owszem, poza tymi osiemnastoma calami!
Most zaskrzypiał.
- Ludzie rzadko to widzą – powiedziała Niania. – Próbujesz cokolwiek tam robić, kochanie? Sama nie dam rady ciebie wciągnąć, rozumiesz? Moje ręce również cierpną.
- Nie mogę sięgnąć do kolumny!
- Więc puść się – gdzieś zza pleców Nianiu dobiegł głos Magrat.
- Magrat! – warknęła Niania.
- Cóż... a jeśli to rzeczywiście tylko mały strumyk? Może Perdita ma rację?
Zniekształcona ziemia nie może istnieć jednocześnie w dwóch wymiarach, prawda? Jeśli to prawda i rzeczywiście wszystko jest takie, jak ona to widzi... więc czemu po prostu nie pozwolić jej spać? Może w ten sposób będziemy mogły się stąd wydostać?
- Zrobi to tylko w ostateczności! A teraz... zamknij się już!
- Chciałam tylko...
- Nie ty – ona! Och, nie...
Lewa dłoń Agnes – całkiem pobieliała i odrętwiała – zniknęła za krawędzią płyty i wymknęła się z uścisku Nianiu.
- Nie pozwólcie jej tego zrobić! – krzyknęła Agnes. – Będę spadała setki stóp, objając się o ostre skały!
- Tak, ale skoro to i tak się stanie, dlaczego miałabyś nie spróbować? – powiedziała Niania. – Spróbuj zamknąć oczy, jeśli cię...
Prawa ręka Agnes wysunęła się.
Młoda wiedźma zamknęła oczy. Spadała...
...Perdita otworzyła oczy. Stała w strumyku.
- Cholera! – Agnes nigdy nie wyrażała się w ten sposób, w przeciwieństwie do Perdity, która robiła to przy każdej nadających się okazji.
Sięgnęła rękoma do płyty, znajdującej się tuż nad nią, złapała krawędzi i podciągnęła się. Potem ujrzała zdziwioną twarz Niani Ogg. Zacisnęła ręce i odbiła się nogami.
Ta głupia Agnes nigdy nie zrozumie, jaką siłą dysponuje, pomyślała Perdita. Owszem, wie o tych wszystkich mięśniach, ale tak jakby bała się z nich korzystać...
Odbiła się i stanęła na rękach. Powoli zaczęła iść na nich wzdłuż krawędzi mostu. Efekt psuła jedynie spódnica, która opadła jej na oczy.
- Wciąż masz rozdarte majtki na kolanach – powiedziała surowo Niania.
Perdita zgrabnie wylądowała na nogach.
Magrat wciąż jeszcze zaciskała powieki. – Powiedz mi, że to nieprawda, że przeszła na rękach wzdłuż krawędzi!
- Zrobiła to. – powiedziała Niania. – A więc... Dość już tych popisów Perdito. Zmarnowaliśmy dość czasu. Pozwól teraz Agnes przejąć kontrolę nad jej ciałem. Naprawdę należy do niej, wiesz o tym.
Perdita zrobiła gwiazdę – Tylko marnuje to ciało – powiedziała. – A gdybyś wiedziała ile ona je! Wiesz, że ma dwie półki zastawione przytulankami? I lalkami! I jakoś nie może zrozumieć, czemu nie ma powodzenia u chłopaków.
- Nie widzę nic złego w tym, by młodzi ludzie posiadali misia, z którym mogą sypiać, i do którego mogą się przytulić – powiedziała Niania Ogg. – Pamiętasz może starszkę Sleeves, Magrat? Potrzebowała dwóch, kiedy miewała te swoje paskudne ataki.
- Co to ma wspólnego z przytulankami? – spytała podejrzliwie Perdita.
- Właśnie, i co... Ach, oczywiście – powiedziała Magrat.
- Teraz sobie przypomniałam starego dzwonnika z Ohulan – mówiła dalej Niania. – Miał w swojej głowie chyba z siedem osobowości. Trzy kobiety i czterech mężczyzn. Biedny staruszek. Mówił, że zawsze był tym nieparzystym. Owszem, pozwalali mu pracować,

oddychać, jeść... Jednak kiedy zaczynała się zabawa... Pamiętasz? Prawdziwe piekło zaczynało się, kiedy był pijany. Wszyscy w jego głowie zaczęli wtedy walczyć między sobą o lepsze miejsce. A on to wszystko słyszał... Nieraz chodził i gadał do siebie – Teraz! Teraz!

Kiedy Agnes otworzyła oczy, jej szczeka wciąż jeszcze krwawiła.

Niania przyglądała jej się uważnie, pocierając obolałą rękę. Z bliska przypominała przyjacielski stos starego prania.

- Tak, to Agnes – powiedziała, wycofując się. – Jej rysy stają się jakoś ostrzejsze, kiedy jest tą drugą. Widzisz? Wiedziałam, że wróci. Ma w tym praktykę.

Magrat uwolniła jej rękę. Agnes potarła brodę.

- To bolało – powiedziała z wyrzutem.

- Odrobina twardej miłości – wyjaśniła Niania. – Nie mogłam pozwolić, by na dodatek uganiać się jeszcze za Perdita.

- Zwyczajnie chwyciłaś się krawędzi i podciągnęłaś – powiedziała Magrat.

- Czulałam grunt pod nogami! – wyjaśniła Agnes.

- Widziałyśmy – ucięła dyskusję Niania. – Idziemy. To już blisko. Bynajmniej tak mi się wydaje... I nie będziemy się więcej denerwować, jasne? Niektóre z nas mogły spadać dłużej...

Ruszyły dalej. Agnes starała nie zwracać na uparty głos, powtarzający jej, że jest głupim tchórzem i *gdyby to od niej zależało, wcale nie dałaby się uderzyć*.

Jaskinie z zewnątrz wydawały się niewiele większe od skalnych nawisów. Teraz wyglądały jak olbrzymie pieczary. Różnica tkwiła w tej... deformacji i poetyckiej dostojności tego, co oglądały.

- Zniekształcone miejsca przypominają trochę góry lodowe – stwierdziła Niania, wiodąc je ku jednemu z największych, niewielkich wąwozów, jakie widziały.

- Dziewięć dziesiątych tkwi pod wodą? – zapytała Agnes. Podbródek wciąż dawało sobie znać bolesnym pulsowaniem.

- Chodzi mi raczej o to, że jest tego więcej niż się wydaje.

- Tam ktoś jest! – zawołała Magrat.

- Och... to wiedźma – powiedziała spokojnie Niania. – Nie jest groźna.

Światło z wejścia do pieczary, otaczało zgarbioną postać, siedzącą pośród kałuży. Z bliska przypominała nie tak bardzo ludzki posąg, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka. Błyszczała od kapiącej z góry wody. Krople zbierały się na koniuszku długiego, haczykowatego nosa i spadały nieregularnie do kałuży.

- Byłam tu kiedyś z młodym magiem – powiedziała Niania. – Oczywiście, byłam wtedy młodsza. Niczego nie lubił bardziej, od opukiwania skał tym swoim małym młoteczkiem... ech... nieważne. – dodała uśmiechając się do przeszłości i wzdychając. – Wyjaśnił mi, że wiedźma powstała ze skały, na która bardzo długo kapała woda. Moja babcia twierdziła jednak, że to naprawdę była wiedźma, która kiedyś usiadła tu, żeby wymyślić jakiś wielki czar i zamieniła się w kamień. Cóż, jestem otwarta na wszelkie idee.

- To dość daleko, żeby chodzić na spacer – powiedziała Agnes.

- Och, w naszym domu zawsze roiło się od dzieci. I często padało. A do naprawdę dobrej geologii potrzeba sporo prywatności – powiedziała niejasno Niania. – Myśle, że jego młotek wciąż powinien gdzieś tu być... Szybko o nim zapomnieli... Nieważne. Koncentrujcie się na krokach, skały są bardzo śliskie. Magrat? Co robi mała Esme?

- Och, gaworzy sobie. Niedługo będę musiała ją nakarmić.

- Musimy o nią dbać – powiedziała Niania.

- Cóż, oczywiście.

Niania klasnęła w dłonie a potem powoli je rozdzieliła. Poświata między nimi nie była tak okazałym blaskiem, jaki przywoływali czasem magowie. Przypominała raczej migotliwie

cmentarne światło. Jednak wystarczyła by widzieć drogę na tyle, by nikt nie wpadł w jakąś dziurę.

- Krasnoludom pewnie by się tu spodobało – powiedziała Magrat, kiedy podążały tunelem.

- Nie wydaje mi się. Krasnoludy nie lubią miejsc, które ciągle się zmieniają. Nikt nie tu nie przychodzi poza zwierzętami i Babcia, kiedy chce zostać sam na sam z myślami.

- I ciebie, oczywiście, kiedy przychodzi nachodzi cię ochota postukania w skały – dodała Magrat.

- Ha! To było kiedyś! Kiedyś wszystko było inne... Na wrzosowisku rosły kwiaty, a most był tylko kamienną kładką nad szemrzącym strumyczkiem. Tak postrzega się to miejsce, kiedy jest się zakochanym.

- To znaczy, że wszystko naprawdę zmienia się zależnie od naszych humorów? – zapytała Agnes.

- Sama to zauważyłaś. Przeróżające, jak wielki i niepewny jest ten most, kiedy ma się podły nastrój, prawda?

- Niepokoi mnie tylko, jak wielki musiał wydawać się Babci.

- Pewnie w dole widziała płynące chmury, dziewczyno.

Niania zatrzymała się przed rozwidleniem korytarzy. Potem wskazała.

- Myślę, że poszła tędy. Trzymajcie się...

Niania wyciągnęła dłoń przed siebie. Zazgrzytał kamień i po chwili ze stropu spadła z hukiem kamienna płyta, wzbudzając tuman kurzu i drobnych kamyków.

- Dobrze. Teraz możemy iść dalej – powiedziała Niania, nie zmieniając tonu głosu.

- Coś próbuje nas powstrzymać – powiedziała Agnes.

- Jednak nie da rady – stwierdziła Niania. – Nie wydaje mi się również, że chce nas skrzywdzić.

- To była wielka płyta! – zauważyła Agnes.

- Jasne, ale przecież nie spadła na nas?

Szły dalej. Drogę przecięła im podziemna rzeka, z krystaliczną, spienioną pędem wodą. Woda przelawała się dokoła i nad drewnianą kładką, niemal zapraszającą by przez nią przejść.

- Spójrzcie na to? Nie wygląda bezpiecznie dla dziecka! – powiedziała Agnes. – Widzicie to? Magrat, jesteś przecież matką...

- Tak, wiem kim jestem – odpowiedziała Magrat z wzburzonym opanowaniem. – Jednak nie widzę w tym niczego niebezpiecznego. Poza tym Babcia jest blisko.

- Właśnie – dodała Niania. – Sądzę, że jesteśmy bardzo blisko.

- Owszem, ale nawet ona nie może mieć władzy nad rzekami i skałami... – zaczęła Agnes.

- Tutaj? Jesteś tego pewna? To bardzo... czułe miejsce.

Posuwały się ostrożnie przez kładkę, przekazując sobie dziecko.

Agnes oparła się o skalną ścianę. – Ile jeszcze?

- Cóż, praktycznie kilka cali – powiedziała Niania. – Lepiej, kiedy o tym wiesz, prawda?

- Czy tylko ja mam wrażenie – zauważyła Magrat – że robi się tu coraz cieplej?

- I jeszcze to! – jęknęła Agnes, pokazując palcem. – Nie mogę w to uwierzyć!

Wewnątrz kamiennej ściany otworzyła się szczelina, z której biło czerwone światło. Kiedy się w nią wpatrywały, wyleciał z niej ognisty bąbel i uderzył z hukiem w strop.

- Olaboga! – jęknęła Niania, kiedy odwróciła się by zabrać dziecko. – Nigdzie nie ma żadnego wulkanu! Co ona sobie wyobraża!?! – powiedziała i ruszyła pewnie w kierunku żaru.

- Uważaj! – wrzasnęła Agnes. – Perdita uważa, że to jest prawdziwe!

- Może powinna przepowiadać ceny ryb? – krzyknęła Niania, śmiało maszerując ku płomieniom.

Ogień strzelił w górę.

Kolejne dwa płomienie zapłonęły rozświetlając mrok.

Magrat zadrżała – Nianiu, masz ze sobą dziecko! – krzyknęła.

- Kiedy przychodzisz do tego miejsca, krzywdzisz siebie i wszystkich, których zabierasz ze sobą – odpowiedziała Niania. – A to myśli Babci. To one kształtują to miejsce. Jedno jest pewne: nie skrzywdzi dziecka. Nie mogłaby tego zrobić. To jej skarb.

- To miejsce reaguje na jej myśli? – upewniała się Agnes.

- Mam nadzieję – powiedziała Niania, zwracając.

- Nie chciałabym być wewnątrz jej umysłu!

- W pewnym sensie jesteś – powiedziała Niania. – Chodźcie... Pokonaliśmy płomień. Nie sądzę, żeby miała coś jeszcze w zanadru.

Była w pieczarze. Ziemię pokrywał gładki piasek, którego jedyną skazą były ślady pary stóp. Kapelusz leżał z boku, starannie ułożony. Głowa Babci spoczywała na zwałkowanym worku. W jej zeszywniałych dłoniach znajdowała się kartka.

Z napisem: WYNOHA!

- To nie napawa optymizmem – stwierdziła Magrat, siadając z dzieckiem na kolanach. – Zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszliśmy.

- Może ją obudzimy? – spytała Agnes.

- To dość niebezpieczne – powstrzymała ją Niania Ogg. – Nie możemy przywołać jej z powrotem, jeśli nie jest na to gotowa. Spryciara.

- Cóż, w takim razie może ją stąd zabierzemy?

- Jeśli wciąż będzie taka sztywna to możemy... hahaha... użyć jej jako mostu – zażartowała Niania. – Nie, nie możemy. Musiała mieć ważny powód, by tu przyjść...

Wyszarpnęła worek spod głowy Babci, która ani drgnęła. Otworzyła go.

- Pomarszczone jabłko, butelka wody i kanapki z serem, na których można wyginać podkowy – powiedziała. – I jej stare pudełko.

Położyła je na podłodze między nimi.

- Co w nim jest? – spytała Agnes.

- Och, jakieś pamiątki. *Memorabilia*, przecież mówiłam. Takie tam rzeczy – powiedziała Niania. – Wciąż mówiła, że to takie zupełnie bezwartościowe drobiazgi, które kiedyś dostała – zabębniła palcami po pudle, jakby przygrywała swym na swoim myślenie, a potem je podniosła.

- Powinnaś to robić? – zapytała Agnes.

- Nie – mruknęła Niania, wyciągając paczkę związanych wstążką papierów i odkładając je na bok. Wszystkie trzy spostrzegły blask, bijący z dna pudełka. Niania sięgnęła do środka i wyjęła małą, mocno zakorkowaną butelkę i podniosła ją do oczu. W środku płonął niewielki płomień, który całkowicie rozjaśnił mrok w jaskini.

- Widziałam kiedyś tą butelkę – powiedziała Niania. – Trzyma w pudle różne takie rzeczy... Nigdy jednak nie zauważyłam, żeby tak świeciła.

Agnes wzięła butelkę. W środku było coś, co przypominało liść paproci, albo... nie, to było pióro. Zupełnie czarne, z wyjątkiem koniuszka, który płonął żółtym ognikiem, niczym płomyk świecy.

- Wiesz, co to takiego?

- Nie. Zawsze zbiera tego typu rzeczy. Miała tą butelkę od bardzo dawna... Widziałam ją już...

- Widziałam jak to znalazła – odezwała się Magrat przez zaciśnięte usta. – Widziałam, jak to znalazła – spróbowała ponownie. – Zeszłego roku, o tej porze leżało tego pełno dookoła. Wracałyśmy piechotą przez las i zobaczyliśmy spadającą gwiazdę. I to coś oderwało

się od niej... Kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie spadło było tam właśnie to. Płonęło niczym ogień, ale z łatwością to podniosła.

- Przypomina pióro ognistego ptaka – powiedziała Niania. – Słyszałam o nich mnóstwo opowieści. Niekiedy zjawiają się w tych stronach. Gdybyś dotknęła pióra ognistego ptaka, zostałabyś przeklęta... Stare opowieści mówią, że ich pióra płoną w obecności Złego...

- Ognisty ptak? Znaczy się... feniks? – spytała Agnes. – Hodgesaargh tropił jednego.

- Nie widziałam ich od wielu, wielu lat – powiedziała Niania. – Kiedy byłam młodsza widziałam kilka, kiedy latały wysoko na niebie. I tak ślicznie świeciły...

- Niemożliwe. Przecież feniksy... to znaczy feniks... naraz może istnieć tylko jeden feniks – zaprotestowała Agnes.

- Jeden z wielu, na demony! – burknęła Niania.

Babcia Weatherwax cmoknęła kilka razy, niczym ktoś, kto budzi się z głębokiego snu. Zatrzepotała powiekami.

- Ach... wiedziałam, że otworzenie jej pudła podziąła! – powiedziała uradowana Niania.

Babcia otworzyła szeroko oczy. Przez chwilę wpatrywała się w sklepienie a potem odwróciła wzrok w kierunku Niani Ogg.

- Mmmwwrrr... – zamruczała. Agnes podała jej szybko butelkę z wodą. Musnęła zimne, jak głaz palce Babczi. Stara czarownica wzięła spory łyk.

- Och. To wy. – wyszeptała. – Po kie licho tutaj przylazłyście?

- Chciałaś tego – powiedziała Agnes.

- Nie, wcale nie chciałam – warknęła Babczia. – Czytać nie umiecie, co?

- Nie, ale te wszystkie rzeczy... – Agnes urwała. – Dobrze. Po prostu pomyślałyśmy, że chciałybyś nas zobaczyć?

- Trzy więdźmy? – zapytała Babczia. – Cóż, dlaczegóż by nie... Dziewica, matka i...

- Bacz na słowa! – syknęła ostrzegawczo Niania Ogg.

- ...ta trzecia – zakończyła Babczia. – To na pewno twoja robota, co? Co do tego nie mam wątpliwości. Pewnie macie jakieś musicie odprawić jakieś taneczne rytuały, więc nie zatrzymuję... Mogę dostać z powrotem moją poduszkę? Dziękuję bardzo...

- Wiesz o wampirach? – spytała Niania.

- Tak. Dostały zaproszenie.

- I wiesz, co tam wyrabiają?

- Phi!

- W takim razie, po co się tu schowałaś? – zapytała Agnes.

Temperatura w głębi jaskini powinna teoretycznie powinna utrzymywać się na stałym poziomie. A jednak zrobiło się zimniej.

- Mogę chodzić tam, gdzie mam ochotę – powiedziała Babczia.

- Owszem, ale powinnaś... – zaczęła Agnes i w tym momencie żałowała już, że nie da się cofnąć wypowiedzianych słów. Było już za późno.

- Powinam? Więc teraz powinam, tak? A kto powiedział, że powinam? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, od kiedy to powinam cokolwiek? Więc przyszyście mi powiedzieć gdzie i co powinam robić, tak? Wydaje mi się, że każdy coś powinien, ale większość jakoś tego nie robi!

- Wiesz, że to sroka ukradła twoje zaproszenie – przerwała jej Niania. – Shawn dostarczył je, jak należy, ale te cholerne złodziejki zabrały je do swojego gniazda.

Wyjęła pogniecione, brudne, ciężkie od zdobień zaproszenie.

W chwili ciszy, która nastąpiła Agnes była pewna, że słyszy, jak rosną stalaktyty.

- Owszem, wiedziałam – rzekła Babczia. – To pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy. – Jednak cisza trwała odrobinę za długo a Babczia była odrobinę za spokojna.

- Pewnie wiesz, że Verence sprowadził omiańskiego kapłana na chrzciny Małej Esme?

Ponownie... zapadła cisza o krzytę za długi i nieskończenie zbyt cicha.

- Wiesz, że nigdy nie wtrącam się w nie swoje sprawy – burknęła Babcia, wpatrując się w dziecko, siedzące na kolanach Magrat. – Dlaczego ona ma szpiczastą główkę? – spytała.

- To taki kapturek – wyjaśniła Magrat. – Niania wydzierała go na drutach. Po prostu tak wygląda... Chcesz ją potrzymać?

- Wydaje się być zadowolona, tam gdzie siedzi – powiedziała nieśmiało Babcia.

Nie wiedziała, jak ma na imię dziecko!, szepnęła Perdita. *Wiedziałam! Niania myślała, że Babcia ukryła się w umyśle dziecka i że nas obserwowała... ale jeśli by to zrobiła, wiedzialaby przecież, jak ma na imię dziecko! A tego nie wiedziała, mogę przysiąc. Nigdy nie zrobiła by niczego, czym mogłaby skrzywdzić dziecko...*

Babcia wzdygnęła się. – Tak czy siak... Jesteście trzema wiedźmami. To wasz problem. Nigdzie nie napisano, że jedną z nich POWINNA – tu skinęła na Agnes – być Babcia Weatherwax. Uporządkujcie sprawy. Bardzo długo byłam tutejszą czarownicą i wydaje mi się, że nadszedł czas żeby... odejść... i zacząć robić co innego...

- Przyszłaś się tu ukryć? – spytała Magrat.

- Przyszłam tutaj, bo chciałam pomyśleć o swoim życiu, moja droga. I nikt więcej nie będzie mi mówił, co powinnam robić. Wiem, co powinnam robić, a czego nie. Przecież to twój mąż zaprosił wampiry, prawda? To jest, według niego, nowoczesne. Każdy wie, że żaden wampir nie zdobędzie władzy dopóki się go nie zaprosi się go osobiście. A jeśli zrobi to król, wówczas opanowują cały kraj. A ja? Jestem tylko mieszkającą w lesie staruszką. Jakim to sposobem mam to wszystko naprawić? Jesteście wy trzy. Przez całe życie robiłam to, co robiłam... żeby teraz nie musieć tego robić. Więc... dziękuję za odwiedziny i żegnam. To koniec.

Niania spojrzała na pozostałe czarownice i wzruszyła ramionami.

- Jeśli tak... to na nas pora – powiedziała. – Jeśli dobrze rozbujemy miotły, będziemy w domu przed zmrokiem.

- To wszystko? – nie dawała za wygraną Magrat.

- Pewne sprawy dobiegają końca – powiedziała Babcia. – Trochę tu odpoczęłam a teraz pora udać się w drogę. Jest tyle miejsc, do których mogę pójść.

Zmus ją, żeby powiedziała prawdę!, krzyknęła Perdita, ale Agnes tylko spuściła głowę. Chyba jest wystarczająco zła.

- Nie ma czasu do stracenia – ponaglała Niania. – Chodźmy.

- Ale...

- Żadnych „ale” – powiedziała stanowczo Niania. – Jeśli taka jest wola Babci.

- Dokładnie! – mruknęła Babcia, kładąc się na plecy.

Kiedy opuściły pieczarę, Agnes usłyszała, jak Perdita zaczyna odliczanie.

Magrat poklepywała kieszenie. Niania przetrząsała pończochy.

Pierwsza odezwała się Magrat: - Och, zdaje się, że musiałam...

- Niech to! Zostawiłam swoją fajkę! – powiedziała Niania tak szybko, że słowa wyprzedziły jej myśli.

Pięć sekund, powiedziała Perdita. – Nie przypominam sobie, żebyś ją wyjmowała – zauważyła Agnes.

Niania rzuciła jej przenikliwe spojrzenie. – Naprawdę? A jednak to zrobiłam? I co? Mam ją teraz tam zostawić? Magrat? A ty co tam zostawiłaś? Nieważne... lepiej pójde i poszukam jej, zanim będzie za późno.

- Cóż... – powiedziała enigmatycznie Magrat, kiedy Niania rzuciła się z powrotem.

- Babcia nie mówiła szczerze – odezwała się Agnes.

- Jasne! Przecież nigdy tego nie robi – powiedziała Magrat. – Czeka, aż ktoś z niej to wydusi.

- Jednak miała racje, co do nas trzech. Jesteśmy trzema wiedźmami...

- Owszem... ale nie mam zamiaru wracać do fachu. Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Myślałam najwyżej o tym, żeby przeskolić w tym Esme, kiedy podrośnie... Może jakieś zajęcia *aromaterapii*, czy coś w tym rodzaju... W każdym razie nie pełnoetatowe czarownictwo! Co to, to nie! Poza tym te historie z potężną trójką... To dość stary zwyczaj i...

A jak to się teraz nazywa?, wtrąciła się Perdita. *Inteligentna, jednak praktycznie niedoświadczona młoda kobieta, młoda matka i srebrnowłosa starsza pani? Nie brzmi szczególnie mitycznie, prawda? Przecież Magrat zapakowała po prostu swoje małe dziecko, kiedy tylko usłyszała, że Babcia ma problemy... Nawet przez chwilę nie zastanowiła, co się stało jej mężowi...*

- Poczekaj chwilkę... Słyszysz? – zapytała Agnes.

- Co?

- Posłuchaj... echo w tych jaskiniach... ten hałas...

* * *

Niania Ogg opadła na piasek i przez moment wierciła się, szukając wygodnej pozycji. Potem wyjęła fajkę.

- A zatem – zwróciła się do leżącej postaci – co cię boli?

Nie było żadnej odpowiedzi.

- Dzisiaj rano spotkałam starą Paternoster – mówiła dalej, tonem urodzonej gawędziarki Niania. – Tą spod Kromki. Z samiuśkiego rana. Kazała przekazać, że Pani Bluszcz miewa się dobrze.

Wypuściła chmurę dymu.

- Powiedziała mi to i owo – dodała.

Tonąca w cieniu postać wciąż milczała.

- Chrzciny poszły, jak po maśle. Pomijając fakt, że kapłan zrobił się miękki, jak omlet z kremem.

- Nie potrafię ich pokonać, Gytho – odezwała się Babcia. – Musisz mi uwierzyć, że nie mogę ich pokonać.

Jednym z licznych talentów Niani Ogg była świadomość, kiedy nie należy się odzywać. Wprowadzała w ten sposób do rozmowy lukę, którą jej rozmówca czuł się zobowiązany wypełnić.

- Ich umysły są jak stal. Nie mogę ich przeniknąć. Próbowałam wszystkiego.

Wszystkiego, co potrafię!

Wiem, że mnie szukają, ale tutaj nie mogą się przebić. Jeden z nich o mało co nie złapał mnie w mojej chatce! W mojej własnej chatce!

Niania Ogg była w stanie zrozumieć jej przerażenie. Chatka wiedźmy była jej twierdzą.

- Nigdy się tak nie czułam, Gytho. Oni mieli całe wieki, żeby się doskonalić.

Widziałas sroki? Używa ich oczu, by nas śledzić. Do tego jest bardzo przebiegły. Nie zwyciężysz go kanapką z czosnkiem, o nie! I nie sądzę, że cokolwiek na niego podziała. Jest potężny, silny i myśli błyskawicznie... Stawiać im opór to tak, jakbyś próbowała opluć burzę...

- Więc co chcesz zrobić?

- Nic. Nie istnieje nic, co mogłabym zrobić! Nie dociera do ciebie to, co mówię?

Myślisz, że po co leżałam tu przez cały dzień i myślałam? Te wampiry wiedzą o magii prawie wszystko. Pożyczanie to ich druga natura. Poza tym są szybcy... i myślą, że jesteśmy tylko mówiącym bydłem... Nie spodziewałam się, że kiedyś nadejdą takie czasy, Gytho. Myślałam i myślałam i nie wymyśliłam niczego, co mogłabym zrobić.

- Zawsze jest jakiś sposób – powiedziała Niania.

- Ale ja go nie widzę – powiedziała cicho Babcia. – Tak się sprawy mają, Gytho. Nie znajdę sposobu, nawet gdybym leżała tutaj i zmieniła się w kamień, jak ta stara wiedźma przy wejściu.

- Uda ci się – powiedziała Niania. – Weatherwaxowie nigdy się nie poddają. Zawsze to powtarzam! Zwyciężanie macie we krwi.

- Gytho... właśnie zostałam pokonana. Zanim się na dobre zaczęło. Może jest ktoś, kto zna jakiś sposób. Jednak ja nie jestem tą osobą. Ten umysł jest potężniejszy od mojego... Mogę go oszukać tak, by mnie nie znalazł, ale nie mogę go przeniknąć. I nie mogę z nim walczyć.

Jakiś dziwny chłód przenikał Nianię, kiedy słuchała słów Babci Weatherwax.

- Nie spodziewałam się, że kiedyś to usłyszę z twoich ust – wymruczała.

- Idźcie już. Nie można tak długo trzymać dziecka w tym zimnie.

- Co zamierzasz zrobić?

- Może odejdę... Może zwyczajnie zostanę tutaj...

- Nie możesz tu tkwić wiecznie, Esmé.

- Nie? Powiedz to tej przy wejściu.

To było wszystko, czego mogła się spodziewać Niania. Kiedy wyszła ujrzała dwie czarownice, starające się wyglądać odrobinę zbyt niewinnie. Wyprowadziła je na zewnątrz.

- Więc znalazłaś swoją fajkę? – spytała Magrat.

- Owszem, dziękuję.

- Co teraz zrobi? – zapytała Agnes.

- Może ty mi to powiesz – wymamrotała Niania. – O ile was znam, wszystko słyszałyście. Nie byłybyście czarownicami, gdybyście czegoś nie podsłuchały, co?

- Dobrze, ale czy możemy cokolwiek zrobić? Potrafimy coś, czego ona nie potrafi? Jeśli pokonały ją, my również możemy się uznać za pokonane, prawda?

- O co chodziło Babci, kiedy mówiła, że pora jej odejść? – zapytała Magrat.

- Och, to tak jakbyś o poranku czuła się w pełni sił, a potem, wieczorem była zupełnie wyczerpana – wyjaśniła Niania.

- Musie czuć się naprawdę podle, co?

Niania zatrzymała się przy kamiennej wiedźmie. Fajka całkiem zgała. Zapaliła zapalną o haczykowaty nos.

- Jest nas trzy – powiedziała. – Odpowiednia cyfra. Sądzę więc, że powinniśmy zacząć od porządnego sabatu...

- Nie martwisz się? – spytała Agnes. – Ona się... poddała...

- Dlatego, nasze w tym głowy, żeby tu posprzątać, prawda? – powiedziała Niania.

* * *

Ustawiła kocioł na środku podłogi. Wszystko musiało wyglądać należycie, chociaż domowe sabaty nigdy nie wyglądały, jak trzeba. A bez Babci Weatherwax sabat w ogóle nie przypominał sabatu.

Perdita zauważyła, że *przypominają bandę kliwych dziewczuch, bawiących się w sabat*. Jedyne płomienie płonały w wielkim, czarnym, żelaznym piecu – starego typu – niedawno zamontowanym przez kochających synów Niani Ogg. Woda w imbryku zaczynała bulgotać.

- Zaparzę herbaty, dobrze? – powiedziała Magrat, podnosząc się z krzesła.

- Siadaj. Teraz Agnes robi herbatę. – wyjaśniła Niania. – Ty jesteś Matką. Zajmujesz się nalewaniem.

- A ty Nianiu? Jaka jest twoja rola? – spytała Agnes.

- Ja zajmuję się piciem – odpowiedziała natychmiast Niania. – Dobrze. Musimy znaleźć więcej ludzi, dopóki wampiry zachowują się w miarę przyjaźnie. Agnes, wrócisz do zamku z Magrat i dzieckiem. Będzie potrzebowała dodatkowej pomocy.

- Jak to „zachowują się przyjaźnie”?

- Mówiłaś przecież – kontynuowała Niania – że wampiry nie mają na ciebie wpływu. Kiedy próbują przejrzeć myśli Agnes, na ich powierzchni wynurza się, niczym sflawik, Perdita. Po prostu widzą Perditę. Tymczasem wraca Agnes. Swoją drogą wydaje mi się, że podobasz się młodemu Vladowi.

- Akurat!

- To normalne – powiedziała Niania. – Mężczyźni uwielbiają nieco tajemnicze kobiety. Lubią wyzwania, rozumiesz? I dopóki będzie miał na ciebie oko, ty mniej oko na Magrat... a drugim będziesz ich obserwowała, jasne? Może nie da się ich pokonać sztuczkami typu: rozsunięcie zasłon ze słowami – „Trochę tu duszno, nie sądzisz?”, ale przecież musi być jakiś inny sposób!

- A jeśli nie ma żadnego?

- Po prostu... wyjdiesz za niego – powiedziała stanowczo Niania. Magrat wstrzymała oddech. Imbryk grzechotał w jej dłoni.

- To okropne – powiedziała.

- Wolałabym umrzeć! – warknęła Agnes. *Po nocy poślubnej*, dodała Perdita.

- Och, to nie musi być wcale długie małżeństwo – mówiła dalej Niania. – Schowasz zaostrzony kołek w podwiązce i młody mężulek będzie zimnym trupem, zanim zdążą pokroić weselny kołacz.

- Nianiu!

- A może mogłabyś... jakoś na niego wpłynąć – kontynuowała Niania. – To zadziwiające, co potrafi zrobić żona, jeśli tylko zechce... Albo „zechcą”, jak w twoim przypadku. Pamiętam Króla Verence’a Pierwszego, na przykład... Wciąż ciskał ogryzione kości przez ramię, aż do ślubu. A Królowa nauczyła go, żeby kładł je obok talerza. Wystarczył miesiąc, by nauczyć mojego pierwszego męża, by robił sisiu poza wanną. Męża można wychować. Może mogłabyś go nauczyć, żeby poprzestawał na „*blutwurscie*” albo kaszance... albo na niedopieczonym steku?

- Naprawdę nie masz żadnych skrupułów, Nianiu? – spytała Agnes.

- Nie – odpowiedziała po prostu Niania. – To Lancre. Gdybyśmy były mężczyznami, rozmawiałybyśmy teraz o oddawaniu życia za nasz kraj. Jesteśmy kobietami. Możemy mówić najwyżej o oddawaniu.

- Nie mogę już tego słuchać – powiedziała Magrat.

- Nie wymagam od niej niczego, czego sama bym nie zrobiła – obruszyła się Niania.

- Naprawdę? Więc czemu po prostu...

- Ponieważ nikt nie chciałby, żebym to zrobiła – wyjaśniła Niania. – Gdybym jednak miała o pięćdziesiąt lat mniej, nie przepuściłabym nawet Jimiemu Sonny’emu, co to wyrzyna rzepy.

- Mówisz tak, bo uważasz, że jako kobieta musi się ograniczyć tylko do seksualnych forteli? – spytała Magrat. – Tak... tak właśnie myślisz, Nianiu Ogg.

- Owszem, powinna używać tego padołka, gdzie zwykle składa się dłonie – potwierdziła Niania. – Nie przejmujcie się. Wbrew temu, co powiedziała Babcia, musi być jakiś sposób. Tak, jak z tym bohaterem z Tsortu czy skądś... Był niepokonany, ale miał jedno miejsce... chyba piętę... i kiedy ktoś dźgnął go włócznią to go zabił.

- Chcesz, żeby dźgnęła go w piętę?

- Nie wiem. Nigdy do końca nie rozumiałam tej opowieści – przyznała się Niania. – Gdybym wiedziała, że mam piętę, przez którą mogę zginąć, to na każdą bitwę ubierałabym mocne buty...

- Nie wiesz jaki on jest – powiedziała Agnes, ignorując dywersyjne plany Niani. – Spogląda na mnie, jakby rozbierał mnie wzrokiem.

- W rozbieraniu wzrokiem nie ma nic nieprzyzwoitego – powiedziała Niania.

- I wciąż się ze mnie śmieje! Jakby wiedział, że go nie lubię i dobrze się tym bawił.

- Pójdiesz do zamku! – warknęła Niania. – Za Lancre! Za Króla. Za swój lud! A jeśli posunie się za daleko, oddaj pałeczkę Perdicie. Są rzeczy, w których jest zdecydowanie lepsza Pośród głuchej ciszy od strony kredensu rozległ się jakiś słaby dźwięk.

Magrat zakasłała – Wszystko po staremu – stwierdziła. – Ciągła sprzeczka.

Niania wstała i zdjęła rondel z belki nad paleniskiem.

- Nie możesz traktować ludzi w ten sposób – powiedziała ponuro Agnes.

- Mogę – odburknęła Niania, skradając się w kierunku kredensu. – Jestem... tą trzecią, rozumiesz?

Kiedy uniosła rondel, ozdoby zaczęły spadać z brzękiem na ziemię.

- Mam cię, ty niebieski diable! – krzyknęła. – Nie myśl sobie, że cię nie widziałam!

Rondel opadł. Niania przeniosła swą całą wagę na rączkę, ale wciąż poruszał się wolno zygzakami wzdłuż blatu kredensu, aż dotarł do jego krawędzi.

Coś czerwono-niebieskiego spadło na podłogę i popędziło w kierunku zamkniętych drzwi.

W tej samej chwili Greebo przeleciał nad Agnes i nabierając rozpędu popędził w kierunku smugi. A kiedy już miał skoczyć... niespodziewanie, orając podłogę pazurami wszystkich czterech łap, wyhamował. Potoczył się, skoczył na łapy i zaczął się myć, jakby całe zdarzenie w ogóle nie miało miejsca.

Czerwono-niebieska smuga uderzyła w drzwi. Niebieski człowieczek o wysokości sześciu cali i czerwonych włosach skoczył na nogi. W rękach trzymał miecz, mniej więcej tej samej wielkości, co on sam.

- Ach, tuz skupiłem dupsko, jak mi kto rusy – wrzasnął.

- Och, to ty – powiedziała Niania odetchnąwszy z ulgą. – Napijesz się.

Opuścił nieznacznie miecz w sposób sugerujący, że wciąż może go użyć, kiedy tylko zajdzie potrzeba.

- Cygo?

Niania poszperała w skrytce pod krzesłem, przebierając butelki.

- Scumble? Moje ulubione. Doskonały rocznik – mamrotała pod nosem.

Małeńkie oczy małeńkiego człowieka błysnęły radośnie – Tamntyn wtoryk?

- Dokładnie. Agnes, weź pudełko z przyborami do szycia i podaj naparstek, dobrze?

Podejdz tu, człowieczku – powiedziała Niania, odkorkowując butelkę z daleka od ognia.

Nalala naparstek. – Drogie panie oto... niech no spojrzę na twój tatuaż... tak, oto przedstawiciel klanu Nac mac Feegle. Te małe bękarty atakują mnie przynajmniej raz do roku. Sądzę, że właściwie rozpoznałam wzór?

- Pani, ist tak jako mówis, ni inacyj – odpowiedział niebieski człowieczek, sięgając po naparstek.

- Co to za jeden? – spytała Magrat.

- To gnom – wyjaśniła Niania.

Człowieczek przerwał chleptanie – Picta!

- Dobrze... chochliki, skoro nalegasz – dodała Niania. – Żyją sobie spokojnie na wysoko położonych wrzosowiskach w okolicy Uberwaldu...

- Ach! Te skurczybyki bach-bach nasa z nas ziemiołów! Drania! Dostaniem te pijówki w nasa rence...

Niania kiwała głową, słuchając. W połowie opowieści chochlika napełniła jego naparstek.

- Wszystko jasne – powiedział, kiedy skończył. – Więc ten malec mówi, że wampiry przepędziły klan Nac mac Feeglów, rozumiecie? Pozabijali wszystkich... – poruszała wargami, dobierając odpowiednie słowa - ...całą starszyznę.

- To podłe! – powiedziała Magrat.

- Nie... To nie to słowo... chodzi o stare rasy... Pradawne ludy, które zamieszkują... niektóre miejsca. Rozumiecie? Wszystkich tych, których rzadko się widuje... centaury, zmory, gnomy...

- Pictas!

- Tak, oczywiście... przeganiają ich z ojczyzny.

- Dlaczego to robią?

- Może przestali być modni? – powiedziała Niania.

Agnes przyglądała się badawczo chochlikowi. W magicznej, dziesięciopunktowej skali można by go umieścić gdzieś... W sumie potrzebna była zupełnie inna skala, której początek tkwił gdzieś w mule, na dnie oceanicznego rowu. Błękit jego skóry pochodził od wszystkich tych tatuaży i naniesionej na nią farby. Jego czerwone włosy sterczały na wszystkie strony. Jedyńm ustępstwem wobec temperatury była niewielka, skórzana przepaska biodrowa. Spozrzegł, że mu się przygląda.

- Cygo? Takom ci to byk ci zabraa ze subom. Urra!

- Eee... co proszę? – wyjąkała Agnes.

- Dobry język, nieprawdaż? – zauważyła Niania. – Pasuje do zapachu wrzосу i gnojowiska... Jednak z Nac mac Feeglami po naszej stronie wszystko powinno się udać. Chochlik pomachał Nianiu opróżnionym naparstkem.

- Wincy ta cholerna limonada, a zara!

- Nie, nie, nie... ty głuptasie... Potrzebujesz prawdziwego towaru – powiedziała Niania. Spod krzesła wyciągnęła kolejną butelkę, z czarnego szkła i z korkiem przyczepionym na pasku.

- Chyba nie chcesz go tym poczęstować? – zdziwiła się Magrat. – Przecież to twoja lecznicza whisky!

- Wciąż powtarzasz ludziom, że używa się jej tylko i wyłącznie w skrajnych przypadkach – dodała Agnes.

- Ech, Nac mac Feeglowie mają twarde łby – wyjaśniła Niania, podając butelkę człowieczkowi. Ku zdziwieniu Agnes, chwycił większą od siebie butelkę z niebywałą łatwością – Hejże, koleżko! Nie zapomnij o twoich ziomkach! Jeśli się nie mylę, gdzieś tutaj są...

Z kredensu rozległ się brzęk. Wiedźmy zerknęły w jego kierunku. Setki chochlików wyłoniło się spośród ozdób. Wielu z nich nosiło szpiczaste czapeczki, czubki niektórych z nich rubaszenie łamały się ku ziemi. Wszyscy posiadali miecze.

- Niesamowite... Zawsze pojawiają się tak nagle... – powiedziała Niania. – Właśnie dzięki temu udało im się przetrwać te wszystkie wieki. Poza tym, oczywiście, zabijali każdego, kto ich zobaczył.

Greebo dostojnie przemieścił się pod krzesło.

- A więc wampiry wyгнаły was z waszych domów? – zapytała retorycznie Niania, kiedy butelka krążyła poprzez tłum. Rozległy się gniewne okrzyki!

- Psiamać!

- Ach, nich no wpadnom w renka!

- Urra!

- Ukrynce łba!

- Możecie przecież zatrzymać się w Lancre – wrzasnęła Niania, starając się przekrzywić panującą wrzawę.

- Chwileczkę, Nianiu – zaczęła Magrat.

Niania zaczęła dawać jakieś pośpieszne znaki ręką – Na jeziorze jest taka wyspa – mówiła, podnosząc głos. – Mieszkają tam głównie czaple. Świetne miejsce. Dużo ryb, dobre tereny łowieckie...

Niebieskie chochliki zbiły się w gromadę. Po chwili jeden z nich odezwał się, spoglądając w górę.

- Tyryn? I nikta ni wcisko nos w nassa sprawa!

- Och, nikt wam nie będzie przeszkadzał – powiedziała Niania. – Tylko bez jakichś kradzieży bydła, dobra?

- Kradną bydło? - spytała Niania. – To znaczy, dorosłe sztuki? Ilu maluchów potrzeba, żeby ukraść krowę?

- Czterech.

- Czterech?

- Każdy za jedno kopyto. Żebyś widziała, jacy są w tym dobrzy... W jednym momencie widzisz stojącą w polu krowę, a potem słyszysz tylko szelest trawy i krzyki tych małych drani. „Hop! Hop! Hop!” i krowa znika. Nawet nie porusza nogami – wyjaśniła Niania. – Przypominają silne karaluchy. Jeśli nadepniesz na chochlika, lepiej żebyś miała solidne, grube podeszwy.

- Nianiu, nie możesz im podarować wyspy! Nie jest twoja! – oburzyła się Magrat.

- Jest niczyja – odpowiedziała Niania.

- Wyspa jest własnością Króla!

- Ach! Cóż, w końcu jesteście małżeństwem, więc to co jego, to i twoje. Więc podaruj mi wyspę, a Verence udokumentuje to później jakimś papierem. Naprawdę warto – dodała Niania. – Wynajem w zamian za powstrzymanie ich od kradzieży bydła jest tego naprawdę wart. Inaczej wciąż będziesz widziała znikające błyskawicznie krowy. Niekiedy nawet poruszające się tyłem.

- Bez ruszania kopytami? – zapytała Agnes.

- Właśnie!

- Cóż... – zaczęła Magrat.

- I będą nam pomagać – dodała Niania, obniżając głos. – Walka to coś, w czym są najlepsi.

- Whist, yon fellaight fra' aquesbore!

- Picie... w tym właśnie są najlepsi – poprawiła się Niania.

- Nae, boon a scullen!

- Picie i walka – oto rzeczy w których są najlepsi – przetłumaczyła Niania.

- An' snaflin' coobeastie.

- I kradzieże bydła – dodała Niania – Picie, walka i kradzieże krów, w tym są najlepsi. Posłuchaj Magrat, mogłabyś się pośpieszyć? Wolałabym żeby siusiali na zewnątrz. Jest ich tu tylu, że lada moment będziemy brodziły po kostki...

- W czym mogą nam pomóc takie maluchy? – spytała Magrat.

- Cóż... Greebo się ich boi – powiedziała Niania.

Greebo był w tej chwili dwoma zaniepokojonymi ślepiami – jednym żółtym, drugim perłowobiałym – łyskającymi z półmroku. Wiedźmy były pod wrażeniem. Greebo przyniósł kiedyś łosia. Nie istniało praktycznie nic, czego by nie zaatakował. Łącznie z architekturą.

- W takim razie nie powinni mieć żadnych kłopotów wampirami – powiedziała Agnes.

- Ach, c'na flitty-flitty! Myślcie, co by my byli jaka kwiatuskoe lešnae wróżki? – zaszydził niebieski człowieczek.

- Nie umieją latać – wyjaśniła Niania.

- Przecież to taka sympatyczna wyspa... – wymamrotała Magrat.

- Dziewczyno! Przez cholerną politykę twojego męża jesteśmy teraz w takich tarapatkach! A ty żałujesz im tej wyspy? Nie jest z nim najlepiej, więc teraz ty jesteś Królową i

możesz robić, co ci się podoba, prawda? Nikt nie będzie ci mówił, co masz robić a czego nie. Mam rację?

- Tak, owszem...

- Więc podaruj im tą przeklętą wyspę a będą dla nas walczyć! W przeciwnym razie przejdą tędy i wyrzną nasz cały inwentarz! Jeśli ubierzesz to w śliczne słówka, będziesz miała całą tą politykę.

- Nianiu? – odezwała się Agnes.

- Tak?

- Nie chce cię denerwować, ale... Nie sądzisz, że Babcia robi to celowo? To znaczy, wycofuje się, żeby nasza trójka współpracowała i...

- Po co niby miałyby to robić?

- Żebyśmy rozwijały naszą intuicję i razem nauczyły się jakichś wartościowych rzeczy – powiedziała Magrat.

Niania zatrzymała fajkę w połowie drogi do ust – Nie – odpowiedziała. – Nie sądzę, żeby Babcia myślała w ten sposób, ponieważ to jakieś cliwe bzdury. Ej, tumany... Macie tu klucz do kredensu z napojami w zmywalni. Spadajcie i bawcie się dobrze. I nie dotykajcie tych zielonych buteleczek, bo to są... Oh, mam nadzieję, że nic ci nie będzie.

Błękitne smugi rozbiegły się we wszystkie strony i po chwili pokój opustoszał.

- Mamy coś, czego Babcia nie wzięła po uwagę – odezwała się Babcia.

- Tak? – spytała Agnes.

- Magrat ma dziecko. Ja nie mam skrupułów. A obie mamy ciebie.

- A co jest we mnie dobrego?

- Cóż, jedna rzecz... Zawsze masz o wszystkim dwa zdania...

Od strony zmywalni dobiegło brzęk tłuczonego szkła i wrzaski – Ach, ya skivens! Yez Lukin' at a faceful o' heid!

- Crives ! Sezu? Helweit! Hol Summun' me cote! Gude! Teraz, summun hol' jego rękó!

- Przyszyj ją, fra ma brinnit goggel! – ponownie zabrzączało szkło.

- Musimy wrócić do zamku – powiedziała Niania. – Tym razem na naszych warunkach. Zabierzemy czosnek, cytrynę... Wszystko, co potrzeba, by pokonać tego Hrabiego! Weźmiemy też trochę tej wody święconej Pana Oats'a. Nikt mi nie wmówi, że wszystkie te rzeczy zebrane razem nic nie wskórają!

- Myślisz, że tak po prostu nas wpuszczą? – spytała Agnes.

- Będą mieli dość innych kłopotów – powiedziała tajemniczo Niania. – Na przykład tłum, przy głównej bramie. My wejdziemy od tyłu.

- Jaki tłum? – spytała Magrat.

- Zorganizuje się jakiś – odpowiedziała Niania.

- Nianiu, nie można zorganizować tłumy – powiedziała Agnes. – Tłum to coś, co zbiera się spontanicznie.

Oczy Niani Ogg błysnęły.

- W tych stronach mieszka około osiemdziesięciu Oggów – powiedziała. – Są dość spontaniczni.

Wskazała wzrokiem szeregi portretów rodzinnych, następnie zdjęła but i zaczęła walić nim w ścianę. Po kilku sekundach usłyszały hałas trzaskających drzwi i pośpiesznych kroków na podwórku.

W drzwiach frontowych pojawiła się głowa Jasona Ogga, kowala i nieoficjalnego wodza klanu Ogg.

- Słucham, mamó?

- Macie pół godziny na zorganizowanie spontanicznego szturm na główną bramę zamku – rozkazała Niania. – Przekaż wszystkim.

- Tak jest, mammo.

- Powiedz, że nikogo, oczywiście, nie zmuszam, żeby tam szedł – dodała Niania. Jason rzucił niepewne spojrzenie na hierarchę Oggów. Niania nie musiała mówić nic więcej. Każdy doskonale zdawał sobie sprawę, że kuweta Greeba od czasu do czasu musi mieć zmienioną wyściółkę.

- Zrozumiałem, mammo. Powiem im, że nikt nie musi przychodzić, jeśli nie ma ochoty.

- Dobry chłopiec.

- Mamy zabrać pochodnie, kosy i temu podobne?

- Tak, mogą się przydać – stwierdziła Niania. – Myślę, że potrzebny będzie pełen asortyment.

- Taran, mammo?

- Eee... nie, niekoniecznie.

- Właśnie! Przecież, mimo wszystko, to moje wrota! – warknęła Magrat.

- Mamy wykrzykiwać jakieś specjalne hasła, Mammo.

- Och, sądzę, że wystarczy ogólny harmider.

- Coś do rzucania?

- Jakiś kamień od czasu do czasu, jak najbardziej wskazany – powiedziała Niania.

- Ale żadnych dużych! – dodała Magrat. – Niektóre fragmenty przy głównej bramie są dość kruche.

- W porządku, niczego twardszego od piaskowca, rozumiesz? I powiedz naszemu Kewowi, żeby wytoczył beczkę mojego Piwa Numer Trzy – powiedziała. – Dolej do niej butelkę brandy, żeby nie pomarzli. Można porządnie zmarznąć, kiedy sterczy się na dworze. A do tego trzeba śpiewać i wymachiwać. Aha, i wyślij naszego Neva do Poorchicków. Niech im powie, że Pani Ogg zasyła pozdrowienia, i że mają dać pół tuzina tych dużych serów i jakieś dziesięć tuzinów jaj... Aha i niech wstąpi też do pani Carter... Niech spyta, czy byłaby tak dobra i dała nam wielki słoje tych swoich pysznych marynowanych cebulek. Szkoda, że nie mamy czasu, żeby coś upiec. No, ale trzeba się liczyć z pewną niewygodą, jeśli w grę wchodzi spontaniczne zachowanie – dodała Niania, puszczając oko do Agnes.

- Tak jest, mammo.

- Nianiu? – odezwała się Magrat, kiedy Jason oddalił się w pośpiechu.

- Tak, kochanie?

- Kilka miesięcy temu Verence zasugerował wprowadzenie podatku od eksportu trunków. I wtedy na dziedzińcu zebrał się wielki protestujący tłum... Musiał wyjść i powiedzieć, że „skoro taka jest wola ludu...”

- Cóż, taka właśnie była wola ludu – powiedziała Niania.

- Aha... Pewnie.

- Po prostu zdarza się, że lud zapomina o swojej woli – dodała Niania. – Możesz zostawić Małą Esme pod opieką żony Jasona...

- Zabieram ją ze sobą – powiedziała zdecydowanie Magrat. – Dobrze jej na moich plecach.

- Nie wolno ci tego robić! – zaprotestowała Agnes.

- Nie ośmielaj się ze mną polemizować, Agnes Nitt – powiedziała Magrat, podnosząc głos. – I ciebie również nie posłucham, Nianiu

- A czy ja coś mówię? – spytała niewinnie Niania. – Nac mac Feeglowie zabierają swoje dzieci na każda bitwę. To doda ci siły, kiedy wszystko zawiedzie.

Magrat trochę się uspokoiła. – Dziś rano powiedziała swoje pierwsze słowo – wyjaśniła z dumą.

- Co? Po czternastu dniach? – spytała ze zwątpieniem Niania.

- Owszem. Powiedziała „blup”.

- Blup?

- Aha. A może to był... bąbel nie słowo?
- Zbieramy majdan – powiedziała Niania, wstając. – Jesteśmy przecież sabatem, moje damy. Jesteśmy trójką. Brakuje mi Babci... Naprawdę mi jej brakuje, ale musimy się zająć sprawami tak, jak by zajęła się nimi ona – wzięła kilka głębokich wdechów. – Poradzimy sobie. Musimy.
- W jej ustach brzmiało to lepiej – stwierdziła Agnes.
- Wiem.

* * *

Hodgesaargh siedział w jadalni dla służby, jedząc w samotności posiłek. Dookoła krzątało się mnóstwo obcych ludzi, jednak Hodgesaargh nigdy nie poświęcał większej uwagi komuś, kto nie zajmował się sokołami. W zamku zawsze ktoś się kręcił, każdy miał do wykonania swoją robotę. Jednak Hodgesaargh zapytany o resztę służby, rozłożyłby pewnie ramiona i odpowiedział wymijająco, że jakaś musi być, bo kiedy zostawia swoje brudne rzeczy w worku pod kuchennymi drzwiami, to dwa dni później znajduje je wyprane i suche. Co do posiłków... Wystarczył krótki spacer po zimnej posadzce i wzięcie jedzenia ze spiżarni. Sokolnik miał swój własny świat...

- Kiedy wrócił do stajni, ktoś wciągnął go w ciemność i zakneblował dłonią usta.
- Mfff...?
- To ja. Pani Ogg – szepnęła Niania. – Jak się czujesz, Hodgesaargh?
- Mfff. – wycedził Hodgesaargh, co znaczyło, że czuje się świetnie, nie licząc dłoni, która uniemożliwiała mu oddychanie.
- Gdzie wampiry?
- Mfff?
- Niania zwolniła uścisk.
- Wampiry? – wysapał sokolnik. – To ci, którzy się tu kręcą są...
- Nie, to chyba... jedzenie – powiedziała Niania. – Jakieś bardziej wytworne danie. A może żołnierze?

Gdzieś z półmroku dobiegł głuchy odgłos, jakby upadło coś miękkiego i odezwał się czyiś głos – Cholera, upuściłam misia. Widziałas gdzie spadł?

- Eee... owszem, pełno tu jakichś nowych panów i dam – powiedział Hodgesaargh. – Kręcą się przy kuchniach. Jacyś nowi kamerdynerzy...
- Psia krew! – zakląła Niania.
- W głównej sali są takie małe drzwi – powiedziała Magrat. – Jednak są zawsze zamknięte od wewnątrz.

Agnes przełknęła ślinę. – Dobrze. W takim razie, pójdę i je otworzę.

Niania stknęła ją w ramię – Uważaj na siebie, dobrze?

- Cóż, nie mogą mnie kontrolować...
- Mogą jednak cię złapać.
- Na pewno nie zrobią ci krzywdy*, powiedziała Perdita. *Widziałas, jak na nas patrzył?*
- Ja... wydaje mi się, że nic mi się nie stanie – powiedziała Agnes.
- Jestem pewna, że znasz swoje umysły lepiej niż ja – powiedziała Niania. – Masz święconą wodę?

- Mam nadzieję, że zadziała lepiej od czosnku – odpowiedziała Agnes.

- Powodzenia! – powiedziała Niania. Przez chwilę nad czymś się zastanawiała. – Brzmi jak tłum szturmujący wrota. Idź!

Agnes wybiegła wprost w ulewę. Przebiegła dookoła zamku, ku szeroko otwartym, kuchennym drzwiom. Wybiegła z kuchni na korytarz i... jakaś ręka chwyciła ją za ramię. Przed oczami śmignęły dwie rozmazane smugi i nagle pojawiło się dwóch młodzieńców.

Przypominali młodych ludzi, którzy odwiedzali operę w Ankh-Morpork. Jednak nosili kamizelki zbyt fantastyczne, jak na statecznych członków społeczności a włosy mieli równie długie, jak owi poeci, którym wydaje się, że romantycznymi, długimi lokami nadrobią zupełną bezradność wobec znalezienia rymu do słowa „żonkil”.

- Dokąd panience tak śpieszno? – odezwał się jeden z nich.

Agnes westchnęła – Posłuchaj – powiedziała – mam sporo na głowie. Załatwmy to szybko. Możesz pominąć te wszystkie głupie spojrzenia i durne frazesy w stylu „*Lubię panienci z charakterkiem*”? Przejdziemy od razu do momentu, w którym wyrwam się z twojego uścisku i kopię cię w...

Drugi młodzieniec uderzył ją mocno w twarz.

- Niestety – powiedział.

- Powiem o wszystkim Vladowi! – wrzasnęła głosem Agnes, Perdita.

Wampir zawahał się.

- Ha! Właśnie! Tak się składa, że się znamy! – powiedziały Agnes i Perdita jednocześnie. – Ha!

Pierwszy z wampirów zmierzył ją wzorkiem.

- Znacie się? – spytał.

- Znamy! – powiedział głos zza jego pleców.

Vlad zmierzał ku nim spacerkiem, z kciukami zaczepionymi o kieszenie kamizelki.

- Demone? Crimson? Podejdźcie, proszę?

Wampiry stanęły przed nim w milczeniu. Po serii smug obaj leżeli nieprzytomni, jeden na drugim. Vlad stał, jakby nic się nie stało z kciukami na swoim miejscu.

- To nie jest typowy sposób w jaki witamy gości – powiedział Vlad, przekraczając skurczone ciało Demone i wyciągając ręce do Agnes. – Skrzywdzili cie? Powiedz słowo, a przekażę ich Lacrimosie. Właśnie odnalazła tutejszą salę tortur. I pomyśleć, że uważaliśmy Lancre za zacofany kraj!

- Och, to stare metody – powiedziała słabo Agnes. Scarlet wydawała bulgoczące odgłosy. *Nawet nie zauważyłam, kiedy poruszył rękoma*, powiedziała Perdita. – Eee... jej tu od wielu wieków...

- Oh, doprawdy? Wpomiwała o niedobrze biczów i kajdan. Jest taka... pomysłowa. Powiedz słowo a...

Powiedz słowo, zachęcała Perdita. *Będzie o dwóch mniej!*

- Eee... nie, dziękuję – powiedziała Agnes. *Ach... mała, tchórzliwa moralistka!* – Eee... co to za jedni?

- Och, sprowadziliśmy niektóre rodziny na wozach. Ojciec mówił, że mogą się przydać.

- To jacyś wasi krewni? – *Babcia Weatherwax by się przyznała*, szepnęła Peridta.

Vlad zakaszlał delikatnie. – Owszem – powiedział. – Więzy krwi. Więc w pewnym sensie... Jednak... trochę gorsi. Proszę, tędy.

Chwycił delikatnie jej ramię i poprowadził przez korytarz, ciężko stąpając po Crimsonie. Wampir wierzgnął kilka razy rękami, kiedy po nim przechodził.

- To znaczy, że nawet wampiry mają własną... piramidę społeczną? – spytała Agnes. Była sam na sam z Vladem. W pewnym sensie był o niebo lepszym towarzystwem od tamtych dwóch, jednak wciąż nie mogła oprzeć się pragnieniu potwierdzenia tego, że jeszcze żyje. Brzmienie własnego głosu wydawało jej się ważne.

- Słucham? – Vlad zdawał się nie rozumieć. – Co ma społeczeństwo do piramid?

- Nie o to chodzi... Powiedzmy, że ukąsiłeś pięć osób... I po dwóch miesiącach masz już jezioro krwi z twojej krwi, rozumiesz?

Uśmiechnął się ze szczątkowym zrozumieniem – Widzę, że musimy się jeszcze wiele nauczyć – stwierdził. – Rozumiem poszczególne słowa, ale jakoś nie łapię kontekstu. Jestem pewien, że moglibyśmy się wzajemnie nauczyć wielu rzeczy...

- Nigdy – powiedziała stanowczo Agnes.

- Jednak moglibyśmy... Oh, tylko popatrz, co wyczynia ten kretyn!

Tuman kurzu wyleciał z kuchni. Pośród niego – z wiadrem i szuflą – pojawił się Igor.

- Igor!

- Tak, mistfu?

- Znowu rozrzucasz kurz, prawda?

- Tak, mistfu.

- Dlaczego to robisz, Igor? – zapytała Vlad lodowatym głosem.

- Tak być mófi, mistfu. To tfadyc...

- Czy Matka nie wspominała o tym, że nie chcemy tu kurzu? Nie chcemy tych wszystkich świeczników, oczu wyciętych w każdym portrecie i tych okropnych pajaków, które trzymasz w pudełku. I tego idiotycznego małego pejcza!

Igor milcząc, wpatrywał się w swoje stopy.

- ...ludzie fanują dobre, ftare fajęczyny, mistfu... – mruczał pod nosem.

- Jednak my ich nie chcemy!

- ...ftary Frabia ufielbiał moje fająki... – mamrotał Igor, niczym protestujący przed zgnieceniem owad.

- To absurd, Igorze!

- ...zafse poftarzał „Fnakomite fיעi, Igofe...”.

- Posłuchaj, po prostu... zejdz mi z oczu, dobrze? Nie możesz zająć się tym okropnym zapachem z garderoby? Matka mówi, że aż łzawią jej przez to oczy. Wyprostuj się i zacznij normalnie chodzić! – krzyknął za nim Vlad. – Nikogo nie wzruszysz tym swoim utykaniem!

Agnes spoglądała za odchodzącym Igorem. Zatrzymał się na chwilę i już myślała, że coś powie. Jednak po chwili ruszył dalej swoim chwiejnym krokiem.

- Jest jak duże dziecko – powiedział Vlad, kręcąc głową. – Przepraszam, że musiałaś to oglądać.

- Tak, mi również jest przykro – powiedziała Agnes.

- Wkrótce go zwolnimy. Ojciec trzyma go z powodu głupich sentymentów. Niestety, wydaje mi się, że zabrał ze sobą część starego zamku, z tym jego skrzypiącym dachem i nieprzyjemnymi zapachami. Muszę jednak przyznać, że niektóre nie były tak intensywne, jak te, które zdarzają się tutaj. Och... popatrz! Widzisz? Wystarczy, że spuścimy go z oczu na pięć minut...

Na ogromnym, czarnym świeczniku płonąła wpół stopiona, kapiąca świeca.

- Król Verence stosuje lampy olejne. Doskonałe, nowoczesne oświetlenie... ale Igor łązi w kółko i wymienia je na te kretyńskie, kapiące świece! Nie mamy pojęcia skąd je bierze! Lacci sądzi, że wydobywa wosk ze swoich uszu...

Weszli do podłużnej komnaty, sąsiadującej z główną salą. Vlad podniósł świecznik i oświetlił ścianę.

- Ach, powiesili już portrety. Oto moja rodzina...

- Mój stryjeczny dziadek – objaśnił Vlad. – Ostatnia... głowa klanu.

- Co to za szarfa z gwiazdą? – spytała Agnes. Słyszała głosy tłumu, rozlegające się zupełnie blisko.

- Odnaczenie Gvota. Założyciel naszego rodu. Nie wiem, czy wiesz, że nasz zamek nazywał się Grodem Nie-Zbliżaj-Się?

- Dość dziwna nazwa.

- Bardzo go to bawiło. Tamtejsi furmani ostrzegali w ten sposób podróżnych. „*Nie zbliżaj się do tego zamczyska!*”, mawiali. „*Nawet gdybyś musiał spędzić noc na drzewie, nie*

zbliżaj się do tego grodu”, ostrzegali obcokrajowców. „Cokolwiek strzeliłoby ci do głowy, nie będzie tak głupie, jak postawienie stopy w tym zamku!”. Twierdził, że to nadawało wszystkiemu odpowiedni rozgłos. Bywało, że o dziewiątej wieczór miał już zajęte wszystkie sypialnie. Ludzie u bram wprost domagali się, żeby ich wpuścił. Podróżni zbaczali wiele mil ze szlaku, żeby dowiedzieć się, o co chodzi w tym zamieszaniu. Jednak my nie jesteśmy tacy, jak on. Niestety, nazbyt często grał pod publiczność. Wstawał z grobu tak często, że zrobił sobie trumnę z takim obrotowym wiekiem. Ech... A to ciotunia Carmilla...

Z obrazu spoglądała na nich surowa kobieta z czarnej obcisłej sukni z ustami wymalowanymi na śliwkowo.

- Podobno kąpała się we krwi dwustu dziewczyn jednocześnie – powiedział Vlad. – Jednak nie wierzę, że to prawda. Nawet z dużej wanny krew przelewa się już po osiemdziesięciu dziewczynach. Lacrimosa mi mówiła.

- Detale są najważniejsze – przyznała Agnes. – Poza tym ciężko byłoby znaleźć mydło.

- Niestety, zabita przez motłoch.

- Ludzie potrafią być niewdzięczni.

- A to... – światło podążało wzdłuż sali. - ...mój dziadek...

Łysa głowa. Podkrążone, wybałuszone oczy. Para nietoperzowatych uszu i długie, jak igły żeby. Nieobcinane latami paznokcie...

- Ktoś uderzył połowę portretu – zauważyła Agnes.

- Rodzinna legenda mówi, że stary Srokyarto był głodny – wyjaśnił Vlad. – Dziadek podchodził do przedmiotów w bardzo bezpośredni sposób. Widzisz te czerwono-brązowe plamy? Tak to kiedyś bywało... A tutaj... cóż wydaje mi się, że to jakiś odległy przodek.

Obraz przedstawiał ciemną plamę z sugestią dzioba i zgarbionej postaci.

Vlad odwrócił się gwałtownie – Przeszliśmy bardzo długą drogę – powiedział. – Ojciec nazywa to ewolucją.

- Wszyscy wyglądają na bardzo... potężnych – stwierdziła Agnes.

- Owszem. Byli bardzo potężni i współmiernie głupi – powiedział Vlad. – Mój Ojciec uważa, że głupota jest nierozdzielnie związana z wampiryzmem, tak jak pragnienie świeżej krwi... Ojciec jest jednak wyjątkowym wampirem. On i Matka wychowali nas... inaczej.

- Inaczej – powtórzyła Agnes.

- Wampiry rzadko tworzą rodziny. Ojciec uważa, że to naturalne. Ludzie wychowują swoich potomków. Jednak żyjąc tak długo, jak wampir wychowuje się raczej... rywali, rozumiesz? Niewiele w tym rodzinnych uczuć i więzi.

- Rzeczywiście – powiedziała Agnes oplatając palcami szyjkę butelki ze święconą wodą.

- Jednak Ojciec stwierdził, że współpraca to jedyny sposób. Powiedział, że zakończymy okres głupoty. Wtykał nam w jedzenie małe kawałki czosnku, żeby nas uodpornić. Budził z samego rana i pokazywał różne symbole religijne. Mieliśmy naprawdę dziwne tapety w pokoju dzieciennym. I takiego wesołego kolesia... Gertiego Tańczącego Czosneczka. Muszę przyznać, że teraz nie działa na nas jak kiedyś. Kazał nam nawet wychodzić w dzień. Mówił, że to co nas nie zabija, czyni nas silniejszymi.

Agnes gwałtownie wyszarpnęła rękę. Woda święcona chlusnęła z butelki, rozbryzując się na piersi Vlada.

Wrzasnął, wyrzucając ręce na boki. Woda spływała z niego kaskadami, wlewając się do butów.

Nie spodziewała się, że pójdzie tak łatwo.

Podniósł głowę i zamrugał z dziwionym.

- Popatrz tylko na tą kamizelkę! No, popatrz! Zdajesz sobie sprawę, co woda robi z jedwabiem? Nigdy nie wywabię tych plam! Czego bym nie zrobił, i tak zostaną ślady – spostrzegł jej niewyraźną minę i westchnął.

- Mniemam, że znasz więcej rzeczy, które można zastosować na naszych piersiach? Prawda? – spytał. Rozejrzała się po ścianach i sięgnął po wielki, ostro zakończony topór. Rzucił go jej.

- Spróbuj tego! No, dalej odetnij mi głowę – powiedział. – Proszę bardzo, specjalnie poluzuję apaszkę! Nie chciałabyś poplamzić jej krwią, prawda? Proszę bardzo, tnij! Tutaj...

- Chcesz mi wmówić, że jesteś odporny nawet na to? – zapytała zawięcie. – Jak wyglądała nauka? Kilka lekcji z toporem po śniadaniu? A może każdego dnia nacinał trochę twoją szyję i teraz nic cię nie zaboli?

Vlad przewrócił oczami. – Wszyscy wiedzą, że to odcięcie wampirowi głowy, jest najbardziej skuteczną metodą – powiedział. – Jestem pewien, że Niania Ogg już brałaby zamach. Musisz mieć mnóstwo mięśni w tych swoich pulchnych rączkach, nie da się...

Zamachnęła się.

Popędził dookła niej i wyrwał jej topór.

- ...ukryć – dokończył. – Jesteśmy, oczywiście, bardzo szybcy.

Przejechał kciukiem po ostrzu – Niestety, tępy. Moja droga panienko Nitt, wszelkie próby pozbycia się nas mogą okazać się bardziej kłopotliwe, niż to się wydaje. Nie sądzę, by stary Srokyarto byłby równie wspaniałomyślny. Czy siejemy trwogę i zniszczenie? Nie, na bogów, nie. A może nachodzimy was, kiedy śpicie? Z całą pewnością – nie. Czymże jest odrobina krwi dla dobra ludu? Owszem, rola Verence'a ulegnie lekkiej degradacji, ale patrząc na to z drugiej strony, ten człowiek już jest bardziej urzędnikiem, niż władcą. A nasi sprzymierzeńcy mogą liczyć na naszą wdzięczność. Więc po co stawiać opór?

- Od kiedy wampiry wiedzą, czym jest wdzięczność?

- Wszystkiego można się nauczyć.

- Mówisz tak, bo chcesz mnie przekabacić. Jednak nadal będziesz zły! Nie zmienisz tego!

- Chodzi nam tylko o to, by ludzie wreszcie zrozumieli, że nastał nasz czas – odezwał się głos za nimi.

Oboje odwrócili się równocześnie.

Hraba kroczył wzdłuż galerii. Ubrany był w długi prochowiec. Po jego obu stronach maszerowali uzbrojeni mężczyźni.

- Oh, Vlad... Bawisz się jedzeniem? Dobry wieczór, panienko Nitt. Zdaje się, że mamy małe zbiegowisko przy głównej bramie, Vlad.

- Naprawdę? To ekscytujące. Nigdy wcześniej nie widziałem prawdziwego tłumu.

- Wolałbym, żeby pierwszy, jaki zobaczysz był nieco lepszy – powiedział Hrabia, pociągając nosem. – Nie ma w nich żadnej pasji. Są jednak zbyt nieznośni, żeby zaprosić ich wszystkich na obiad. Będę musiał kazać im odejść.

Drzwi otworzyły się bez żadnej pomocy.

- Idziemy popatrzeć? – zapytał Vlad.

- Eee... lepiej pójdę przypudrować... Po prostu pójdę i... To zajmie tylko chwilkę – powiedziała, cofając się Agnes.

Rzuciła się biegiem wąskim korytarzem, prowadzącym do niewielkich drzwi. Zdjęła rygle.

- Najwyższy czas – powiedziała Niania, wchodząc szybko do środka. – Na zewnątrz jest naprawdę zimno.

- Poszli oberzeć tłum. Jednak mnóstwo tu różnych wampirów, nie tylko strażników. Sprowadził resztę na wozach. To tacy... niezupełnie służący... ale słuchają ich rozkazów.

- Ilu ich jest? – zapytała Magrat.

- Nie mam pojęcia! Vlad próbuje mnie lepiej poznać!

- Świetny plan – stwierdziła Niania. – Słuchaj, co mówi we śnie.

- Nianiu!

- Zobaczmy ich lordowskie mości w akcji – powiedziała Niania. – Możemy schować się w dawnym pokoju strażników, nad barma i popatrzeć.

- Muszę znaleźć Verence’a – zaprotestowała Magrat.

- Nigdzie nie ucieknie – powiedziała Niania, ruszając wielkimi krokami do niewielkiego pokoju nad bramą. – I nie wygląda na to, że planują go zabić. Poza tym ma teraz specjalną ochronę.

- Wydaje mi się, że to naprawdę nowoczesne wampiry – powiedziała Agnes. – Naprawdę są zupełnie inne niż stary gatunek.

- Pora byśmy stanęły z nimi twarzą w twarz. Tu i teraz! – powiedziała kategorycznie Niania. – Tak, ani chybi, postąpiła by Esme!

- Jesteś pewna, że jesteśmy dostatecznie silne? – zapytała Agnes. *Babcia by się nad tym nie zastanawiała*, powiedziała Perdita.

- Jesteśmy nas trzy, czy nie? – odpowiedziała Niania, odkorkowując piersiówkę. – Odrobina wsparcia – wyjaśniła. – Ma ktoś ochotę?

- To brandy, Nianiu! – zaproponowała Magrat. – Chcesz walczyć z wampirami po pijanemu?

- Brzmi bardziej sensownie niż walczyć z nimi na trzeźwo – powiedziała Niania, pociągając potężny łyk i wzdrygając się – To jedyna rozsądna rada, jaką Agnes usłyszała od Oatsa. Łowcy wampirów powinni być odrobinę pijani, czy coś w tym rodzaju. Cóż, nigdy nie puszczam dobrych rad mimo uszu...

* * *

Nawet wewnątrz namiotu Wielebnego Oatsa płomienie świec szarpały się, niczym na wietrze. Kapłan powoli usiadł na łóżku. Każdy gwałtowny ruch wzbudzał w nim jakąś dziwną złość... Przerzucał kartki swoich notatek. Uczucie rosnącej paniki, coraz bardziej dawało mu się we znaki.

Nie przybył w to miejsce, by być ekspertem od wampirów. „*Lubieżne i Nieumarłe Bestye*” to zaledwie godzinny wykład przygłuchego Diakona Thrope’a, odbywający się raz na dwa tygodnie. Nawet nie liczył się do średniej! Wykłady z *Teologii Porównawczej* to ledwo dwadzieścia godzin łącznie. Żałował, że nie poświęcili więcej czasu na zajęcia praktyczne. Na przykład, gdzie dokładnie wbić kołek i z jaką siłą to zrobić?

Ach... zaledwie kilka nabazgranych notatek, które zachował tylko z tego względu, że na drugiej stronie zapisywał fragmenty swojego eseju dotyczącego *Żywotów Proroków z Thurmu*.

„...Krew jest życiem... przekształcony wampir służy swemu panu... aktywnym składnikiem czosnku jest dwusiarczek allilu... porfirie – niedostatek w... reakcje nabyte?... b. ważne – ziemia rodzinna... picie krwi dopóki dawca nie stanie się absolutnie posłuszny... ‘gromady – posilek’... krew – nieświęty sakrament... wampiry kontrolują: nietoperze, szczury, nocne stworzenia, pogodę... wbrew opowieściom, większość ofiar jest po prostu bierna (bez przekształcania w WAMPIRY!)... podobno wampiry cierpią okropne pragnienie krwi... skarpety... czosnek, święte symbole... światło słońca – zabija? ...zabicie wampira – uwolnienie wszystkich jego ofiar... duża siła fizyczna &...”

Dlaczego nikt nie uprzedził ich, że to takie ważne? Połowę strony zarysował podobizną Diakona Thrope’a, który był właściwie martwą naturą.

Oats schował książeczkę do kieszeni i wyjął z nadzieją swój medalion. Po czterech latach seminarium nie był zupełnie pewien w co naprawdę wierzył. Po części z powodu

licznych schizm Kościoła, następujących tak często, że niekiedy cały program zmieniał się w ciągu jednego popołudnia. Twierdzili jednak, że...

Przestrzegali ich. Nie spodziewaj się, że ta chwila nastąpi. To nie zdarza się nikomu, oprócz proroków. Om nie postępuje w ten sposób. Om pomaga od wewnątrz... Kapłan wciąż jednak żywił nadzieję... Może ten jeden raz? Może Om sprawi, że ujrzy wszystko takim oczywistym i wyraźnym, bez żadnych zafalszowań, nic nie znaczących słów i z czystym sumieniem. Gdyby tak jeden raz chmury rozdzieliły się na niebiosach i usłyszał słowa: „*TAK, WIELEBNY, CHWAŁY GODZIEN OATSIE! WSZYSTKO JEST PRAWDĄ! NAWIASEM MÓWIĄC, PODOBAŁ MI SIĘ TEN TWÓJ ESEJ O REGRESIE RELIGIJNYM W SPOŁECZEŃSTWACH PLURALISTYCZNYCH!*”.

Nie chodziło bynajmniej o to, że nie wierzył. Jednak potrzebował czegoś więcej, niż tylko wiary. Potrzebował pewności. Wiedzy.

Teraz jednak wystarczyłaby jakaś wiedza dotycząca pewnych sposobów na pozbycie się wampirów.

Wstał. Okropne łóżko polowe złożyło się automatycznie.

Znalazł wiedzę. Jednak ta wiedza wcale mu nie pomagała.

Nie był jak Jotto, który zwyciężył Lewiatana Grozy, kiedy ten zesłał pożogę tak straszną, że morza stały się czerwone od krwi. Nie był tak silny w wierze, jak Ordo, kiedy głód nawiedził krainę Smale.

W ich istnienie nie wątpił. Jednak jakaś częśćka jego umysłu nie pozwalała mu zapomnieć, że czytał kiedyś o takich małych stworzonkach, zwanych „lokalnymi kulturami bakterii”, które były przyczyną czerwonych pływów na wybrzeżu Urt. I o dziwnych wiatrach, które przez wiele trzymały deszczowe chmury z dala od krainy Smale.

Było to odrobinę... niepokojące.

Wszystko przez to, że był biegły w pradawnych językach. Dlatego podczas swoich studiów mógł przebywać w bibliotekach, których mnóstwo pojawiło się ostatnimi czasy wokół Cytadeli. Stały się źródłem jego wątpliwości, ponieważ szukając prawdy, właśnie ją znajdował.

Na przykład – *Trzecia Księga z Podróży Proroka Cena* wyglądała zupełnie inaczej, jeśli przekładało się ją z *Testamentu Piasku z Laotańskiej Księgi Całości*. Na jednej tylko półce odnalazał aż czterdzieści trzy zdumiewająco podobne opisy *Wielkiej Powodzi* i w każdym z nich człowiek ludzako podobny do Biskupa Horna ratował ludzkość przed zagładą, budując cudowną łódź. Różniły się szczegółami. Niekiedy łódź zrobiona była z drewna, innym razem z liści bananowca. W jednym opisie wiadomość o pojawieniu się suchego łądu przynosił łabędź, w innym iguana. Oczywiście opowieści z innych religii były jedynie podaniami ludowymi i mitami, gdyż jedynie podróż opisana w *Księdze Cena* stanowiła świętą prawdę. Niemniej jednak...

Oats kontynuował swoje studia. W międzyczasie został poświęcony z Prawie Wielebnego na Wielebnego. Wciąż jednak był tym samym, zaniepokojonym młodym człowiekiem. Próbował przedyskutować z kimś swoje odkrucia, ale z powodu licznych rozłamów, nikt nie stał w miejscu wystarczająco długo by go posłuchać. Hałas jaki robili przy tym pozostali kapłani, którzy ogłaszali swoje prawdy na drzwiach świątyni, zagłuszał nawet myśli. Przez jakiś czas planował nawet kupić zwój papyrusa i własny młotek, i zapisać się do kolejki przed drzwiami, ale się rozmyślił.

Dlatego, że miał dwie opinie o każdej sprawie.

Pewnego razu chciał nawet poddać się egzorcyzmom, jednak porzucił tę myśl ponieważ Kościół stosował wobec opętanych sprawdzone praktyki. Poza tym wszyscy ci poważni ludzie, którzy rzadko uśmiechali mogli by podjąć drastyczne środki, gdyby dowiedzieli się, że tym kogo chce poddać egzorcyzmom, jest on sam.

Nazwał głosy Dobrym Oatsem i Złym Oatsem. Problem w tym, że każdy z nich uznawał, że dane określenie pasuje raczej do tego drugiego.

Już w dzieciństwie jakaś cząstka twierdziła, że świątynia to głupie, nudne miejsce i rozśmieszała go, kiedy próbował skupić się na kazaniu. A potem rosła wraz nim. Ta cząstka czytała chciwie i zawsze wyszukiwała te fragmenty, które poddawały pod wątpliwość prawdę z *Księgi Oma*. Ten Oats szturchał go w głowie i szydził – *Jeśli to wszystko nieprawda, to w co będziesz wierzył?*

Druga połowa odpowiadała – Muszą istnieć inne prawdy!

A zły naciskał – *Inne? Masz na myśli wszystkie te pseudoprawdy?*

Dobry nie dawał za wygraną – Co masz na myśli?

A zły wrzeszczał w środku – *Kiedyś za takie myśli byłbyś poddany torturom!*

Pamiętasz to? O tak, pamiętasz jak wielu poniosło śmierć, tylko dlatego, że próbowali myśleć – myśleć mózgiem, który jest przecież darem bożym! Czy jakkolwiek prawda usprawiedliwi ten ból?

Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Z czasem zaczęły go nawiedzać bóle głowy i bezsenne noce. Te ciągle schizmy Kościoła ostatecznie przyczyniły się do wojny, która ciągle toczyła się w jego głowie.

I pomyśleć, że został tu posłany by podreperować swoje zdrowie. Brat Melchio martwił się jego drżącymi dłońmi i tym, że mówił do siebie.

Nie opasał lędźwi. Nie wiedział, jak powinno się to robić. Poprawił jedynie kapelusz i ruszył ku dzikiej, bezkسیężycowej nocy. Niebo całkowicie pokryły potężne, burzowe chmury...

* * *

Wrota rozwarły się z trzaskiem. Hrabia wyszedł wielkimi krokami. Po jego obu stronach maszerowali strażnicy.

Wszystko działo się wbrew powszechnej tradycji narracyjnej. Mimo, że mieszkańcy Lancre byli nowi, jeśli chodzi o obleganie zamczysk, to gdzieś na poziomie genetycznym czuli, że kiedy tłum tłoczy się przy wrotach zamku, jego rezydent powinien szaleńczo wrzeszczeć w płonącym laboratorium albo toczyć zaciekle pojedynek z jakimś bohaterem na blankach.

W każdym bądź razie nie powinien spokojnie palić cygara.

Zrobiło się cicho. Kosy i widły zafalowały. Jedynym dźwiękiem było skwierczenie pochodni.

Hrabia wypuścił pierścień dymu.

- Dobry wieczór – odezwał się, kiedy okrągły obłoczek podryfował w górę. – Zdaje się, że mam przyjemność z tłumem?

Ktoś z tyłu, nie będący pewnie na bieżąco z wydarzeniami, cisnął kamieniem. Hrabia Srokacz złapał go, nawet na niego nie patrząc.

- Widły mogą być – powiedział. – Nie mam nic przeciwko widłom. Pewnie znakomicie sprawdzają jako widły. I pochodnie, nic dodać, nic ująć. Jednak kosy... Niestety, nie. Obawiam się, że muszę zaprotestować. Kosy po prostu jakoś nie pasują. Chciałbym poinformować, szanownych państwa, że kosy to nie jest właściwa broń dla tłumy. Dlatego proszę, by następnym razem obyło się bez kos, dobrze? Sierpy, owszem. Jednak przez to całe wymachiwanie kosami, ktoś gotów stracić ucho. Musicie to zrozumieć.

Podszedł wolno do wielkiego mężczyzny, dzierżącego widły.

- Jak cię zwą, dobry człowieku?

- Eee... Jason Ogg, proszę pana.

- Kowal?

- Tak, psze pana.
- Rodzinka cieszy się dobrym zdrowiem?
- Tak, psze pana.
- Świetnie. Czy masz wszystko, czego ci trzeba?
- Eee... tak, psze pana.

- Dobry człowiek. Gdybyś był tak dobry i uciszył tą zgrają na czas obiadu, będę wielce zobowiązany. Domyślam się jednak, że masz tu do odegrania jakąś ważną tradycyjną rolę? Podesłę służącego z gorącym grogiem. – powiedział, strząsając popiół z cygara. – Ach, zapomniałbym. Chciałbym ci przedstawić sierżanta Kraputa. Przyjaciele nazywają go Bill Badył. Natomiast ten dżentelmen to Kapral Svitz. Nie sądzę, żeby miał jakichś przyjaciół. Być może znajdzie jakiegoś wśród was? Jednak to mało prawdopodobne. Wraz ze swoimi ludźmi pełnią tutaj rolę wojska. Rach, ciach... i po sprawie – w tym momencie Svitz rzucił Jasonowi chytre spojrzenie i wypluł z pomiędzy pożółkłych zębów resztkę wojskowego przydziału – Popilnują was przez jakąś godzinę. Tylko dlatego, że nie chcielibyśmy, aby ktoś zrobił sobie krzywdę, rozumiecie?

- A potem wypatroszymy was, jak małże i wypchamy słomą! – warknął kapral Svitz.

- Och, to taki żołnierski żargon. Nie znam się na tym – powiedział beznamiętnie Hrabia. – Mam nadzieję, że unikniemy nieprzyjemności.

- Zależy kto – mruknął sierżant Kraput.

- Takie to już urwisy – powiedział wesoło Hrabia. – Życzę wszystkim miłego wieczoru. Żegnam panów. – Cofnął się na dziedziniec. Wielkie, zahartowane wiekiem drewniane bramy, zamknęły się z hukiem.

Na zewnątrz zapanowała cisza, przerywana od czasu do czasu pomrukiem wprawionych w zakłopotanie chłopców, którym skonfiskowano piłkę.

Hrabia skinął na Vlada i rozłożył ręce w teatralnym geście.

- Taaa-da! Tak właśnie sobie z nimi radzimy...

- I pewnie wydaje ci się, że ta sztuczka przejdzie drugi raz – powiedział głos z oddali. Wampiry spojrzały w górę na trzy wiedźmy.

- Ach, pani Ogg – powiedział Hrabia, powstrzymując gestem wyrywających się żołnierzy. – I Jej Wysokość. I pani Agnes... Jak to leciało? *Trójka dla dziewczęcia...* czy raczej... *Trójka, znaczy pogrzeb?*

Kamienie zaczęły trzeszczeć pod stopami Niani, kiedy Srokacz ruszył w jej kierunku.

- Macie mnie za kretyna, drogie panie? – zapytał. – Naprawdę sądziłyście, że pozwoliłbym wam biegać na wolności, gdyby istniał choć cień szansy, że możecie mnie skrzywdzić?

Błyskawica przecięła niebo.

- Mogę panować nad pogodą – mówił Hrabia. – I nad podrzędnymi stworzeniami, którymi – bez urazy – są również ludzie. Jednak wciąż knujecie. Wydaje się wam, że znajdziecie jakiś sposób... by nas pokonać? Uroczę marzenie. Jednak pora...

Gorący podmuch owionął wiedźmy i uniósł je w górę. Na zewnątrz wiatr łopotał płomieniami pochodni, niczym chorągwiami.

- I co z naszą zjednoczoną mocą trójki? – syknęła Magrat.

- Gdyby stał nieruchomo na pewno by na niego podziałało! – odpowiedziała Niania.

- Natychmiast przestań! – krzyknęła Magrat. – I nie życzę sobie palenia w moim zamku! To może poważnie odbić się na zdrowiu otaczających cię ludzi!

- Ma ktoś ochotę powiedzieć „nie ujdzie ci to na sucho”? – zapytał Hrabia, nie zwracając na nią uwagi. Podeszedł bliżej. Wiedźmy unosiły się przed nim bezradnie, niczym trzy balony. Drzwi sali otworzyły się z trzaskiem.

- No, dalej ktoś musi to powiedzieć – nalegał Hrabia.

- Nie ujdzie wam to na sucho!

Hrabia ropromienił się. – Nawet nie zauważyłem, jak poruszasz ustami.

- Przeklinam cię! Odejdź stąd i wracaj do grobu, gdzie twoje miejsce, podły demonie!

- Skąd on się tu wziął, do diaska!? – spytała Niania, kiedy Wielebny Oats wylądował na ziemi przed wampirami.

Skradał się galerią bardów, wyjaśniła Perdita. *Czasami po prostu na nic nie zwracacie uwagi.*

Plaszcz kapłana pokrywał kurz a jego koloratka była całkiem poszarpana. Jednak w jego oczach płonął święty zapał.

Rzucił czymś w twarz wampira. Agnes spostrzegła, że pośpiesznie wertuje kartki maleńkiej książeczki.

- Eee... „*Wypędzam cię, Oślizgły Robaku... Nie dręcz więcej...*”.

- Słucham? - przerwał mu Hrabia.

- „...*nigdy więcej...*”

- Mógłbym coś zaproponować?

- „...*duchu, który sprowadzasz nieszczęścia...*”. Eee... co?

Hrabia wyciągnął nagle notes z ręki niestawiającego oporu Oatsa.

- Ach... *Malleusa Maleficarum* Ossory'ego – powiedział. – Czemu jesteś taki zaskoczony? Pomogłem mu to napisać ty, nędzny głupi człowieczku!

- Ale... jak... przecież to było setki lat temu! – Oats z trudem panował nad sobą.

- Tak? Pomogłem również przy pisaniu *Auriga Clavorum Maleficarum*, *Torquus Simiae Maleficarum...* i wszystkich cholernych *Arca Instrumentorum*! I nic z tych głupich fantazji nie podziała na wampiry! Nie wiedziałeś? – Hrabia niemal warczał. – Dobrze pamiętam tych twoich proroków! Starzy, brodaci pomyleńcy, o zwyczajach higienicznych gronostaja! Byli szaleni, ale mieli w sobie pasję! Nie mieli w sobie maleńkich, świętoszkowatych umysłów, pełnych umartwienia i niepokoju! Kiedy pletli głupoty, robili to z pianą na ustach! To byli prawdziwi kapłani z płucami pełnymi ognia! A ty!? Ty jesteś kpina!

Odrzucił notatnik i sięgnął po medalion – Oto jest Om, Święty Żółw Morski, który pewnie właśnie chowa się ze strachu pod skorupę. Bogowie, bogowie... Niezbyt udana replika. Tania błyskotka.

Oats zebrał w sobie rezerwy siły. – A skąd niby to wiesz, duchu nieczysty – wydusił z siebie.

- Nie! Nie! Nie! Tych słów powinno się używać wobec... nieczystych duchów, oczywiście – westchnął Hrabia.

Oddał medalion Oatsowi.

- Próba godna pochwały – powiedział. – Wpadnij kiedyś na filiżankę herbaty i słodką bułeczkę. Będę, oczywiście wspierał twą misję, o ile ograniczysz się do śpiewania tych swoich wesołych piosenek. Teraz jednak, wybaczone. Trochę mi przeszkadzasz.

Uderzył duchownego tak mocno, że ten prześlignął się po posadzce i wylądował pod długim stołem.

- Duchownych mamy z głowy – powiedział. – Cała nadzieja w Babci Weatherwax. Sądzę, że teraz to tylko kwestia minut. Sądziłyście, że zaufa waszej trójce?

Rozległ się dźwięk uderzeń wielkiej, żelaznej kołatki.

Hrabia pokiwał głową z zadowoleniem. – A oto i ona. – powiedział. – W rzeczy samej. Wycucie odpowiedniej chwili jest najważniejsze.

Drzwi otworzyły się nagle i grzmiąca wichura wpadła do środka, niosąc ze sobą połamane gałęzie, liście, deszcz i Babcię Weatherwax wirującą niczym pióro. Była całkowicie przemoknięta i pokryta błotem a jej suknia poszarpana w wielu miejscach. Agnes przypomniała sobie, że nigdy wcześniej nie widziała zmokniętej Babci nawet w trakcie

najgorszej burzy. Tym razem jednak była całkiem mokra. Woda ociekała z niej tworząc na podłodze sporą kałużę.

- Pani Weatherwax! Tak się cieszę, że raczyła nas pani odwiedzić – powiedział Hrabia. – Taki długi spacer w tak nieprzyjemnej pogodzie? Zapraszam do ognia, musi pani trochę odpocząć.

- Nie przyszedłam tu, żeby odpoczywać – odezwała się Babcia.

- Więc może chciałaby pani coś przekąsić? Albo napić się czegoś?

- Nie przyszedłam tu jeść ani pić.

- Zatem, co zamierza pani robić?

- Doskonale wiesz, po co przyszedłam.

Wygląda podle, odezwała się Perdita. *Jest bardzo zmęczona*

- Ach, rzeczywiście. Mały pojedynek o wielką stawkę. Czyż to nie godło Weatherwaxów? Proszę bardzo, przedstaw mi swoje warunki... „Kiedy wygram, uwolnisz wszystkich i wyniesiesz się do Uberwaldu”? Dobrze się domyślam?

- Nie. Umrzesz – powiedziała Babcia.

Ku swemu przerażeniu, Agnes zauważyła, że staruszka lekko się zatacza.

Hrabia uśmiechnął się. – Znakomicie! Jednak... wiem o czym pani myśli. Zawsze mieliście więcej niż jeden plan. Widzę, że jesteś bliska omdlenia a jednak... Nie do końca ufam temu, co widzę.

- Do diabła z tym, co widzisz i w co wierzysz – warknęła Babcia. – Jedno jest pewne, za bardzo się mnie boisz, by pozwolić mi stąd odejść. Nie wiesz dokąd pójde i co mogę zrobić. Mogłabym podglądać cię parą czyichś oczu. Mogłabym schować się za którymiś drzwiami. Mam kilku dłużników, których mogłabym prosić o pomoc. Mogłabym się zjawić nagle i w każdym momencie. Znienacka. Zdajesz sobie sprawę, że jestem w tym najlepsza.

- Tak sądzisz? Już dawno byłabyś martwa, gdybym był nieuprzejmy. Wstarczyłaby zwykła strzała. Kapralu Svitz?

Najemnik dał znać skinieniem dłoni o swojej gotowości i wycelował kuszą.

- Jesteś pewien? – spytała Babcia. – Myślisz, że twój goryl miałby dość czasu, by oddać drugi strzał? A ja nadal byłabym tutaj?

- Nie jest pani zmiennokształtną, pani Weatherwax. Nie wygląda też pani, jakby miała nagle zerwać się do biegu.

- Myślę, że mówi o ukryciu się w czyjejś głowie – odezwał się Vlad.

Wiedźmy popatrzały na siebie.

- Wybacz, Esme – odezwała się w końcu Niania Ogg. – Wolałbym zachować zdolność myślenia. Poza tym uważam, że jestem już dość pijana.

- Och, rzeczywiście – powiedział Hrabia. – Sławna sztuczka... Pożyczanie.

- Nigdy nie wiesz gdzie i nigdy nie wiesz, jak daleko – powiedziała Babcia. W jej głosie pobrzmiwało zmęcznie. – Nawet nie wiesz w czyjej głowie. I nie możesz być pewien, czy to w ogóle głowa. Wszystko, czego dowiedziałeś się o mnie, wyczytałeś z umysłów innych ludzi, jednak oni nie wiedzą o mnie wszystkiego. Nie do końca.

- Chowanie swojej osobowości – powiedział Hrabia. – Prymitywna sztuczka. W trakcie moich podróży spotykałem wielu podobnych tobie. Dziwacznicy staruchowie w paciorkach i piórach. Potrafili schować się w umysłach ryb, owadów... nawet drzew. Niewiele tym wskórali. Las może przecież spłonąć... Przykro mi, pani Weatherwax. Nastął nowy porządek, jak mawia król Verence. My jesteśmy jego częścią. Ty zaś jesteś historią...

Zatoczył się do tyłu. Trzy wiedźmy wylądowały na podłodze.

- Doskonale! – powiedział. – Przecięłaś moje więzy. Poczulem to. Wciąż to czuję. Nikomu w Uberwaldzie się to nie udało!

- Mogłam to zrobić lepiej – wymamrotała Babcia.

- Obawiam się, że nie – powiedział Hrabia. – Gdybyś mogła, już byś to zrobiła. Dla wampirów nie ma litości, prawda? Wieczne potępienie!

Podszedł do niej wolnym krokiem. – Naprawdę wydaje ci się, że jesteśmy jak wysoko urodzone elfy, albo głupi ludzie, których można nastarszyć harda postawą i odrobiną oszustwa? Nie można nas zaszufłakować, pani Weatherwax. Staralem się być wyrozumiały, ponieważ mamy ze sobą wiele wspólnego, jednak po tym wszystkim...

Ciało Babci poleciało do tyłu, niczym pochwycona przez wiatr papierowa lalka.

Hrabia był w połowie drogi, idąc z rękami w kieszeniach. Przez chwilę jego kroki stały się wolniejsze.

- Och... ledwo poczułem – powiedział. – To wszystko na co cię stać?

Babcia zatoczyła się, jednak uniosła rękę. Ciężkie krzesło uniosło się spod ściany i przeleciało przez salę.

- Nieźle podziałało by na człowieka – stwierdził Hrabia. – Nie wydaje mi się jednak, że masz dość siły by je utrzymać i rzucić we mnie.

Babcia cofała się.

- Jedno mogę ci obiecać – mówił Hrabia. – Nie zabiję cię. Wprost przeciwnie...

Niewidzialne ręce uniosły ją i rzuciły o ścianę. Agnes ruszyła naprzód, lecz Magrat powstrzymała ją, zaciskając palce na jej ramieniu.

- Proszę nie myśleć o tym, jak o przegranej, Pani Weatherwax – kontynuował Hrabia.

- Będzie pani żyła wiecznie. Nazwałbym to raczej nadzwyczajną okazją.

Babcia prychnęła z dezaprobatą.

- Ja nazwę to mało ambitnym zagranieciem – wymamrotała. Ból wykręcał jej twarz.

- Do zobaczenia – powiedział Hrabia.

Wiedźmy poczuły psychiczne uderzenie. Cała zala zadrżała. Jednak na zewnątrz pojawił się coś innego. Jasna, srebrzysta smuga, ślizgająca się przez powietrze niczym ryba...

- Odeszła – szepnęła Niania. – Poleciała gdzieś...

- Dokąd? Gdzie? – syknęła Niania.

- Nie myśl o tym – mruknęła pod nosem Niania.

Wyraz twarzy Magrat zastygł. – Och, nie... – zaczęła.

- Nie myśl o tym! Nie myśl o tym! – nalegała Niania. – Różowe słonie! Wielkie różowe słonie!

- Nie mogła...

- Tra-la-la-la... Je-je-je-och! – krzyczała Niania, ciągnąc Magrat do kuchennych drzwi.

- Pośpiesz się! Idziemy! Agnes, jedyna nadzieja w nas dwóch...

Drzwi zatrzęsły się za nimi. Agnes usłyszała dźwięk opadających rygli. Były to mocne drzwi z mocnymi ryglami. Budowniczo wieżownicy zamku Lancre nie przyjmowali do wiadomości, że mogą istnieć deski cieńsze niż trzy cale i rygle, które nie byłyby w stanie stawić czoła taranowi.

Z punktu widzenia osoby postronnej postępek Niani wydawać się mógł egoistyczny. Jednak z logicznego punktu widzenia, trzy wiedźmy w tarapatach zostały ograniczone do jednej wiedźmy w tarapatach. Trzy wiedźmy traciły mnóstwo czasu, martwiąc się o siebie nawzajem. Jedna wiedźma musiała martwić się wyłącznie o siebie. Agnes miała tego świadomość, jednak wciąż wydawało się jej to egoistycznym posunięciem.

Hrabia podszedł do Babci. Kątem oka Agnes spostrzegła zbliżających się Vlada ze swoją siostrą. Za jej plecami znajdowały się solidne drzwi a Peridita nie podsuwała tym razem żadnego pomysłu.

Zaczęła krzyczeć.

To był jej prawdziwy talent. Posiadanie dwóch osobowości nie było talentem. Było po prostu nieszczęściem. Jednak w górnej skali jej głosu, krzyk Agnes mógł wytopić воск z uszu.

Zaczęła wysoko i po chwili była pewna, że postąpiła słusznie. Nietoperze pospadały z belek i korniki opuściły swoje korytarze a w mieście zaczęły wyc wszystkie psy. Vlad zasłonił uszy.

Agnes przełknęła ślinę, by złapać oddech.

- Jeden krok i zrobię to głośniejsze – warknęła.

Hrabia podniósł Babcie, jakby była szmacianą lalką.

- Nie wątpię, że to zrobisz – powiedział. – I za jakiś czas zabraknie ci tchu. Vlad, zabierz ją ze sobą. Pamiętaj jednak, że robisz to na swoją odpowiedzialność! Będziesz musiał o nią dbać, karmić ją i sprzątać jej klatkę.

Młody wampir zbliżał się ostrożnie.

- Przestań – syknął. – Chociaż raz zachowaj się rozsądnie.

- Dobra!

I w tym momencie znalazł się przy niej. Jednak Perdita była na to przygotowana i kiedy sięgnął po jej łokieć, walnęła go w żołądek zanim zdążył się zatrzymać. Uderzyła, kiedy rozciągnął się w smudze, dokładnie wpatrując się w rys postaci. A potem się wyrwała.

Hrabia położył Babcie Weatherwax na stole.

- Igor! – wrzasnęła – Gdzie się podziewasz, kretynie...

- Tak, mistfu?

Hrabia obrócił się.

- Dlaczego wciąż pojawiaasz się za mną w ten sposób?

- Ftary Hrabia bardzo... to fobie cenil, mistfu. To profesjonalizm.

- Dobrze, skończ z tym...

- Tak, mistfu.

- I z tym śmiesznym mówieniem również. Dzwon na obiad.

- Tak, mis... mis... mif... missstfu.

- I prosiłem cię, żebyś popracował nad chodem – krzyknął za nim hrabia, kiedy powłócząc ruszył przez salę. – Wcale nie jest zabawny!

Igor wyminął Agnes, sepleniąc pod nosem.

Vlad złapał Agnes, kiedy ruszyła pewnie w kierunku stołu. Spodziewała się, że to zrobi, co w dziwny sposób sprawiało jej satysfakcję.

- Powinnaś sobie pójść – wysapał. – Nie pozwoliłbym mu ciebie zranić, jednak Ojciec może być trochę... rozdrażniony.

- Nie odejdę bez Babci!

Usłyszała słaby głos rozbrzmiewający w jej głowie. – *Zostaw... Mnie...*

To nie ja, powiedziała Perdita. To chyba ona...

Agnes wpatrywała się w bezbronne ciało. Babcia Weatherwax wydawała się o wiele mniejsza, kiedy była nieprzytomna.

- Chcesz zostać na obiad? – zapytał Hrabia.

- Po tym wszystkim... po prostu... będziesz pił... jej krew?

- Jesteśmy wampirami, panienko Nitt. To nasza natura. Nazwijmy to małym... sakramentem.

Nagle obrócił się i stanął z nią twarzą w twarz.

- Pomysł świeższego *aperitif* wydaje się dość atrakcyjny – warknęła – jednak Vlad mógłby się dąsać. Z drugiej strony z wiekiem krew nabiera smaku... tak, jak wasze stare wina. Nie zabiję jej. W każdym razie niezupełnie. Czas jej życia zostanie wydłużony o... nieskończoność.

- Przecież ona nienawidzi wampirów!

- Kiedy wróci stanie przed nielada problemem. Myślę, że powita to z radością. Ach...

- Hrabia sięgnął dłonią pod stół i wyciągnął Oatsa – Cóż za nędzny występ. Pamiętam Omian, pewnych siebie i pełnych zapału. Na ich czele stali, co prawda, ludzie zupełnie obłąkani, ale za to odważni i gorliwi. Nie przejmowali się wszystkimi tymi, nudnymi jak flaki z olejem, rytuałami. Zabierz mi go z oczu, proszę...

- Spotkamy się jutro? – spytał Vlad, udawadniając tym samym, że samiec każdego gatunku wyposażony jest w identyczny gen głupoty.

- Nie uda ci się zrobić z niej wampira! – krzyknęła Agnes, nie zwracając na niego uwagi.

- To jej nie uda się temu zapobiec – powiedział Hrabia. – To co wprowadzamy do krwi zostaje tam, jeśli tego chcemy.

- Ona się temu przeciwstawi!

- Chciałbym to zobaczyć.

Hrabia upuścił Oatsa na podłogę.

- Żegnam, panienko Nitt. Zabieraj swojego tępego klechę. Jutro oddam ci twoją wiedzę. Jednak wtedy będzie już nasza. Taka jest hierarchia... Wie to każdy, kto słyszał o wampirach – powiedział.

Za jego plecami leżał w bezruchu kapłan.

Agnes przypomniała sobie ludzi sprowadzonych do zamku. O ich twarzach bez wyrazu i pustych oczach. Nikt nie na to nie zasługiwał.

Podniosła duchownego za kurtkę, trzymając go niczym torbę.

- Do zobaczenia, panienko Nitt – powiedział Hrabia.

Podążyła ku głównym drzwiom, ciągnąc za sobą bezwładnego Oatsa. Na zewnątrz padał lodowaty deszcz, bezlitośnie, niczym stalowe pręty, siekąc niebo. Szła, trzymając się blisko ściany, która dawała przed nim znikome schronienie. Oparła kapłana o mur, tuż pod ociekającym wodą gargulcem.

Wzdrygnął się. – Och, ta biedna staruszka – jęknął, ocknąwszy się, gdy strumień wody chlusnął na jego głowę.

- Tak – powiedziała Agnes. Pozostałe dwie uciekły. *Musiały ukryć swoje myśli*, powiedziała Perdita. *Wiedziały, że Babcia uwolniła swój umysł i... cóż, dziecko... Nawet ma tak samo na imię...* Nie, na pewno nie schroniła się w mojej głowie, myślała Agnes. Chociaż musiała być w pobliżu...

- Narobiłem okropnego bałaganu, prawda? – spytał Oats.

- Owszem – powiedziała niewyraźnie Agnes. Nie, ukrycie się w umyśle dziecka było czymś nazbyt romantycznym, żywcem wziętym z folkloru. Może dlatego właśnie Magrat i Niania w to uwierzyły. Magiczne różdżki, czarodziejskie pierścionki... ty wyglądało podobnie. Babcia nigdy by tak nie postąpiła. Babcia nie miała w duszy krztyny romantyzmu. Jednak doskonale wiedziała, jak manipulować romantyzmem w innych ludziach.

Zatem... gdzie mogła się ukryć? Coś się zdarzyło, to pewne. Ukryła się w jakiejś istocie i nieważne co mówiła Hrabie – nie mogła być gdzieś daleko. Musiała schować się w żywej istocie. Jeśli byłby to umysł człowieka, jego właściciel nawet by o tym nie wiedział...

- Ja tylko chciałem odprawić odpowiedni egzorcyzm – mamrotał Oats.

- Który nie podziałał – powiedziała ostro Agnes. – Nie wydaje mi się, żeby byli religijnymi wampirami.

- Tylko raz w życiu kapłan dostaje podobną szansę...

- Tym razem to nie ty byłeś tym kapłanem – powiedziała Agnes. – O ile był to właściwy egzorcyzm, w takim razie został odprawiony przez niewłaściwą osobę.

Przyjrzała się Oatsowi. Perdita również.

- Brat Melchio mi nie uwierzy – powiedział, podnosząc się na nogi. – Och, spójrz tylko... cały jestem utyłany w błocie. Eee... czemu się tak przyglądasz?

- Och... coś przyszło mi do głowy. Wampiry wciąż nie mają na ciebie wpływu?

- O co ci chodzi?

- Ciągłe nie oddziałują na twój umysł? Nie znają twoich myśli?

- Ha! Sam nie znam większości swoich myśli – powiedział nieszczęśliwie Oats.

- Naprawdę? – zapytała Agnes. *Naprawdę?*, powiedziała Perdita.

- Miał rację – mamrotał Oats, nie zwracając na nią uwagi. – Zawiodłem wszystkich, prawda? Powinienem być zostać w seminarium i objąć posadę tłumacza.

Nie huknął grom. Nagle pojawiła się ponura, twarda świadomość.

- Jednak gotów jestem podjąć kolejną próbę – powiedział Oats.

- Gotów? Dlaczego?

- Czyż Kazrin nie wracał trzykrotnie do doliny Mahag, dopóki nie wykradł pucharu Hireada, kiedy wojska Oolitów zmorzył sen?

- Poważnie?

- Tak. Jestem... Jestem tego pewien. I czyż Om nie rzekł do swego proroka Bruthy „Będę z tobą tam, gdzie światła nie stanie”?

- Domyślam się, że tak właśnie powiedział.

- Dokładnie. Tak powiedział! Jestem pewien, że tak właśnie powiedział!

- I – powiedziała Agnes – właśnie dlatego chcesz tam wrócić?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ, gdybym tego nie zrobił, do czego innego bym się nadawał? Jaki byłby ze mnie pożytek?

- Nie sądzę, że po następnej próbie wyszlibyśmy żywi – stwierdziła Agnes. – Pozwolili nam odejść, dlatego, że to bardziej okrutne. Przekłete pijawki! Nie powinny mnie zmuszać, bym podejmowała decyzję. Na bogów, jestem przecież tylko dziewczyną – spostrzegłszy wyraz jego twarzy, uznała za słuszne dodać – To techniczne określenie najmłodszej członkini wiedźmiego tria. Nie powinnam decydować o sprawach. Tak, wiem, że to lepsze niż parzenie herbaty!

- Eee... Nie wspominałem o parzeniu herbaty...

- Wiem, przepraszam. Mówiłam do kogoś innego... Czego ode mnie wymaga? Co mam zrobić?

Zwłaszcza teraz, kiedy wydaje ci się, że wiesz, gdzie się schowała, powiedziała Perdita.

Usłyszeli zgrzyt otwierających się drzwi. Na tle wylewającego się z nich blasku zatańczyły cienie. Rozległ się plusk i drzwi zamknęły się z powrotem. Rozległ się śmiech. Agnes ruszyła szybkim krokiem. Kapłana poczłapał za nią.

Na dziedzińcu zebrała się ogromna, błotnista kałuża. W samym jej środku leżała Babcia Weatherwax. Jej suknia była poszarpana. Włosy, których nie spinał już kok twardy niczym skała, były rozrzucone wokół głowy. Na szyi miała krew.

- Nawet nie zamknęli jej w jakimś lochu albo gdzieś - powiedziała Agnes, kipiąc wściekłością – Wyrzucili ją, ot tak, jak... ogryzioną kość!

- Przypuszczam, że myślą teraz, że należy do nich... biedna duszyczka – szepnęła Oats.

- Przynajmniej ją okryjemy...

- Och... oczywiście.

Agnes chwyciła mocno za nogi Babci i zdziwiła się, że ktoś tak chudy może być jednocześnie tak ciężki.

- Może zostawimy ją u kogoś we wsi? – powiedział Oats zataczając się pod swoim końcem ciężaru.

- Nie sędę, żeby to był dobry pomysł – powiedziała Agnes.
- Och, ale może...
- I co byś im powiedział? „Moglibyśmy zostawić tutaj Babcie? Ach... na śmierć zapomniałam – kiedy się obudzi będzie wampirem?”
- Ach.
- Ludzie nie witają jej z otwartymi ramionami, dopóki nie zachorują...
- Agnes rozejrzała się dookoła poprzez deszcz.
- Pójdziemy do stajni. Jest tam pełno szop i różnych takich...

* * *

Król Verence otworzył oczy. Z parapetu okna sypialni kapą woda. Wokół panowała ciemność, jednak sporadyczne ruchy z okolicy drzwi wskazywały na obecność dwójki strażników.

Brzęknęło otwierane okno. To jeden z Uberwaldczyków wyglądał ku dzikiej nocy. Widocznie nic nie zwróciło jego uwagi, bo po chwili wrócił na miejsce powłócząc nogami.

Wszystko było takie... przyjemne. Wydawało się mu, że odpoczywa w wielkiej wannie wypełnionej miłą, ciepłą wodą. Było mu wygodnie i czuł się niewiarygodnie odprężony. Niech inni przejmują się wszystkimi zgrzytotami tego świata. Kołysał się na szczęśliwych szczątkach dryfujących na ciepłym morzu życia.

A potem usłyszał słabe głosy, dochodzące jakby spod jego poduszki.

- Rikt , gi' tae yon helan bigjobs?
- Ach , fashit keel!
- Hyup ?
- Nach oona whiel ta'tethra ... yin, tan, TETRA!
- Hyup ! Hyup!

Coś zaszurało po podłodze. Krzesło jednego ze strażników uniosło się nagle i kołysząc się dotarło do okna.

- Hyup! – Krzesło i jego pasażer wylecieli tłukąc szybę.

Drugi wartownik zdążył wstać, zanim coś wyrosło tuż przed nim. Verence'owi, wywowankowi Gildii Błaznów, przypominało to bardzo wysoką, ludzką piramidę złożoną z bardzo małych akrobatów.

- Hup! Hup!
- Hyup!
- Hup!

Piramida wzniosła się przed twarzą strażnika. Maleńka figurka na samym szczycie wrzasnęła: - Na co patrzasz, durnia!?! Ha' wee tastie! – i skoczył prosto w punkt znajdujący się między oczami wartownika. Człowiek wylądował na plecach z głuchym uderzeniem.

- Hup! Hup!
- Hyup!

Żywa piramida rozpadła się do poziomu podłogi. Verence usłyszał tupot małych stóp i po chwili maleńki, mocno wytatuowany człowieczek w szpiczastym, niebieskim kapeluszu stanął na jego podbródki.

- Siemko, króla! Awa' echt ta' branoch, ech?
- Dobra robota – wymruczał Verence. – Od jak dawna jesteś halucynacją? Strasznie dobrą...
- Ken ye na' saggie, ye spargit?
- I o to chodzi – powiedział sennie.
- Auchtahelweit !
- Hyup ! Hyup!

Verence poczuł, że łóżko się podnosi. Setki małych rąk podawały je sobie nawzajem ku oknu a potem wprost w ciemność.

To zwykła ściana – tłumaczył sobie sennie – te wszystkie ręce i krzyki dookoła nie mają racji bytu. Małe ręce chwyciły go za kołnierz nocnej koszuli i za skarpety...

- Niezłe przedstawienie – mruzczał, kiedy znalazł się nagle jakieś sześć cali nad ziemią i wciąż leżąc podążył ku nocy...

* * *

Pomiędzy strugami deszczu jaśniało światło okien stajni. Po kilku uderzeniach w mokre drzwi, w przestrzeni jaką wcześniej zajmowały pojawiła się niewiele lepsza wizualnie postać sokolnika Hodgesaargha.

- Musimy wejść – powiedziała młoda wiedźma.

- Ależ proszę, panienko Nitt.

Cofnął się uprzejmie, gdy wnosili Babcię do małego pokoiku.

- Jest ranna, panienko?

- Wiesz, że w zamku są wampiry? – spytała Agnes.

- Tak, panienko? – powiedział Hodgesaargh tonem sugerującym, że dopiero co dowiedział się o tym fakcie i grzecznie oczekiwał na to, by poinformowano go, czy to dobrze, czy źle.

- Ugryzły Babcię Weatherwax. Musimy ją gdzieś położyć.

- Tu jest moje łóżko, panienko.

Było małe i wąskie, zaprojektowane z myślą o ludziach, którzy kładą się do łóżka dopiero kiedy są zmęczeni.

- Może trochę krwawić – uprzedziła go Agnes.

- Och, ja też ciągle krwawię – powiedział wesoło Hodgesaargh. – Nawet na podłogę. Mam mnóstwo bandaży i maści i jeśli mogą pomóc...

- Coż, na pewno nie zaszkodzą – powiedziała Agnes – Eee... Hodgesaargh... Wiesz, że wampiry piją ludzką krew, prawda?

- Owszem, panienko? Będą musiały ustawić się w kolejce za moimi ptakami.

- Nie przejmujesz się tym?

- Pani Ogg zrobiła mi ogromne pudło maści, panienko.

Sprawy miały się tak – dopóki nikt nie robił krzywdy jego ptakom, Hodgesaarghowi nie robiło większej różnicy kto rządzi w zamku. Od setek lat sokolnicy zajmowali się poważnymi sprawami – sokolnictwem – co wymagało sporo wysiłku i wprawy, a rządzienie to sprawa amatorów.

- Całkiem przemokła – powiedział Oats. – Przykryjmy ją przynajmniej jakimś kocem.

- I trzeba będzie ją związać – dodała Agnes.

- Związać?

- Przecież się obudzi.

- Chodzi ci o to... że powinniśmy ją związać, tak?

- A co się dzieje, kiedy wampir chce kogoś zmienić w wampira, no?

Oats dla otuchy zacisnął ręce na medalionie z wizerunkiem morskiego żółwia.

Próbował sobie przypomnieć – Ja... wydaje mi się, że wprowadzają coś do krwi – powiedział. – Kiedy chcą kogoś zmienić w wampira... po prostu zmieniają kogoś w wampira. To wszystko. Nie wydaje mi się, że można się temu oprzeć, kiedy ma się to w krwi. Nie można po prostu powiedzieć „Dziękuję, nie przyłączę się”. Sądzę, że to ten rodzaj mocy, której nie można stawić oporu.

- Ona ma wieloletnią praktykę w stawianiu oporu – powiedziała Agnes.

- To dobrze? – spytał z nadzieją Oats.

Człowiek z Uberwaldu szedł wzdłuż korytarza powłócząc nogami. Zatrzymał go jakiś hałas. Rozejrzał się leniwie dookoła, nie dostrzegając nic, co mogłoby być potencjalnym źródłem dźwięku. A potem mozolnie ruszył przed siebie.

Niania Ogg pośpiesznie wynurzyła się z cienia i skinęła na Magrat.

- Przepraszam, Nianiu. Ciężko jest utrzymać dziecko w zupełnej ciszy...

- Ciiii...! Słyszę jakiś hałas w kuchni. Czego wampiry mogą chcieć w kuchni?

- To pewnie ci ludzie, których sprowadzili ze sobą – syknęła Magrat. – Ci, którzy ustawiali nowe mebla. Sądzę, że muszą się czymś żywić.

- Właśnie, jak bydło... Mogę się założyć, że wyjdą tłusci, jak dygnitarze – powiedziała Niania. – Ci wieśniacy nie wyglądają na tegie głowy. Gotowa? – pociągnęła z roztargnieniem łyka z butelki – Po prostu idź za mną.

- Co z Verencem? Nie mogę go po prostu zostawić! To mój mąż!

- Cokolwiek mieliby z nim zrobić, jak mogłabyś temu zapobiec, będąc tutaj? – spytała Niania. – Uważaj na dziecko, to najważniejsze. Jak zawsze. Swoją drogą... przecież mówiłam ci, że jest pod ochroną. Dopilnowałam tego.

- Chroni go jakiś czar?

- Coś lepszego! Teraz po prostu chodź ze mną i zachowuj się normalnie. Musisz się nauczyć zachowywać, jak królowa. Nie powinni się nawet domyślać, gdzie jesteś.

Wielkimi krokami ruszyła w kierunku kuchni. Nędznie odziani ludzie przyglądali się im apatycznymi spojrzeniami, niczym psy oczekujące odpowiedzi na pytanie, czy w najbliższej perspektywie może pojawić się chłosta. Na ogromnym piecu – gdzie pani Scorbic trzymała czyste naczynia – stał wielki, poczerniały kocioł wypełniony dziwną, szarą substancją. Niania nie zamieszalaby w nim, nawet za tysiąc dolorów.

- Tylko przechodzimy – powiedziała ostro. – Róbcie dalej... cokolwiek tutaj robicie.

Głowy obróciły się ich kierunku. Ze starego fotela – miejsca, gdzie z reguły urzędowała pani Scorbic – podniosła się jakaś postać. Podeszła wolnym krokiem do czarownicy.

- Och, psia krew! To jeden z tych powinowatych wampirow – syknęła Niania. – Blokuje nam drogę do wyjścia...

- Moje panie! – odezwał się wampir, kłaniając się. – W czym mogę pomóc?

- Właśnie wychodziłyśmy – rzuciła wyniosłe Magrat.

- Obawiam się, że to nieaktualne – powiedział wampir.

- Wybacz mi, młodzieńcze – odezwała się Niania, miękkiem, starym głosem. – Skąd jesteś?

- Z Uberwaldu, madam.

Niania skinęła głową, sięgnęła do kieszeni i wydobyla z niej skrawek papieru – Jak miło - powiedziała dziwnie uprzejmym tonem. – A z której części konkretnie, jeśli można wiedzieć?

- Z Klotzu.

- Naprawdę? Cudownie... Przepraszam na chwilę – powiedziała, odwracając się plecami. Dało się słyszeć brzdąknięcie gumki i po chwili Niania odwróciła się z uśmiechem zajmującym większą powierzchnię jej twarzy.

- Po prostu interesuję się ludźmi – wyjaśniła. – Klotz... Tak? Czy to tam płynie ta rzeka... jak jej było? Och? Ech?

- Ach – podpowiedział wampir.

Ręką Niani wystrzeliła w przód wbijając coś żółtego prosto między zęby wampira. Ten złapał ją, jednak kiedy próbował pociągnąć do siebie, dzieliła go prosto w czubek głowy.

Upadł na kolana, trzymając się za usta i próbując wrzeszczeć, mimo tkwiącej w nich cytryny.

- Wyglądało na dziwny zabobon, ale jakoś działa – stwierdziła Niania, kiedy dookoła warg wampira pojawiła się piana.

- Powinnyśmy odciąć mu głowę – powiedziała Magrat.

- Naprawdę? Dobrze, zdaje się, że widziałam gdzieś tasak...

- Może po prostu sobie pójdziemy? – zasugerowała Magrat. – Zanim zjawi się następny wampir.

- Dobrze. W końcu to nie jest żadna wampirza gruba ryba – zgodziła się Niania, aczkolwiek niechętnie. – Nawet nie nosi kamizelki.

Krople deszczu błyszczały w ciemności srebrzystą poświatą. Wiedźmy szły pośród mroku ze spuszczoneymi głowami.

- Muszę przebrać dziecko!

- Znakomicie nadawałoby się na płaszcz przeciwdeszczowy – mruknęła Niania. –

Teraz?

- To dość pilne...

- W porządku, w takim razie, tutaj...

Weszły do stajni. Niania raz jeszcze wyjrzała na zewnątrz, po czym zamknęła drzwi.

- Jest zbyt ciemno – szepnęła Magrat.

- Kiedy byłam młodsza, mogłam przewinąć dzieciaka po zapachu.

- Wolałbym nie musieć tego robić. Hej... jest światło...

Nikły płomyk świecy było ledwo widać w odległym końcu stajni.

Igor szcztokował konie, aż błyszczały. Mamrotał do akompaniamentu szcztoki.

Wydawało się, że coś nie daje mu spokoju.

- Głufie mówienie, ech? Głufi chód!? A co on, do diabła, fie? Nadęty biczochnik! Głufi Igor to, głufi Igor tamto... I te fiegające fkoło, fciąż mnie popyfające dzieciaki... Fszystko pofinno być zgodnie z konfencją! Stary mistf o tym fiedzia! Sługa nie jest jakimś niefolnikiem...

Rozejrzał się dookoła. Żdźbło słomy pofrunęło na ziemię.

Szcztokował dalej mamrocząc – Uch! Pfynieś to, podaj tamto... ani kftyny facunku!

I...

Przerwał szcztokowanie i strzepnął kolejne żdźbło słomy ze swojego rękawa.

- ...nifego f zamian.

Skrzypnięcie, nagły ruch powietrza... Koń stanął dęba w swej przegrodzie. Igor upadł na ziemię i poczuł, jakby ktoś zacisnął jego głowę w imadle.

- Jeśli ścisnę kolana – usłyszał dobiegający z góry entuzjastyczny żeński głos – wielce prawdopodobne, że twój mózdzek opuści głowę przez nos. Jednak wiem, że nic takiego się nie wydarzy, ponieważ sądzę, że wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Powiedz, tak.

- Tak.

- Dobrze, tego właśnie oczekiwałam.

Niania Ogg wstała i otrzepała suknię ze słomy – Bywałam na czystszych strychach na siano – stwierdziła. – Może się pan podnieść, Igorze? Zanim spróbuje pan czegoś głupiego, ostrzegam, że moja koleżanka trzyma widły a nie jest zbyt dobra w celowaniu, więc nigdy nie wiadomo, w jaką część ciała mogłaby pana trafić.

- To ta, tfymająca dziecko?

- Jesteśmy bardzo nowoczesne – powiedziała Niania. – Zabezpieczyliśmy się i takie tam. A teraz rekwirujemy twój powóz, Igorze.

- Co zrobimy? – zapytała Magrat. – Dokąd pojedziemy?

- To paskudna noc. Nie chciałabym zaziębić dziecka, ale nie wiem, czy długo będziemy tu bezpieczne. Być może rankiem pojedziemy w doliny.

- Nie opuszczę Lancre.
 - Pomyśl o dziecku – przypomniała jej Niania. – Zabezpiecz jej przyszłość. Poza tym... – powiedziała coś, czego Igor nie zrozumiał.
 - Nie mamy pewności – stwierdziła Magrat.
 - Znasz sposób myślenia Babci – powiedziała Niania. – Chciałaby, żebyśmy zadbały o dziecko – dodała głośno. – Więc zacze konie, Igorze.
 - Tak, profe pani – powiedział cicho Igor. *
 - Nabijasz się ze mnie, Igorze.¹²
 - Nie, pfyzfyczałem fię, że rofkafują mi jafnym, bardzo fładczy głofem, profe pani – powiedział Igor nachylając się nad uzdą – Nie jakief głufie „Czy mógłfyś...”. Dobfe znam sfój statuf fpolefny.
 - W wiecznym ukłonie? – spytała Magrat.
 - Ftary Mistf, kazał mnie co dzień chłostać – przyznał z dumą Igor.
 - Lubieś to? – nie dowierzała Magrat.
 - Pefnie, że nie! Jednak tak fyć pofinno! To był pfafdziwy fentelmen! Nigdy nie fkladał butów zanim if dokfadnie nie fylizalem...
 - A ty wciąż to robieś? – spytała Niania.
 Igor skinął głową – Kafdego ranka. Póki ślifnie nie blyfczały.
 - Cóż, pomóż nam się wydostać, a kto wie... Może wychłostamy cię śmierdzącym sznurowadłem? – obiecała Niania.
 - Fiękuję, ale i tak fciałem odejfc – powiedział Igor, poprawiając popręg. – Męfy mnie to fszystko. Dobijają mnie! Fciąż są z fegoś nefadowoleni!
 Niania otarła twarz – Ludzie ludzi, którzy mówią, co myślą – stwierdziła – i zawsze są gotowi pożyczyć ręcznik... Eee... powiedziała ręcznik? Oczywiście, chodziło mi o rękaw...
 - Ufasz mu? – spytała Magrat.
 - Zawsze trafnie oceniam charakter – powiedziała Niania. – I zawsze możesz polegać na człowieku, którego głowę w całości pokrywają szwy.

* * *

- Waley, waley, waley!
 - Może być tylko jeden z tysionców!
 - Bigjobs!
 Lis ostrożnie wyjrzał zza drzewa. Przez sieczony deszczem las przemieszczał się człowiek, który – jak się zdawało – leżał. Na głowie miał szlafmycę, której czubek podskakiwał i odbijał się od ziemi.
 Zanim lis zrozumiał w czym rzecz, było już za późno. Małeńka postać wyskoczyła spod pędzącego człowieka, wskoczyła na nos zwierzęcia i wymierzyła mu cios z główki, prosto między oczy.
 - Widział ty? Grich ' ta ' bones outa t'is yan!
 Lis upadł. Nac mac Feegle zeskokczył na dół i chwytając za ogon ruszył za resztą, pogwizdując tryumfalnie.
 - Obhoy! My mieć żarło!

¹² W społeczeństwie, które zaczęło używać toalet zamiast zwykłych wygodek powiedziałaaby pewnie „Raczysz żartować?”.

Ustawili łóżko na środku pokoju. Następnie oboje – Agnes i Oats – usiedli po każdej z jego stron, wsłuchując się w odległe krzyki Hodgesaargha, karmiącego ptaki. Słysząc było grzechotanie puszek i sporadyczne wrzaski, kiedy odczepiał ptaka od swojego nosa.

- Słucham? – odezwała się Agnes.

- Tak?

- Wydawało mi się, że coś szeptałeś – wyjaśniła Agnes.

- Eee... odmawiałem właśnie krótką modlitwę – powiedział Oats.

- Czy to pomaga? – spytała Agnes.

- Eee... mi pomaga. Prorok Brutha powiedział kiedyś, że Om pomaga tym, którzy pomagają innym.

- To prawda?

- Szczerze mówiąc istnieje kilka interpretacji tych słów.

- Ile?

- Około stu sześćdziesięciu, od Schizmy z 23 lutego, z godziny 10:30. To znaczy od momentu, kiedy Nowopółnocni Wolni Chelonianie (Synod Hubwarda) odłączyli się od Nowopółnocnych Wolnych Chelonianistów (Synodu Rimwarda). To dość poważne.

- Połala się krew? – spytała Agnes. Naprawdę niewiele ją to obchodziło, ale bynajmniej dawało jakieś zajęcie umysłowi, który przejawiał nadmierne tendencje do pogrążania się w pólśnie.

- Nie, ale doszło do bójk na pięści. No i oblano diakona atramentem.

- Wydaje się to mało przyjemne.

- Doszło też do poważnego szarpanie się za brody.

- Och – Szaleni sekciarze, mruknęła Perdita.

- Nabijasz się ze mnie? – spytał z powagą Oats.

- Cóż, szczerze mówiąc brzmi to nieco... trywialnie. A ty? Często się sprzeczasz?

- Jako rzecze prorok Brutha *"Bądź echem tysiąca głosów"* – powiedział kapłan. – Czasem myślę, że chodziło mu o to, że lepiej od czasu do czasu posprzeczać się między sobą, niż nawiedzać niewiernych z ogniem i mieczem. To bardzo skomplikowana sprawa – dodał wzdychając. – Istnieje wiele dróg wiodących do Oma a mnie wciąż się wydaje, że ktoś położył na każdej z nich grabie. Wampir miał rację. Nasz płomień przygasał...

- Jednak używaliście go do palenia ludzi.

- Wiem... Wiem...

Agnes pochwyciła kątem oka jakiś ruch przy drzwiach.

Spod koca, którym przykryta była Babcia Weatherwax unosiła się para.

Gdy Agnes spojrzała we dół, oczy Babci otworzyły się nagle. Czarownica zaczęła się rozglądać. Usta poruszyły się bezgłośnie, raz czy dwa.

- I jak się czujemy, Pani Weatherwax? – spytał radośnie Wielebny Oats.

- Co za pytanie!?! Przecież ukąsił ją wampir! – syknęła Agnes.

- Lepsze niż „Jak się masz?” – szepnął Oats.

Ręka Babci drgnęła. Raz jeszcze otworzyła usta, a potem wyginając ciało w łuk, napięła więzy. A potem opadła nagle na poduszkę.

Agnes sięgnęła do jej czoła i gwałtownie cofnęła dłoń.

- Cała płonie! Hodgesaargh! Przynieś wody!

- Już się robi, panienko!

- Och, nie... – szepnął Oats, pokazując na sznur. Węzły zaczęły rozplątywać się same z siebie, niczym wijące się węże.

Babcia na poły spadając, na poły staczając się z łóżka, opadła na ręce i kolana. Agnes pochyliła się by pomóc jej wstać, jednak cios z łokcia posłał ją w drugi koniec pokoju.

Stara czarownica otworzyła szarpnięciem drzwi i wypełzła na deszcz. Kiedy pierwsze krople uderzyły w nią sycząc, zatrzymała się. Agnes przysięgłaby, że kilka z nich zaskwierczało.

Ręce Babci omsknęły się i wylądowała w błocie, uparcie walcząc by się podnieść.

Niebiesko-zielone światło wylało się z rozwartych stajennych drzwi. Agnes obejrzała się za siebie. Hodgesaargh wpatrywał się w słoik po dzemie, w którym płonął biały punkt światła, otoczony bladoniebieskim płomieniem, bijącym dookoła, zwijającym się i pulsującym.

- Co to takiego?

- Moje pióro feniksa, panienko. Spała powietrze!

Oats próbował postawić Babcię na nogi, wtłaczając swoje ramię pod jedną z jej rąk.

- Powiedziała coś – oznajmił. – Zdaje mi się, że brzmiało to jak „Jestem”...

- Może być wampirem!

- Znowu to powiedział! Słyszeliście?

Agnes podeszła bliżej i zwisająca bezwładnie ręka Babci chwyciła ją nagle za ramię. Poczowała ciepło przebijające przez przemoczoną sukienkę. A potem usłyszała ciche słowo, ledwo słyszalne przez syczenie deszczu.

- Żelazo? – upewniał się Oats. – Powiedziała „żelazo”?

- W zamku jest kuźnia – powiedziała Agnes. – Tuż obok. Zanieśmy ją tam!

W kuźni panował mrok i było zimno. Ogień rozpalano tylko wtedy, kiedy wykonywana była jakaś praca. Wciągnęli Babcię do środka. Wyrwała się z ich uścisku i wylądowała na czworaka na bruku.

- Przecież żelazo nie działa na wampiry, prawda? – zapytała Agnes. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś używał żelaza przeciw...

Babcia wydała z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy parsknięciem a warknięciem. Człogając się po podłodze, znacząc drogę błotnistym śladem, dotarła do kowadła.

Była to zwykła bryła żelaza. Jej zadaniem było zapobieganie wstrząsom w zamku, kiedy walono w metal. Babcia, wciąż klęcząc, objęła żelazo rękoma i przyłożyła doń czoło.

- Babciu, czy moglibyśmy coś... – zaczęła Agnes.

- Odejdźcie... jak wszyscy... inni – wycharczała Babcia Weatherwax. – Będzie potrzeba... trzech... wiem... jeśli się... nie uda... będziesz musiała walczyć... z czymś... strasznym...

- Z czymś strasznym?

- Ze... mną! Odejdźcie...

Agnes cofnęła się. Z czarnego żelaza, w miejscu gdzie stykało się z palcami Babci Weatherwax zaczęły odpadać skwiercząc, małe plamki rdzy.

- Powinam pójść. Pilnuj jej!

- Co jeżeli...

Babcia odrzuciła głowę do tyłu i jej wywrócone oczy zamknęły się.

- Odejdź! – wrzasnęła.

Agnes pobladła.

- Słyszałeś, co powiedziała! – krzyknęła i wybiegła na deszcz.

Głowa Babci ponownie opadła na żelazo. Wokół jej palców tańczyły czerwone iskry.

- Kapłanie – odezwała się zachrypniętym szeptem. – Gdzieś tutaj powinien być topór.

Przynies go!

Oats zerknął ku kamieniowi szlifierskiemu i nerwowo oblizał usta.

- Naostrz go i to zaraz! Rób, co mówię!

Ściągnął kurtkę, podkasał rękawy, chwycił topór i postawił stopę na pedale.

Iskry wyskakiwały spod ostrza, kiedy koło zaczęło się obracać.

- Potem znajdź kawałek drewna i... zaostrz jego koniec. I poszukaj... młota...

Z młotem nie było kłopotu. Leżał na półce obok koła szlifiarskiego. Kilka dramatycznych sekund przewracał w odpadkach pod ścianą, aż znalazł palik z ogrodzenia.

- Czego pani ode mnie oczekuje, że...

- Niedługo... powstanę... – wysapała Babcia. – Bądź pewien... doskonale wiesz... o co chodzi...

- Chyba nie chce pani, bym ściał jej głowę...

- Rób, co każe, świętoszku! Wciąż... wierzysz, że można to wszystko... przez śpiewanie nabożnych pieśni? Prędeż czy później... wszystko spłynie... krwią...

Głowa uderzyła o kowadło.

Oates spoglądał na jej dłonie. Żelazo było zimne, jednak wokół małych punktów, gdzie stykało się z jej palcami jarzyło się czerwonym blaskiem i wciąż osypywała się z niego rdza. Ostrożnie dotknął kowadła i gwałtownie szarpnął rękę, pakując oparzony palec do buzi.

- Pani Weatherwax jest chora? – spytała wchodzący Hodgesaargh.

- Owszem, można tak powiedzieć.

- Niedobrze. Może zrobię herbaty?

- Co?

- To paskudna noc. Nie zajmie mi to dużo czasu. Tylko nastawię czaj...

- Czy jesteś w stanie uświadomić sobie, że prawdopodobnie będzie krwiożerczym wampirem, kiedy się obudzi?

- Och – sokolnik przyjrzał się nieruchomej postaci i dymiącemu kowadłu. – Więc nie jest głupim pomysłem, by wypić filiżankę herbaty, którą będzie mogła później wypić z ciebie – stwierdził.

- Rozumiesz, co się tu dzieje?

Hodgesaargh raz jeszcze spokojnie przyjrzał się scenie – Nie – przyznał.

- Więc...

- Nie moja w tym głowa, by rozumieć tego typu rzeczy – przerwał mu sokolnik. – Nie tego mnie uczono. Zrozumienie tego wymaga pewnie sporo praktyki. To sprawa twoja i jej. Możesz zrozumieć, co sprawia, że ptak nauczony by zabijać, wciąż wraca na przegub?

- Coż, nie...

- A widzisz! Więc wszystko w porządku. Zatem... filiżankę herbaty?

Oats poddał się – Dobrze, poproszę.

Hodgesaargh zabrał się do pracy.

Kapłan usiadł. Jeśli to wszystko działo się naprawdę, to nie był do końca pewien, czy to rozumiał. Staruszka płonęła i cierpiała a on... Żelazo musiało być coraz gorętsze, tak jakby przejmowało cały ból i gorączkę. Czy ktokolwiek mógł coś zrobić?

Cóż, prorocy oczywiście, przyznał uczciwie. Jednak Om dawał im moc. Jednak – z tego co słyszał – staruszka nie wierzyła w nic i w nikogo.

Teraz się uspokoiła.

Inni wyrażali się o niej z szacunkiem, jak gdyby była jakimś wielkim magiem. Jednak postać, którą ujrzał w sali była tylko zmęczoną i wyniszczoną starowinką. Widywał podobne w hospicjum Aby Dyal, odrętwiałe i przewracające się, gdy ból był zbyt wielki... Wszystko, co mogli robić to modlić się za nich... jednak nawet to nie pomagało.

Przypominała jemu to miejsce.

Była naprawdę spokojna. W bezruchu, dla którego ruch właśnie przestał być jedną z możliwości...

* * *

Nac mac Feeglowie pędzili przez smagane wiatrem góry i doliny, nie zwracając sobie głowy jakimkolwiek kamuflażem. Owszem, biegli teraz jakby trochę wolniej a niektórzy z nich odskakiwali od czasu do czasu by dołączyć wszczętej przez któregoś bójki, czy też zaimprovizować małe polowanie. Do tego Królowi Lancre, w jego poziomej podróży, towarzyszył lis, ogłuszony jelen, dzik i łasica, która w podejrzany sposób przyglądała się dziwacznej wędrowce Nac mac Feegłów.

Verence spostrzegł z niemałym zdziwieniem, że kierowali się ku dawno opuszczonemu kopcowi, porośniętego starożytnymi ciernistymi krzewami.

Chochliki zatrzymały się z szarpnięciem a Król wylądował głowę w leżącej o kilka cali dalej króliczej norze.

- Danna fittit!

- G'shovitt, s'yust!

Głowa Verence była wyszarpywana i wpychana w wilgotną ziemię, jeszcze kilka razy.

- Hakkis lugs awa'!

- Bigjobs!

Jeden z chochlików potrząsnął jego głową – Ty mogasz zrobić króla? Może ty wciugni swoa brzucha...

Nagle – co wydawało się wręcz nieprawdopodobne – wszyscy Nac mac Feeglowie zamilkli. A potem jeden z nich powiedział – Nikta ni ma za duża brzuch!

- I jeszcze dlatego, bo una daa num ta chulerna wysp... Taa krzywo widzmo...

- W takaa razu, musim...

Verence wylądował na ziemi. Usłyszał odgłos szybkiego kopania, a potem prysnęło nań błoto. Następnie znowu go podnieśli i wrzucili w powiększoną dziurę, aż uderzył nosem o korzeń rosnącego na kopcu drzewa. Z tyłu dobiegł dźwięk pośpiesznego zasypywania nory.

I kopiec ponownie stał się tylko starym nasypem, gdzie żyły króliki i którego szczyt porastały koleczaste krzewy.

Spośród nich uniosła się, niewidoczna w ciemności nocy, cienka strużka dymu.

* * *

Agnes oparła się o ociekający wodą zamkowy mur, z trudem łapiąc oddech. Babcia kazała jej zwyczajnie odejść. Ten nakaz podziałał na jej umysł niczym kubeł lodowatej głowy. Nawet Perdita to poczuła. Nieposłuszeństwo w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Dokąd poszłaby Niania? Agnes zaczęła czuć uporczywe pragnienie, by znaleźć się blisko niej. Niania Ogg emitowała nieprzerwanie pole energii zwanej Wszystko Będzie W Porządku. Jeśli udało im się wydostać z kuchni, mogły podążyć gdziekolwiek...

Nagle dobiegł ją odgłos turkoczącego powozu, przejeżdżającego pod łukiem bramy, wiodącej do stajni. Widziała zaledwie jego cień, pokryty kroplami deszczu niczym błyszczącym całunem. Postać na koźle otuliła swą głowę płaszczem, chroniąc się przed deszczem i wiatrem. Odrobinę przypominała Nianię. To mogła być ona.

Nikt nie zauważył pędzącej poprzez kałuże Agnes, wymachującej rękami.

Wycofała się pod łuk bramy, kiedy powóz zniknął za pagórkem. Cóż, przecież planowały odejść. Nic w tym dziwnego. A kradzież wampirzego powozu było absolutnie w stylu Niani Ogg...

Ktoś z tyłu pochwycił jej ręce. Instynktownie bodła łokciami, jednak przypominało to próbę uderzenia skały w czułe miejsce.

- Dlaczego, panienko Nitt? – zapytał lodowatym tonem Vlad. – Miły spacer na deszczu?

- Są poza waszym zasięgiem! – warknęła.

- Tak sądzisz? Ojciec mógłby z łatwością wysłać ten powóz na dno przepaści, gdyby tylko chciał – powiedział wampir. – Jednak nie chce. Zdecydowanie preferujemy osobisty kontakt.

- Kontakt ust ze szycją – sarknęła Agnes.

- Hehe... owszem. Jednak on naprawdę stara się postępować rozsądnie. Nadal nie dasz się namówić, by stać się jedną z nas, panienko Agnes?

- Kimś, kto żyje by odbierać życie innym?

- Z reguły nie posuwamy się dalej, niż wymaga tego potrzeba – powiedział Vlad, popychając ją do przodu. – Jednak kiedy musimy... Cóż, wcześniej upewniamy się, że ci, których zabijamy, zasługują na śmierć.

- Och, w takim razie nie ma problemu, prawda? – powiedziała ironicznie Agnes. – Jestem pewna, że możemy zaufać w tej kwestii opinii wampira.

- Muszę przyznać, że moja siostra bywa czasami nieco... surowa.

- Widziałam tych, których sprowadziliście ze sobą. To niemal... warzywa.

- Ach, oni... Słudzy. Swoją drogą to życie niewiele różni się od ich normalnej egzystencji. Wydaje mi się, że jest im nawet lepiej. Dobrze ich karmimy, mają gdzie się podziać...

- ...ma ich kto wydoić.

- A czy to takie złe?

Agnes próbowała wyrwać się z jego uścisku. Drogi ucieczki nie uniemożliwił już zamkowy mur. Problem w tym, że nie było również drogi ucieczki. Wąwóz Lancre pełnił praktycznie rolę muru, najlepszego z możliwych. Vlad prowadził ją wprost ku jego stromej krawędzi.

- To najgłupsze idiotyzmy, jakie słyszałam! – warknęła.

- Tak? Musiałaś wiele podróżować, Agnes – mówił Vlad, kiedy się szamotała. – Zatem powinnaś wiedzieć, jak wielu ludzi prowadzi małostkowe żywoty... Wciąż pod batem jakiegoś króla albo władcy, bądź też pana, który nie waha się poświęcić ich w bitwie i pozbywa się ich, kiedy już nie są zdolni do pracy.

Jednak mogą uciec, podpowiedziała Perdita.

- Mogą uciec!

- Poważnie? Piechotę? Z całą rodziną? I bez pieniędzy? Zazwyczaj nawet nie próbują. Wielu ludzi pogodziło się z wieloma sprawami, Agnes.

- To cynicznie podłe!

Właśnie, dodała Perdita.

- Właś... Nie!

Vlad uniósł brwi. – Masz taki dziwny umysł Agnes. Doprawdy, nie jesteś jedną z tego... bydła. Sądzę, że nie jesteś też czarownicą. Wy, ludzie próbujecie poznać własne umysły – dodał, posyłając jej szeroki uśmiech, który u wampira nigdy nie wyglądał przyjemnie. – Też bym tego chciał. Chodźmy.

Nie ma sensu walczyć i opierać się, chyba że chciałaby poddać się bezgłośnie wrzeszczącej z gardzieli grawitacji.

- Mój ojciec jest pełen podziwu dla twoich czarów – rzucił jej przez ramię. – Twierdzi, że powinniśmy zrobić wszystko, byś stała się wampirem. Sądzi, że i tak stoisz już jedną nogą po naszej stronie. Ja wolą byś sama zobaczyła, jak cudowne mogłoby to być.

- Tak? Pokochałabym to cudowne uczucie pragnienia krwi?

- Wciąż czujesz równie miłe pragnienie czekolady, prawda?

- Jak śmiesz!?

- Krew nie zawiera wielu węglowodanów. Twoje ciało dopasuje się. Stracisz na wadze...
- To chore!
- Osiągniesz absolutną samokontrolę...
- Nie chce tego słuchać!
- Wszystko, co trzeba zrobić to dać się lekko nakłuć...
- Niedoczekanie twoje, paniczku!
- Hehe... Cudowna! – krzyknął Vlad i pociągnął Agnes za sobą. Razem polecili w otchłań Wąwozu Lancre.

* * *

Babcia Weatherwax otworzyła oczy. W każdym bądź razie, zakładała, że są otwarte. Czowała przecież, jak unosiła powieki. Przed nią nie znajdowało się nic, poza Ciemnością. Była to absolutna ciemność, niczym czarna noc, pozbawiona nawet światła gwiazd. Oprócz światła, bijącego zza jej pleców. Dostrzegła je po refleksach na swoich rękach. Przenikało przez nią rzucając kontur długiego, gęstego cienia na...

...czarny piasek.

Zaskrzypiał pod jej butami, kiedy się poruszyła.

To próba. Wszystko jest próbą. Wszystko jest wyzwaniem. Życie każdego dnia rzucało jej pod nogi jakieś wyzwanie. Każdego dnia patrzyła w swą twarz i każdego dnia musiała dokonywać wyboru. Nigdy nie otrzymywała odpowiedzi, która byłaby właściwa. Owszem, niektórzy kapłani uważali, że czasem dawane są pewne znaki. Jednak po co miałyby być dawane?

Chciałyby, żeby jej umysł pracował szybciej. Naprawdę jednak w ogóle mogła poprawnie myśleć. Czowała, jak jej głowę wypełnia mgła. A to miejsce... nie istniało w rzeczywistości. Nie, nie powinna tak myśleć. To miejsce... nie było zwyczajne, chociaż mogło być prawdziwsze nawet od Lancre.

Jej cień wciąż się rozciągał, czekając...

Spojrzała w górę na wysoką postać, która pojawiła się obok niej.

DOBRY WIECZÓR.

- Och... to znowu ty.

KOLEJNA DECYZJA, ESMERALDO WEATHERWAX.

- Światło czy ciemność? Wiesz, że to nigdy nie bywa proste. Nawet dla ciebie.

Śmierć westchnął. NIE, NAWET DLA MNIE.

Babcia starała się zebrać myśli.

Jakie światło i jaki mrok? Nie była na to gotowa. Nie mogła tego właściwie wyczuć. Nie takiej walki oczekiwała. Czyje światło? Czyj to umysł.

Głupie pytanie! Zawsze była sobą.

Była nigdy nie starciła nad tym kontroli...

Tak... Światło za nią, ciemność z przodu...

Wciąż powtarzała, że czarownice stoją na granicy światła i ciemności.

- Czy ja umieram?

TAK.

- Czy umrę?

TAK.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Jednak z twojego punktu widzenia wszyscy umierają i każdy kiedyś umrze, prawda?

TAK.

- Szczerze mówiąc, niewiele mi pomagasz.

PRZEPRASZAM, WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE PRAGNIESZ POZNAĆ PRAWDĘ? A MOŻE OCZEKIWAŁAŚ LODÓW I GALARETKI?

- Hehe...

Nie czuła drgania powietrza, nie słyszała żadnego dźwięku, poza odgłosem własnego oddechu. Jedynie wspaniałe światło z jednej strony i nieprzenikniona ciemność po przeciwnej. Oczekująca ciemność...

Babcia słyszała od ludzi, którzy otarli się o śmierć, jednak wrócili – może ktoś uderzył ich we właściwe miejsce, albo jakiś uparty kęs opuścił miejsce w ich gardłach – którzy twierdzili, iż widzieli światło.

Właśnie tam powinna podążyć, podpowiedziały jej myśli. Jednak... czy światło było wejściem, czy wyjściem?

Śmierć strzelił palcami.

Na piasku przed nimi pojawił się obraz. Ujrzała siebie, klęczącą obok kowadła. Z dumą przyznała, iż osiągnęła w ten sposób teatralnie piękny, dramatyczny efekt. Zawsze miała żyłkę do gry aktorskiej, chociaż nigdy się do tego nie przyznawała. Przyglądała się sobie, przelewającej swój ból na żelazo. Jedynie postawiony na nim czajnik odrobinę psuł dobre wrażenie.

Śmierć sięgnął po garść piasku. Trzymał go, pozwalając przesypywać się pomiędzy palcami.

WYBIERAJ, rzekł. UWAŻAM, ŻE JESTEŚ DOBRA W DOKONYWANIU WYBORÓW.

- Czy mógłbyś mi dać jakąś radę? – zapytała Babcia.

WYBIERZ WŁAŚCIWIE.

Babcia odwróciła się i stanęła twarzą ku jasności.

A potem zaczęła się cofać.

Światło zmniejszało się, aż stało się maleńkim punkcikiem a następnie zniknęło.

Wokół zapanowała zupełna ciemność, pochłaniająca wszystko niczym ruchome piaski. Wydawało się, że nie ma żadnej drogi i jakiegokolwiek kierunku. Kiedy się poruszyła nie poczuła ruchu.

Nie słyszała żadnego dźwięku, poza słabym sykiem piasku, gdzieś wewnątrz jej głowy.

A potem głos z jej cienia.

- ...przez ciebie umarł ktoś, kto mógł żyć...

Słowa były, jak uderzenia bicia. Zostawiały sine pręgi na jej umyśle.

- Jednak żyje ktoś, kto z pewnością by umarł – odparła.

- ...zabiłaś...

- Nie. Wskazałam drogę.

- Hehe... to tylko słowa...

- Słowa są ważne – szeptała Babcia ku ciemności.

- ...przypisałaś sobie prawo, by osądzać innych...

- Przyjęłam obowiązek. Tylko do tego się przyznaję.

- Znam wszystkie twoje myśli... Każdą, którą miałaś...

- Wiem.

- ...nawet te, których nigdy nie ośmieliłabyś się zdradzić komukolwiek...

- Wiem.

- ...wszystkie małe, nigdy nie zdradzone sekrety...

- Wiem.

- ...i to, jak często pragnęłaś poddać się ciemności...

- Tak.

- ...i mocy, którą mogłabyś osiągnąć...

- Tak.

- ...poddasz się ciemności...
- Nie.
- ...poddasz się mi...
- Nie.
- ...Lilith Weatherwax tak uczyniła. Alison Weatherwax również się poddała...
- Nikt tego nie udowodnił.
- ...poddaj się mi...
- Nie! Znam cię! Znałam cię od zawsze. Hrabia wysłał cię, byś mnie dręczyła, jednak wciąż czułam, że tam jesteś. Walczyłam z tobą każdego dnia mego życia i teraz również nie uda ci się zwyciężyć.

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w mrok.

- Teraz wiem kim jesteś, Esmeraldo Weatherwax - powiedziała. – Nigdy więcej mnie nie przestraszysz.

Ostatnie światełko zniknęło.

Babcia Weatherwax wisiała w ciemności przez czas, którego nie potrafiła określić. Wyglądało to jak pustka absolutna, która wysysała czas i wszystkie kierunki. Nie mogła nigdzie pójść, ponieważ dookoła nie było ani odrobiny niczego.

Po upływie niemożliwego do zmierzenia czasu usłyszała kolejny dźwięk, najśłabszy z szeptów, niemal na granicy słyszalności. Podążyła ku niemu.

Słowa unosiły się ponad mrokiem, niczym małe złote rybki.

Parła ku nim. Teraz pojawił się kierunek.

Skrawki światła zamieniały się w dźwięki.

- ...i pewnie twoje bezgraniczne współczucie nakazuje ci, byś się w to mieszał...

Nie były to słowa, które możnaby w jakikolwiek sposób powiązać ze światłem. Być może to właśnie ta droga, o jakiej wspominali. Jednak wraz z tym głosem pobrzmiwało echo innego, wplatającego się między pierwszy głos, klejącego się do każdej sylaby...

- ...co za współczucie? Iluż ludzi modliło się na stosach? Ilu głupców kłęczało, jak tutaj...

Ach... rozdarty w połowie umysł. Był taki „agnesowaty”. Nawet Agnes nie mogłaby pojąć, jak bardzo – pomyślała Babcia. Wszystko, co potrafiła ta dziewczyna to nadawanie imion rzeczom. A kiedy raz dała czemuś imię, dawała mu też życie...

W pobliżu pojawiło się coś jeszcze. Migotanie kilku fotonów w poprzek jej drogi. Zniknęły, gdy spróbowała się im przyjrzeć. Odwróciła się a potem nagle spojrzała. Znowu błysnęła krótko mała iskra.

Coś się ukrywało.

Piasek przestał się przesypywać. Czas ruszył z miejsca.

Teraz rozumiała czym była.

Babcia Weatherwax otworzyła oczy. I nastąpiła jasność.

* * *

Powóz wyhamował ze świstem na górskiej drodze. Wokół jego kół rozlewała się woda.

Niania wygramoliła się ze środka i – brodząc w wodzie – podeszła do Igora, stojącego w miejscu, gdzie kiedyś była droga. Teraz pieniąc się, sphywał tamtędy strumień.

- Damy radę pfejechać? – zapytał Igor.

- Pewnie tak, chociaż byłby to raczej nieprzyjemny sphyw w dół – powiedziała Niania. – Doliny zostały właśnie odcięte od reszty świata na całą zimę...

Spojrzała w inną stronę. Trakt wił się bardzo stromu ku górze. Mimo, że był zalany wodą wydawał się solidny.

- Jaka jest najbliższa wieś przy tej drodze? – zapytała. – Coś zbudowanego z solidnego kamienia... Slake, o ile dobrze pamiętam. Tam w górze była kiedyś oberża dla podróżnych.

- Rzeczywiście. Slake.

- Cóż, nie zajdziemy daleko na pieszo przy takiej pogodzie – stwierdziła Niania. – W takim razie pozostaje nam Slake.

Wróciła do powozu. Po chwili poczuła, jak zawraca.

- Jakiś problem – spytała Magrat. – Dlaczego jedziemy pod górę?

- Droga jest podmyta – wyjaśniła Niania.

- Jedziemy do Uberwaldu?

- Tak.

- Przecież tam żyją wilkołaki i wampiry i...

- Owszem, ale nie wszędzie. Przy głównym trakcie nic nam raczej nie grozi. Tak czy siak, nie mamy wielkiego wyboru.

- Zakładam, że masz rację – powiedziała bez przekonania Magrat.

- Mogło być gorzej – powiedziała Niania.

- Jak?

- Cóż... w powozie mogły być węże.

* * *

Agnes widziała pędzące obok skały, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła pieniacą się, wezbraną rzekę. Świat wirował wokół. Vlad zawisnął tuż obok niej i zatrzymali się w powietrzu. Deszcz spływał po niej strugami.

- To, jakby ją nazwać... lekkość – wyjaśnił. – Chciałabyś być lekka niczym powietrze, Agnes?

- My... mamy miotły... – wysapała Agnes. Jej życie właśnie przelatywało przed oczami. Czy to nie nudne?, spytała Perdita.

- Bezużyteczne, nieporęczne i głupie przedmioty – powiedział. – I nie można z nimi zrobić tego...

Ściany wąwozu rozmaszały się, kiedy popędzili ku górze. Zamek oddalił się gwałtownie. Przeniknęła przez wilgotne chmury a potem – niczym srebrna nić – popędziła ku księżycowi.

Vlada nie było obok. Agnes przestała nagle się unosić, odruchowo wyrzuciła rękę, chcąc się chwycić czegośkolwiek, choć nie było niczego, a potem zaczęła spadać.

Pojawił się nagle i śmiejąc się, chwycił ją wokół talii.

- ...a może można to zrobić? – spytał.

Agnes nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Jej życie przebiegające przed oczami zderzyło się z życiem biegnącym w przeciwnym kierunku z takim impetem, że nie mogła uformować słowa, dopóki nie zastanowiła się nad tym, gdzie podziela się teraźniejszość.

- A i tak nie zobaczyłaś jeszcze wszystkiego – powiedział Vlad. Pasma chmur zostały w tyle, kiedy skoczyli gwałtownie do przodu.

Chmury płynęły w dół. Mogły być rozrzedzone niczym dym, jednak ich obecność, czy raczej imitacja tła, jaką stanowiła jakąś dziwną pociechę. Teraz one były oddalającym się brzegiem i w tam, w dół wydawały się być dolinami błyszczącymi w blasku księżyca.

- Ghjghh – zabalgotała Agnes, zbyt zdenerwowana i przerażona by wrzasnąć. Jeeee!, piała wewnątrz Perdita.

- Widzisz to? – powiedział Vlad wskazując – Widzisz blask wokół Krawędzi?

Agnes spojrzała, bo wszystko było lepsze od patrzenia w dół.

Słońce było pod Dyskiem. Zasłonięte ciemną Krawędzią, jednak światło znajdowało swą drogę ku górze, poprzez nieskończony wodospad, tworząc promienny obrys, pomiędzy

oceanem nocy i upstrzoną gwiazdami przestrzenią. To było naprawdę piękne, jednak Agnes stwierdziła, że byłoby piękniejsze, gdyby obserwowała to zjawisko, mając pod nogami cokolwiek na czym mogłaby oprzeć stopy. Biorąc pod uwagę dziesięć stóp powietrza poniżej jej nóg, trudno powstrzymać oczy przed łzawieniem. Perdita natomiast uważała, że to piękne. Agnes pomyślała, że gdyby teraz zaczęła spadać i w efekcie tego rozbryzgnęła się na różowe kawałki na skałach w dole, Perdita została by w górze.

- Wszystko, czego zapragniesz – wyszeptał Vlad. – Przez wieczność.

- Chcę zejść – zażądała Agnes.

Zniknął.

W budowie ciała młodej wiedźmy było coś ciekawego. Otóż, nadawało się ono doskonale do spadania. Automatycznie obróciła się brzuchem w dół i zaczęła spadać, ciągnąc za sobą warkocz włosów, niczym ogon komety.

Co ciekawe, uczucie grozy zniknęło. Jednak strach wynikający z tego, że straciła kontrolę nad sytuacją, wciąż dawało o sobie znać. Teraz spadała a spódnica smagała ze świstem jej nogi i z oczu płynęły łzy, kiedy mroźne powietrze cięło jej twarz. Bynajmniej mogła ujrzeć to, co niesła przyszłość, nawet jeśli nie było jej zbyt wiele.

Być może trafię w zaspę albo w jakąś głęboką wodę...

Mogłybyśmy spróbować, zasugerowała Perdita. *Nie wygląda na zupełnie złego.*

- Zamknij się!

To mogłoby być całkiem przyjemne... Tak móc zatrzymać się, pooglądać. A teraz spadasz, jakbyś nosiła pod spódnica wypełnione piaskiem juki!

- Zamknij się!

To nawet zabawne, gdyby nie fakt, że za chwilę rozprysniesz się na skałach, jak wypełniony wodą pęcherz...

- Przestać gadać! Swoją drogą zdaje się, że widzę jezioro. Sądzę, że gdybym spróbowała ułożyć się pod odpowiednim kątem...

Biorąc pod uwagę wysokość, niewiele będzie się to różniło od uderzenia w ziemię.

- Takaś tego pewna? *Nie, pewności nie mam, ale...* – To o czym gadasz?

Każdy wie, że...

Vlad ukazał się tuż obok Agnes, unosząc się w powietrzu, jakby siedział na kanapie.

- Jak się bawisz? – zapytał.

- To zaszło odrobinę za daleko – wypaliła Agnes, nawet na niego nie patrząc.

Dotknął jej dłoni. Nie poczuła uścisku, jednak przestała spadać. Znowu zdawało jej się, że jest lekka niczym powietrze.

- Dlaczego to robisz? – spytała. – Jeśli zamierzasz mnie ugryźć, skończ to od razu!

- Ależ w żadnym wypadku! Nie mogę sobie na to pozwolić!

- Zrobiłeś to Babci! – warknęła Agnes.

- Owszem, ale kiedy robimy to wbrew czyjejś woli... Cóż, wówczas ta osoba staje się taka... uległa. Nie interesuje jej nic poza jedzeniem. Jednak kiedy ktoś wkracza w mrok z własnej woli... Otóż, moja droga Agnes, to zupełnie co innego! A ty jesteś nazbyt interesująca, by stać się niewolnicą.

- Chciałabym wiedzieć – odezwała się Agnes, kiedy płynęli ponad szczytami gór – czy miałeś wiele dziewczyn?

- Jedną, może dwie – odpowiedział Vlad, wzruszając ramionami. – Zwykle wieśniaczki. Dziewki służebne.

- A co się z nimi stało, jeśli można wiedzieć?

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Wciąż pracują w zamku.

Wampir wzbudzał w Agnes obrzydzenie. Perdita zwyczajnie go nienawidziła a to uczucie jest przecież przeciwagą miłości – i właśnie to sprawiało, że wydawał się jej tak atrakcyjny.

...jednak Niania mówiła, że kiedy stanie się najgorsze... i kiedy wzbudzi w nim zaufanie... a przecież dorwali Babcię...

- Kiedy stanę się wampirem – stwierdziła – przestanę odróżniać dobro od zła.

- To takie infantylne, nie sądzisz? Przecież to różne sposoby postrzegania tych samych rzeczy. Nie zawsze musisz robić to, czego wymaga od ciebie reszta świata!

- Wciąż się nią bawisz?

Lacrimosa zmierzała ku nim, unosząc się w powietrzu. Za jej plecami czarownica dostrzegła inne wampiry.

- Albo ją ugryźć albo wypuść – mówiła dziewczyna. – Niech mnie, jakaż ona gruba! Chodźmy, Ojciec cię wzywa. Próbują dotrzeć do naszego zamku! Jakież to głupie!

- Nie twój interes, Lacci – odburknął Vlad.

- Każdy chłopiec winien mieć jakieś hobby, ale... coś takiego... – powiedziała

Lacrimosa, przewracając gałkami swoich podkrążonych oczu.

Vlad uśmiechnął się do Agnes – Pójdiesz z nami? – zapytał.

Babcia kazala ci pójść za Nianią i Magrat, przypomniala jej Perdita.

- Wiem, ale kiedy tam pójde i okaże się, że ich nie ma? – odezwała się na głos wiedźma.

- Och, na pewno ich znajdziemy – odparł Vlad.

- Chodziło mi...

- Chodź. Nie zamierzamy skrzywdzić twoich przyjaciół...

- Bynajmniej nie za bardzo – dodała Lacrimosa.

- Chyba, że... zostawimy cię tutaj – powiedział Vlad, szczerząc zęby.

Agnes rozejrzała się. Wylądowali na szczycie góry, wysoko ponad chmurami. Czula chłód i widziała światło, które wydawało jej się dziwnie obce. Nawet kiedy latała na miotle, nigdy nie czuła czegoś podobnego. Wciąż zdawała sobie sprawę z istnienia nieubłaganej grawitacji, ale kiedy wampir trzymał ją za dłoń, miała wrażenie, że mogła by pozostać tu w górze na wieki. Swoją drogą, jeśli z nimi nie pójdzie, czeka ją bardzo długa – lub zaskakująco krótka – podróż na ziemię.

Najważniejsze było odnalezienie pozostałej dwójki czarownic a nijak tego nie robi, jeśli umrze gdzieś w jakiejś górskiej szczelinie. I jakby na to nie patrzeć Vlad – mimo ostrych, jak szpilki kłów i okropnego gustu – wydawał się żywić do niej jakieś uczucie. Było w tym coś więcej, niż zwykły pociąg do interesującej szyi.

Podjęła decyzję.

- Gdybyś uwiązał ją kawałkiem sznurka, moglibyśmy ciągnąć ją za sobą jak balonik – skomentowała to Lacrimosa.

Istniała również możliwość, że w pewnym momencie znajdą się ze sobą sam na sam – ona i Lacrimosa. Gdyby tak się stało niepotrzebne były by siekiery, kołki i czosnek. Wystarczyłaby krótka pogawędka na temat osób, które zachowywały się bardzo nieuprzejmie, były odrobinę za złośliwi i ociupinę za szczupłe. Wystarczyłoby pięć minut – oko w oko.

No i przydałaby się jakaś szpilka, dodała Perdita.

* * *

Korytarz króliczej nory pod nasypem wiódł do niskiej, acz szerokiej izby. Korzenie drzewa wiły się pomiędzy kamieniami w jej ścianach.

Wokół Lancre istniało mnóstwo takich miejsc. Królestwo znajdowało się tu od wielu, wielu lat – odkąd tylko lód pozostawił to miejsce innym żywiołom. Plemiona płađowały je, uprawiały jego ziemie, budowały swe osady i wymierały. Pod pagórkami i kopcami przetrwały – mimo posuniętego rozkładu – gliniane ściany i sklepienia siedzib i kurhanów

dawno zapomnianych i zmarłych mieszkańców Lancre. Nikt już nie pamiętał, kto i gdzie został pogrzebany. Niekiedy zapadające się wzgórki ujawniały szczątki kości czy resztki nadwierzonych rdzą zbroi. Mieszkańcy Lancre nigdy nie prowadzili wykopalisk, gdyż wedle obyczaju uznawali, iż pechem jest kiedy jakiś mściwy, podziemny duch urywa komuś głowę.

Kilka starych kopców zostało nadwierzonych zębem czasu a ich olbrzymie kamienie nagrobne stanowiły element lokalnego folkloru. Na przykład kiedy zostawiło się tam na noc niepodkutego konia a na kamieniu położyło się sześć pensów, nazajutrz owo sześć pensów zniknęło i nigdy już nie odnajdywano zwierzęcia...

W izbie, na zabłoconej podłodze płonęło ognisko, rzucając na ściany złowróżbne cienie. Pomieszczenie wypełniał dym, ulatniając się przez wiele szczelin.

Pośród dymu znajdowała się gruszkowata skała.

Verence spróbował się podnieść, jednak ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

- Dinna scanna' wista – warknęła skała.

A potem pomachała nogami. Po chwili dotarło do niego, że patrzy na kobietę... Przynajmniej na coś, co przypomina w ogólnym zarysie kobietę, jednak równie niebieską jak chochliki, wysoką na jakąś stopę i tak grubą, że niemal okrągłą. Wyglądała dokładnie, jak małe figurki z epoki lodowcowej, kiedy to mężczyźni najbardziej cenili w kobiecie masę jej ciała. Ubrana była w coś, co nosiła zapewne dla zachowania pozorów przyzwoitości, albo do zaznaczenia linii równika. Verence nie mógł myśleć o tym inaczej niż... „tutu”. Całość przypominała mu nakręcanego bączka, z czasów jego dzieciństwa.

- Kelda mówić – odezwał się charkot tuż przy jego uchu – że wy... być... gotowe.

Verence obrócił głowę i ujrzał małego, niemal wyschniętego chochlika stojącego przed jego nosem. Jego skóra prawie wyblakła. Nosił długą, siwą brodę i wspierał się na dwóch patykach.

- Gotowy? Na co?

- Dobrze, dobrze – mruzczał chochlik uderzając patykami w ziemię – Craik'n shaden ach, Feegle!

Niebiescy ludkowie wyłonili się z cieni. Poczuli jak chwytają go setki rączek. A potem chochliki utworzyły piramidkę, stawiając go pionowo przy ścianie. Niektóre podtrzymując się korzeni biegnących sufitem, ciągnęły jego nocną koszulę, żeby utrzymać go na nogach.

Gromadka innych biegła w dole, niosąc normalną kuszę. Podparły ją na kamieniu i wycelowały w Verence.

- Eeee... Chcę powiedzieć... – wyjąkał król.

Kelda zniknęła w cieniu. Po chwili wróciła, zaciskając coś w grubych piąstkach. Zbliżyła się do ogniska i uniosła je nad płomienie.

- Yin! – powiedział stary chochlik.

- Chciałbym powiedzieć... że to poważne... eee... poważne... naruszenie moich... eee... praw...

- Yin! – krzyknęli Nac mac Feeglowie.

- Tona!

- Ehem, owszem... eee... owszem, ale...

- Tetra!

Kelda wrzuciła coś do ognia. Białe płomienie buchnęły w górę, wypełniając pokój potężnym blaskiem i tańczącymi cieniami. Verence zamrugał.

Kiedy odzyskał wzrok, ujrzał bełt kuszy wbity w ścianę o cal od jego ucha.

Kelda rzuciła jakieś zaklęcie i po ścianach znowu zatańczyło osłepiające światło. Brodaty wciąż walił w ziemię swoimi patykami.

- Ty teraz musisz odejść daleko! Musieć!

Feeglowie puścili Verence, ten zrobił kilka chwiejnych kroków i wyładował na podłodze. Jednak chochliki nie zwracały na niego uwagi. Wszystkie spoglądały ku górze.

Podążył wzrokiem w tym samym kierunku.

Na ścianie wił się przyszpilony bełtem jego własny cień. Skręcał się przez jakiś czas, próbując wyrwać bełt widmowymi rękami, a potem zniknął zupełnie.

Verence uniósł dłoń. Wciąż miał swój cień, jednak ten wyglądał na zupełnie zwykły.

Staruszek pokuśtykał w jego kierunku.

- Teraz być dobrze – wyjaśnił.

- Zabiliście mój cień? – zapytał Verence.

- Możesz mówić – to cień! – powiedział chochlik. – To być mrok! Oni wepchnąć go w króla! Teraz ty być dobrze, raz i dwa!

- Raz i dwa?

- Raz i dwa – powtórzył chochlik. – Sto lat, królu! Ja być mężczyzną Wielkiej Aggie. Ty byś powiedział, że ja premier, albo coś takiego. Może coś do picia i szamanka, póki my czekamy?

Verence wytarł twarz. Teraz czuł się o wiele lepiej. Lepka mgła wokół jego umysłu stawała się coraz mniej gęsta.

- Czy kiedykolwiek zdołam się wam odwdziaczyć? – zapytał.

Oczy staruszka błysnęły wesoło.

- Och, ta mała starowinka, pani Ogg... Ona mówić, że wasza łaskawość ofiarować nam coś... – zaczął chochlik.

- Czegokolwiek zażądacie – zadeklarował Verence.

Kilkoro chochlików pojawiło się ciągnąc za sobą pergamin. Rozwinęli rulon przed Verencem a w dłoni staruszka nagle pojawiło się pióro.

- Mówicie na to podpis – powiedział, kiedy Verence wpatrywał się w gęsto zapisany, długi dokument. – Pierwej przeczytaj wszystkie te subklauzule i zapisy. Nac mac Feegle być prostym ludkiem – dodał – ale my spisywać bardzo skum-plik-ow-ane dokumenty.

* * *

Wielebny Oats wpatrywał się w staruszkę mrużąc oczy ponad złożonymi do modlitwy dłońmi. Dostrzegła jak rzuca ukradkowe spojrzenia ku toporowi i znowu ku niej – na przemian.

- Nie zdążyłybyś go w porę dosięgnąć – stwierdziła nawet nie drgnawszy – Jeśli chciałbyś go użyć, już powinieneś go trzymać. Modlitwy są jak najbardziej wskazane, skoro dzięki temu zachowujesz zdrowe zmysły. Jednak dobry topór to w końcu dobry topór – nieważne w co byś wierzył...

Oats rozluźnił się odrobinę. Spodziewał się, że skoczy mu do gardła.

- Może Hodgesaargh zaparzy herbaty... Jestem taka spragniona – poprosiła Babcia. Wparła się z wysiłkiem na kowadle, głośno posapując. Kątem oka złowiła nieznaczny ruch jego ręki.

- Chciałbym... Muszę spytać... To znaczy...

- Sokolnik to ten lekko pomyłony człowiek... Chętnie przekazałabym też herbatniczkę.

Ręka Wielebnego dotarła do trzonka topora.

- Nadal nie dość szybko – skomentowała Babcia. – Mimo wszystko trzymaj ten trzonek. Po pierwsze: topór, modlitwy zostaw na później. Wyglądasz, jak jakiś klecha. Który z bogów to twój?

- Eee... Om.

- To bóg, czy bogini?

- Bóg. Zdecydowanie, bóg. – O dziwo, była to chyba jedyna kwestia, która nie podzieliła Kościoła. – Eee... chyba pani to nie przeszkadza?

- Dlaczego niby miałyby przeszkadzać?

- Cóż... pani przyjaciółki uważają, że Omianie palili czarownice...
- Nigdy tego nie robili – stwierdziła Babcia.
- Obawiam się jednak, że według zapisków...
- Nigdy tego nie robili – powtórzyła Babcia. – Być może palili jakieś starsze panie, które miały za długi język, albo nie były w stanie uciekać. Osobiście nigdy nie widziałam palącej się czarownicy – dodała, poprawiając się na kowadle. – Za to palącą czarownicę i owszem. Nie wszystkie jesteście miłe.

Oats przypomniał sobie, że Hrabia wspominał, iż inspirował niektóre fragmenty *Arca Instrumentorum*...

Te księgi były pradawne! W końcu to wampiry! Nawet księgi nie kwestionowały ich istnienia! Lodowate ostrze zwątpienia wpychało się coraz głębiej w jego umysł – któż mógł być pewien, kto i co napisał naprawdę? Czyim słowom można zaufać? I co jest prawdą?

Babcia stanęła na nogach i chwiejąc się ruszyła ku ławce, gdzie Hodgesaargh zostawił słoik bijący blaskiem feniksiego piór. Przyjrzała mu się badawczo.

Oats zacisnął dłonie na toporze. Musiał przyznać rację wiedźmie – dawało mu to więcej otuchy niż modlitwa. Bynajmniej w tej chwili. Może powinien poszukiwać prawdy poczynając od małych kroczków, na przykład od myśli: ten topór istnieje naprawdę.

- Muszę... chcę mieć pewność – wyjąkał. – Chcę wiedzieć... czy jest pani wampirem?

Babcia Weatherwax jakby nie usłyszała pytania.

- Gdzie podziewa się Hodgesaargh? – mruknęła.

Sokolnik wniósł tacę z parującymi filiżankami.

- To miło ujrzeć panią w lepszym stanie, Pani Weatherwax.

- Do tego jeszcze daleko.

Sięgnęła po filiżankę, rozlewając herbatę. Jej dłonie drżały.

- Hodgesaargh?

- Tak, psze pani?

- Trzymasz tutaj feniksa, prawda?

- Nie, psze pani.

- Widziałam, jak na niego polowałeś.

- Znalazłem ptaka, psze pani. Jednak ktoś zabił go wcześniej. Nie zostało nic, tylko trochę popiołu, psze pani.

- Dla własnego dobra, lepiej byś opowiedział mi wszystko.

- Nie wiem, czy to odpowiedni moment? – wtrącił Oats.

- Odpowiedni – warknęła Babcia Weatherwax.

Oats słuchał. Hodgesaargh był wyjątkowym gawędziarzem i na swój sposób doskonałym. Gdyby poproszono go o opowieść z dziejów Wojny Tsortiańskiej to nie omieszkałby wspomnieć o każdym zauważonym w tym czasie kormoranie, czy pelikanie. Każdy kruk z pola bitwy zostałby sumiennie umieszczony w miejscu, w którym się natenczas znajdował i żaden z ptaków nie zostałby w opowieści pominięty. Owszem, jacyś zbrojni zostaliby wspomiani, gdzieś na marginesie gawędy, ale tylko dlatego, że siadały na nich kruki.

- Feniksy nie składają jaj – wtrącił w pewnym momencie Wielebny, kilka chwil po tym, jak zapytał sokolnika ile wcześniej wypił.

- To ptak – stwierdził autorytatywnie Hodgesaargh. – Ptaki robią to właśnie w ten sposób. Nie spotkałem takiego ptaka, co to by jajek nie znosił. A tutaj znalazłem nawet skorupkę. – dodał wybiegając ze stajni.

Oats posłał Babcie pobłażliwy uśmiech.

- Na pewno znalazł jakieś skorupy po kurzych jajach – powiedział. – Czytałem kiedyś o feniksie. To mityczne stworzenie, symbol, taka metafora...

- Nigdy nie można być zupełnie pewnym – rzekła enigmatycznie Babcia. – Osobiście nie widziałam żadnego z bliska.

Sokolnik wrócił z małym pudełkiem. Wypełnione było puchem, pośród którego znajdowały się pokruszone skorupki. Oats podniósł kilka z nich. Błyszczały srebrzystą poświatą.

- Znalazłem to w popiele.

- Nikt dotąd nie twierdził, że znalazł skorupki feniksich jajek – powiedział oskarżycielskim tonem Wielebny.

- Naprawdę? – spytał niewinnie Hodgesaargh. – Więc co to niby jest?

- Zastanawiam się, czy ktokolwiek inny oglądał coś takiego? – mruknęła pod nosem Babcia, gmerając w odłamkach. – Hmm...

- Zawsze myślałem, że feniksy żyją w jakimś tajemniczym... – zaczął sokolnik.

- Żyją wszędzie i rodzą się wszędzie. Jak ludzie – wyjaśniła Babcia. – Domyślam się jednak, o co ci chodzi Hodgesaargh.

- Dziękuję, pani Weatherwax.

- Żałuję jednak, że nie pomyślałeś o czymś jeszcze – mówiła dalej Babcia.

- Nie rozumiem?

- Tutaj jest więcej kawałków niż z jednego jajka.

- Nie rozumiem?

- Hodgesaargh – mówiła cierpliwie Babcia. – Ten feniks złożył więcej jajek.

- Jak to!? Przecież to nie tak! Zgodnie z mitem... – zaproponował Oats.

- Och, mity! – zachnęła się Babcia. – Mity to tylko ludowe powiastki zwycięzców, którzy mieli większe miecze. To byli tylko ludzie, którzy nie przyjmowali do wiadomości piękniejszych zagadnień ornitologii. Tak czy siak, zanim coś stanie się mitem, zmierza do swej ostatecznej formy bardzo, bardzo długo. Feniksy mają wrogów, prawda? Tak jak każde inne stworzenie... Mógłbyś mi podać dłoń, młodzieńcze? Hodgesaargh!? Ile ptaków znajduje się w stajniach?

Sokolnik wpatrywał się przez moment w swoje palce.

- Będzie tego pięćdziesiąt sztuk.

- Liczyłeś je ostatnio?

Czekali, przyglądając się maszerującemu od boks do boks sokolnikowi. Potem zawrócił i ruszył ku nim, licząc po raz wtóry. A potem przez jakiś czas wpatrywał się w swoje palce.

- Pięćdziesiąt... jeden? – odpowiedziała Babcia?

- Nic z tego nie pojmuję, psze pani.

- Więc spróbuj policzyć je według rodzaju.

Po dziewiętnastu zdziwionych skrzywieniach twarzy, sokolnik ze zdumieniem stwierdził, że powinno być osiemnaście rodzajów ptaków.

- Pewnie wleciał, bo zobaczył inne ptaki – stwierdził Oats. – Tak robią gołębie.

- Z sokołami to niezupełnie to samo, psze pana – powiedział Hodgesaargh.

- Jeden z nich nie będzie przywiązany – powiedziała Babcia. – Jestem tego pewna.

Ptak ukrył się na tyłach stajni. Był nieco mniejszy od całej reszty i sprawiał wrażenie mocno przestraszonego, kiedy wisiał cicho na żerdzi. Niewiele ptaków potrafiło być bardziej potulne niż lancrański jastrząb, czy strachrząb plujodzioby, będące zwierzętami teoretycznie mięsożernymi, jednakowoż nie mającymi nic przeciwko wegetariańskiej alternatywie. Ptaki owe spędzały większość czasu śpiąc a kiedy potrzebowały pożywienia, zazwyczaj siadały na jakiejś osłoniętej od wiatru gałęzi i czekały, aż coś zdechło. Strachrząby miały zwyczaj siadać na żerdzi, wzorem pozostałego ptactwa, jednakowoż w krótkim czasie zasypiały dyndając głowami do dołu, niczym nietoperze. Hodgesaargh hodował je z dwóch przyczyn. Dla ich wyjątkowego upierzenia i dlatego, że ptaki te zostały odkryte tylko na terenie Lancre. Jednak

wszyscy szanowani sokolnicy doszli do wniosku, że pragnąc osiągnąć jakiegokolwiek rezultaty, polując z jastrzębiem trzeba by użyć ptaka jako pocisku do procy.

Babcia sięgnęła po ptaka.

- Lepiej będzie, jeśli skoczę po rękawicę – uprzedził ją Hodgesaargh, jednak czarownica zbyła go machnięciem ręki. Jastrząb jak gdyby nigdy nic, wskoczył jej na przegub.

Babcia wstrzymała oddech, kiedy małe błękitne i zielone ogniki zatańczyły wzdłuż jej ręki.

- Jak się pani czuje? – zapytał Wielebny.

- Jak nigdy dotąd. Hodgesaargh, zabieram tego ptaka! Będzie mi potrzebny.

- Jest ciemno, psze pani.

- To bez znaczenia. Trzeba zakryć mu główkę kapturem.

- Nigdy nie nakrywałem jastrzębi kapturkami, psze pani. Nie sprawiają najmniejszych kłopotów.

- To jest... To jest... – Babcia starała się znaleźć odpowiednie słowo. – To ptak, którego nikt wcześniej nie oglądał. Załóż mu kaptur.

Hodgesaargh wahał się przez chwilę. Przed oczyma stanął mu krag spalonej ziemi i to coś, szukające kształtu, dzięki któremu mogłoby utrzymać się przy życiu...

- Czy to aby na pewno jastrząb, psze pani?

- Mnie się pytasz? – powiedziała wolno Babcia. – Przecież to ty jesteś sokolnikiem w tych stronach.

- To dlatego, że znalazłem... W lesie... Widziałem...

- Co takiego widziałeś, Hodgesaargh?

Hodgesaargh nie mógł wytrzymać tego świdrującego spojrzenia. I pomyśleć, że polował na feniksa! Najgorsze, co mogły zrobić mu ptaki, to udziobać go do krwi. Jednak jeśli złapałby tego feniksa, to ptak mógłby... Opanowało go palące pragnienie, by zabrać ptaka jak najdalej stąd.

Najdziwniejsze, że pozostałe ptaki były takie spokojne. Wszystkie zakapturzone główki skierowane były ku małemu ptakowi, siedzącemu na babcinym przegubie. Każda ociemniała, zakapturzona główka.

Hodgesaargh uniósł jeden z kapturów. Kiedy mocował go na głowie jastrzębia, przez chwilę odniósł wrażenie, że spod niego wydobywa się złotawy blask. Postanowił nie zastanawiać się nad tym dłużej. Przez wiele lat dzierżył posadę królewskiego sokolnika tylko dlatego, że potrafił odróżnić, co należy do jego spraw a co nie. A to, co się działo nie należało – chwala bogom – do jego spraw.

Babcia zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów.

- Doskonale – powiedziała. – Teraz udamy się do zamku.

- Jak to? Po co? – dopytywał się Oats.

- Do kroćset! A jak ci się wydaje, młodzieńcze?

- Wampiry opuściły to miejsce – powiedział duchowny. – Gdy pani... Gdy pani nabierała sił. Pan Hodges...aargh zrobił obchód. Pozostawili strażę i... eee... służących. Narobili trochę hałasu a potem odjechał jakiś powóz. Niestety, wszędzie pełno straży.

- Więc jakim cudem wydostał się ten powóz?

- Hm, powóz należał do wampirów i powoził nim ich sługa, ale Jason Ogg wspominał, że widział też panią Ogg.

Babcia oparła się o ścianę.

- Dokąd pojechali?

- Sądziłem, że potrafi pani czytać w ich myślach, czy coś w tym rodzaju... – powiedział Oats.

- W tej chwili, młodzieńcze, nie wydaje mi się, że potrafię odczytać swoje własne myśli.

- Jeśli chce znać pani moje zdanie, to wciąż jest pani zbyt słaba z powodu utraty krwi...

- Jak śmiesz mówić mi, że jestem zbyt słaba!? – warknęła Babcia. – Daruj sobie! Dobrze, dokąd zabrałyby ich Gytha?

- Podejrzewam, że...

- Uberwald – stwierdziła ponuro Babcia. – Dokładnie tam.

- Gdzie? Jest pani tego pewna?

- We wiosce nie znalazłyby bezpiecznego schronienia a w taką noc nie zabrałyby dziecka do zniekształconych ziem. Jazda ku dolinom byłaby prawdziwym szaleństwem a do tego wcale bym się nie zdziwiła, gdyby deszcz rozmył zupełnie drogę.

- Przecież to pakowanie się lwu w gardło!

- To mniej niebezpieczne niż pozostawanie w tym miejscu – stwierdziła Babcia. – W Uberwaldzie znają wampiry. Są do nich przyzwyczajeni i znają bezpieczne miejsca. Choćby mnóstwo solidnych gospod wzdłuż traktu. Niania jest praktyczna i mogę się założyć, że o tym pomyślała. – Babcia skrzywiła się z niesmakiem – Jednak skończą w siedlisku wampirów – dodała.

- Och, nie może być!

- Czuję to we krwi – powiedziała Babcia. – Cały kłopot z Gythą Ogg polega na tym, że czasami bywa zbyt praktyczna – przerwała. – Wspominałeś o strażach?

- Zamknęliśmy ich w twierdzy, psze pani – odezwał się głos przy wejściu. U wrót stajni stał Shawn Ogg a za nim reszta tłumu. Podszedł kulejąc a jedną ręką podtrzymywał jakiś przedmiot.

- Więc bynajmniej z nimi mamy święty spokój – powiedziała z abrobatą Babcia.

- Mimo to nie możemy dostać się do środka, psze pani – dodał skonsternowany Shawn.

- Tak? Jednak oni nie mogą wyjść?

- Właśnie... Jednak zbrojownia jest w środku a w niej cała nasza broń. A oni są pijani.

- Co tam chowasz?

Shawn spojrzał w dół – To jest Nóż Armii Lancrañańskiej – wyjaśnił. – Eee... w środku został też mój miecz – dodał.

- Czy to takie narzędzie do pozbywania się żołnierzy z twierdzy?

- Eee... nie, psze pani.

Babcia przyjrzała się narzędzi z bliska. – Co to za powykręcana część, o tutaj? – zapytała.

- Ehem... To Nastawny Argument W Egzystencjalnych Debatach... Tak to nazwałem – wyjaśnił Shawn. – Król kiedyś o to pytał i...

- I skutkuje?

- Eee... jeśli odpowiednio tym pokręcić.

- A to?

- To Przyrząd Do Wydobywania Sedna Sprawy Z Osób Zdających Raporty – objaśnił Shawn.

- Verence też o to pytał?

- Tak, psze pani.

- Sprawdza się w wojaczce? – zapytał od niechcienia Oats, przyglądając się Babci. Zmieniła się kiedy pojawili się ludzie. Wcześniej pochylona i wycieńczona a teraz wyprostowana i twarda, jakby wsparta na jakimś rusztowaniu z dumy.

- Hm, tak psze pana. Zwłaszcza, kiedy krzyczy się do tego „Zaraz tam przyjdziemy i poucinamy wam wasze... wasze... wasze języki!” – powiedział Shawn, lekko się rumieniąc. – Albo coś w tym stylu.

- Acha.

- Niekiedy trzeba umieć przekonać wroga do swoich racji – dodał Shawn.

- Potrzebny mi koń – powiedziała stanowczo Babcia.

- Może kobyła starego Poorchicka... – zaczął Shawn.

- Jest zbyt wolna.

- Eee... tak się składa, że mam... mam muła – zasugerował Oats. – Król był łaskaw pozwolić mi zostawić go w stajniach.

- Skoro nie mamy innego wyjścia – powiedziała Babcia. – Jeśli wystarcza tobie, musi wystarczyć i mi. Przyrowadź go. Może uda mi się sprowadzić dziewczętą z powrotem.

- Słucham!?! Sądziłem, że potrzebuje go pani, żeby wrócić do chatki! Chce pani jechać do Uberwaldu? Sama!?! Muszę stanowczo zaprotestować!

- Nikt tu nie pyta cię o zdanie, młody człowieku! Idźże już i przyrowadź tego muła, bo naprawdę rozgniewasz swojego Oma!

- Przecież pani ledwo stoi na nogach!

- Jakoś ustoję! No, pośpiesz się!

Oats odwrócił się, oczekując poparcia ze strony lancrańskiego tłumu. Przyglądali się w milczeniu, jak gdyby oczekiwali jeszcze na jakieś ciekawe przedstawienie zanim się rozejdą.

Potem ktoś z tyłu odezwał się cicho – A co nas obchodzi los jakichś cholernych potworów?

- W końcu to Babcia Weatherwax – dodał Shawn Ogg.

- Przecież to tylko starsza pani – obstawał przy swoim Wielebny.

Tłum profilaktycznie zrobił kilka kroków wstecz. Przebywanie w okolicy tego nawiedzzonego człowieka przestawało być bezpieczne.

- A sami poszlibyście gdziekolwiek w taką paskudną noc? – zapytał.

- Jeśli byłbym pewien, że Babcia Weatherwax znajduje się zupełnie gdzie indziej – odezwał się głos z tyłu.

- Woźnico Bestialstwo! Nie myśl sobie, że tego nie słyszałam – powiedziała Babcia z delikatną sugestią satysfakcji w głosie. – Czy teraz pójdziesz wreszcie i przyrowadzisz mi tego muła?

- Jest pani pewna, że da pani radę?

- Absolutnie pewna.

Oats skapitulował. Babcia uśmiechnęła się tryumfalnie i poprzez rozchodzący się tłum, ruszyła wielkimi krokami ku stajniom. Wielebny truchtem ruszył za nią.

O mało co nie zderzył się z nią, kiedy zniknęli za zakrętem. Czarownica stała sztywno niczym drąg.

- Czy ktoś na mnie patrzy? – zapytała.

- Co? Nie... Nie sądzę. – odpowiedział. – Nie licząc mnie, oczywiście.

- Ty jesteś nieważny – mruknęła a potem nagle zgięła się w pół i nieomal upadła.

Podtrzymał ją a czarownica zaczęła okładać jego ramiona pięściami. Jaustrząb trzepotał rozpaczliwie skrzydłami.

- Zostaw mnie! To nic takiego! Po prostu się potknęłam!

- Oczywiście. To nic takiego. Tylko się pani potknęła – powiedział uspokajająco.

- Nawet nie próbuj się podlizywać!

- Ależ skąd!

- Muszę po prostu bardziej uważać na te przeklęte gałęzie!

- Dokładnie! Sam widziałem, jak potknęła się pani o jedną z tych przeklętych gałęzi!

- Właśnie.

- Więc może podam pani ramię, bo pełno tu tych przeklętych gałęzi?

Dostrzegł wyraz jej twarzy. Nie była to twarz, którą można by powiesić sobie nad kominkiem. Wyrażała szalejący pod powierzchnią oceanu rozbieżnych uczuć sztorm.

- Skoro tak twierdzisz. Może cię to ocalić przed przykrym lądowaniem jeśli potkniesz się o jedną z nich... – powiedziała w końcu.

- Właśnie – odparł z wylewną wdzięcznością Oats. – Niemalże skręciłem sobie kostkę, kiedy tędy szedłem.

- Wciąż powtarzam, że ta dzisiejsza młodzież nie ma za grosz hartu ciała – mruzczała Babcia, jakby zastanawiała się nad jakimś pomysłem.

- Otóż to, gdzież mi do pani samokontroli.

- Wzrok pewnie też już nie ten, co? Załóżę się, że przez te wszystkie książki, widzisz gorzej niż ja – dodała Babcia.

- Ma pani absolutną rację! Jestem ślepy, niczym nietoperz, proszę pani.

- Właśnie.

I tak w cichym porozumieniu, ślaniając się na nogach dotarli do stajni.

Muł wzdrygnął się, kiedy ujrzał Babcie Weatherwax – od razu rozpoznał w niej nadchodzące kłopoty.

- Bywa nieco oporny – wyjaśnił Oats.

- Tak? – mruknęła Babcia – To się dopiero zobaczy.

Chwiejnie zbliżyła się do muła i przyciągnęła jedno z jego uszu do poziomu swoich ust. Przez chwilę coś szeptała. Muł zamrugał.

- Teraz jest obłaskawiony – wyjaśniła. – Pomóż mi go dosiąść.

- Proszę pozwolić mi założyć uzdę...

- Młodzieńcze, może nie jestem w swej najlepszej formie, ale w momencie, kiedy będę potrzebowała uzdy by jechać na jakimś stworzeniu, mogą mnie położyć w łóżku z termoforem. Podaj mi ramię i łaskawie się odwróć, kiedy będę wsiadała.

Wielebny nawet nie protestował. Zrobił strzemień z swoich dłoni i podsadził ją do siodła.

- Czemu nie chce mnie pani zabrać?

- Mamy tylko jednego muła, więc i tak byś przeszkadzał. No i musiałabym wciąż cię niańczyć.

Nagle osunęła się z siodła i wylądowała na słomie po drugiej stronie zwierzęcia. Jaustrząb podfrunął na pobliską belkę. Gdyby Wielebny miał czas się nad tym zastanowić, zdziwiłby się pewnie, jakim cudem ptak leciał tak pewnie, mimo kaptura na główce.

- Do kroćset!

- Tak się składa, proszę pani, że znam się nieco na medycynie! A pani nie jest w stanie jechać na czymkolwiek!

- Faktycznie, może nie w tej chwili – przyznała Babcia słabym głosem. Strzepnęła z twarzy żdźbła słomy i skinęła dłonią by pomógł jej wstać. – Niech no tylko stanę na nogi...

- Dobrze, już dobrze! Może więc pojedę z panią i będzie mnie pani asekurować? Zdaje mi się, że nie waży pani więcej niż mój akordeon, a wożę go zawsze ze sobą!

Babcia rzuciła mu posępne spojrzenie. Wyglądała niczym pijana w stadium, kiedy każda nierozsądna myśl wydaje się dobrym pomysłem, jak choćby kolejny drink. Zdawało się, że podjęła decyzję.

- Hmm... skoro nalegasz...

Oats poszukał kawałka sznurka i po kilku protestach czarownicy, która wciąż uważała, że wyświadcza mu wielką przysługę, przywiązał ją w pozycji siedzącej do siodła.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, iż zabrałam cię tylko dlatego, że nalegałeś i naprawdę twoja pomoc jest mi zbędna – mamrotała Babcia.

Topór.

- Przejdź bliżej wieśniaków i zapytaj mnie raz jeszcze, czy mogę zabrać cię ze sobą – nakazała czarownica.

Oats wpatrywał się chwilę przed siebie, po czym zsiadł, ściągnął Babcie, podtrzymując ją wbrew jej protestom. Zniknął na chwilę w ciemnościach. Kiedy wrócił niósł topór, który przywiązał sobie do pasa a potem wdrapał się z powrotem.

- Uczysz się – powiedziała Babcia.

Gdy wyruszyli uniosła ramię. Jaustrząb z trzepotem skrzydeł osiadł na jej przegubie.

* * *

Wewnątrz podskakującego powozu zapanował dziwny zaduch.

Magrat pociągnęła nosem – Rękę dam sobie obciąć, że przewijałam Esmę jakiś czas temu...

Po szybiej inwentaryzacji zawartości dziecięcych pieluch, zajrzeli pod siedzenie. Greebo leżał z łapami wycelowanymi ku górze.

- Czy to nie on tak pachnie? – zapytała retorycznie Niania. – Biedactwo, jest taki bezbronny. Poza tym nie lubi oddalać się od swojej mamusi.

- Może otworzymy okno? – spytała Magrat.

- Deszczu napada.

- Tak, ale wyleci ten zaduch – powiedziała wzdychając Magrat. – Nie zabraliśmy chyba jednej troby zabawek. Verence był bardzo wrażliwy na ich punkcie.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to mała kruszynka jest za małutka, żeby zacząć jej edukację – powiedziała autorytatywnie Niania, chcąc skierować myśli Magrat daleko od zbliżających się niebezpieczeństw.

- Najważniejsze jest środowisko – powiedziała poważnie Magrat.

- Słyszałam, że kazał ci czytać poradniki i słuchać eleganckiej muzyki, kiedy byłaś przy nadziei – powiedziała Niania, kiedy powóz przefrunął nad kolejną kałużą.

- Nie widzę nic złego w książkach, jednak pianino jest popsute. Wszystko, na co mogłam liczyć to solo na trąbce w wykonaniu Shawna – odpowiedziała Magrat.

- Nie jest takie złe, dopóki nikt nie chce się do niego przyłączyć – przyznała Niania, starając się odzyskać równowagę, kiedy powóz po raz któryś z rzędu niebezpiecznie przechylił się na bok. – Nieźle skręcił, jak na taką prędkość!

- Nie mogę sobie darować, że zapomnieliśmy o wanience – wyrzucała sobie Magrat. – I o torbie z mrówczą farmą. No i wkrótce wyczerpie nam się zapas pieluch...

- Niech no tylko na nią spojrzę – powiedziała Niania, sięgając po małą Esmę. Małe niebieskie oczka skupiły się na Niani Ogg. Mała różowa twarzączka rzuciła jej niepewne spojrzenie, jakby zastanawiała się czy przygotować się na „amu” czy „siu-siu”.

- Niezwykłe jak na jej wiek – mruzczała pod nosem Niania. – Takie skupienie.

Niezwykłe.

- O ile jest w TYM wieku – powiedziała złowroźnie Magrat.

- Ciii... Jeśli Babcia jest w środku, najwyraźniej się nie miesza. Nigdy się nie miesza. Tak, czy owak nie ma tu jej umysłu. To nie w jej stylu.

- W takim razie, co się dzieje?

- Widziałas już jak TO robi? I co sądzisz?

- Nie da się ukryć... Wszystko wskazuje na to, jakby robiła jedną z TYCH rzeczy – zaryzykowała Magrat.

- Jest gdzieś blisko. Zawsze starała się, żeby stworzenie, w którego głowie się ukryła, było bezpieczne.

- Do tego przeważnie zachowuje się tak dziwnie spokojnie... W taki swoisty, szczególny sposób.

- Otóż to! Nikt nie bywa tak spokojny, jak Esme. W ciszy, jaka wokół niej zapada, możesz wsłuchać się w własne myśli.

Powóz podskoczył na kolejnym wyboju, podrzucając obie wiedźmy na siedzeniach.

- Nianiu?

- Tak, złotko?

- Verencowi nic się nie stanie, prawda?

- Rzecz jasna! Powierzyłabym tym małym czortom wszystko, oprócz beczki piwa i krowy. Nawet Babcia przyznała, że Kelda jest cholernie dobra...

- Kelda?

- Coś w rodzaju wszechwiedzącej. Słyszałam, że teraz wszyscy nazywają ją Wielką Aggie. Jeśli chodzi o ichnie kobiety, to rzadko można je spotkać. Powiadają, że istnieje tylko jedna i jest nią właśnie Kelda. Ma chyba z setkę dzieci.

- To brzmi dość... – zaczęła Magrat.

- Eee tam! Mnie się wydaje, że jeśli chodzi o te sprawy, to chochliki przypominają krasnoludy! Zasadnicza różnica sprowadza się do tego, co mają pod przepaską biodrową – wyjaśniła Niania.

- Babcia wie pewnie lepiej – powiedziała smutno Magrat.

- I tak by nie powiedziała – mruknęła Niania. – Uważa, że to ich sprawa.

- I... będzie wśród nich bezpieczny?

- Oczywiście.

- Wiesz, jaki jest... Taki życzliwy – Magrat zawiesiła głos.

- To miło.

- Jednak jest dobrym władcą.

Niania skinęła głową.

- Sęk w tym, że ludzie bardzo rzadko traktują go... serio – mówiła Magrat.

- Owszem, to trochę żenujące – przyznała Niania.

- Ciężko pracuje i o wszystko się troszczy, jednak ludzie najzwyczajniej go lekceważą.

Niania przez chwilę myślała, jak ugryźć problem, który zdawał się bardzo ciężki młodej czarownicy.

- Mógłby częściej zakładać koronę – podpowiedziała. Powóz podskoczył wysoko na kolejnej bruzdzie. – Znam kilku dobrych krasnoludzkich rzemieślników z Miedzianki, którzy chętnie zrobiliby mu taką bardziej dopasowaną.

- Nianiu! To jest tradycyjna korona władców Lancre!

- Wiem, wiem... Jednak gdyby nie uszy, ludzie myśleli by, że to kołnierz – powiedziała Niania. – Dobrze by było, gdyby częściej wrzeszczał.

- Nidgy by tego nie zrobił! Nie znosi wrzasków!

- Wielka szkoda. Ludzie uwielbiają, kiedy ich monarcha od czasu do czasu ryknie. Poza tym mógłby bekać. Bekanie wciąż jest w modzie w wyższych sferach. Pomogłoby trochę hulania... Tak, mógłby zorganizować jakąś porządną hulankę! Taką z łapczywym złopaniem, bekaniem i takimi tam...

- Jemu wydaje się, że nie tego pragnie lud. Inaczej rozumie potrzeby współczesnych obywateli.

- Wydaje mi się, że wiem, w czym tkwi problem – stwierdziła Niania. – Dzisiejsi ludzie mają inne potrzeby niż wczorajsi i jutrzejsi. Eee... Lepiej każ mu skoncentrować się na wrzeszczeniu i hulaniu.

- I bekaniu?

- Opcjonalnie.

- I?...

- Słucham, kochanie?

- Nic mu nie będzie, prawda?

- Oczywiście. Nic mu nie grozi. Sprawy mają się jak w tej grze... Wysła się Królową do boju, bo kiedy traci się Króla, przegrywa się wszystko.

- A co z nami?

- My? Nam nigdy nic nie złego się nie zdarzy. Zapamiętaj, to my zdarzamy się innym!

* * *

Wiele par oczu przyglądało się Królowi Verence. Znajdował się w jakimś miłym oszołomieniu a za każdym razem, kiedy otwierał oczy widział maleńkie postaci Feegłów. Przyglądali mu się w migoczącym świetle płomienia. Próbował podsłuchać ich rozmowy, która przypominała kłótnię.

- ...teroz to nosz król!

- Aye, sortaley.

- Dziwny jakiś.

- Cichoście! Dziwny, bo siem pochorowo!

- Te wielgaśne siem pewnikiem chore rodzom!

Verence poczuł lekkie kopnięcie w stopę.

- Taki tam król! Siem nie ruso! Kij ześ połknął!?

- Nie, nie zupełnie – wymruczał Verence.

Rozmawiający z nim Feefle splunął koło jego ucha.

- Ni ma co godoć! Domy mu skeppens...

Nagle zapadła cisza, co było rzeczą niesamowitą nawet w przestrzeni zawierającej co najmniej jednego Feegla. Verence obrócił głowę.

Teraz zobaczył ją wyraźnie. Pękate stworzenie przypominające miniaturową wersję Niani Ogg. W jej oczach było coś niesamowitego. Przypomnił sobie, że był przecież władcą absolutnym i był nim tylko dlatego, że zawsze starał się upewnić, że to co robił nie pozostawało w sprzeczności z oczekiwaniami jego poddanych. Do tego domyślał się, że jego całe siły zbrojne przyjmowały wiele częściej rozkazy od własnej matki niż swego króla.

Wielka Aggie nie musiała wydawać rozkazów. Każdy, kto na nią spojrział od razu przechodził do wykonywania rozkazu. Mężczyzna Wielkiej Aggie stanął przy jej boku.

- Wielka Aggie myśli, że teraz chciałbyś ratować swoje kobiety i dziecko – powiedział.

Verence skinął głową. Nie miał sił, żeby uczynić jakikolwiek inny gest.

- Wielka Agge myśli, że wciąż jesteś bardzo, bardzo słaby, bo straciłeś wiele krwi. Po ich ugryzieniu przypominacie owce.

Verence nie oponował. Zgodziłby się ze wszystkim, cokolwiek by usłyszał. Z kłębow dymu wyłonił się chochlik z glinianą miseczką. Biała piana przelewała się przez jej brzegi.

- Musisz władać w dolinach – mówił dalej mężczyzna Wielkiej Aggie. – Dlatego przyrzadziła ci owsianki...

Chochlik postawił przed nim misę wypełnioną czymś w rodzaju śmietanki z jakimiś śmieciami pływającymi po jej powierzchni. Feegle cofnął się z wielkim szacunkiem.

- Co to takiego? – wymruczał Verence.

- Mleko – powiedział szybko mężczyzna Wielkiej Aggie. – Z naparem Wielkiej Aggie. I z ziołami.

Verence z ulgą przyjął do wiadomości ostatnie słowo. Wraz z żoną uważali, że wszystko, co zawiera w sobie zioła jest niegroźne, zdrowe i pożywne.

- Musisz się dobrze posilić – dodał stary chochlik. – Potem znajdziemy ci jakiś miecz.

- Nie uznaję używania broni – zaoponował Verence podciągając się do pozycji siedzącej. – Uważam... Uważam, że przemoc to ostateczne rozwiązanie...

- Och, królu... być może postrzeżasz świat zbyt naiwnie – wymamrotał staruszek. – Teraz jedź, panie. Niebawem zmienisz punkt widzenia.

* * *

Wampiry unosiły się ponad chmurami. W powietrzu nie istniała żadna pogoda i – co zdziwiło Agnes – nie odczuwała też zimna.

- Sądziłam, że zmieniacie się w nietoperze! – krzyknęła do Vlada.

- Owszem, gdybyśmy tylko zechcieli – odpowiedział ze śmiechem. – Ojciec uważa jednak, że to stanowczo zbyt melodramatyczne. Nie chce byśmy stosowali się do tych durnych stereotypów.

Jakaś dziewczyna przepłynęła obok. Przypominała Lacrimosę. A raczej osobę, która bardzo chciała upodobnić się do Lacrimosy. *Założę się, odezwała się Perdita, że nie jest naturalną brunetką! Jeszcze trochę tuszu i przypominała by Misia Pandę.*

- Oto Morbidia – przedstawił ją Vlad. – Ostatnio karze na siebie wołać Tracy, bo to „chłodne”. Mor... Tracy, oto Agnes.

- Jakie „chłodne” imię! – powiedziała Morbidia. – Fajnie musi być się tak nazywać! Vlad, wszyscy mówią, że moglibyśmy zrobić sobie przerwę w Escrow. Co ty na to?

- To moje prawdziwe imię... – zaczęła Agnes, jednak jej słowa porwał wiatr.

- Wydawało mi się, że lecimy do zamku – mruknął Vlad.

- No, tak... Jednak niektórzy nic nie mieli w ustach od kilku dni, a ta starucha to nawet nie przekąska. Hrabia też nie rozpieszczał nas w Lancre i powiedział, że Escrow i tak jest nam po drodze.

- Cóż, skoro Ojciec wyraził zgodę...

Morbidia odleciała.

- Nie byliśmy w Escrow od kilku tygodni – wyjaśnił Vlad. – To niewielkie, ale sympatyczne miasto.

- I chcecie w nim podjąć?

- To niezupełnie tak, jak myślisz.

- A skąd niby wiesz, co myślę?

- Mogę się najwyżej domyślać – odpowiedział posyłając jej złośliwy uśmiech. – Zastanawiam się, czy Ojciec zgodził się z twojego powodu. Ludzie boją się czegoś, czego nie znają. Może mogłabyś zostać czymś w rodzaju ambasadora? Mogłabyś uświadomić ludzi z Lancre, że życie pod berłem Srokaczycale nie jest takie okropne.

- I to całe nocne porywanie z łóżek i ściany zbryzgane krwią, również nie?

- Ty wciąż swoje! To krzywdzące. Kiedy ludzie dowiadują się, że ktoś jest wampirem od razu postępują z nim, jakby był potworem.

Skręcili łagodnie.

- Escrow to chluba mego Ojca – powiedział Vlad. – Myślę, że zrobi to na tobie wrażenie. A może wtedy pojawi się jakaś iskierka nadziei na...

- Nigdy.

- Próbuję ciebie zrozumieć, Agnes. Poważnie.

- Napadliście na Babcie Weatherwax. Piliście jej krew!

- Ociupinkę. Symbolicznie, żeby przywitać ją w rodzinie.

- Poważnie? No, rzeczywiście... To zmienia postać rzeczy, prawda? Czy teraz stanie się wampirem?

- Oczywiście. Będzie w tym dobra. Jedna z najlepszych. Najbardziej jednak doskwiera mi to, że uważasz, że bycie wampirem, jest złe. Wcale nie. W odpowiednim czasie przekonasz się, że nie wszystko wygląda tak źle – powiedział Vlad. – Escrow będzie dobrym przykładem. Zobaczysz, czego możemy dokonać...

Agnes przyjrzała mu się. *Ma ładny uśmiech...* To wampir! *No, dobrze, ale pomijając ten fakt...* Co takiego!? *Niania mówiła, żebyś wykorzystała tą szansę.* To zdanie Niani! Możesz sobie wyobrazić całowanie z kimś takim? *Owszem, mogę.* Co z tego, że ma ładny uśmiech i doskonale wygląda w tych ciuchach!? Nie widzisz kim jest? *Co takiego?* Coś się z nim dzieje. *Próbuje tylko wciągnąć nas do rodziny, nic takiego.* Nie, chodzi o coś innego, coś nowego.

- Ojciec uważa, że Escrow to wzorcowe społeczeństwo – wyjaśnił Vlad. – To wzór tego, co może się stać, kiedy ludzie odrzucają prastarą nienawiść i żyją z wampirami w harmonii. To już niedaleko, Agnes. Wierz mi, Escrow to przyszłość!

* * *

Mgła snuła się nisko, pomiędzy drzewami sięgając, wijącymi się pasmami, niczym zimnymi językami sięgając kopyt muła. Z gałęzi sączył się deszcz. Gdzieś z oddali dawała o sobie znać ponura burza – z tych, co to nie tną nieba grzmiącymi piorunami, ale woli pozostawać gdzieś na horyzoncie, wymieniając plotki z innymi burzami.

Wielebny próbował kilkakrotnie zagaić jakąś rozmowę, jednakowoż problem z rozmowami tkwi w tym, że z reguły potrzebna jest do tego inna osoba. Tymczasem zza jego pleców dochodziło jedynie donośne chrapanie. Gdy oglądał się za siebie, jaustrząb siedzący na ramieniu czarownicy, groźnie trzepotał skrzydłami.

Od czasu do czasu chrapanie przerywane było znaczącym chrząknięciem, po czym czuł dźgnięcie w plecy palcem, który następnie wskazywał kierunek, który wydawał się równie dobry, jak każdy inny.

Poczuł kolejne dźgnięcie w plecy.

- Co ty tam mruczysz pod nosem? – usłyszał pytanie.

- Staralem się cicho śpiewać – odpowiedział.

- Co to takiego?

- Pieśń. „Znajdziesz Oma w Kościele Jego”.

- Ładna melodia – pochwaliła Babcia.

- Poprawia mi nastrój – wyjaśnił Oats. Mokra witka trzasnęła go w twarz. *O ile można mieć dobry nastrój, mając wampira za swoimi plecami,* dodał w duchu.

- To cię pociesza?

- Chciałbym.

- Nawet ten fragment o „karzącym mieczu spadającym na złych”? Gdybym była jedną z was, raczej by mnie to przygnębiało. Na wszystko macie jakąś karę. Morderstwo, czy kłamstwo. Nie mogłabym z tym sypiać po nocach.

- No, właściwie to... Szczerze mówiąc, to nie wolno mi tego śpiewać. Na Synodzie w Ee odrzucono tę pieśń, bo godzi w idee współczesnego Omianizmu.

- Chodzi o ten wers, mówiący o miażdżeniu niewiernych?

- Między innymi.

- Jednak ją śpiewałeś.

- Nauczyła mnie jej moja babcia – wyjaśnił Oats.

- Lubiła miażdżyć niewiernych?

- Jeśli chodzi o moją babcie, to wydaje mi się, że w pierwszej kolejności chętnie zmiażdżyła by swoją sąsiadkę, Panią Ahrim, ale ma pani rację. Wydawało jej się, że świat z odrobiną miażdżenia i niszczenia niewiernych może być lepszy.

- Niewykluczone, że miała rację.

- Z takim miażdżeniem i niszczeniem, jakiego chciała na pewno taki by nie był – stwierdził Oats. – Moja babcia miała skrajne poglądy, jeśli chodzi o sprawiedliwość.

- Nie ma w tym nic złego. Osądzać, to ludzka rzecz.

- Ostateczny sąd wolimy zostawić Omowi – powiedział ponuro Wielebny. Tu i teraz zabrzmiało to dziwnie niewiarygodnie.

- Częstość sami musimy osądzić, co dobre a co złe – mówiła Babcia. – Każdego dnia podejmujemy wybory. To... ludzkie.

- A pani jest absolutnie pewna swojej decyzji?

- Nie. Jednak robię najlepiej to, co umiem.

- I nie ma miejsca na miłosierdzie?

Kościasty palec szturchnął go w plecy.

- Miłosierdzie jest piękne, jednak właściwy osąd jest najważniejszy. W przeciwnym wypadku nigdy nie pojmiesz, dlaczego powinieneś być miłosierny. Poza tym, to ty wciąż powtarzasz, jak to Omianie lubili miażdżyć i niszczyć innych.

- To byli... dawni Omianie. Teraz raczej używamy miażdżących argumentów.

- I podejmujecie żarliwe debaty?

- Na każde pytanie znajdują się co najmniej dwie odpowiedzi.

- A jeśli każda z nich jest błędna?

- Wtedy powinniśmy spojrzeć na problem z punktu widzenia drugiej osoby – padła natychmiastowa odpowiedź. – Tak się nam zaleca czynić.

- Czy to oznacza, że z punktu widzenia kata, tortury to nic złego?

- Jest pani urodzonym adwersarzem, Babciu Weatherwax!

- Nic z tych rzeczy!

- Mimo to miałyby pani niezłą zabawę na Synodzie. Potrafią całymi dniami polemizować nad tym, ilu aniołów tańczy na główce szpilki.

Nieomal usłyszał tryby pracującego umysłu Babcia.

- Jak duża miałyby być ta szpilka? – zapytała po dłuższej przerwie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Zakładając, że mowa o zwykłej, domowej szpilce... Szesnastu.

- Szesnastu aniołów?

- Dokładnie.

- Ale dlaczego?

- Bo ja wiem? Może lubią tańczyć?

Muł posuwał się mozolnie naprzód. Mgła zdawała się robić coraz gęstsza.

- Naliczyła ich pani szesnastu? – zapytał po chwili Oats.

- Nie, ale to równie dobra odpowiedź, jak każda inna. Czy o tym rozprawiają wasi kapłani?

- Nie zawsze. Obecnie modne są zażarte dyskusje o naturze grzechu.

- I co uważają za grzech?

- To nie takie proste. Nie można jednoznacznie określić, że coś jest białe albo czarne.

To jakby wiele odcieni szarości.

- Bzdura!

- Słucham?

- Nie ma żadnych odcieni. Istnieje tylko biel, która może się ewentualnie przybrudzić.

Dziwie się, że o tym nie wiesz. A grzech popełniasz wtedy, kiedy zaczynasz traktować ludzi, jak rzeczy. Nawet siebie samego. Oto największy grzech, młodzieńcze.

- Obawiam się, że to trochę bardzo skomplikowane.

- Bzdura! Ludzie uważają pewne sprawy za skomplikowane wtedy, kiedy nie chcą dopuścić do siebie prawdy. A wszystko zaczyna się od tego, że traktuje się ludzi niczym rzeczy.

- Wydaje mi się, że istnieją gorsze zbrodnie...

- Wszystkie zbrodnie zaczynają się od myślenia o ludziach, jako rzeczach...

Głos Babci ucichł. Oats w milczeniu prowadził muła przed siebie przez kilka minut. Kolejne parsknięcie zza pleców oznajmiło, iż Babcia ponownie się przebudziła.

- Jesteś silny w swej wierze? – zapytała Babcia, jakby nie dawało jej to spokoju.

- Staram się – odpowiedział Oats, wzdychając.

- Pewnie przeczytałeś mnóstwo ksiąg. Uważasz, że dzięki temu twoja wiara się umacnia?

Wielebny dziękował bogu, że nie dostrzegła grymasu na jego twarzy. *Czy ona potrafi czytać w moich myślach?*

- Owszem.

- I wciąż wierzysz?

- Tak.

- Dlaczego?

- Gdybym stracił wiarę, nie zostało by mi już nic – odpowiedział, oczekując kolejnego ataku. – A pani jest osobą niewierzącą, prawda? – zapytał po chwili. Przez jakiś czas nie słyszał z tyłu żadnego odgłosu, poza sapaniem muła, z trudem pokonującego omszałe korzenie. A potem usłyszał inny dźwięk – jakby odgłos końskich kopyt i rzenie, które po chwili przeszło w świst wiatru.

- Wierzę w herbatę, we wschód słońca i różne rzeczy – odezwała się Babcia.

- Miałem na myśli religię.

- Znam kilka tutejszych bóstw, jeśli o to ci chodzi.

Oats westchnął.

- Wielu odnajduje w wierze prawdziwą otuchę – stwierdził. *Żałuję, że ja do nich nie należę*, dodał w myślach.

- To miło.

- Poważnie? I nie zamierza się pani ze mną spierać?

- Nie ja decydują w co mają wierzyć ludzie. Ważne, że są przyzwoici.

- I nie czuje pani, jakiejś wewnętrznej potrzeby za czymś, co napawało by ciepłem w mrocznych chwilach?

- Nie. Mam termofor.

Jaustrząb zatrzepotał skrzydłami. Oats wpatrywał się w gęstą mgłę, czując narastający gniew.

- I uważasz, że to jest jakaś wiara? – mruknął, starając się zachować spokój.

- Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiam – odpowiedziała niewyraźnie Babcia. Poczł jej uchwyt, kiedy próbowała utrzymać równowagę.

- Wszystko w porządku? – zapytał.

- Wolałabym, żeby to stworzenie szło odrobinę szybciej... Czuję się bardzo nieswojo.

- Możemy chwileczkę odpocząć.

- Nie! Nie teraz! Jakaż byłam głupia...

Huknął grom. Uścisk zelżał a potem usłyszał odgłos spadającego ciała.

Skoczył ku niej. Leżała w dziwnej pozie na mchu. Jej oczy były zamknięte. Zbadał jej puls. Był tak słaby, że z ledwością go wyczuł. Emanowała jakimś dziwnym chłodem.

Klepnął ją kilka razy w policzek.

- Jeśli teraz znowu zaczniesz te swoje gadki o religii – odezwała się niewyraźnie, niemal rzeżac – będę musiała zbić cię na kwaśne... – urwała, zamykając oczy.

Wielebny opadł na mech, próbując złapać oddech. Lodowate zimno... Coś, co tkwiło w jej wnętrzu. Coś, co wypychało z niej całe ciepło.

Ponownie usłyszał nikłe rzenie konia i zbliżające się brzęczenie uprzęży. Ucichło kilka kroków od nich.

- Heeee! – wrzasnął Oats, zrywając się na nogi. Wytężał wzrok, starając się dostrzec jeźdźca, jednak wszystko, co widział było rozmazaną czarną plamą na ciemnym tle nocy.

- Dlaczego jedziesz za nami!?

Ruszył w jego kierunku i zatrzymał się przed końskim pyskiem, który pojawił się o kilka cali od jego twarzy. Zdawało się, że dosiada go cień.

Nagle poczuł, jak ogarnia go fala przerażenia. Popędził ku śpiącej Babci. Przez chwilę szarpał się ze swoim przemokniętym płaszczem a potem nakrył nim czarownicę. Następnie zaczął rozpaczliwie rozglądać się za czymkolwiek, czym mógłby rozpać ogień. Ogień! O to właśnie chodziło. Ogień niósł życie, niósł ciepło! Ogień przepędzał mrok!

Wokół było mnóstwo drzewa ociekających wodą i wszechobecna wilgoć. Nic z tego nie nadawało się do rozpalenia ognia. Zaczął panicznie przetrząsać kieszenie, wyciągając woskowane pudełko zapalek. Wystarczyło kilka suchych gałązek, kępka trawy... Cokolwiek, co osuszyło by następną garstkę gałązek i...

Deszcz spływał mu strumieniami za koszulę. Zdawało się, że głównym składnikiem powietrza jest woda. Wielebny skurczył się, poprawiając rondo kapelusza tak, by chroniło go przed deszczem i wyciągnął Księgę Oma. *W godzinie utrapienia, Om pokaże ci drogę.*

...*Mam termofor...*

- Niech to demony! – zaklął szeptem.

Otworzył książeczkę na chybił-trafił, zapalił zapalę i odczytał...

...*...a było to w czasie, kiedy wielbłądzie stada Cyrynitów mnożyły się niczym...*”.

Zapalę zgasała, sycząc.

Nie znalazł w tym żadnej wskazówki. Spróbował znowu.

...*...ujrzawszy pustynię Gul-Arah, zapłakał, a potem ruszył w drogę ku...*”.

Oats przypomniał sobie wampira. Śmiejącego się i drwiącego. *Czy możesz ufać jakimkolwiek słowom księgi?*

Roztrzęsionymi dłońmi zapalił trzecią zapalę i ponownie otworzył książkę, czytając w migoczącym świetle:

...*...rzekł tedy Brutha do Symonii << Niech zapłonie światłość, tam gdzie ongi ciemności panowały.>>”.*

Zapalę z sykiem dokonała żywota. Zapanował mrok.

Babcia jęknęła. Końskie kopyta zagrzmiały echem, jakby dochodziły z wnętrza jego głowy. Oats klęknął pośród błota, starając się modlić, jednak z nieba nie nadszedł żaden odzew. Nikt mu nigdy nie wmawiał, że może oczekiwać głosu z niebios. Om tak nie postępował. Jako jedyny z bogów przekazywał swoją radę wprost do głowy. Działo się tak od czasów Proroka Bruthy – Om stał się cichym bogiem. Bynajmniej tak mówili. Kiedy się w to nie wierzy, jest się niczym. Zostawała jedynie ciemność...

Zadrzał. Czy bóg przekazywał mu swą cichą pomoc? Czy może nie istniał tam nikt, kto by go słuchał?

Zaczął się rozpaczliwie modlić, składając fragmenty jakiejś dziecięcej modlitwy, gubiąc słowa i ich kolejność.

Deszcz ciekł z runda jego kapelusza a Wielebny klęczał w tej mokrej, chlupoczącej ciemności i wsłuchiwał się w swoje myśli. I nagle uświadomił sobie coś ważnego.

Ponownie sięgnął po Księgę Oma.

I uczynił wielką jasność pośród mroku.

* * *

Powóz z hukiem wyskoczył spomiędzy porastających brzeg jeziora świerków. Silne uderzenie o wystający korzeń pozbawiło go koła i przekoziołkowawszy kilka razy, wyhamował lądując na boku a spłoszone konie popędziły przed siebie.

Igor pokuśtykał do powozu i uniósł drzwiczki – Pfpafam – powiedział – Pfykro mi bafdzio, ale tak bywa, kiedy nie jadę z Misfem – wyjaśnił. – Nif fę nikomu nie ftało?

Czyjaś dłoń zacinała się mu na gardle.

- Trzeba nas było uprzedzić! – warknęła Niania.
- Nieźle nami wstrząsnęło! Gdzie my jesteśmy, do stu demonów!? Czy to Slake?

Syknęła zapalka a po chwili otoczenie rozświetlił blask pochodni.

- Bafdzo blifko zamku – wyjaśnił Igor.
- Czyjego?
- Sfokaczy.
- Jesteśmy w pobliżu wampirzego zamku?
- Aha. O ile fę nie mylę, ftary Mistf pfygotował sfecjalną tfasę pfrowadzącą ku temu miejscu. W tym funkcie zafsze ofpada koło. Uważał, że fięki femu pfybywa gofści.
- I nie pomyślałeś, że warto było nas o tym uprzedzić? – mruknęła Niania gramoląc się z powozu, ciągnąc za sobą Magrat.
- Pfepfalam. To fył cięfki dzień...

Niania wzięła pochodnię. W świetle płomieni dostrzegła na drzewie odręczny napis.

- „*Ani waż się zbliżać do tegoż Zamczyska!!!*” – odczytała na głos. – Niegłupi pomysł z tą strzałką wskazującą kierunek – przyznała.
- Nafisał to sam Mistf – wyjaśnił Igor. – Jednak fudzie tego nie pfestfegali.
- Kto teraz jest w zamku? – zapytała Niania, wpatrując się w ciemność.
- Tfoczę słufty.
- Wpuszczą nas?
- F tym nie pofinno fyć kfopotu – powiedział Igor sięgając w czeluść swej cuchnącej koszuli. Na szyi nosił wielki klucz.
- Pójdziemy do zamku? Tak po prostu? – zapytała niepewnie Magrat.
- To jedyne miejsce w pobliżu – stwierdziła Niania Ogg, ruszając tonącym w drogę szlakiem – Powóz zniszczony a my jesteśmy na krańcu świata. Chcesz trzymać dziecko na tej zimnicy przez całą noc? A zamek, to jednak zamek. Pewnie ma rygla i takie tam. Poza tym wszystkie wampiry są w Lancre i...
- I co?
- Esmę by tak postąpiła. Czuję to we krwi.

Z pobocza drogi dobiegło wycie. Niania spojrzała pytająco na Igora.

- Wilkołak?
- Pefnie, że filkołak.
- Więc niedobrze jest tak sterceć – mruknęła, pokazując na głaz, na którym widniał kolejny napis.
- „*Za żadne skarby świata nie podążaj drogą oną, która ku Zamczysku wiedzie!!!*” – przeczytała. – Jestem pełna uznania dla tych, którzy kombinują w ten sposób. Niech mnie! Prawdziwy znawca ludzkiej natury!
- Nie sądzicie, że większość dróg wiedzie właśnie tam? – zapytała Magrat, kiedy minęli kolejny napis, który tym razem ostrzegał: „*Pod żadnym pozorem drogi nie obieraj wiodącej ku Parkingowi Dla Powozów, któren znajdywa się metrów stąd dwadzieścia a potem w prawo!!!*”
- Igorze? – odezwała się Niania.
- Fampiry pfyzfyczały do fego, że fię na nie poluje – wyjaśnił Igor. – Jęft tylko jedno fejscie.
- Ech... Skoro nie mamy innego wyjścia – powiedziała Magrat. – Weź kołyskę i torbę z pieluszkami. I przytulanki. I to coś, co się kręci i dzwoni, kiedy klusynka ciągnie za snulecek...
- „*Jeszcze masz szansę, kroki swe w stronę inną, niżli ku wrotom Zamczyska onego skierować!!!*” – przestrzegał napis przy moście zwodzony. Niania nie przestawała chichotać.

- Hrabia nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział – powiedziała, gdy Igor otworzył wrota.

- Nief go demony porfą – mruknął sługa. – Sfakuję tylko kilka feczy i wynofę się do Blints. Tam zafsze znajdzie fię fobota dla uczcifego Igofa. Foza tym mają fiększą statysfytkę trafień fiorunami niż fdziekolwiek indziej.

- Dobra nasza – powiedziała Niania, przecierając oczy – Jesteśmy zupełnie przemoczeni. Wchodzimy. Aha... Igorze, jeśli robisz nas w balona, to wiedz, że zrobię sobie podwiązki z twoich jelit!

Igor wstydliwie opuścił wzrok – Nie fmiem nafet o tym mafyc... – wymamrotał.

Magrat zachichotała a Igor pośpiesznie pokuśtykał ku wrotom.

- O co chodzi? – zapytała Niania.

- Nie widzisz, jak na ciebie spogląda? – spytała Magrat, kiedy podążali za kołyszającym się sługą.

- Co robi? – nie rozumiała Niania.

- Gdybyś chciała nosił by za tobą pochodnię – powiedziała enigmatycznie Magrat.

- Myślałam, że to po to, żebyśmy widziały, którędy iść! – wyszeptowała Niania z nutką paniki w głosie. – Ale ja nawet nie mam swojej najlepszej bielizny i w ogóle!

- Wydaje mi się, że Igor jest romantykiem... w pewnym sensie – wyjaśniła Magrat.

- Nooo... nie wiem. Naprawdę, nie wiem – zasepiła się Niania. – To mi pochlebia, oczywiście... Jednak nie wydaje mi się, że mogłabym chodzić z niedomagającym.

- Niedomagającym?

Starej czarownicy wydawało się dotąd niemożliwe, aby cokolwiek było w stanie ją wprawić w zażenowanie. Jednak takie rzeczy niekiedy się zdarzają i zazwyczaj nikt się ich nie spodziewa.

- Jestem kobietą zamężną – przypomniała jej konspiracyjnym szeptem Magrat, uśmiechając się pod nosem. Czuła się znakomicie. Pierwszy raz udało jej się wprawić w zakłopotanie Nianię. Kobietę, która dotąd udatnie pomagała wpadać w zakłopotanie wszystkim dookoła.

- Ale on jest... To znaczy, Verence... Verencowi nic nie brak i...

- Tak, tak. Wszystko... wszystko w porządku. Teraz rozumiem o co chodziło we wszystkich twoich żarcikach.

- We wszystkich? – zapytała Niania z nadzieją tonem kogoś, komu właśnie odebrano wszystkie asy z ulubionej talii.

- No, dobrze... Wszystkich, poza tym o kapłanie, staruszce i nosorożcu.

- Tak myślałam – powiedziała z ulgą Niania. – Sama pojęłam go dopiero po czterdziestce!

Igor wrócił szurając nogami.

- Jeft tylko słufba – powiedział. – Mofecie sfować się u mnie, w ftarej bafcie. Ma folidne drzfi.

- Pani Ogg to odpowiada – powiedziała szybko Magrat. – Właśnie mówiła mi jakie masz śliczne nogi. Nieprawdaż, Nianiu?...

- Fodobają się fani? – zapytał rozanielony Igor, wiodąc ich w górę schodów – Mam if fełno! Fętnie zfobień tfochę miejfa w fpizafni!

- Że co? – zająknęła się Niania, zamierając w bezruchu.

- Jefli fuka fani fapasowych ofganów, to tfafiła fani na fłaściwego człowieka! – wyjaśnił Igor.

Magrat nie przestawała chichotać.

- Trzymasz w łodzi kawałki ludzi? – zapytała z przerażeniem Niania. – Kawałki podróżnych? Posiekane? Nie! Dalej nie idę!

Teraz Igor wydawał się przerażony.

- Fadni podfófni! – powiedział. – Tylko fodzina!

- Posiekałeś własną rodzinę? – Niania zaczęła się cofać.

- To tfadycja! – wyjaśniał Igor, wymachując gorączkwo rękami. – Kafdy Igof pfekafuje swoje ciao fodzynie! Nie wolno mafnować dobnych ofganów! Na pfykład mój Wuj. Zmał na bafolicę, ale pfecief sefce i nefki miał zdrowe! Af fię pfosiły, feby je wziąć! Do tego miał jefcze fęce po Dziadku, a to były cholefnie dofre fęce! – mówił, siakając nosem. – To po nich je mam. To byli napfawdę fielcy chifufdzy!

- Eee... Ludzie czasami mówią, że ktoś ma „oczy po tacie” i... – zaczęła Niania.

- Oczy doftał mój kufyn Igof.

- Eee... ale... kto was tnie i szyje? – zapytała Magrat.

- Ja. Sam. Kafdy Igof pobiefa naukę chifufgii z fąk włafnego ojca – wyjaśnił Igor. – A fotem ćficy na nefkach dziadka.

- Przepraszam – wtrąciła Niania – ale powiedziałaś, że na co umarł twój wuj?

- Bafolicę – powtórzył Igor, otwierając kolejne drzwi.

- Zderzył się z bawołem?

- Nie, fpadło na niego ftado. Dzifacny pfypadek. Nie fęc o tym mówić.

- Próbujesz nam wmówić, że ćwiczysz na sobie chirurgię? – zapytała Magrat.

- Kiedy umief to fobić, wcale nie jeft takie skomplikowane – powiedział. – Czafasmi kofystam z lustfa. Ofywiście, jak ktoś pfytfyma fętelkę falcem, jeft duzo łafziej.

- Czy to boli?

- Nie. Zafsze upfedzam, żeby fyjeli falec, zanim napnę dratef.

Drzwi otworzyły się z zgrzytem. W sumie nastąpiła seria zgrzytów i trzasków, dopóty drzwi się nie zatrzymały.

- Cóż za okropny dźwięk! – stwierdziła Niania.

- Fiekuję bafdzo... Pościęcifem kilka nocy aby ofyfać taki efekt. Nic nie zgfyta w ten sfosóf samo z siebie!

Rozległo się szczekanie, a potem z ciemności coś wyskoczyło i wylądowało u stóp Igora.

- Siad! Siad, ty fielki fieszczochu!

Był to pies. A raczej kilka psów złożonych w jeden kudłaty kłębek. Miał oczywiście, cztery łapy, które były niemalże tej samej długości, jakkolwiek – co zauważyła Magrat – każda miała inną barwę. Głowę miał jedną. Za to jedno z uszu było czarne i szpiczaste a drugie oklapnięte, białe w brązowe łaty. Entuzjazm przejawiał zaś nadzwyczajnie się śliniąc.

- To Odpadek – przedstawił go Igor, próbując wydostać się z plataniny łap zwierzęcia.

- Ty ftary gfuptasie!

- Rzeczywiście... Odpadek - mruknęła Niania. – Niezłe imię. Naprawdę dobre imię!

- Ma fiedemdziefiąt ofiem lat – powiedział Igor, wiodąc ich krętymi schodami, tym razem w dół. – To fnaczy nieftóre z jego części.

- Dokładne szwy – pochwaliła Magrat. – Wygląda znakomicie. Wesoły piesek z dwoma... Oh, przecież on ma dwa...

- Akurat jeden mi zoftał – wyjaśniał Igor, kiedy Odpadek maszerował wesoło u jego boku – Fomyślafem sofie, że skofo jeft taki wesoły z jednym, to z dwoma fędzie miał dopiero fadochę...

- Nie waź się niczego mówić, Gytho Ogg! – warknęła Magrat, nim usta Niani otwarły się do połowy.

- Ja? – zapytała niewinnie Niania.

- Tak! Doskonale wiem, co chciałaś powiedzieć! Przejrzałam cię na wylot! Doskonale wiesz, że miał na myśli ogony a nie... a nie coś innego!

- Owfem, kiedyf o tym myflałem – przyznał Igor. – To zmiejfyło by zużycie. Foza tym, kiedy jeden nafał byfby wymieniany, mógfby kofystać z dfugiego. Pfóbowalem tego na fobie famym...

Milczenie jakie zapanowało zakłócał tylko odgłos odbijających się echem kroków.

- Chwileczkę, o jakim narządzie mowa? – zapytała po chwili Niania tonem „W Sumie Niewiele Mnie To Obchodzi, Ale...”.

- O sefcu - powiedział Igor.

- Aaa... dwa serca, oczywiście! Masz dwa serca?

- Tak. Dfugie mam po biedaczynie Swinetsie z taftaku. Pani Swinets stfiefdziła, że na nic mu sefce, skofo i tak stfacił głowę.

- Masz ciekawe hobby, Igorze – przyznała Magrat.

- A kto zrobił ci mózg? – zapytała Niania.

- Nie mofna zfobić mófgu! – obruszył się Igor.

- Pomyślałam... skoro masz te szwy na głowie i...

- Włofyłem sofie metalofą pftykę – wyjaśnił – a dfut biegnie pfez moją fyję aż do stóf. Udefenia piofunów dają mi enefgię życiową – otworzył kolejne drzwi. – Jefteśmy na miejfcu. Oto moje małe gniafdko.

Pomieszczenie było wilgotną, niskosklepioną celą. Miejsca tego najwidoczniej nie zamieszkiwał ktoś, kto prowadził urozmaicone życie towarzyskie. Obok łózka z materacem i jednym kocem znajdował się wiklinowy koszyk dla psa. Jedną ze ścian pokrywały proste meble.

- Wyfmienite miejfce na kryjówkę – mruknął. – Jeft nawet wychodek...

- A co jest za tamtymi drzwiami? – zapytała Niania pokazując duże, zaryglowane wrota.

- Nic – bąknął Igor.

Niania zmrużyła oczy. Rygle sprawiały wrażenie naprawdę solidnych.

- Przypomina to starą kryptę – stwierdziła rozglądając się dookoła. – Tyle, że z kominkiem.

- Stafy Hfabia lubił się ogfać przed wieczofnym spacerem – powiedział Igor. – To były złote czafy... Nic juf nie fędzie takie, jak ftedy... Dacie wiafę, że kafali mi pofbyc się Odfadka!?

Rozochoczone dźwiękiem swojego imienia, zwierzę skoczyło i liznęło twarz Niani.

- Lacfimosa nawet go kopnęła! – powiedział ponuro sługa. – Zefcą fanie coś pfekasić? – zapytał zacierając dłonie.

- Nie – powiedziały chórem obie wiedźmy.

Odpadek polizał Igora. Zwierzę zdawało się posiadać niewyczerpaną ilość liznięć do podziału.

- Odfadek! Pokaf... zdechf pief! – wydał komendę Igor. Pies rzucił się na podłogę i wyciągnął nogi w górę. – Widziałyście!? Famięta wszystko!

- Nie wydaje się wam, że kiedy zjawią się Srokacze, będą nas mieli jak na widelcu? – zwróciła uwagę Magrat.

- Nigfdy tu nie zachodzą – powiedział Igor. – To dla nif za bafdzo stafoswieckie! Foza tym jeft inne wyjfcie, gdyfy jednak fię tu zjawili.

Magrat spojrzała na zaryglowane drzwi. Nie wyglądały na dobrą drogę ewakuacji.

- A broń? – zapytała. – Nie sądzę, żebyśmy znaleźli jakąkolwiek broń skuteczną przeciw wampirom w należącym do nich zamczysku.

- A czemu to? – zapytał Igor.

- Znajdziemy?

- Ile dufa zapfagnie! Stafy Mistf miał na tym funkcie bzika. Kiedy sfodziewaliśmy fię podfófnych, przyzywaf mnie do siebie i mawiał: „Igo! Famiętaj, żeby okna były niekfafitelnie

fyste! Nie zafomnij o cytrynach i ozdobach z któfyh mofna zfozić symbole feligijne!". Lufił, gdy ludzie gfali ufciwie! Pofciwy był z niefo chłop!

- Po co to robił? Przecież mógł zginać? – zapytała Niania. Z otworzonej szafki wypadło kilka wyschniętych cytryn.

Igor wzruszył ramionami. – Jeft czafo kiedy fię wygfywa i czafo pofażki – mruknał. – Stafy Miftof zwykfo mafiać „Igofo, wampify wciaf wygfywają. Do czafo, kiedy zoftaną czafokwicie fokonane”. Pamiętam, jak go dfaźnifo, kiedy ktof wbijał w niego kofek. „Cholefa! Czyfczenie takiego jedfabiu koftuje w Ankh-Mofpofk dziesięć dofalów!”, mówif.

- Musiał wydać mnóstwo pieniędzy na pranie – powiedziała Niania wskazując na półkę pełną młotków, kołków i dołączony do nich anatomiczny schemat z wielkim X w miejscu serca.

- Mafa to był mój fomysł – powiedział z dumą Igor. – Stafy Miftof nie znofił ludzi wbijających kofki gdzie fię da. Mawiaf, że nie fidzi nic ztego w umiefaniu, ale nie chce pfy tym wyglądać jak sitko.

- Bystry z ciebie gość, Igorze - pochwaliła go Niania.

- Mam dofry mófg – wyjaśnił rozpromieniony sługa.

- Pewnie sam go wybrałeś... Eee... żartuję! Nie można zrobić mózgu, no nie?

- Jefli to fanią zaciekawi to dostafem go od dalekiego kuzyna z Ankh-Mofpofk. Z Niewidocznego Unifefsytetu.

- Naprawdę? Czym się zajmował?

- Fływaniem wewnątrz sfoja – powiedział z dumą Igor. – W fiwnicy fowinieniem mieć jakąś fięconą wodę. Stafy Miftof zebfał dofć spofą kolekcję.

- Słucham? Wampir kolekcjonujący święconą wodę? – zapytała zdziwiona Magrat.

- Wydaje mi się, że to pojęłam – powiedziała Niania. – Był sportowcem, prawda?

- Dokfadnie!

- Prawdziwy sportowiec zaś daje swej ofierze uczciwą szansę – wyjaśniła Niania. – Nawet gdyby miał wypełnić piwnicę jakimś *Chateau Nerf de Papier*. Twój stary pan urządał sobie coś w stylu polowania na inteligentne ptaki. Musiał mieć w tym spore doświadczenie.

- Jakoś nie nadażam – mruknęła Magrat.

- Dla wampira śmierć nic nie znaczy – powiedziała Niania. – Zawsze znajdzie powrotną drogę. Wszyscy o tym wiedzą. Ludzie natomiast lubią wyzwania a polowanie na wampiry pozwala im przeżyć prawdziwą przygodę. A kiedy to zrobią wyrzucają kołek i spokojnie idą do domu. Wampir natomiast odpoczywa sobie z dziesięć lat a potem powraca i spokojnie żyje dalej. Dlatego nigdy nie zostanie całkowicie pokonany, a wieśniacy mogą sobie od czasu do czasu zdrowo poćwiczyć.

Magrat wzięła dziecko na ręce – Srokacze po nas przyjdą – stwierdziła. – Kiedy dowiedzą się, że nie ma nas w Lancre, od razu domyślą się, że nie dałybyśmy rady zjechać w dolinę. Potem znajdą zniszczony powóz. I – w końcu – nas też, Nianiu.

Niania przyjrzała się kolekcji słoików, butelek i kołków, ułożonych starannie, według rozmiarów.

- Zanim do tego dojdzie – powiedziała czarownica – mamy trochę czasu, żeby się... przygotować.

Odwróciła się dzierząc butelkę święconej wody w jednej ręce, kuszę z załadowanym beltem w drugiej a w zębach trzymała woreczek spleśniałych cytryn.

- Tefaz zfojemy fo fojemu – powiedziała.

- Że co? – zapytała Magrat.

Niania wypluła cytryny – Teraz zrobimy po mojemu – powtórzyła. – Może nie mam takiej głowy jak Babcia, ale nie dam sobie w kaszę dmuchać. Moja głowologia wygląda mniej-więcej tak... Pora skopać tyłki kilku przerośniętym nietoperzom!

Wiatr zawodził ponad bagnami na skraju Lancre, szarpiąc smużkę dymu unoszącą się spośród korzeni wiekowego drzewa.

Inna siła trzęsła gałęziami wrzосу i krzewami jeżyn, porastającymi pradawne kurhany. A potem rozległ się krzyk.

Gdzieś pod ziemią maleńcy Nac Mac Feeglowie z całych sił starali się opanować masę wielkiego mężczyzny. Jednak nawet chochliki podtrzymujące nogi Verenca, nie były w stanie pomóc mu zapanować nad ruchami. Wielka Aggie i jej mężczyzna siedzieli na ramionach władcy, próbując balansować jego ciałem.

- Widzi mi się – powiedział człowiek Wielkiej Aggie – że dawka była za duża, jak na jego łeb.

Pochylił się, zaglądając w nabiegłe krwią oczy Verenca. Usta króla wypełnione były pianą. – Może pięćdziesiąt razy więcej, niż zwykle bierzemy było przesadą? Nie jest tego zwyczajny...

Wielka Aggie wzruszyła ramionami.

W kącie kurhanu ziała wielka dziura, którą chochliki dostały się do sąsiedniej komory. Teraz wychodzili z niej, ciągnąc wielki miecz. Był pokryty rdzą, aczkolwiek w dobrym stanie. Pradawni władcy Lancre uważali, że powinno się ich grzebać z bronią, na wypadek gdyby przyszło im w zaświatach walczyć ze swoimi wrogami. A skoro nie można było być władcą starożytnego Lancre, zanim nie wysłało się w zaświaty odpowiedniej ilości wrogów, zwykli zabierać ze sobą uzbrojenie, na którym mogli polegać.

Na komendę starego chochlika wymanewrowali orężem w okolice ręki Verenca.

- Czy jesteście już scrat? – zapytał człowiek Wielkiej Aggie. – A więc... Yin! Tan! Tetra!

Verence wyprostował się niespodziewanie. Feeglowie rozpierzchnęli się na wszystkie strony. Król uderzył głową w strop a potem chwycił miecz i siekąc we wsze strony, wyrąbał sobie drogę na zewnątrz. Po chwili zniknął w mroku nocy.

Stojące przy ścianach chochliki jak jeden mąż spojrzwały na Keldę. Wielka Aggie skinęła głową.

- Wszyscy widzieliście – odezwał się starzec – że nikt tu nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Oto słowa Wielkiej Aggie.

Tysiące maleńkich mieczyków uniosło się z brzękiem ku górze.

- Hoons!

- Wszystkich zabijać!

- Nac Mac Feegle!

Kilka sekund później komora była zupełnie pusta.

* * *

Obładowana kołkami staruszka gnała przez główną salę zamczyska. Nagle zamarła.

- Do kroćset! A co to takiego!?! – mruknęła pod nosem. – Zakrywa całą ścianę!

- To wielka duma i fadość Hrabiego – powiedział Igor. – Był faczej stafoswiecki. Zawfe uważał, że cafe to faleństwo Wieku Owocowego Nietopefa to nie dla niego. Bywafo, że sfędział tu cafe dnie, zwłaszcza pod koniec...

Organy. A raczej rzecz, która od wczesnej swej młodości zaplanowała zostać największymi organami na świecie. Instrument zdawał się zdominować całą – olbrzymią, bądź co bądź – salę. Niania, prawdziwa miłośniczka muzyki, nie darowałaby sobie zbadania możliwości tegoż zadziwiającego instrumentu. Organy były czarne a rury wiły się w przedziwnym kształcie obejmując bliżej surrealistyczną hebanową rzeźbę. Pedaly i klawisze wykonano zapewne z martwego słonia.

- Jak to działa? – zapytała Niania.

- Enefgia wodna – powiedział Igor, nie bez dumy. – Fłynie tutaj fodziemna feka. Mistf stwofył ją spefjalnie w tym felu...

Niania przetała mosięzną tabliczkę nad klawiaturą.

„INSTROMENTORUM DLA DZIECI NOCY. NIECHAJ TWORZĄ SWĄ WONDERFUL MUSIKĘ Wyprod. przez Bergholt Stuttley Johnson, Ankh-Morpork” – głosił napis.

- Johnson – szepnęła Niania. – Wieki minęły odkąd ostatni raz kładłam dłonie na Johnsonie... – westchnęła. – Coś podobnego! „Krzyk Nr 1”! „Trzask Pioruna Nr 14”! „Wycie Wilka Nr 5”! Ileż kombinacji zwykłego „Skrzypienia Podłogi”! Nie można na tym normalnie zagrać?

- Mofna. Oczywiście, że mofna. Jednak dla Mistfa najbafdziej lifył się... efekt.

Pokryty grubą warstwą kurzu arkusz z partyturą wciąż spoczywał na stojaczkę. Czyjaś ręka naniosała na niego poprawki, nie szczędząc skreśleń.

- „Powrót Oblubienicy Pomsty Za Syna Swego Szukającej” – przeczytała na głos Niania. Ktoś dopisał a następnie skreślił „...z Grobu Głębokiego Wstającej”. – „Preludium Do Burzy Z Piorunami”, „Sonata o Dziewicy W Skąpym Prześwitującym Odzieniu”. Proszę, proszę... twój Mistrz na dodatek był prawdziwym artystą.

- ...na... swój sfosów... – powiedział ze smutkiem Igor.

- Magrat jest tam na pewno bezpieczna? – zapytała, zbierając kolki.

- To drzwi przeciwtfumowe – przypomniał jej Igor. – A Odfadek to w końfu rottweilef! No, w tfydziestu ofmiu procentach...

- A konkretnie?

- Pafa łap, jedno ufo, mnóftwo żył i dolna fczęka – powiedział jednym tchem Igor.

Pośpiesznie ruszyli dalej.

- Szkoda, że mózg ma po spanielu – stwierdziła Niania.

- O, zew krwi ma w kofciach! – pocieszał ją Igor. – Łapie ludzi w fczęki, pfewraca i ogłufa ogonami!

- Zamachuje ludzi na śmierć?

- Częfciej topi if w ślinie – wyjaśnił Igor.

* * *

Kiedy wampiry obniżyły lot, Agnes ujrzała wylaniające się z mroku strzechy Escrow. W niektórych oknach zapłonęło światło świec, gdy wylądowali. Vlad stanął przy czarownicy.

- Szkoda, że nie zobaczyłaś tego, co najlepsze przez tą pogodę – powiedział z żalem. – Nietypowa architektura wokół rynku i śliczny ratusz. Ojciec ufundował zegar.

- Niemożliwe.

- Dzwonnicę również. Przy wykorzystaniu tutejszej siły roboczej, ma się rozumieć.

- Wampiry są bardzo bogate, nieprawdaż? – mruknęła Agnes. Miasto było dość duże a jednocześnie przypominało jedno z wielu małych miasteczek z dolin, jeśli nie liczyć mnóstwa piernikowych rzeźb na okapach domów.

- Owszem, rodzina od zawsze posiadała duże włości – przyznał Vlad, ignorując sarkazm. – Przez wieki pieniędzy przybywało i przybywało. No i nie prowadziliśmy zbyt towarzyskiego życia.

- Ponieważ większość czasu spędzaliście na jedzeniu?

- Taaak... być może...

Rozległo się bicie dzwonów.

- Teraz to zobaczysz – powiedział cicho Vlad. – I wreszcie zrozumiesz.

Babcia Weatherwax otworzyła oczy i zmrużyła je w blasku huczących przed nią płomieni.

- Ou... – jęknęła. – Czy jesteśmy...

- Lepiej się pani czuje? – zapytał Oats.

Babcia rozejrzała się dookoła a potem zerknęła w dół. Z jej mokrej sukienki unosiła się para. Oats sięgnął po kolejną wiązkę osuszonych gałązek i dorzucił kilka do ognia. Zapłonęły z sykiem.

- Długo... długo odpoczywałam? – zapytała czarownica.

- Zaledwie pół godziny, pani Weatherwax.

Na okolicznych drzewach pełgały czerwone poblaski i tańczyły cienie. Smugi deszczu przecinały unoszące się kłęby pary.

- Nieźle sobie poradziłeś z rozpaleniem ognia – pochwaliła Babcia.

- Podziękować bogu – powiedział Oats.

- To miło z jego strony, nie ma co. Teraz jednak... pora się zbierać. – Wiedźma z wysiłkiem dźwignęła się na nogi. – To już blisko. I do tego z górki...

- Muł uciekł – powiedział Oats.

- Mamy przecież własne nogi. Teraz kiedy... odpoczęłam, czuję się znacznie lepiej. Ciepło dodało mi... wigoru.

- Jest za ciemno i do tego mokro. Wstrzymajmy się do rana.

Babcia zrobiła kilka chwiejnych kroków – Nie! Poszukaj jakiegoś badyła... Czegokolwiek, czym mogłabym się podpierać. Pośpiesz się!

- Eee... zbcze porasta leszczynowy zagajnik, ale nie wiem...

- Dokładnie tego nam potrzeba! Leszczyny! Czegokolwiek, byleśmy tylko mogli iść dalej. Z każdą chwilą czuję się lepiej. No, idź już!

Babcia otrzepała spódnicę nad płomieniem, starając się złapać ciepłe powietrze w zawity obieg swojej garderoby. Jakiś biały skrawek wyfrunął z ognia, unosząc się w pośród dymu i deszczu. Podniosła go z mchu. Małeńki fragment kartki, zwęglonej na obrzeżach. Z ledwością zdołała odczytać „...*Om. ...pomaga... Ossory uderzył...*”. Skrawek przyczepiony był do niemal zwęglonego, skórzanego paseczka. Oglądała go chwilę a potem, usłyszawszy trzask gałęzi sugerujący zbliżającego się kapłana, cisnęła go w płomienie.

- Uda się pani znaleźć drogę? – zapytał. – Jest ciemno i... – zawiesił głos wręczając jej leszczynowy kij.

- Będę miała ciebie po jednej stronie i ten kij po drugiej. Zwykły spacer po lesie.

- Wcale nie wygląda pani lepiej.

- Kilka lat zabrałoby nam oczekiwanie, aż zacznę wyglądać lepiej, młodzieńcze. A nie mamy tyle czasu.

Jaustrzab wyłonił się z mroku i usiadł na jej wyciągniętej ręce.

- To dobrze, że rozпалиłeś ten ogień – powiedziała, nie oglądając się za siebie.

- Po prostu wierzę, że kiedy pokłada się nadzieję w Omie, na wszystko znajdzie się rada – odpowiedział Oats, podążając za nią.

- A ja wierzę, że Om pomaga tym, którzy sami sobie pomagają – skwitowała Babcia.

* * *

Okna domów rozjaśniały się jedno po drugim. Zapalano pochodnie. Odryglowywano drzwi a dzwon wciąż bił ukryty gdzieś za zasłoną mgły.

- Zazwyczaj zbieramy się na rynku – objaśniał Vlad.

- Przecież to środek nocy! – obruszyła się Agnes.

- Owszem. Jednak według umowy nie robimy im tego częściej niż dwa razy na miesiąc – powiedział wampir. – Popatrz, jak świetnie funkcjonuje to miasteczko. Ludzie w

Escrow mogą spać spokojnie. Zrozumieli wszystko. Nie potrzebują okiennic, rygli ani piwnic, w których musieli by się chować, jak zwykli robić mieszkańcy... mniej cywilizowanych regionów naszych włości. Ci tutaj wybrali bezpieczeństwo, zamiast ciągłego strachu. Są tacy... – zachwiał się i podtrzymał ściany. – Przepraszam – bąknął przecierając czoło. – Czuję się jakoś... dziwnie. Na czym skończyłem?

- Nie pamiętam – burknęła Agnes. – Chyba na tym, jacy to niby szczęśliwi są ludzie, kiedy odwiedzają ich wampiry.

- Aaaa... właśnie. Właśnie. Dzięki współpracy a nie wrogości. Dlatego, że... – sięgnął po chusteczkę i wytarł twarz. – Ponieważ... eee... sama zobaczysz... Nie uważasz, że zrobiło się dziwnie zimno?

- Najwyżej trochę chłodniej – stwierdziła Agnes.

- Chodźmy na rynek – szepnęła Vlad. – Powiniennem szybko dojść do siebie.

Pochodnie płonęły ponad tłumem ludzi. Kilkoro z nich narzuciło koce i ubrało płaszcze wprost na nocne ubrania. Zebrali się w kilka grup i przypominali tłum, który zebrali się po ogłoszeniu alarmu pożarowego, ale jakoś nikt nie widział dymu. Kiedy Vlad wyłonił się z mgły rozległo się szuranie nóg i pojedyncza kaszlnięcia. Z mgły wychodziły kolejne wampiry. Hrabia wylądował łagodnie i przywitał Agnes skinieniem głowy.

- Panienko Nitt – powiedział cicho. – Vladzie, czy wszyscy już przybyli?

Dzwon ucichł. Po chwili zjawiała się Lacrimosa.

- Wciąż ją trzymasz? – zapytała Włada unosząc brwi. – Cóż...

- Porozmawiam z burmistrzem – powiedział Hrabia. – Lubi być na bieżąco z wydarzeniami.

Podszedł do małego, przysadzistego człowieka, który – mimo tego, że opuścił łóżko w tą ponurą deszczową noc – założył wielki urzędowy łańcuch. Wampiry ustawiły się w szeregu pod dzwonnicy. Prowadzili, jak gdyby nigdy nic wesołe pogawędki, śmiejąc się i pokrzykując. Jedynie Lacrimosa stała w milczeniu tuż przy czarownicy. Wyglądała na rozwścieżoną. Hrabia rozmawiał z burmistrzem. Mężczyzna potakiwał wpatrując się w ziemię.

Po drugiej stronie rynku ludzie także utworzyli szereg. Kilkoro małych dzieci wyrwało się rodzicom, biegając dookoła i chichocząc. Do Agnes docierało w końcu, co ma się właśnie wydarzyć. Podejrzenie było niczym wielka kula czerwieni wyłaniająca się z nieprzeniknionego mroku.

- Wiem o czym myślisz – odezwał się Vlad, czując jak jej dłonie drętwieją.

- Nie masz pojęcia o czym myślę! – krzyknęła. – Ale mogę ci powiedzieć... Jesteś... – starała się opanować drżenie głosu. – Jesteś...

- Uwierz mi, że wcześniej było dużo gorzej... Zanim...

Hrabia wrócił do nich. – Mam dobre wieści – oznajmił. – Kolejne dzieci dorosły – powiedział uśmiechając się do Agnes. – Mamy taką tradycję przed... losowaniem. Taki rytuał przejścia. Wydaje mi się, że nie mogą się już doczekać...

Obserwuję cię! Czeka na twoją reakcję, uprzedziła ją Perdita. Vlad to idiota, jednak Lacrimosa przerobiła by twoje włosy na pejcz, gdyby mogła, ale w pierwszej kolejności zajmie się twoim gardłem. I zrobi to, jeśli spojrzysz nie tak, jak trzeba. Na wszelki wypadek nie mrugaj. Pamiętaj, że pewna niewidzialna przyjaciółka ma ochotę pożyczyć jeszcze trochę...

Agnes czuła narastające wewnątrz uczucie strachu. Zimne, paraliżujące uczucie, odbierające zdolność ruchu. Musiała zrobić wszystko, by wyrwać się z tego uścisku.

- To żadna tragedia – próbował usprawiedliwiać się Vlad. – Kilka kropel krwi... Ojciec zbierze ich w szkole i da im wykład na temat obowiązków obywatelskich...

- Miło z jego strony – warknęła. – A potem rozda im znaczki? – dodała Perdita, której jakoś udało się dojść do głosu. Agnes nie potrafiła wykrzesać z siebie krztyny sarkazmu.

- Ależ, nie – usłyszała wesoły głos Hrabiego – Chociaż przyznaje, że to świetny pomysł. Hm... jakiś znaczek, bądź plakietka, czemu nie... Coś, co sprawiłoby, by czuli się później dumni. Muszę to zanotować w umyśle. A teraz... pora zaczynać! Burmistrz zebrał już nasze kochane dzieci...

Ktoś z tłumu krzyknął. Przez krótką chwilę Agnes mogła dostrzec mężczyznę przepychającego się do przodu. Potem burmistrz dał znak i ludzie pośpiesznie wciągnęli go z powrotem. Z ciemności dobiegły odgłosy bójki i krzyk kobiety, gwałtownie stłumiony. Trzasnęły jakieś drzwi.

Kiedy burmistrz odwrócił głowę napotkał utkwiony w sobie wzrok młodej czarownicy. Agnes pośpiesznie odwróciła głowę, nie chcąc oglądać wyrazu jego twarzy. Wszyscy potrafią wyobrazić sobie piekło, ale jakże nieszczęśliwi są ci, którzy doznali go za życia.

- Możemy zaczynać? – zapytał Hrabia.

- Mógłbyś puścić moją dłoń, Vlad? – spytała słodkim głosem Agnes.

Obserwuj cię! Tylko czekają, aż zrobisz jakiś ruch, szepnęła Peridta. Według ciebie – odpowiedziała jej w myślach Agnes – powinnam stać i przyglądać się? Jak ci wszyscy? Może jakoś odwrócę ich uwagę? *Co im zrobili? Są zupełnie jak te świny przed Nocą Strzeżenia Wiedźm*. Myślę, że mają dość powodów, by tak się zachowywać. *Dobrze, więc chcę cię zapytać tylko o jedno... zmażesz ten uśmiešek z twarzyczki Lacrimosy?* Poruszają się bardzo szybko. Nie podziiała nawet mój krzyk. Może uderzyłabym raz i może wystarczyłby ten jeden raz... a może obudzę się jako wampir i nigdy już nie odróżnię dobra od zła. Nie, nie o to chodzi. Chodziło o coś, dlaczego jestem właśnie tu i teraz. Musi istnieć powód.

Nagle jej zmysły wyostrzyły się. Czuła na sobie każdą kroplę opadającej mgły, zapach dymu spalających się pochodni i odgłosy szczurów harcujących w piwnicach domów. Zmysły skupiły się, jakby wcześniej spały tylko po to, by maksymalnie wykorzystać te kilka sekund.

- Niby dlaczego? – usłyszała ostry niczym brzytwa głos Lacrimosy.

Zamrugała oczami. Młoda wampirzyca stała przed swoim ojcem, wściekle się w niego wpatrując.

- Dlaczego zawsze musisz zaczynać? – spytała ze złością.

- Lacrimoso! Co w ciebie wstąpiło! Jestem głową rodu!

- Naprawdę? Na zawsze?

Hrabia wyglądał na zaskoczonego. – Oczywiście! Jakżeby inaczej...

- Będziesz zawsze nami komenderował? Zawsze będziemy twoim dziećmi?

- Nie wiem, co chodzi ci po głowie, kochanie, ale...

- I nie mów do mnie tym tonem! Możesz go używać dla tego mięsa! Wiecznie będziesz mnie wysyłał do mojego pokoju, kiedy będę nieposłuszna!?

- Pozwoliliśmy żebyś miała własne koło do łamania...

- Ależ oczywiście! I powinnam uprzejmie dygać, uśmiechać się i być miła dla... dla tego mięsa!

- Jak śmiesz odzywać się tym tonem do swojego ojca!? – wrzasnęła Hrabina.

- I nie nazywaj Agnes mięsem! – warknął Vlad.

- Czy wspomniałam o Agnes? Czyżbym nazwała ją mięsem? – powiedziała chłodno Lacrimosa. – Niemożliwe bym to zrobiła! Nie mam najmniejszego zamiaru wspominać o niej, choćby słowem!

- Nie będę tolerował tych głupich kłótni! – krzyknął Hrabia.

- O to właśnie chodzi! – kontynuowała Lacrimosa. – Nigdy się nie kłócimy. Zawsze będziemy robić wszystko, co każesz!

- Umówiliśmy się, że...

- Nie, to ty się umawiałeś, ale nikt z nas na to się nie zgodził! Vlad miał rację!

- Rację? – powiedział Hrabia odwracając się do syna. – Rację? W jakim względzie? Kosztów?

Vlad otworzył i zamknął usta. Powtórzył to kilka razy. – Być może raz, czy dwa wspominałem – zaczął niepewnie – o tym, że nasze działanie w Lancre nie do końca było rozważne...

- Masz zaledwie dwieście lat – zachnęła się Hrabina – a udajesz mądrzejszego niż jesteś!

- Nierozważne? – dopytywał się Hrabia.

- Ja powiedziałabym: głupie! – powiedziała Lacrimosa. – Małe znaczki? Plakietki? Jesteśmy wampirami! Bierzemy, co chcemy i nie dajemy nic w zamian! A teraz... – sięgnęła po najbliższego stojącego człowieka, otworzyła usta, zarzuciła włosami i... zamarła, niczym lodowa rzeźba.

Nagle chwyciła się za gardło i wykrzywiła, wściekle wpatrując się w ojca.

- Co... Co... mi... zrobiłeś?... – wyszeptwała, z trudem łapiąc powietrze. – Moje... gardło... czuję... Co... mi zrobiłeś!

Hrabia przetarł czoło – Lacci...

- Nie nazywaj mnie tak! Wiesz, że tego nienawidzę!

Jeden z wampirów krzyknął. Agnes nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Nazywał się Fenrir albo Maledicta, jednak wołał, żeby wołano na niego Gerald. Upadł na kolana, trzymając się za gardło. Wszystkie pozostałe wampiry wyglądały równie nieciekawie. Kilkoro klęczało i pojękiwało, ku konsternacji obywateli Escrow.

- Czuję... się... okropnie... – powiedziała Hrabina, lekko się chwiejąc. – Uprzedzałam... że... wino... to kiepski... pomysł...

Hrabia wpatrywał się w Agnes. Wiedźma cofnęła się.

- To ty, prawda?

- To ona! Na pewno ona! – wrzeszczała Lacrimosa. – Ta starucha musiała schować gdzieś swój umysł i wiedziała, że Vlad kocha się w tej bryle!

Nie ma jej tu, prawda? – dopytywała się Perdita. Powinnaś wiedzieć, odpowiedziała myślami Agnes, wycofując się. *Nie wydaje mi się, ale nie mam dla siebie całej głowy. Byłaby tu bezpieczna, to pewne.* To nie takie pewne, jednak z drugiej strony logiczne, że ukryje się gdziekolwiek a wszyscy pomyślą, że jest w dziecku.

- Dlaczego nie popełniesz do swojej trumny i nie zgnijesz, ty mała oślizgła żmijo! – warknęła Agnes. Nie była to mistrzowsko skonstruowana obelga, ale tak to bywa, kiedy trzeba improwizować. Na Lacrimosę podziałało. Skoczyła ku Agnes, jednak nie wszystko poszło po jej myśli. Zamiast pomknąć w powietrzu niczym aksamitna strzała, podskakiwała jak ptak ze złamanym skrzydłem. Jej furia jednak dodała jej sił na tyle, by wzbić się na krótko i skoczyć w kierunku Agnes z rozczapierzonymi pazurami...

Czarownica uderzyła. Z całą siłą, jaką mogła z siebie wykrzesać. Do uderzenia przyłożyła się również Perdita. Stało się coś nieprawdopodobnego. Wampirzyca mogła uciec przed ciosem, nim Agnes uniosła by dłoń, jednak to zdwojone uderzenie było niezwykle silne i nieprawdopodobnie szybkie. I poskutkowało.

Mieszkańcy Escrow wpatrywali w zataczającą się, krwawiącą wampirzycę.

Burmistrz uniósł głowę.

Agnes przygarbiła się, unosząc pięści.

- Nie wiem, gdzie jest Babcia Weatherwax – warknęła. – Możliwe, że jest tutaj – zaczęła, czując przyływ szaleńczego natchnienia. – Jeśli ktokolwiek podniesie na mnie rękę, to tak mu przyłożę, że wyskoczy z butów! – powiedziała głosem Babci.

- Niezła sztuczka, Panienko Nitt – powiedział Hrabia, podchodząc do niej powoli. – Nie sądzę, żeby... – urwał, łapiąc rękoma za owinięty wokół jego szyi złoty łańcuch. Burmistrz powalił wampira na ziemię, przytłaczając go ciężarem swego ciała.

Mieszkańcy Escrow popatrzyli znacząco jeden na drugiego a potem ruszyli do ataku. Wampiry próbowały wznieść się w powietrze, wyrrywając się z sięgających ku nim rąk.

Wszystkie pochodnie odwieszono na ściany a noc rozbrzmiała echem szaleńczych wrzasków.

Agnes spojrzała na Vlada. Wampir wpatrywał się ze zgrozą we wściekły tłum. Krąg ludzi otaczał już Lacrimosę.

- Uciekaj – szepnęła. – Bo zrobią z ciebie...

Odwrócił się i rzucił na nią. Ostatnią rzeczą jaką ujrzała był błysk jego zębów.

* * *

Schodzenie w dół okazało się gorsze od wspinaczki. Z każdej szczeliny było źródło a płynąca woda przeistoczyła drogę w wartki strumień. Mozolnie brnęli z jednej błotnistej kałuży w kolejną. Kapłan rozmyślał nad prawdziwą historią z Księgi Oma. Opowiadała ona o wędrownym proroku Bruthy i Oma przez pustynię. Kres tej podróży na zawsze odmienił omianizm. Miecze zostały zastąpione kazaniami. Dzięki temu ginęło mniej ludzi, nie licząc kilku ekstremalnych wypadków. Jednakże w Kościele nastąpił rozłam. Podzielił się na wiele, wciąż sprzeczących się ze sobą frakcji. Nawet umysł Oats miał odmienne opinie, co do niektórych kwestii wiary.

Kapłan zastanawiał się, czy Brutha przebrnął by przez pustynię, gdyby musiał prowadzić ze sobą Babcie Weatherwax. Tkwiła w niej jakaś nieugiętość. Charakter silny, niczym skała. Najpewniej w połowie drogi święty mąż z trudem zwalczyłby w sobie pokusę... powiedzenia czegoś bardzo niemiłego, albo przynajmniej znaczącego westchnięcia. Staruszka, stała się jeszcze bardziej zrzedliwa, kiedy doszła do siebie. W jej umyśle zdawało się tkwić coś dziwnego.

Przestało padać, jednak wciąż wiał zimny wiatr a powietrze przecinały sporadycznie kłujące okruchy gradu.

- To już niedaleko – wysapał kapłan.

- Skąd ta pewność? – zapytała Babcia, rozchlapując czarne, torfowe błoto.

- Dobrze, że pani jest wszystkiego absolutnie pewna – mruknął Oats. – Powiedziałem to, po prostu, żeby się podnieść na duchu.

- Marna próba.

- Pani Weatherwax, czy byłaby pani na mnie zła, gdybym zostawił panią samą? – zapytał Oats.

- O mnie się nie martw – powiedziała wiedźma, pociągając nosem.

- Ale byłaby pani zła, prawda? – dopytywał się Oats.

- To nie moja góra. Nie mogę rozkazywać ludziom, gdzie powinni być.

- Więc jeśli właśnie tego sobie pani życzy, pójdę sobie.

- Czy kiedykolwiek prosiłam cię o towarzystwo?

- Gdyby nie moje towarzystwo, już by pani nie żyła!

- Moje życie to nie twoja sprawa.

- Na Oma! Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, na jaką próbę mnie pani wystawia!

- Pański bóg wystawia na próbę każdego. Tak z reguły postępują bogowie i dlatego mam ich w nosie. Do tego ustalają te idiotyczne normy.

- Musza istnieć jakieś normy, pani Weatherwax.

- W takim razie, czego wymaga Om od swych wiernych?

- Nie powinni czcić żadnego boga poza Omem – wypalił bez zastanowienia Oats.

- Ach, tak? To bóg w sam raz dla ciebie, młodzieńcze! Egocentryk przestrzegający norm.

- Myślę, że chodziło mu o to, by przyciągnąć uwagę wiernych – tłumaczył Oats. – Istnieje wiele przykazań nakazujących właściwe postępowanie z bliźnimi. Wszystko jest kwestią właściwej interpretacji.

- Naprawdę? A co z tymi, którzy nie wierzą w Oma, a starają się żyć uczciwie?

- Według proroka Bruthy, żeby żyć uczciwie trzeba uwierzyć w Oma.

- To sprytnie! – stwierdziła Babcia. – Trzeba być nie lada myślicielem, żeby to zrozumieć. Sprytnie! Czy przekazał wam coś jeszcze, równie mądrego?

- Nigdy nie twierdził, że to mądrości – zachnął się Oats. – Jednak jeśli chce pani wiedzieć, w Liście do Symonitów prorok powiada, że ludźmi stajemy się tylko dzięki innym ludziom.

- To ciekawe. Z tym mogę się zgodzić.

- Mówił też, byśmy nieśli światło tam, gdzie panuje ciemność.

Babcia milczała.

- Przyszło mi to na myśli – mówił Oats – bo kiedy była pani... No, wie pani... Kiedy klęczała pani przy tym kowadle... to... powiedziała pani coś podobnego...

Babcia zatrzymała się tak nagle, że niemal się przewrócił.

- Co takiego powiedziałam?

- Mówiła pani...

- Mówiłam przez... sen?

- Tak... coś o ciemnościach, w których musi zapłonąć światło... Zapamiętałem to tylko dlatego, że w Księdze Oma...

- Podśluchiwałaś?

- Nie, broń boże... Jednak nie mogłem nic poradzić. Po prostu to słyszałem. I wyglądało to tak, jakby się pani z kimś kłóciła.

- Pamiętasz wszystko, co mówiłam?

- Tak mi się wydaje.

Babcia zachwiała się, stojąc w czarnej kałuży. Woda zaczęła przelewać się jej przez buty.

- Potrafisz to zapomnieć? – zapytała.

- Słucham?

- Chyba nie byłbyś tak niegrzeczny, by rozpowiadać ludziom o majaczeniach chorej staruszki, której i tak nie było w jej własnej głowie?

Oats zastanawiał się przez chwilę – Nie wiem o czym pani mówi, Pani Weatherwax.

Babcia, ledwo zauważalnie odetchnęła z ulgą.

- Dobrze, że zapytałeś. Dobrze, że nie było tam nikogo więcej.

Na powierzchni kałuży pojawiły się czarne bąble. Przez chwilę przyglądali się sobie. Został zawarty cich rozejm.

- Właśnie się zastanawiam, młodzieńcze, czy byłbyś tak dobry i wyciągnął mnie z tego błota?

Udało się to dopiero przy użyciu gałęzi z pobliskiego drzewa. Jednak mimo usilnych starań Oatsa jeden z butów Babci pozostał w błocie i po chwili zniknął w jego otmętach. Drugi – powodowany chyba braterską solidarnością – po chwili podążył za nim.

Babcia wykaraskała się z tego stosunkowo sucha, chociaż w większości pokryta ziemią. Stała się też posiadaczką najcięższych skarpet jakie Oast widział w życiu. Wyglądały, jakby były w stanie wytrzymać uderzenie młotem.

- To były solidne buty – powiedziała Babcia wpatrując się w bańki powietrza pojawiające się na powierzchni kałuży. – Cóż, idźmy dalej.

Zatoczyła się lekko, próbując stając na nogi, jednak ku zdumieniu Oatsa zdołała się na nich utrzymać. Zaczął powoli wyrabiać sobie opinię na temat tej staruszki. Jednak co pół godziny pojawiała się w jego umyśle nowa opinia, co do Babciu. Ostatnia brzmiała: ona

potrzebuje kogoś na kim może się znęcać. Jeśli nie znajdzie nikogo, na kim mogłaby się poznęcać, będzie znęcała się nad samą sobą.

- Szkoda tej twojej małej książeczki... – powiedziała, schodząc dalej w dół.

Zapadło długie milczenie.

- Mogę łatwo zdobyć inną – powiedział po chwili kapłan.

- Musi ci być bez niej ciężko.

- To tylko papier.

- Poproszę króla, by sprowadził ci nową.

- Nie chciałbym sprawiać problemu.

- To musiało być okropne. Palić te wszystkie święte słowa.

- Te najbardziej wartościowe nigdy nie spłoną.

- A więc nie jesteś takim durniem, mimo że nosisz ten śmieszny kapelusz.

- Wiem, kiedy się ze mnie drwi, pani Weatherwax.

- To dobrze.

Szli dalej w milczeniu. Kulki gradu odbijały się od szpiczastego kapelusza Babci i szerokiego ronda Oatsa.

- Mimo wszystko to źle, że starasz się mnie nawrócić na wiarę w Oma – odezwała się po jakimś czasie Babcia.

- Om zabronił tego nawet próbować. Nie dawałem pani przecież ulotek, prawda?

- Nie, ale chcesz, żebym pomyślała „Jaki miły młodzieniec! Jego bóg musi być naprawdę wspaniały, jeśli jego młodzi wyznawcy pomagają biednym staruszkom”, czyż nie?

- Nie.

- Naprawdę? Tak czy siak, to nie podziąła. W ludzi można od biedy uwierzyć, ale nie w bogów. I powiem ci coś jeszcze, panie Oats...

Kapłan westchnął – Słucham.

Obróciła się, nad wyraz ożywiona. – Lepiej dla ciebie, jeśli nigdy nie uwierzę! – warknęła, szturchając go palcem. – Ten twój Om... widział go ktoś, kiedykolwiek?

- Trzy tysiące wiernych było świadkami jego manifestacji w Wielkiej Świątyni, w dniu kiedy zawarł przymierze z prorokiem Bruthą i uratował go od śmierci na żelaznym żółtciu morskim...

- Dam sobie rękę odciąć, że obecnie spierają się, co tak naprawdę ujrzeni?

- Cóż, rzeczywiście. Istnieje wiele teorii...

- Właśnie! Właśnie! Oto ludzie tacy jak ty! Gdybym ja ujrzała boga, wiara płonęła by we mnie niczym gorączka! A gdybym wierzyła, że istnieje bóg – taki, co to martwi się o ludzi, niczym ojciec czy matka – nie przyłapałbyś mnie wygadującą bzdury tego typu, że niby to istnieją dwie strony, każdego zagadnienia. Albo, że powinno się szanować cudzą wiarę. Nie byłabym miłą staruszką, czekającą spokojnie kresu swoich dni w nadziei na spotkanie z bogiem, o nie! Moja wiara byłaby jak ogień, a ja byłabym jej mieczem sprawiedliwości. I kiedy mówię o płomieniu wiary, to dokładnie to mam na myśli, wielebny! Mówiłeś, że twój lud nie pali ludzi na stosach i nie składa już ofiar, ale na tym właśnie polega prawdziwa wiara. Rozumiesz? Poświęcenie własnego życia. Głoszenie tej prawdy każdego dnia tylko i wyłącznie dla tej wiary. Życie dla niej, oddychać, pracować i umierać. Oto religia. A cała reszta to... to tylko bycie miłym, ot co! Sposób na życie w zgodzie z sąsiadami. – odprężyła się lekko i kontynuowała spokojniejszym tonem – Tak czy siak, taka byłabym, gdybym naprawdę uwierzyła. Nie sądzę jednak, że byłoby to dokładnie to, czego ty spodziewasz się po wyznawcy Oma. Pewnie zaraz zaczniesz swoje śmieszne gadki w stylu „Ależ, droga pani, powinniśmy się nad tym przez chwilę zastanowić”, wiedz jednak, że taki jest mój punkt widzenia. Jesteś szczęśliwy, żyjąc w tym zakłamaniu, ale powiem ci jedno – nie szukaj wiary, bo nigdy jej nie znajdziesz – powiedziała, po czym dodała mimochodem – Możesz jednak próbować żyć uczciwie.

Lodowate podmuchy przybrały na sile, miotając jej sukienką wokół nóg. Czarownica szczykała zębami z zimna.

- Zabrałeś ze sobą inną książeczkę? – zapytała.

- Nie – powiedział Oats, wciąż jeszcze w szoku po jej kazaniu. *Mój boże, myślał, jeśli ona kiedykolwiek znajdzie jakąś wiarę, jakaż siła spłynie z tych gór? Mój boże... powiedziałem tak po prostu „mój boże”?*...

- Może jakiś śpiewnik? – dopytywała się Babcia.

- Nie.

- Może jakąś broszurkę z modlitwami na każdą okazję?

- Nie, Babciu Weatherwax.

- Niech to demony... – szepnęła Babcia lecąc na plecy, zwijając się niczym pusta sukienka.

Popędził do przodu, chwytając ją zanim wylądowała w błocie. Jedna blada dłoń chwyciła jego przegub z taką siłą, że krzyknął. Po chwili uścisk złagodniał i staruszka opadła bezwolnie w jego uchwycie.

Coś sprawiło, że Oats spojrzał w górę.

Kilka kroków dalej stał biały koń, a na nim siedziała zakapturzona postać, promieniująca niebieskawym blaskiem.

- Odejdź! – wrzasnął. – Nic tu po tobie! Odejdź, bo... bo...

Ułożył ciało na trawiastej wysepce i cisnął w mrok garścią błota. Popędził ku postaci, uderzając pięściami na oślep, ale kiedy przestał nie dostrzegł niczego. Był tam tylko cień i mgła.

Pognał z powrotem do Babci, podniósł ją i zarzucił na plecy, ruszając dalej w dół. Z tyłu mgła zmateriałizowała się w widmo na białym koniu.

Śmierć potrząsnęła głową.

NIE BYŁOBY WŁAŚCIWE, GDYBYM COKOLWIEK POWIEDZIAŁ.

* * *

Fale czarnego gorąca przepływały przez Agnes. Wydawało jej się, że spada w duszną, gorącą czarną jamę. I do tego dręczyło ją pragnienie, które pchało ją do przodu, niczym nurt rzeki.

Cóż, pomyślała sennie, bynajmniej trochę schudnę...

Owszem, odezwała się Peridita, ale wszystkie te cienie i kredki do oczu, które na siebie będziesz nakładać dodadzą ci kilku kilogramów...

Potem wypełnił ją Głód, sprawiając że przyśpieszyła.

Za jej plecami pojawiło się światło. Czuli, że spada powoli, jakby opadała na niewidocznych skrzydłach, a potem nagle obróciła się i zaczęła się wznosić niczym pikujący orzeł ku rozszerzającemu się kręgowi zimnej bieli...

To, co słyszała na pewno nie było słowami. Nie istniał żaden dźwięk poza słabym, zbliżającym się hałasem. Jednak były to jedynie cienie słów, echo z jakim opuszczają umysł, kiedy zostaną już wypowiedziane. Czuli, jakby była pędzącym głosem, który nada słowom kształt, by mogły zostać wypowiedziane. *Ja... nie potrafię... być... mieć... z... tym...*

Światło eksplodowało.

Ktoś przyłożył kołek do jej piersi.

- Ssstddfff?... – powiedziała, odruchowo odtrącając rękę. Ślina dławiała ją dopóki nie wypłuła cytryny z ust. – Hej, przestań! – krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła. – Co ty, na demony, wyprawiasz? Czy ja wyglądam na wampira?

Człowiek trzymający kołek i drewniany młotek zawahał się. Potem pokazał palcem szyję.

Agnes sięgnęła do swojej i znalazła dwie wypukłe blizny.

- Musiał spudłować! – powiedziała odpychając kolek i wstając – Kto zabrał mi pończochy? Kto zdjął mi skarpety? Czy to, co czuję to wrzący ocet? I kto nasypał mi ziaren maku do stanika? Jeśli to nie kobieta zajęła się moimi pończochami, to ktoś będzie miał zaraz poważne problemy!

Ludzie stojący wokół stołu spoglądali na siebie z zakłopotaniem. Agnes rozejrzała się dookoła. W wiszących wokół gwiazdach, krzyżach, kręgach i innych skomplikowanych kształtach rozpoznała symbole religijne. Nigdy nie czuła potrzeby wierzyć w cokolwiek, ale wiedziała na czym to polega.

- Ta kolekcja jest zupełnie bez sensu – powiedziała.

- Nie zachowuje się jak wampir – powiedział mężczyzna z młotkiem. – Nie przypomina żadnego z nich. I walczyła z tamtymi.

- Widzieliśmy, jak ją ugryzł! – zaoponowała jakaś kobieta.

- Źle wycelował. Było ciemno – tłumaczyła Agnes, wiedząc, że to nieprawda. Czyła narastający głód. To nie przypominało, co prawda tego mrocznego pragnienia, które czuła w ciemności, ale mimo wszystko głód był ostry i palący. Nie mogła się mu oprzeć – musiała się poddać...

- Zabiłabym za filiżankę herbaty – powiedziała.

To zdaje się rozstrzygnęło sprawę. Herbata nie była napojem powszechnie kojarzonym z wampirami.

- Muszę pozbyć się tych ziarenek maku – mówiła dalej Agnes, poprawiając swoje piersi – Czuję się jak bochenek chleba.

Odsunęli się, kiedy przewiesiła nogi przez krawędź stołu. Dopiero teraz dostrzegła wampira leżącego na podłodze. Niemal pomyślała o nim, jak o „jednym z nas”. Ubrany był długi, przypominający habit płaszcz i fantazyjną kamizelkę, pokrytą błotem i krwią. W jego sercu tkwił kolek. Jego głowa pewnie gotowała się obecnie w kociołku z octem.

- Widzę, że dorwaliście jednego z nich – powiedziała, powstrzymując się przed wymiotowaniem.

- Mamy dwóch – powiedział mężczyzna z młotkiem. – Drugi został spalony. Zabili burmistrza i Pana Vlacka.

- Więc reszcie udało się uciec? – zapytała Agnes.

- Tak. Wciąż są silni, ale nie mogli uciec daleko.

- Eee... a ten tutaj... to Vlad? – zapytała wskazując ciało skinieniem głowy.

- Kto to był Vlad?

- Ten, który... mnie ukąsił... To znaczy, próbował mnie ukąsić – poprawiła się.

- Możemy sprawdzić. Piotrze, pokaż pani głowę.

Młody człowiek podszedł do kominka, wciągnął rękawiczkę, podniósł wieko kociołka i wyciągnął głowę za włosy.

- To nie jest Vlad - przyznała Agnes, przełykając ślinę. *Nie*, dodała Perdita, *Vlad był wyższy*.

- Udali się do swojego zamku – powiedział Vlad. – Pieszko! Gdybyś ich zobaczyła, jak próbowali lecieć! Wyglądali jak panikujące kurczaki!

- Zamek... – powiedziała cicho Agnes.

- Muszą zdążyć nim zapieje kur – dodał Piotr, z nutą satysfakcji. – A nie mogą iść przez las z powodu wilkołaków.

- Co? Myślałam, że wilkołaki i wampiry żyją w zgodzie? – zdziwiła się Agnes.

- To tylko tak wygląda – wyjaśniał Piotr. – Wciąż się obserwują, czekając kto pierwszy mrugnie okiem – rozejrzał się zaniepokojony po izbie. – Jednak nie mamy nic przeciwko wilkołakom – dodał przy ogólnej aprobacie zebranych – Z reguły nie sprawiają nam kłopotu, bo za biegamy za wolno, by być dla nich interesującymi.

Spojrzał przenikliwie na Agnes.

- A co ty zrobiłaś wampirom? – zapytał.

- Ja? Nie zrobiłam nic... Sama nie wiem. – przyznała się Agnes.

- Nie był w stanie nawet pożądnie cię ugryźć.

- I kłócili się jak dzieci, zanim odeszli – dodał mężczyzna z drewnianym młotkiem.

- Masz szpiczasty kapelusz – zauważył Piotr. – Rzuciłaś na nich kłątwe?

- Ja... Ja nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Jednym z aspektów magii była przebiegłość i głupotą było nie pozwalać ludziom wierzyć, iż niewyjaśnione i nieprzewidziane przypadki to nie magia.

- Mogłam to zrobić – powiedziała stanowczo.

- Więc, chodźmy za nimi! – powiedział rozentuzjasmowany Piotr.

- Nie uciekli za daleko?

- Możemy iść na skróty. Przez las.

* * *

Splywająca po rannym ramieniu Jasona Ogga woda mieszała się z krwią.

- Przez tydzień czy dwa będę musiał kuć lewą ręką – powiedział krzywiąc się, kiedy przetarł ranę szmatką.

- Mają bardzo dobre pozycje do ostrzału – stwierdził Shawn, ukryty za beczką piwa. – Sęk w tym, że to w końcu zamek. Bezpośredni atak nie wchodzi w rachubę.

Westchnął, osłaniając swoją świecę przed wiatrem. Mimo wszystko spróbowali już frontального ataku. Nikt nie zginął tylko dlatego, że załoga zamku była już mocno podchmielona. Dzięki temu dwaj poszkodowani przez jakiś czas będą najwyżej kuleć.

Potem spróbowali taktyki, którą Jason nazwał atakiem od tyłu, jednak okazało się, że nawet na tyłach znajdowały się otwory strzelnicze. Jeden człowiek, skradając się pod murami dałby może radę się prześlizgnąć – na taki pomysł wpadł Shawn – ale okazało się, że wszystkie drzwi zostały solidnie zaryglowane i dywersant mógłby najwyżej stanąć pod nimi czując się co najmniej głupio.

Shawn szukał pomocy w starożytnych dziennikach niejakiego Generała Tacticusa, który stał się znany tak bardzo, iż jego imieniem nazwano wszystkie działania z ogólnie pojętej sztuki oblężniczej. Opuścił sobie jednak po przeczytaniu pierwszego zdania z jego podręcznika „*Co Zrobić, Kiedy Jedna Armia Broni Murów Bądź Wyżej Położonych Terenów A Druga Chce Je Zdobyć?*”. Zdanie to brzmiało: „*Po pierwsze: postaraj się być jednym z broniących*”.

Pozostali żołnierze pospolitego ruszenia siedzieli teraz schowani za poprzewracanymi wozami, czekając by ktoś ich poprowadził.

Rozległ się pełen szacunku gong. Wielki Jim Wołowina – obecnie pełniący funkcję tarczy dla dwóch innych niepełnoetatowych żołnierzy – zasalutował z pietyzmem.

- Wydawa mnie siem – odezwał się troll – że jak by tak podłożyć ogień pod bramę, to my by ich wykurzli.

- Doskonały pomysł – poparł go Jason.

- To królewska brama – zapotestował Shawn. – Król nie byłby zadowolony. Bywał poirytowany, kiedy nie opróżniałem w porę jego prywatnej wygodki...

- Może przysłać rachunek Mamie.

- To buntownicze gadanie, Jasonie! Mógłbym cię... au... Mógłbym... aua! Mama powie ci co myśli o mówieniu podobnych rzeczy.

- Gdzie w takim razie jest ten twój król? – spytał Darren Ogg. – Siedzi gdzieś na tyłku i czeka, aż Mama wszystko posprząta, a my tkwimy tu pod ostrzałem.

- Wiesz, że król ma słabe płuca – bronił władcy Shawn. – Jest bardzo odpowiedzialny i...

Wszyscy umilkli, kiedy rozległ się dziwny odgłos. Przypominał charkot jakiegoś pierwotnego zwierzęcia, które cierpi i stara się przekazać to, jak tylko potrafi. Ludzie rozejrzeli się nerwowo dookoła.

Pojawił się Verence.

Shawn rozpoznał go tylko dzięki haftowanemu emblematowi na nocnej koszuli i puchowych kapciach. Król trzymał nad głową wielki, oburęczny miecz i pędził wprost ku bramie zamku, krzycząc w niebogłosy.

Miecz uderzył w drewno. Shawn widział, jak wrota zadrzały.

- To szaleniec! – krzyknął Darren. – Powstrzymajmy tego biedaka, zanim oberwie strzałą!

Kilku popędziło do króla, który usiłował wyciągnąć miecz, zapierając się nogami o wrota.

- Momencik... Wasza Wysokość... Spoko... Aargh!

- Zabieraj łapska!

Darren zatoczył się, chwytając się za twarz.

Z królem pojawiły się, niczym jakaś plaga, setki małych postaci.

- Gibbins!

- Fackle!

- Nac Mac Feegle!

Rozległ się kolejny wrzask. To Jason, próbując powstrzymać entuzjazm swego monarchy, odkrył w tej chwili, że dotyk króla potrafi wyleczyć nawet pewne objawy krytyki, a bezpośrednia krytyka skończyć się może rozsmarowaniem nosa antyrojalisty do interesująco płaskiego kształtu.

Groty strzał stukotały dookoła nich.

- Pijani czy nie, w końcu wszystkich wystrzelają! – wrzasnął ponad hałasem Shawn, chwytając Wielkiego Jim. – Chodź ze mną!

- Co będziem robić?

- Sprzątać wygodki.

Popędzili wokół twierdzy. Zapach prowadził przez ciemność całym swym wonnym splendorem. Oto przekleństwo Shawna. Czyszczenie garderob w zamku. Sprzątał je a zawartości wygodek wywoził do dołów w ogródach. Tu matka natura przeobrażała nawóz w... w część Lancre.¹³ Teraz jednak, kiedy pojawiły się ważniejsze problemy od cotygodniowego biegania z szuflą i taczka miejsce to zdawało się być najspokojniejszym i najbardziej odludnym w całym królestwie. Oczywiście, przez jakiś czas próbował jeszcze składać zawartość wygodek w coś... coś w rodzaju stosu, ale przecież nie mogli wymagać, by robił to wszystko, kiedy mają na głowie wampiry.

Skinął na Wielkiego Jima, wskazując mu drzwi prowadzące do wieży. Trolle nie przejmują się zbyt zapachami pochodzenia organicznego, chociaż z łatwością mogą odróżnić węchem rodzaj wapienia.

- Otworzysz te drzwi, kiedy ci powiem – powiedział Shawn, drąc swoją koszulę na pasy i zawijając materiał wokół strzały, po czym wyjął z kieszeni zapalniczki. – A kiedy otworzysz drzwi – tłumaczył – uciekaj bardzo, bardzo szybko, rozumiesz? Dobrze... otwórz drzwi!

Wielki Jim pociągnął za klamkę. Ze środka dobiegł cichy świst powietrza.

- Biegnij! – krzyknął Shawn, posyłając płonąca strzałę przez wejście.

¹³ Znaczenie jelita grubego w procesie państwowotwórczym jest zwykle pomijane przez historyków.

Pocisk zniknął w cuchnącej ciemności. Minęło kilka uderzeń serca a potem wieża eksplodowała.

Wydarzenia potoczyły się powoli. Zielono-niebieski płomień leniwie przemierzał piętro za piętrem omiatając ściany na każdym poziomie i kończąc drogę miłym dla oczu efektem. Dach rozwarł się niczym budzaca się ze snu stokrotka. Słaby płomień przebił chmury niczym ostrze włóczni. A potem czas, dźwięk i ruch wróciły na miejsce z donośnym hukiem.

Kilka sekund później podwoje bramy rozwarły się i żołnierze wybiegli z nich w popłochu. Pierwszy oberwał między oczy od balistycznej wersji króla Verenca. Shawn ruszył do walki, gdy nagle ktoś spadł na niego, przygniatając go do ziemi.

- Kogo my tu mamy? Jeden z dziecinnych żołnierzy – szydził Kapral Svitz, wstając na nogi i sięgając po miecz.

Shawn przewrócił się na plecy i uderzył w górę Nożem Armii Lancraniańskiej. Co prawda miał do wyboru Przyrząd do Analizy Paradoksów, Aparat Do Wyłuskiwania Maleńkich Ziaren Nadziei i Korkociąg Pewności Względem Wątpliwych Wyjaśnień, jednak wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie, że odruchowo użył Instrumentu Do Szybkiego Wyjaśniania Nieporozumień. I podziałało.

Prysznic deszczu zalewał pobojuwisko.

Cóż... prawdę powiedziawszy, nie tylko deszczu.

W każdym bądź razie, prysznic.

* * *

Wampir podróżowały dziwacznie, chociaż dość szybko. Wyglądało to niezupełnie na lot a raczej na ćwiczenia dobrze się zapowiadających mistrzów świata w skokach w dal.

- Spłoniemy w tym niewdzięcznym miejscu – zawodziła Laciomsa. – Oto do czego prowadzi pobłażliwość, Ojczy! Dostałeś odpowiednią zapłatę za swój trud.

- I na dodatek zapłaciłeś za dzwonnice – dodała Hrabina.

Hrabia masował gardło. Blizny po ogniach złotego łańcucha wciąż były widoczne. Nie wyobrażał sobie, że człowiek może być tak silny.

- Cóż, wciąż uważam, że to odpowiednia metoda działania – powiedział. – Naturalnie musimy się upewnić, że wiadomość o tym incydencie się nie rozniesie.

- Wydaje ci się, że to się nie rozniesie? – zapytała Lacrimosa, lądując obok niego.

- Niebawem nadejdzie świt, Lacci – powiedział ponuro Hrabia. – Dzięki mojemu szkoleniu, odczujesz go najwyżej jako coś nieprzyjemnego. W każdym bądź razie nie zmienisz się w garść prochu. Przemyśl to.

- To robota tej starej wiedźmy, prawda? – powiedziała Lacrimosa, ignorując jego tyradę. – Ukryła się gdzieś i nas atakuje. Nie może być w dziecku. Sądzę, że wlała w tą twoją tłustą panienkę, Vlad! Dużo tam miejsca. Słyszysz, braciszku?

- Co? – zapytał nieobecny głosem Vlad, kiedy minęli zakręt i ujrzeli zamek.

- Widziałam twoje romantyczne poświęcenie! Ugryzłeś ją! Jakie to słodkie. A jednak ją dopadli. Będą musieli użyć długiego kołka, żeby sięgnąć serca.

- Ukryła się gdzieś blisko – powiedział Hrabia. – To oczywiste. W kimś, kto był w tej sali...

- Na pewno w którejś z pozostałych wiedźm – zasugerowała Hrabina.

- Zastanawiam się...

- Ten głupi klecha – powiedziała Lacrimosa.

- To całkiem przekonujące – przyznał Hrabia. – Jednak wątpię.

- Czyżby... Igor? – zapytała jego córka.

- Ani przez chwilę nie przyszło mi do na myśl – powiedział Hrabia.

- Cały czas myślę, że to była ta Tłusta Agnes.
- Wcale nie taka tłusta – powiedział posepnie Vlad.
- Gdybyś przestał się nią zadrećzać już dawno nie stała by nam na drodze – narzekała Lacrimosa. – Zazwyczaj brałeś sobie na pamiętkę pukiel ich włosów, albo czaszkę...
- Ona jest inna.
- Dlatego, że nie możesz czytać w jej myślach? Co w tym takiego interesującego?
- Ja przynajmniej kogoś ugryzłem – powiedział Vlad. – A z tobą co się działo?
- Właśnie, zachowywałaś się bardzo dziwnie, kochanie – przyznał Hrabia, kiedy dotarli do zwodzonego mostu.
- Wiedziałabym, gdyby ukrywała się we mnie! – warknęła Lacrimosa.
- Zastanawiam się, czy oby na pewno – powiedział Hrabia. – Wystarczy, że odkryje jakiś słaby punkt...
- To tylko wiedźma, Ojciec. A my zachowujemy się, jakby posiadała jakąś straszliwą moc...
- Może rzeczywiście ukryła się w tej Agnes – powiedział Hrabia, rzucając synowi odrobinę dłuższe spojrzenie, niż było konieczne.
- Prawie jesteśmy – odezwała się Hrabina, chcąc załagodzić spór. – Wszyscy poczujemy się lepiej po świetle.
- Nasze najlepsze trumny są w Lancre – powiedziała ponuro Lacrimosa. – Ktoś był nazbyt pewny siebie.
- Nie mów do mnie takim tonem, młoda damo! – skarcił ją ojciec.
- Mam dwieście lat – burknęła Lacrimosa. – I wydaje mi się, że mogę używać takiego tonu, jaki mi się podoba.
- Nie powinnaś odnosić się ten sposób do Ojca!
- Matko, czy nie mogłabyś czasem zrobić czegoś, co dowiodłoby, że masz więcej niż jedną szarą komórkę?
- Nie wiń Ojca za to, że wszystko poszło nie tak!
- Nie wszystko poszło źle, moja droga! To przejściowe komplikacje!
- Będzie po wszystkim, jeśli mięso z Escrow rozgada po okolicznych wioskach, co się stało! Chodźmy. Vlad, przestań się rozklejać i...
- Nawet kiedy im powiedzą, co takiego będą mogli zrobić? Będzie kilka protestów, ale ci, których oszczędzimy szybko odzyskają rozsądek – powiedział Hrabia. – A teraz... Nie pozwólmy czekać trzem wiedźmom. I dziecku.
- I pewnie mamy być wobec nich uprzejmi?
- Och, nie wydaje mi się, abyśmy musieli się tym razem posuwać tak daleko – powiedział Hrabia. – Może wystarczy, jeśli pozwolimy im żyć. Może...
Coś upadło na most, tuż obok niego. Sięgnął po to i odrzucił ze skowytami.
- Przecież... czosnek nie powinien mnie parzyć... – jęknął.
- Ta woda pofodzi z Stafu Świątego Żółfia ze Squintfs – powiedział głos ponad nimi. – Fobłogofławiona włafnofęcnie pfez bifkupa w Roku Pftraga – rozległ się odgłos bulgotania i przetykania. – To był dofry rok dla błogfławieństf – kontynuował Igor. – Jednak mofecie mi nie wiefyć na fłowo. Wynofa, frajefy!
Wampiry odskoczyły na bok, uciekając przed wirującą w powietrzu butelką, rzuconą z blank.
Rozbiła się na moście a większość z jej zawartości oblała wampira, który zapłonął jak gdyby uderzył weń palący olej.
- Cóż, Cryptopher nigdy nie słuchał mnie uważnie – powiedział Hrabia, kiedy płonąca postać paliła się, biegnąc w kółko i wrzeszcząc. – Wszystko tkwi w waszych umysłach, rozumiecie? Pozytywne myślenie jest kluczem do wszystkiego...
- Zmienia się sadzę – zauważyła Hrabina. – Nie zamierzasz czegoś zrobić?

- Och, rzeczywiście. Vlad, strąć go z mostu, dobrze?
 Nieszczęsny Cryptopher płonąć zaczął spadać w czeluść.

- Doskonale wiecie, że to nie powinno się zdarzyć – powiedział Hrabia, wpatrując się w swoje pokryte pęcherzami palce. – Widocznie naprawdę nie był... jednym z nas.
 Daleko w dole rozległ się głośny plusk.
 Pozostałe wampiry schowały się w łuku bramy, kiedy kolejna butelka roztrzaskała się nieopodal Hrabiego. Jedna kropla wylądowała na jego nodze i dostrzegł unoszącą się smużkę dymu.

- Zdaje się, że zakradł się jakiś maleński błąd – stwierdził.
 - Nigdy nie byłam do końca przekonana – przyznała Hrabina – ale sugeruję, byś znalazł szybko jakiś nowy plan, kochanie. Może tym razem plan, który dla odmiany zadziała?
 - Mam jeden w zanadru – powiedział, pukając w ogromne dębowe wrota. – Jeśli wszyscy się odrobinę przesuniecie...

Powyżej, na blankach Igor szturchnął w bok Nianię Ogg, która właśnie wyrzuciła karafkę wody z Świętego Źródła Siedmiorekiego Seka i pokazała palcem wskazującym wymowny gest.¹⁴

Chmury wirowały, od czasu do czasu skrząc się błękitnym blaskiem.

- Nadfodzi bufa – powiedział Igor. – Fuję to po mfowieniu na czufku głofy. Pośfiefmy się!

Dotarli do wieży dokładnie w momencie, kiedy grot błyskawicy uderzył nad bramą, roztrzaskując kamienie w miejscu gdzie stali.

- Łatwizna – powiedziała Niania, leżąc całą długością na bruku.
 - Potfafiają kontfolować fogodę – wyjaśnił Igor.
 - Cholera! – zakląła Niania. – Rzeczywiście. Wie to każdy, kto wie cokolwiek o wampirach!

- Pfefpafam. Nie mogą nam nic zfobić, kiefy ješteśmy w sfodku. Chodźmy!
 - Co to za zapach? – zapytała Niania pociągając nosem. – Igorze! Twoje buty się palą!
 - A nief to! Mam te ftopy zaledfie od miefąca! – oburzył się Igor, kiedy chluśnięta przez Nanię woda święcona zasyczała na skórze butów. – To pfez mój dfut.
 - Znowu ktoś został zabity przez spadającego bawoła? – zapytała Niania, kiedy zbiegali po schodach.
 - Nie! Pfez drzefo! – powiedział z wyrzutem Igor. – Mam je po tym fiedaku Mikhaiifu Sfenitfie. Był dfalem. Niefiele z niego zoftało, ale jego fodzice stfiefdzili, że ze fzględu na famięć o nim mogę fziąć jego ftopy.
 - To zadziwiająco uprzejmie z ich strony.
 - Cóf... doftał kiedyf ode mnie zafasową fękę a kiedy stafy fan Sfenitf zafochował, przefczefilem mu fątfobę fana Kofaka, któfą fani Kofak ofiafowała mi za nofe oko.
 - Ludzie w tych stronach nie umierają tak po prostu – stwierdziła Niania.
 - Co ofdodzi, to i fraca – dodał Igor.
 - Więc według twojego nowego planu powinniśmy?... – zapytała Lacrimosa, stąpając przez gruzy.
 - Zabić wszystkich. Przyznaję, że to niezbyt oryginalny plan, ale wypróbowany i sprawdzony – powiedział Hrabia. Przyjęto to z ogólną aprobata, chociaż jego córka wciąż wyglądała na nieusatysfakcjonowaną.
 - Jak to wszystkich? Od razu?
 - Och, jeśli chcesz możesz zatrzymać kogoś na później.
 Hrabina chwyciła go za rękę.

¹⁴ Igor posiadał dwa kciuki. Uważał, że jeśli coś jest użyteczne nic nie stoi na przeszkodzie dołożyć tego więcej.

- To mi przypomniało nasz miesiąc miodowy – powiedziała. – Pamiętasz te cudowne noce w Grjsknvij?

- Och, zaiste... świat o świcie – powiedział podniośle Hrabia.

- To było takie romantyczne... Spotykaliśmy tylu cudownych ludzi. Pamiętasz jeszcze państwo Harkerów?

- Mile ich wspominam. Pamiętam, że wytrzymali cały tydzień. A teraz, słuchajcie uważnie. Święte symbole nas nie zranią. Woda święcona to zwykła woda... Tak, wiem... Jednak Cryptopher po prostu się nie koncentrował. Czosnek to roślina z rodziny cebulowatych, nic więcej. Czy cebula nas rani? Czy szalotki są dla nas groźne? Nie. Jesteśmy tylko odrobinę zmęczeni, to wszystko. Malicia, zawołaj resztę rodu. Pozwólmy odpocząć zdrowemu rozsądkowi i zabawmy się. A potem, rankiem nastanie nowy porządek świata, którego nigdy nie osiągnęlibyśmy z tymi...

Otarł czoło. Hrabia ogólnie był z siebie dumny i czule pielęgnował w sobie to uczucie. Jednak w tej chwili poczuł, jakby ktoś zaglądał mu przez ramię. Nie był do końca pewien czy to, co robi jest słuszne. Ona nie potrafiłaby przecież dostać się do jego głowy. Na pewno, prawda? Miał za sobą setki lat praktyki. Nie istniał sposób, jakim wiedźma mogłaby przełamać jego obronę. Przecież to jasne...

Poczuł silne pieczenie w gardle. Wreszcie coś czego mógł się uchwycić, do czego mógł się odwołać. Jego własna, wampirza natura! Jednak tym razem uczucie to było niepokojąco dziwne.

- Mamy trochę... herbaty? – zapytał.

- Co to jest herbata? – zdziwiła się Hrabina.

- To... rośnie na krzakach... Tak mi się wydaje – powiedział Hrabia.

- W takim razie, jak można to ugryźć?

- Trzeba... eee... wrzucić to do wrzątku? Chyba. – Hrabia potrząsnął głową, próbując uwolnić się od demonicznego pragnienia.

- Kiedy jest jeszcze żywe? – spytała Lacrimosa rozciągając usta w promiennym uśmiechu.

- ...słodkie herbatniczki... – wymruczał Hrabia.

- Wydaje mi się, że powinieliś nad sobą zapanować, kochanie – powiedziała Hrabina.

- To coś... herbata... – odezwała się Lacrimosa. – Jest takie brązowe?

- Tak – szepnął z namaszczaniem Hrabia.

- Kiedy byliśmy w Escrow chciałam ukąsić takiego jednego i w mojej głowie pojawił się okropny obraz filiżanki wypełnionej jakąś ohydą substancją – powiedziała jego córka.

Hrabia wzdrygnął się.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedział. – Trzymajmy się czegoś, co dobrze znamy. Podążmy za zewem krwi...

* * *

Drugą ofiarą bitwy o zamek był Vargo. Był to mizerny młodzieniec, który został wampirem tylko dlatego, iż sądził, że przysporzy mu to powodzenia u dziewcząt. No, choćby u jednej z nich... Poza tym znajomi zawsze mówili, że do twarzy mu w czerni. Jakiś czas później odkrył, że zainteresowania wampira prędzej czy później zawsze koncentrują się na jednym – kolejnym posiłku. Natomiast najbardziej interesującym organem u kobiety staje się nieoczekiwanie szyja.

W ostatnich chwilach swego życia najbardziej pożądał jednak porządnego odpoczynku. Kiedy tylko znaleźli się w zamku powlókł się ku swej krypcie i miłej, wygodnej trumnie. Owszem, był głodny jednak miał na tyle rozwinięty zmysł samozachowawczy, by polowanie pozostawić innym – na ucztę może pojawić się lekko spóźniony.

Jego trumna stała w centrum ponurej krypty. Wieko leżało niedbale na podłodze. Będąc jeszcze człowiekiem był wyjątkowo niechlujny, jeśli chodzi o postanie.

Vargo ułożył się w trumnie, powiercił się, obrócił kilka razy, żeby znaleźć wygodną pozycję, potem nasunął wieko i zamknął je na zasuwkę.

Potem nastąpiły dwa wydarzenia, które zaskoczyłyby każdego, obserwującego spoczywającą na stojaku trumnę.

Po pierwsze: Vargo powoli zaczął uświadamiać sobie, że jego trumna nigdy nie była wyposażona w poduszkę.

Po drugie: Greebo uświadomił sobie, że jest wściekły jak diabli i tego już za wiele. Najpierw wytrzymało nim w tej rzeczy z kołami a jedyną osobą na której mógł się wylądować była Niania. Swym nadzwyczaj rozwiniętym zwierzęcym zmysłem pojmował paradoksy sytuacji, w której się znalazł – podrapanie Niani byłoby najgłupszą rzeczą, jaką mógł zrobić, ponieważ kto inny chciałby go karmić? Zrozumienie tego nie poprawiło mu nastroju. Potem spotkał psa, który chciał go polizać. Greebo drapał go i kąsał, jednak nie przyniosło to żadnego rezultatu poza zachęceniem tego stworzenia do bycia jeszcze bardziej przyjaznym. Wreszcie znalazł sobie wygodne miejsce do odpoczynku i zwinął się w kłębek... a teraz ktoś wykorzystał go jak poduszkę!

Nie zrobił wielkiego hałasu.

Trumna zakotyła się kilka razy i wywróciła dnem...

Greebo kontynuował drzemkę.

* * *

- ...niech stanie się światłość...

Plusk, cmok, plusk.

- ...i niech rozświetli mrok mej duszy... Bądź pochwalony, Omie...

Oats śpiewał, by podnieść się na duchu, chociaż większość znanych mu hymnów nie były w ogóle przeznaczone do śpiewu. Pamiętał je jednak dzięki temu, że miały zapadające w pamięci teksty. Śpiewał głośno i zagorzale, chcąc umocnić swą wiarę i rozwiać wątpliwości. Pomagało mu to odwrócić uwagę od ciężaru Babci Weatherwax. To zdumiewające, jak przybrała na wadze w ciągu ostatniej mili... Czuł to zwłaszcza wtedy, gdy potykał się, a wiedźma lądowała na nim.

Zgubił w błocie jednego buta. Jego kapelusz utonął w jakiejś kałuży. Ciernie zmieniły jego płaszcz w łachmany...

Poślizgnął się na błocie i upadł po raz kolejny. Babcia potoczyła się i upadła w na kępie cibory.

Gdyby brat Melchio go teraz widział...

Jaustrzab zatrzepotał skrzydłami i wylądował na gałęzi martwego drzewa kilka jardów dalej. Oats nie znosił tej istoty. Wydawała się mu demoniczna. Ptak latał, chociaż nie mógł nic widzieć przez kapturek. Najgorsze jednak było to, że kiedykolwiek o nim pomyślał, ptaszysko odwracało swoją zakapturzoną głowę w jego stronę, skupiając na nim swój niewidzący wzrok.

Zdjął swój drugi, bezużyteczny już but. Lśniaca kiedyś skóra teraz była zupełnie brudna i popękana. Cisnął nim niezręcznie.

- Odejdź, demoniczna kreaturo!

Ptak ani drgnął. But przeleciał obok niego.

Kiedy Oats próbował stanąć na nogi, poczuł zapach palącej się skóry.

Dwie wstęgi dymu wiły się po obu stronach kapturek.

Kapłan sięgnął do szyi, chcąc prosić morskiego zółwia o opiekę. Jednak nie było go tam. Wisiołek kosztował pięć oboli w Cytadeli i w tej chwili było za późno rozważać nad

tym, czy dobrze było zawiesić go na łańcuszku o wartości jednego obola. Spoczywał pewnie na dnie jakiejś kałuży albo w głębokim, brudnym bagnie...

Kiedy skóra wypaliła się ujrzał w świetle płomienia kontur ptaka. Światło przeobrażało wilgotny krajobraz w płataninę linii i cieni, rozświetlając każdą kępkę trawy i przenikając przez liście drzew. Migotało tak szybko, że zostawiało pod powiekami Oatsa mnóstwo purpurowych plamek.

Zanim odzyskał oddech i równowagę, ptak odleciał daleko, ku wrzosowisku.

Podniósł nieprzytomną Babcie Weatherwax i popędził za nim.

Szlak wiódł w dół. Błoto i paprocie ślizgały mu się pod nogami. Strumyczki biły z każdej dziury i żlebu. Przez większość czasu wydawało mu się, że nie idzie, ale jedynie kontroluje poślizgi, lawirując pomiędzy skałami, ślizgając się poprzez kałużę i liście.

A potem, poprzez przerwę między drzewami, ujrzał zamek rozświetlony błyskiem pioruna. Oats potknął się o ciernisty krzak i upadł na kamienie wystające z błota. Babcia Weatherwax wylądowała na jego plecach.

Poruszyła się - ...zabić wszystkich... odpocząć zdrowemu rozsądkowi... nie potrafiłaby tego zrobić... – wymruczała.

Wiatr strząsał na jej twarz krople deszczu z gałęzi. Otworzyła oczy. Przez moment wydawało się Oatsowi, że mają one czerwone źrenice, lecz po chwili skupiła na nim swoje lodowate, błękitne spojrzenie.

- A zatem dotarliśmy?

- Tak.

- Co się stało z twoim świętym kapeluszem?

- Zgubiłem go – powiedział szorstko. Babcia przyjrzała mu się bliżej.

- Twój magiczny amulet też zniknął – powiedziała. – Ten z człowiekiem leżącym na morskim żółwiu.

- To nie był magiczny amulet, pani Weatherwax! Proszę... Magiczne amulety są symbolem jakichś prymitywnych zabobonów, natomiast Święty Żółw Om jest... jest... jest... No, nie jest, rozumie pani?

- Och, jasne. Dziękuję za wyjaśnienie – powiedziała Babcia. – Pomożesz mi wstać?

Oats popadał w coraz gorszy nastrój. Niósł staruszkę wiele mil. Przemarzył do szpiku kości a teraz zachowywała się, jakby wyświadczyła mu jakąś przysługę.

- Jest takie magiczne słowo... – burknął.

- Och, nie wydaje mi się, aby tak świątobliwy człowiek chciał mieć do czynienia z magicznymi słowami – powiedziała Babcia. – Istnieją jednak święte słowa... Na przykład, *rób, co mówię, albo ci przyłożę. Zazwyczaj skutkują.*

Podniósł ją na nogi ożywiony tym nagłym przyływem gniewu. Podtrzymał wiedźmę, kiedy się zachwiała.

Z zamku dobiegł krótki przeraźliwy wrzask.

- To nie kobiecy głos – powiedziała. – Sądzę, że dziewczyny już zaczęły. Podasz mi ramię?

Jej ręka trzęsła się, kiedy ją uniosła. Jastrząb sfrunął na dół i usiadł na jej przegubie.

- Poprowadź mnie do bramy.

- Ależ oczywiście, rad jestem, że mogę pani służyć – wymruczał Oats. Spojrzał na ptaka. Kaptur obrócił się ku jego twarzy.

- To jeszcze jeden... feniks, prawda? – zapytał.

- Tak – odpowiedziała Babcia wpatrując się w bramę. – Feniks. Może być ich więcej niż jeden jednocześnie.

- Jednak wygląda jak karłowaty jastrząb.

- Urodził się pośród jastrzębi, więc wygląda jak jastrząb. Gdyby jaja były wysiadywane w kurniku, wyglądałby jak kura. A jastrzębiem będzie dopóty nie zmieni się w feniksa. To nieśmiałe ptaki. Można powiedzieć, że feniksem dopiero się stanie...

- Za dużo skorupek...

- Właśnie, panie Oats. Co, jeśli feniks składa czasami dwa jaja? Kiedy zachodzi potrzeba? Hodgesaargh miał rację. Feniks jest z natury ptakiem. Najpierw ptakiem, dopiero potem mitem.

Brama zwisała luźno. Jej żelazne okucia były powyginane a drewno jeszcze się tliło. Mimo tego, wciąż potrzeba było wielkiego wysiłku by ją zamknąć. Wyrzeźbiony nad jej łukiem nietoperz mówił przybyszom wszystko, co powinni wiedzieć o tym miejscu.

Na przegubie Babci skwierczał i tlił się kaptur jastrzębia. Gdy Oats spojrział w jego kierunku małe płomienie znów buchnęły ze skóry.

- Wiec, co uczynili – powiedziała Babcia. – Wiedział już, kiedy był wysiadywany. Feniksy dzielą się wspomnieniami. I nie tolerują zła.

Główka obróciła się, by spojrzeć na kapłana ognistobiałym spojrzeniem, aż cofnął się, instynktownie zakrywając oczy.

- Użyj kołatki – powiedziała Babcia, wskazując na duży żelazny pierścień wiszący luźno na jednym z rozszczepionych podwoi.

- CoI? Chcesz, bym pukał do bramy zamku wampirów?

- Czyśmy się zakradali? Poza tym, wy omianie jesteście dobrzy w pukaniu do drzwi.

- Cóż, owszem – przyznał Oats – jednak zazwyczaj tylko po to, by się wspólnie modlić i rozdać nasze broszury – opuścił kilka razy kołatkę. Uderzenia rozniosły się echem. – Nie po to, żeby prosić się o rozprucie gardła!

- Pomyśl o tym, jak o szczególnie niebezpiecznej dzielnicy – powiedziała Babcia. – Spróbuj jeszcze raz... może schowali się pod łóżkiem.

- Boki zrywać – mruknął Oats.

- Czy jesteś dobrym człowiekiem, młodzieńcze? – zapytała Babcia. – Bez swojej księgi, świętego amuletu i kapelusza?

- Eee... staram się być – zaryzykował.

- Dobrze... oto miejsce, w którym się tego dowiesz – powiedziała wiedźma. – W końcu dotarliśmy do celu, panie Oats. Oto miejsce, w którym oboje odnajdziemy siebie.

* * *

Niania biegła w górę schodów. Uciekała przed kilkoma wampirami, deptającymi jej po piętach. Mieli utrudnione zadanie, ponieważ wciąż jeszcze nie odzyskali zdolności latania. Poza tym działo się z nimi coś o wiele bardziej dziwnego.

- Herbaty! – wrzeszczał jeden. – Muszę dostać... herbaty!

Niania przebiegła przez drzwi wiodące na blanki. Wampiry skoczyły za nią. I w tym momencie stanęły oko w oko z ukrywającym się w cieniu Igorem dzierżącym dwie urwane nogi stołowe.

- Kofki lekko fcięte, czy zaostfone, chfopcy? – zapytał z podnieceniem. – Tfeba było folubić moje fajaki!

Niania opierała się o ścianę, łapiąc oddech.

- Babcia jest gdzieś tutaj – wysapała. – Nie pytaj mnie skąd wiem, ale ci dwaj błagali o filiżankę hebaty i sądzę, że tylko Esme mogła im tak namieszać w głowach...

Po dziedzińcu rozniosło się brzmienie kołatki. W tej samej chwili w innym końcu blank rozwarły się drzwi, z których wylało się pół tuzina wampirów.

- Postępują wyjątkowo głupio, prawda? – zapytała Niania. – Poczęstuj ich kilkoma kołkami.

- Nie mamy już kofków, Nianiu.
- W porządku. Zatem podaj mi butelkę święconej wody... Pośpiesz się...
- Nie zoftała ani jedna...
- Nie mamy już niczego?
- Mamy fomarańfę, Nianiu.
- Po co?
- Cytfyny się skończyły.
- Co nam przyjdzie z tego, jeśli wpakujemy wampirowi pomarańczę w zęby? – zapytała Niania wpatrując się w nadchodzące stwory.

Igor podrapał się po głowie – Cóf, myślę, że nie złafią łatwo pfezięfienia...

Pukanie ponownie rozniosło się echem po zamku. Kilka wampirów skrzyło szło przez dziedziniec.

Niania kątem oka pochwyciła migotanie światła wokół krawędzi drzwi. Instynkt przejął kontrolę. Kiedy wampiry zaczęły biec, złapała Igora i pociągnęła za sobą.

Łuk eksplodował. Wielkie kamienie i belki poleciały daleko rozniesione powiększającą się kulą płomieni. Wybuch ściał wampiry z nóg i uniósł wrzeszczące stwory w górę.

Kiedy jasność lekko przygasła, Niania ostrożnie wyjrzała na dziedziniec.

Ptak o rozmiarach zwykłego jastrzębia i skrzydłach z płomieni większych niż cały zamek unosił się nad zniszczonym wejściem.

* * *

Wielebny Oats dzwignął się na czworaka. Wokół huczały gorące płomienie, grząc niczym gwałtownie spalający się gaz. Jego skóra powinna już czernieć, jednak wbrew zdrowemu rozsądkowi płomienie wydawały się niewiele gorętsze od pustynnego wiatru. W powietrzu unosił się zapach kamfory i przypraw.

Uniósł wzrok. Płomienie otaczały Babcie Weatherwax. Były jednak dziwnie przejrzyste, jakby nie całkiem realne. Tu i ówdzie, na jej sukience, skrzyły się małe zielono-złote iskry a ogniste języki smagały ją raz za razem.

- Znalazłeś się w skrzydłach feniksa – powiedziała, wpatrując się w kapłana. – I nie spłonęłeś.

Trzepoczący skrzydłami ptak, wciąż żarzył się na jej przegubie.

- Jak to możliwe...

- To ty jesteś uczonym. Jak widać, samce zawsze gotowe są urządzić duże przedstawienie, prawda?

- Samce? To jest samiec feniksa?

- Tak!

Ptak wzbił się w powietrze... Olbrzymi płomienny, ptako-podobny kształt otaczał małego, prawdziwego ptaka, tak że przypominał płonąca kometę. *O ile to w ogóle prawdziwy ptak*, pomyślał kapłan. Feniks zapikował ku wieży. Rozległ się krótki, nagle urwany krzyk, sugerujący, że jakiś wampir okazał się niewystarczająco szybki.

- On się nie spala? – zapytał słabym głosem Oats.

- Nie powinniśmy o tym myśleć – powiedziała Babcia, stąpając przez gruzy. – Nie w tej chwili.

- W takim razie to musi być magiczny ogień...

- Powiadają, że to czy spłoniesz w ogniu feniksa, czy nie, tkwi w tobie – powiedziała wiedźma. – Widywałam je będąc dzieckiem. Moja babcia opowiadała mi o nich to i owo. W niektóre zimowe noce tańczą ponad Osia, płoną czerwienią i złotem..

- Och, ma pani na myśli *Aurorę Coriolis!* – powiedział Oats, próbując nadać swojemu głosowi ton stwierdzający niezaprzeczalny fakt. – W istocie rzeczy, zjawisko to spowodowane jest zderzającymi się ze sobą magicznymi cząsteczkami...

- Nie wiem, co jest tego powodem – przerwała ostro Babcia – ale, zjawisko to jest tańcem feniksa! – wyciągnęła rękę. – Powinieneś podać mi ramię.

- Na wypadek, gdybym się potknął? – zapytał Oats, wciąż wpatrując się w płonącego ptaka.

- Otóż to...

Kiedy wsparła się na jego ramieniu, rozległ się krzyk feniksa.

- I pomyśleć, że kiedyś uważałem go za alegoryczne stworzenie – powiedział kapłan.

- No, coż... Nawet alegorie muszą żyć – stwierdziła Babcia Weatherwax.

* * *

Wampiry nie współpracują ze sobą. Nie leży to w ich pierwotnej naturze. Inny wampir to konkurencja przy następnym posiłku. Idealnym miejscem dla wampira jest świat, w którym wszystkie pozostałe wampiry wyginęły i nikt na serio nie wierzy w ich istnienie. Stopień ich wzajemnej współpracy jest równy stopniowi wzajemnej współpracy rekinów. Wampiry są dokładnie takie same – a jedyną różnicą jest to, że rekiny nie znają się na magii.

Pozostałości klanu mknęły przez zamek, kierując się ku bramie, tylko dlatego, że była uchylona. Wiadro zawierające miksturę wód poświęconych przez Rycerzy Offlera, Wielkiego Kapłana Ślepego Io i pewnego świętego człowieka, który nie ścinał włosów i nie mył się przez siedemdziesiąt lat, chlusnęło na pierwszą przebiegającą dwójkę.

Nie było wśród nich nikogo z rodziny Hrabiego. Jako jedyni skierowali się ku bocznej wieży. Jakiż jest sens posiadania podwładnych, jeśli nie pozwalałoby się im pierwszym przechodzić przez podejrzenie wyglądające drzwi?

- Jak mogłeś... – jęknęła Lacrimosa, kiedy ojciec wymierzył jej soczysty policzek, by wyrwać ją z szoku.

- Jedyne czego potrzebujemy, to zachować spokój – powiedział Hrabia. – Nie ma powodów do paniki.

- Uderzyłeś mnie!

- W rzeczy samej, było to satysfakcjonujące – powiedział Hrabia. – Ostrożność nas uratuje. Tylko dzięki temu przeżyjemy.

- To nie działa! – narzekała Lacrimosa. – Jestem wampirem! Muszę czuć pragnienie krwi! A wszystko, czego teraz pragnę, to filiżanka herbaty z trzema kostkami cukru, czymkolwiek jest ten cukier, na demony! Ta starucha coś nam zrobiła! Czy to do ciebie nie dociera?

- To niemożliwe – powiedział Hrabia. – Może być groźna dla człowieka, ale nie wydaje mi się, by istniał jakikolwiek sposób, w który dostałaby się do naszych umysłów...

- Gadasz tak samo, jak ona! – wrzasnęła Lacrimosa.

- Bądź rozsądna, dziecko – próbował uspokoić ją Hrabia. – Pamiętasz?... To, co nas nie zabija sprawia, że jesteśmy silniejsi.

- A to, co nas zabija sprawi, że będziemy martwi! – warknęła Lacrimosa. – Widziałeś, co stało się z innymi? Nawet twoje palce się paliły!

- To tylko chwilowa utrata koncentracji – powiedział Hrabia. – Ta stara wiedźma nie jest zagrożeniem. Jest pożytecznym dla nas wampirem. Będzie inaczej postrzegą świat...

- Oszalałeś? Coś zabiło Cryptophera!

- Przestraszył się!

Reszta rodziny wpatrywała się w Hrabiego. Vlad i Lacrimosa wymienili znaczące spojrzenia.

- Wierzę w to z całej siły – mówił Hrabia, a jego twarzy przypominała pośmiertną maskę wykrzywioną w groteskowym uśmiechu. – Mój umysł jest niczym skała. Moje nerwy są twarde. Wampir, ani wampirzyca, oczywiście... nie mogą zostać pokonani dzięki swej inteligencji. Czy nie tego was uczyłem? Czy to wszystko już nic nie znaczy?

Sięgnął dłonią do kieszeni, wyciągając biały kartonik.

- Och, Ojcie nie wydaje mi się, byśmy mieli na to czas... – Lacrimosa zamilkła i zakryła twarz rękoma. – Schowaj to! Zabierz to ode mnie... Przecież to Agatejski Chlong Przeznaczenia!

- Dokładnie. Jednak to tylko trzy kreski i dwie krzywe ułożone w miły dla oka...

- Nigdy nie wiedziałabym, co to jest gdybyś mi tego nie uzmysłowił, stary głupcze! – wrzasnęła dziewczyna, cofając się.

Hrabia odwrócił się do syna.

- A ty... – zaczął, lecz Vlad odskoczył do tyłu, zakrywając oczy.

- To boli! – krzyknął.

- Moi najdrożsi, dwoje z was nie ćwiczyło i... – zaczął Hrabia, odwracając kartę ku sobie. Nagle wyrwał oczy i zakrył twarz.

- Co nam zrobiłeś? – wrzeszczała Lacrimosa. – Uczyłeś nas, jak postrzegać setki przeklętych, świętych rzeczy. Teraz są wszędzie. Każda religia ma inny! Tego nas nauczyłeś, idioto! Linie, krzyże i okręgi... Och, mój... – jęknęła, kiedy pochwyciła wzorkiem ścianę za plecami zdziwionego Vlada i zadrżała – Gdziekolwiek spojrzę, widzę coś świętego! Nauczyłeś nas postrzegać wzory! – warknęła, obnażając zęby ku ojcu.

- Niebawem nastanie świt – powiedziała nerwowo Hrabina. – Czy to będzie bolało?

- Nie będzie! Oczywiście, że nie będzie! – wykrzykiwał Hrabia Srokacz, kiedy pozostali z lękiem wpatrywali się w smużkę bladego światła wpadającego przez wysokie okno. – Uczyłem was, że to tylko reakcja psychochromatyczna! Przesąd! Wszystko tkwi w naszych umysłach!

- Co jeszcze tkwi w naszych umysłach, Ojcie? – zapytał beznamiętnie Vlad.

Hrabia pilnował wzrokiem Lacrimosy. Dziewczyna rozciągała palce i warczała.

- Zapytałem...

- W naszych umysłach nie ma niczego, czego sami tam nie umieściliśmy! – ryknął Hrabia. – Widziałem umysł tej starej wiedźmy i wiem, jaki jest słaby. Ona posługuje się oszustwami! Nigdy nie znalazłaby sposobu, żeby znaleźć wejście do naszych głów! Może wreszcie zajęlibyśmy się czymś innym – warknął, obnażając kły ku Lacrimosie.

Hrabina zamachała desperacko – Cóż, sądzę, że staliśmy się nadto nerwowi – powiedziała. – Myślę, że powinniśmy usiąść i wypić małą... filiżankę... smacznej... herbatki... eee... filiżankę...

- Jesteśmy wampirami! – wrzasnęła Lacrimosa!

- W takim razie postępujmy jak wampiry! – krzyknął Hrabia.

Agnes otworzyła oczy, wierzgnęła nogami tak gwałtownie, że człowiek z młotkiem i kołkiem stracił zainteresowanie wampirami i przytomność jednocześnie.

- Wsz... – Agnes wypluła zawartość ust. Tym razem były to figi. – Kiedy wreszcie dotrze do tych waszych pustych głów, że nie jestem wampirem? A to nie jest cyrtyna! To figa! I ten facet z młotkiem i kołkiem... Wydaje się nadgorliwy. Myślę, że jego zachowanie ma jakiś podtekst psychologiczny...

- Nie pozwoliłbym mu tego użyć – usłyszała nad uchem głos Piotra. – Jednak zachowywałaś się trochę dziwnie a potem nagle upadłaś i... Pomyśleliśmy, że na wszelki wypadek, jak już się obudzisz... Rozumiesz?

Wstała. Mizerne twarze mieszkańców Escrow migotały w świetle pochodni między drzewami.

- Wszystko w porządku! Wciąż nie jest jedną z nich – krzyknął Piotr. Nastąpiło ogólne odprężenie.

Naprawdę się zmieniłaś, odezwała się Perdita.

- Nie jesteś zarażona? – zapytała Agnes. Czowała się, jakby trzymała jeden koniec sznura, który ktoś uporczywie ciągnął z drugiej strony.

Nie. Przecież jestem częścią ciebie, która się tobą opiekuje. Zapomniałaś?

- Co? – odezwał się Piotr.

- Naprawdę wierzę, że nic mi nie będzie – powiedziała wiedźma. – Chociaż wciąż potykam się o własne nogi i czuję się nieswojo. Całe moje ciało czuje się nieswojo.

- Eee... dasz radę iść dalej? Do zamku? – dopytywał się zdezorientowany Piotr.

- Ona już tam jest – szepnęła Agnes. – Nie wiem w jaki sposób, ale... – urwała, wpatrując się w zaniepokojone twarze. Przez chwilę złapała się na myśleniu a'la Babcia Weatherwax.

- Taaak – powiedziała wolno. – Wydaje mi się... to znaczy jestem pewna, że powinniśmy udać się tam bezzwłocznie. Ludzie muszą zabić swoje wampiry.

* * *

Niania znowu przyśpieszyła.

- Mówiłam! – krzyknęła. – Oto Esme Weatherwax we własnej osobie! Mówiłam! Wiedziałam, że czeka tylko na właściwy moment. Hehe... chciałabym zobaczyć teraz minę tej pijawki, która ją ugryzła!

- A ja niekoniecznie – powiedział żarliwie Igor.

Niania minęła ukrytego w cieniu wampira, który nie zauważył w porę sprytnej pułapki składającej się z drutu, odważnika i kołka. Otworzyła drzwi na dziedziniec.

- Heeeej! Esmeeeee!

Babcia odepchnęła Oatsa i ruszyła naprzód.

- Z dzieckiem wszystko w porządku? – zapytała.

- Magrat i Esm... Znaczą się, mała Esme są zamknięte w krypcie. Są tam bardzo solidne drzwi – dodała Niania.

- Odfadek if filnuje – dodał Igor. – To cudofny fies ofronny.

Babcia uniosła brwi i zmierzyła sługę wzorkiem.

- Nie wydaje mi się żebym znała tego... dżentelmena – powiedziała wyniosłe.

- Och, to Igor – przedstawiła go Niania. – Człowiek z wielu kawałków.

- Nie da się nie zauważyć – mruknęła Babcia.

Niania rzuciła złowrogie spojrzenie wielebnemu Oatsowi. – Po co go tu przyprowadziłaś!? – zapytała ostro.

- Nie chce się ode mnie odczepić – wyjaśniła Babcia.

- Ja tam zawsze chowam się za kanapą – mruknęła Niania. Oats spuścił wzrok.

Gdzieś na blankach rozległ się wrzask. Feniks namierzył kolejnego wampira.

- Teraz on robi tu porządek – powiedziała Niania. – Swoją drogą nie wydawali się zbyt rozgarnięci.

- Hrabia wciąż tu jest – powiedziała stanowczo Babcia.

- Jestem za tym, żeby spalić to przekłete miejsce i wracać do domu – wyraziła swą opinię Niania.

- Nie możemy. Szybko znowu zjawi się w Lancre.

- Nadfodzi tfum – wtrącił Igor.

- Niczego nie słyszę – powiedziała Niania.

- Doftafem bafdzo dobfę ufy – wyjaśnił sługa.

- Ach, cóż... rzeczywiście. Jednak niektórzy z nas nie mieli wielkiego wyboru – powiedziała Niania.

Rozległ się tupot nóg maszerujących przez most. Nagle dziedziniec zaroił się ludźmi.

- Czy to nie Agnes? – zapytała Niania. W normalnych okolicznościach nie można było pomylić jej postaci z nikim innym, ale teraz było w niej coś innego. Sposób w jaki kroczyła... każda stopa opadała ciężko w dół, chociaż buty zdawały się nie pozostawać w bezpośrednim kontakcie z ziemią. I ręce! Ręce kołysały się bezwładnie po bokach...

- Nie mogę tego znieść! – krzyczała Agnes idąc ku Babci. – Nie mogę jasno myśleć! To twoja sprawka, prawda?

Babcią sięgnęła ku bliznom na jej szyi.

- Ach, rzeczywiście – powiedziała. – Jednen z nich cię ugryzł, prawda?

- Tak! A ty jakoś ze mną rozmawiałaś!

- Nie ja. To coś, co znajduje się w twojej krwi. Tak mi się bynajmniej wydaje... – powiedziała Babcia. – Co to za ludzie? Czemu ten człowiek próbuje podpalić ścianę? Nie wie, że kamienie nie płoną?

- Och, to Claude. Myślenie sprawia mu odrobinę trudności. Ostrzeżcie mnie, kiedy weźmie do ręki kołek, dobrze? A ci wszyscy to mieszkańcy Escrow, takiego miasteczka, całkiem niedaleko... Srokacze traktowali ich jak jakieś... hm... zwierzęta domowe. Jak zwierzęta hodowlane! Możemy zostawić im resztę i wracać do domu...

- Nie odejdziemy, dopóki nie skończymy z Hrabią – powiedziała zdecydowanie Babcia. – W przeciwnym wypadku znowu nas zaatakują...

- Eee... przepraszam – odezwał się kapłan, tonem sugerującym, że coś nie daje mu spokoju. – Przepraszam, ale ktoś wspomniał, że królowa jest ukryta w jakiejś krypcie, prawda?

- Jest bezpieczna jak we własnym domu – powiedziała z dumą Niania. – Krypta ma ogromne, grube drzwi, które można od wewnątrz zaryglować.

- Czy dom to bezpieczne miejsce? – zapytał Oats. – Można się w nim ukryć przed wampirami?

Głowa Babci odwróciła się gwałtownie.

- O co ci chodzi?

Kapłan cofnął się o krok.

- Ach, wiem w czym rzecz – powiedziała Niania. – To jasne, nie jesteśmy w ciemności! Magrat nie otworzy, dopóki nie będzie pewna, że to my...

- Chodziło mi raczej o to, w jaki sposób drzwi mogą powstrzymać wampira?

- Jak? No, przecież drzwi to drzwi, nie?

- Owszem... więc to nieprawda, że wampiry zmieniają się w coś w rodzaju mgły? – mówił Oats, płonąć od utkwionych w nim skupionych spojrzeń. – Wydawało mi się, że wampiry umieją takie sztuczki, rozumiecie? Wydawało mi się, że wie to każdy, kto słyszał cokolwiek o wampirach i...

Babcia przeniosła spojrzenie na Igora.

- Co o tym wiesz?

Igor kilkakrotnie otwierał i zamykał usta.

- Stafy Hfabia nigdy nie fobił takich rzefy – powiedział.

- Tak – przytaknęła Niania – ale on przestrzegał reguł.

Nagle, z zamkowych czeluści rozległo się niesione echem wycie i równie nagle się urwało.

- To Odfadek! – krzyknął Igor, rzucając się do biegu.

- Odfadek? – zapytała Agnes, marszcząc brwi. Niania złapała ją za rękę i pociągnęła za Igorem. Babcia zachwiała się i zaczęła rozglądać się rozbieganymi oczami. Oats zatoczył się teatralnie i rozciągnął się jak długi pośród kurzu.

Babcia zamrugała, potrząsnęła głową i spojrzała w dół.

- Ha! Za wiele, jak na ciebie, co? – powiedziała ochryple.

Drżące palce sięgnęły ku kapłanowi. Chwycił je ostrożnie i wstał.

- Gdyby tylko podała mi pani rękę... – powiedział, kiedy ciężar Babci opadł na jego ramię.

- Dobrze – powiedziała Babcia. – Teraz poszukajmy kuchni.

- Słucham? Czego potrzebujemy z kuchni?

- Po tej okropnej nocy wszystkim przyda się filiżanka pysznej herbaty – wyjaśniła Babcia.

* * *

Magrat oparła się o drzwi, które zagrzmiały pod kolejnym potężnym uderzeniem. Siedzący obok Odpadek zaczął warczeć. Warczenie zdawało się pobrzmiwać tuzinem różnych tonacji jednocześnie, co wynikało prawdopodobnie z jego złożonej struktury. A potem zrobiło się cicho, co w gruncie rzeczy było o wiele bardziej przerażające niż powtarzające się odgłosy uderzeń.

Gdzieś poniżej rozległ się nikły dźwięk. Przez dziurkę od klucza sączył się zielony dym. Był dziwnie mętny i podejrzanie oleisty...

Magrat przebiegła przez pomieszczenie łapiąc pierwszy lepszy słoik z półki. Wypełniony był cytrynami, które kierowany sportową uczciwością stary Hrabia rozmieścił po całym zamku. Szarpnęła wieczko i przystawiła słoik do dziurki od klucza. Kiedy wypełnił się dymem, dorzuciła doń kilka ząbków czosnku i zatrzasnęła wieko. Słoik kołysał się rozpaczliwie po podłodze. Uwagę wiedzmy przykuł dziwny zbiornik w rogu pomieszczenia przykryty klapą. Kiedy ją uniosła usłyszała szum wody dobiegający gdzieś daleko poniżej. *Cóż, pomyślała, w tych górach musi być wiele podziemnych rzek...*

Uniosła słoik nad środkiem dziury i puściła go w dół. Następnie zatrzasnęła klapę.

Z kąta dobiegło gaworzenie małej Esme. Magrat podbiegła do dziecka i potrząsnęła grzechotką.

- Popatrz jaki ładniutki króliczek – powiedziała szybko i ponownie rzuciła się do drzwi, zza których dobiegły odgłosy prowadzonych szeptem rozmów.

- Wszystko w porządku, kochaniutka. Dorwaliśmy ich. Teraz możesz otworzyć drzwi... Litości!

Magrat przewróciła oczami.

- To na pewno ty, Nianiu?

- Oczywiście, kochaniutka.

- Chwała bogom. Opowiedz tylko ten dowcip o staruszce, kapłanie i nosorożcu i już cię wpuszczam.

Nastąpiła chwila ciszy, przerywana szeptami.

- Nie wydaje mi się, że to odpowiedni moment, kochaniutka – powiedział głos.

- Hahaha, niezła próba! – powiedziała Magrat. – Wrzuciłam jednego z was do rzeki! Kto to był?

Po chwili milczenia usłyszała głos Hrabiego: - Myśleliśmy, że Hrabina zdoła cię jakoś przekonać i wszystko wytłumaczyć.

- Będąc w słoiku ma niewielkie pole do popisu – powiedziała królowa – a wiedzcie, że mam jeszcze kilka słoików, na wypadek, gdyby któreś z was chciało znowu spróbować.

- Żywiliśmy nadzieję, że okażesz rozsądek – powiedział Hrabia. – Jednakowoż...

Drzwi wyleciały z hukiem, wyrrywając rygle ze ścian.

Magrat złapała dziecko i cofnęła się, unosząc drugą rękę.

- Zbliź się do mnie, a wpakuje ci to prosto w serce! – wrzasnęła.

- To pluszowy miś – powiedział łagodnie Hrabia. – Przykro mi, ale to nie podziała, nawet gdybyś go naostrzyła...

* * *

Drzwi były twarde, niczym kamień. Dawno temu, ktoś poważnie rozważył możliwość pojawienia się naprawdę zdeterminowanego tłumu i to, do czego może być ów tłum zdolny. Teraz jednak drzwi zwisały bezładnie.

- Przecież słyszeliśmy, jak zakładała rygle! – zawodziła Niania.

Łaciata masa leżała pod drzwiami. Igor przyklęknął, unosząc bezwładną łapę.

- Zabili! Odfadka! Dfanie!

- Dorwali Magrat i dzidziusia! – wrzeszczała Niania.

- Fył moim jefynym pfyjacielem!

Ręka Niani wystrzeliła i mimo sporych gabarytów Igora, uniosła go za kołnierz.

- Jeszcze chwila i będziesz miał jednego poważnego wroga Igorze! Chyba, że pomożesz nam się wydostać i... O, niebiosa! – jej druga dłoń sięgnęła ku pończochom i wyszarpnęła dużą, pogniecioną chusteczkę. – Dobrze wydmuchaj!

Usłyszeli hałas przypominający wycie syren.

- Dokąd ich mogli zabrać? To miejsce roi się od żądnych sprawiedliwości wieśniaków... – zastanawiała się Niania, kiedy Igor skończył.

- Zawfe byf faki wesóf, z tym sfoim mefdającym ogonem i wilgofnym nofem... – szlochał Igor.

- Dokąd, Igorze!?

Igor wyciągnął palec, czy cokolwiek, co aktualnie pełniło tę rolę i wskazał odległe drzwi.

- Prowadzą do kfypty – powiedział. – Fotem pfez bfamę ku dolinom. Nigfdy if nie zfapiemy!

- Przecież są wciąż zaryglowane? – zauważyła Agnes.

- W fakim fazie ci gfufcy są wciąż w zamku... – przerwał. Pod dźwiękiem kilku potężnych akordów organowych zatrzęsła się podłoga.

- Jakiś ludowy grajek z Escrow? – zapytała Niania, nachylając się do Igora.

- Całkiem możliwe – powiedziała Agnes, kiedy kolejne akordy strząsnęły pył z sufitu. – Próbowali wbić we mnie kołek i ugotować mi głowę! A teraz pewnie któremuś strzeliło do głowy dać mały koncert!

Organy ponownie zagrały wyzywająco.

- Po co chcieliby tu zostać? – zapytała Niania. – Przez ten czas mogliby zaszyć się gdzieś daleko... Och...

- Babcia by nie uciekła – powiedziała Agnes.

- Rzeczywiście, Babcia lubi grać w otwarte karty – powiedziała Niania, szczerząc zęby. – A oni myślą tak, jak ona. Jakimś cudem sprawiła, że myślą na jej sposób...

- Ona też myśli, jak ona – dodała Agnes.

- Mam jednak nadzieję, że jest w tym bardziej doświadczona – powiedziała Niania. – Idziemy!

* * *

Lacrimosa szarpnęła dźwignię opisaną, jako „*Upiorna Twarz W Oknie*” i rozległa się kakofonia huków i grzmotów zmieszana z lekko metalicznym wrzaskiem.

- Dziękować bogom, Ojcze, że nie jesteśmy podobni do twojej strony rodziny – powiedziała. – Z drugiej strony, mogłoby być zabawne włączyć to urządzenie do jakiegoś zestawu tortur... Bo ten wrzask, był mało realistyczny, jak na mój gust.

- Zabawne – powiedział Vlad. – Mamy dziecko. Mamy królową. Dlaczego po prostu nie odejdziemy? Jest tyle innych zamków.

- To by oznaczało ucieczkę – powiedział Hrabia.

- I utrzymanie się przy życiu – zauważył Vlad, pocierając skronie.

- My nie uciekamy – upomniał go Hrabia. – I... uważaj!

Tłum stał niepewnie u wejścia. Tłumy bardzo szybko stają się niezdecydowane z powodu braku centralnego mózgu. W tym wypadku niezdecydowanie owo zostało spotęgowane widokiem Magrat i dziecka.

Vlad miał na czole dużego siniaka. Drewniana kaczka na kółkach może spowodować solidne obrażenia, jeśli w uderzenie włoży się odpowiednio dużo siły.

- Doskonale – powiedział Hrabia, wkładając małą Esme do kołyski. Magrat szarpała się, chcąc wyrwać się z uścisku jego drugiej reki, jednak trzymał jej przegub niczym imadło. – Widzicie? Bezwzględne posłuszeństwo. Zupełnie, jak w szachach. Złapiesz królową a wygrana jest kwestią czasu. I nie ma znaczenia, że stracisz kilka pionków.

- To bardzo paskudny sposób wyrażania się o Matce – powiedział Vlad.

- Jestem bardzo przywiązany do waszej matki – powiedział Hrabia. – W odpowiednim czasie znajdzie drogę powrotną. Mała podróż dobrze jej zrobi. Jakiś wędkarz znajdzie słoik a potem, wiecie to doskonale, matka wróci do nas najedzona i zdrowa... Ach... Nieoceniona pani Ogg!

- Nie próbuj mi pochlebiać – wrzasnęła Niania, torując sobie drogę poprzez tłum. – Przejadłam się już tym twoim wazelinarstwem, Panie Wazelinowaty! Teraz puście Magrat i dziecko, albo...

- Ach... jak szybko dotarliśmy do „albo” – westchnął Hrabia. – Mój warunek wygląda tak: opuście natychmiast zamek, a potem zobaczymy, co da się zrobić. Być może pozwolimy odejść Królowej. Jednak mała księżniczka... Czyż nie jest rozkoszna? Zostanie z nami, jako nasz gość. Rozjaśni to ponure miejsce...

- Wróci z nami do Lancre, ty gnido! – wrzasnęła Magrat. Kręciła się w uścisku Hrabiego, próbując wymierzyć mu cios. Agnes dostrzegła, jak twarz Królowej blednie, kiedy ręką wampira mocniej zacisnęła się na jej przegubie.

- To dość wulgarny język, jak na Królową – powiedział Hrabia. – a ja jestem wciąż wyjątkowo silny. Jednak przyznam wam rację, wszyscy wrócimy do Lancre. Będziemy niczym wielka szczęśliwa rodzina. Z przykrością stwierdzam, że to miejsce straciło swój urok. Och, niechże się pani nie obwinia, pani Ogg. Myślę, że inni powinni to zrobić...

Przerwał. Dźwięk, początkowo na krawędzi słyszalności, z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Był to nierytmiczny, metaliczny odgłos.

Tłum rozstąpił się. Babcia Weatherwax zbliżała się powoli.

- Czy znajdę gdzieś odrobinę śmietanki? – zapytała. – Nie? Czemu się nie dziwię?... Wkroiłam kilka plasterów cytryny, ale to nie to samo.

Odłożyła łyżeczkę na spodek z brzękiem, który odbił się echem wokół sali i posłała Hrabiemu promienny uśmiech.

- Nie spóźniłam się za bardzo? – zapytała.

* * *

Rygle cofały się, jeden za drugim.

- ...fego juf za fiele – mamrotał Igor. – Stafy Mistf by do fego nie dofuścił...

Drzwi zazgrzytały na metalowych, pokrytych rdzą zawiasach. Z ciemności owionęło go suche powietrze. Igor nerwowo przebierał w zapalkach aż zapalił pochodnię.

- ...nie ma nic z tego w dufim odfocznku, ale to pfećief hańba...

Pędził na wół murowanymi, na wół wydrażonymi w litej skale, mrocznymi korytarzami, aż dotarł do kolejnego pomieszczenia. Było zupełnie puste, jeśli nie liczyć wielkiego kamiennego sarkofagu w jego centrum, na którym wyrzeźbiono napis SROKACZ.

Sługa włożył pochodnię w uchwyt, zdjął płaszcz i ze sporym wysiłkiem odsunął kamienną płytę.

Szary kurz zamigotał w świetle pochodni.

- ...musiafem pfyjść... sfartaczyfem fszysko... – Igor podniósł płaszcz i wyciągnął z niego małe zawiniątko. Rozpakował je na krawędzi sarkofagu. Światło błysnęło odbite od szeregu skalpeli, nożyc i igieł.

- ...tefaz gfożą mafemu dziefku... ty, fanie nigfdy byś tak nie poftąpił... tylko zfariofane siedemnastoletnie niefiasty, którym do tfarzy w nocnej kofuli... zafsze to poftawafes...

Wybrał skalpel i z nabożeństwem naciął mały palec.

Pojawiła się kropelka krwi, wezbrała i opadła w zakurzoną ciemność. Po chwili uniosła się stamtąd smużka dymu.

- Jedna za Odfadka – powiedział Igor z ponurą satysfakcją w głosie.

Zanim dotarł do wyjścia, przez krawędź sarkofagu przelewała się biała mgła.

* * *

- Jestem staruszką – powiedziała Babcia Weatherwax, patrząc surowo dookoła. – Chętnie bym spoczęła... Dziękuję bardzo.

Ławka popędziła ku niej. Babcia usiadła i spojrzała na Hrabiego.

- O czym mówiłeś? – zapytała.

- Och, Esmeraldo – powiedział Hrabia. – W końcu do nas dołączyłaś. Zew krwi jest zbyt silny, by się mu oprzeć, nieprawdaż?

- Mam nadzieję – mruknęła Babcia.

- Odchodzimy stąd, panno Weatherwax. Wszyscy.

- Ty nigdzie nie pójdziesz – powiedziała stanowczo Babcia, ponownie mieszając herbatę. Oczy trojga wampirów podążyły za obracającą się łyżeczką.

- Nie masz innego wyboru. Musisz mnie posłuchać. Dobrze o tym wiesz – powiedział Hrabia.

- Och, zawsze jest jakiś wybór – powiedziała Babcia.

Vlad i Lacrimosa nachylili się ku ojcu. Rozległy się pośpieszne szepty.

- Nie. Nie mogłaś się temu oprzeć – powiedział Hrabia unosząc głowę. – Nawet ty!

- Nie zaprzeczę, że kosztowało mnie to sporo wysiłku – powiedziała Babcia, znowu mieszając herbatę.

Kolejne szepty.

- Mamy Królową i dziecko – powiedział wampir. – Sądzę, że bierzesz to pod uwagę? Babcia uniosła filiżankę i zatrzymała ją wół drogi do ust.

- Zabij ich – powiedziała. – Nie przyniesie ci to żadnych korzyści.

- Esme! – wrzasnęły jednocześnie Niania Ogg i Magrat.

Babcia odstawiała filiżankę na spodek. Agnes wydawało się, że Vlad wydał z siebie ciche westchnięcie. Wiedziała, że powstrzymuje się z trudem...

Wiem, co im zrobiła, szepnęła Perdita. Ja również, pomyślała Agnes.

- On blefuje – powiedziała Babcia.

- Tak? Jak by ci się podobało, gdyby twoja królowa była wampirem, co? – odezwała się Lacrimosa.

- Mieliśmy jedną taką – powiedziała konwersacyjnym tonem Babcia. – Biedna kobieta. Ugryzł ją któryś z twoich ziomeków. Żywiła się świeżymi stekami i takimi różnymi... O ile wiem, nigdy nikogo nie ugryzła. Nazywała się bodajże, Griminira Palownicza.

- Palownicza?

- Och, co prawda nie była pijawką, ale nie powiem, żeby była miłą osobą – mówiła dalej Babcia. – Nie wzbraniała się przelewać krwi, ale co do jej picia... Coż, trzymała się narzuconych sobie zasad. Nie chciała to nie piła, ot co.

- Nie wiesz niczego o prawdziwych wampirach!

- Wiem więcej, niż wam się wydaje i wiem o Gythcie Ogg – dodała. Niania Ogg zamrugowała.

Babcia Weatherwax podniosła filiżankę i ponownie ją opuściła. – Gytha lubi pić. Najbardziej przepada za dobrą brandy... – Niania skinęła twierdząco. - ...ale nie odmówi zwykłego piwa, kiedy nie ma zaniejszego trunku. – Niania Ogg wzruszyła ramionami, kiedy Babcia Weatherwax kontynuowała. – Jednak tobie nie wystarczy w zamian kaszanka, bo tym, czego naprawdę pragniesz, jest władza. Władza nad ludźmi. Wiem, że jej pożądasz, bo znam siebie. I wiem jeszcze coś: nigdy nie skrzywdzisz tego dziecka – zamieszala z roztargnieniem herbatę. – Nie spadłby jej włos z główki, gdyby oczywiście miała włosy. Po prostu, nie możesz.

Podniosła filiżankę i ostrożnie potarła ją o krawędź spodka. Agnes dostrzegła, że wargi Lacrimosy rozchylają się w pożądaniu.

- Naprawdę jestem tu tylko po to, by zobaczyć, czy wymierzona zostanie sprawiedliwość czy też okażą ci litość – powiedziała Babcia. – To tylko kwestia wyboru.

- Naprawdę myślisz, że nie skrzywdzilibyśmy mięsa!? – powiedziała Lacrimosa, ruszając naprzód wielkimi krokami. Sięgnęła stanowczo ku dziecku i nagle cofnęła rękę, jak oparzona.

- Nie możesz tego zrobić – powiedziała Babcia.

- Prawie złamałam rękę!

- Okropne – powiedziała spokojnie wiedźma.

- Ty rzuciłaś jakiś... coś magicznego na dziecko, prawda? – powiedział Hrabia.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym zrobić coś takiego? – powiedziała Babcia. Z tyłu

Niania Ogg spuściła wzrok. – Oto moja oferta. Oddasz nam Magrat i dziecko, a my odrąbiemy ci głowę.

- I to właśnie nazywasz sprawiedliwością? – syknął Hrabia.

- Nie, właśnie to nazywam litością – powiedziała Babcia, odstawiając filiżankę na spodek.

- Do kroćset demonów, wypijże wreszcie tą herbatę, kobieto! – ryknął Hrabia.

Babcia wzięła łyżeczek i wykrzywiła twarz.

- Dlaczego miałabym ją wypić? Byłam tak zajęta omawianiem wszystkiego, że ostygła – powiedziała, przechylając filiżankę. Lacrimosa jęknęła.

- Spokojnie, ktoś to wytrze – mówiła dalej Babcia, beznamiętnym głosem. –

Tymczasem, jak widzisz nie możesz skrzywdzić dziecka i Magrat, czujesz wstręt do krwi a do tego nie możesz uciec, ponieważ nigdy nie uciekasz przed wyzwaniem...

- Jak on to zrobiła? – szepnął Vlad.

- Och, mury waszych umysłów są bardzo mocne – powiedziała sennie Babcia. – Nie mogłabym przez nie przejść.

Hrabia uśmiechnął się.

Babcia odpowiedziała mu uśmiechem. – Więc nie przeszłam – dodała.

Mgła ogarnęła całą kryptę, pokrywając jej podłogę, ściany i sufit. Płynęła w górę schodów i poprzez długi korytarz, prac naprzód niepowstrzymaną falą niczym armia, ruszająca na swą ostatnią bitwę.

Nieostrożny szczur nie zdażył czmychnąć i mgła przepłynęła przezeń. Rozległ się cichy, nagle urwany pisk. Gdy mgła popłynęła dalej, w miejscu gdzie poprzednio znajdował się gryzoń nie pozostało nic, poza kilkoma małymi kostkami.

Inne maleńkie kostki, jednak połączone i przykryte czarną szatą z kapturem, niosące maleńką kosę wyłoniły się z ciemności. Szkieletowe pazurki stukotały po kamieniach.

- Piiii? – zapytał patetycznie duch szczura.

- PIIII, odpowiedział Śmierć Szczurów. To wszystko, co trzeba było wiedzieć...

* * *

- Chciałeś wiedzieć, gdzie się ukryłam – mówiła Babcia. – Nigdzie nie odeszłam... Prawdę mówiąc, ukryłam część siebie w czymś żywym a ty miałeś to w sobie. Zaprosiłeś mnie do środka. Jestem w każdym mięśniu twego ciała. Oczywiście, jestem też w twoim umyśle. Ukryłam się we krwi, Hrabio. We krwi. I nie ja stałam się zawampirzona, ale wy zaweatherwaxowani... Wszyscy. Przecież zawsze słuchaliście zewu swojej krwi, prawda?

Hraba wpatrywał się w nią osłupiały.

Łyżka zsunęła się ze spodka i upadła z brzękiem na podłogę, wzbudzając falę w pokrywającej ją białej mgle. Opar spływał ze ścian, aż w miejscu gdzie znajdowały się wampiry pozostał jedynie mały czarno-biały krąg kaffli.

Igor przeciskał się przez tłum, aż dojrzał do Niani.

- Wszyfko w pofądku – powiedział. – Nie mógłbym pufcić im tego fłazem... To fańba!

Mgła uformowała się w słup bieli. Kilka chwil zbiło się w jedną a potem czas zaczął płynąć powoli, jakby coś cięło go na plasterki i za Vladem i Lacrimosą pojawiła się postać. Był wyższy od większości ludzi i nosił płaszcz wieczorowy, który kiedyś mógł być przejawem dobrego stylu. Jego włosy przetykane pasmami siwizny, były gładko zaczesane za uszy. Sprawiało to wrażenie, jakby jego głowa została zaprojektowana z myślą o większej wydajności aerodynamicznej.

Wypielegnowane dłonie opadły na ramiona młodszych wampirów. Lacrimosa wykrcęła się, chcąc go zadrapać, ale skuliła się, kiedy wydał z siebie tygrysi pomruk.

A potem twarz uformowała się w coś bardziej ludzkiego i wykrzywiła się w uśmiechu. Zdawał się być szczerze zadowolony, widząc zebranych.

- Witam – powiedział.

- Jeszcze jeden krwawy wampir? – szepnęła Niania.

- Nie jakif tam wampif! – powiedział Igor, przeskakując z nogi na nogę. – To ftary mistf! Stafy Kfistooki fowfóci!

Babcia wstała, ignorując wysoką postać stanowczo trzymającą dwa, potulne nagle, wampiry.

- Znam twoje umiejętności i słabości – powiedziała. – Wpuściłeś mnie do środka. Wygląda na to, że nie możesz zrobić czegoś, czego sama bym nie zrobiła. I myślisz dokładnie, jak ja z tą różnicą, że ja robiłam to dłużej, więc jestem od ciebie lepsza.

- Jesteś mięsem! – warknął Hrabia. – Sprytnym mięsem!

- Zaprosiłeś mnie do środka – mówiła Babcia. – Nie jestem z tych, co to idą tam, gdzie się ich nie prosi.

Trzymane przez Hrabiego dziecko zaczęło płakać. Wampir wstał.

- Jesteś taka pewna, że nie skrzywdzę tego dziecka? – zapytał.

- Ja bym tego nie zrobiła, więc i ty nie możesz.

Twarz Hrabiego krzywiła się od walki z uczuciami i kopniaków Magrat wymierzanych w jego golenie.

- To mogło się udać... – zaczął i po raz pierwszy jego głos zabrzmiał, jakby utracił całą pewność siebie.

- Wciąż myślisz, że mogło wam się udać? – krzyknęła Agnes.

- Jesteśmy wampirami. To nie nasza wina, że nimi jesteśmy.

- Tylko zwierzęta nie są winne tego, że nimi są – powiedziała Babcia. – Czy teraz oddasz mi dziecko?

- O ile... – zaczął Hrabia, lecz nagle wyprostował się – Nie! Nie muszę się targować – oznajmił hardym znowu głosem. – Mogę cię pokonać swoją własną bronią! Sądziś, że jeśli teraz opuszczę to miejsce, ktokolwiek ośmieli się mnie zatrzymać? Popatrzcie na siebie... wy wszyscy... i przyjrzyjcie się mnie! I jemu – powiedział wskazując głową na wielką postać, trzymającą Vlada i Lacrimosę, spokojnych niczym posągi. – Wolicie jego?

- Przepraszam... z kim mamy przyjemność? – zapytała Babcia. – Och... *Stafy Mistf* Igora? Stary Hrabia Srokacz, o ile się nie mylę?

Stary Hrabia skinął głową – Sługa uniżony, *madame* – powiedział szarmancko.

- Nie wydaje mi się – prychnęła Babcia.

- Ehem... nikt nie ma nic przeciwko niemu – powiedział Piotr, wychodząc na czoło tłumowi. – Zwykle pojawiał się raz na kilka lat i, o ile ktoś nie zapomniał o czosnku, nie było problemu. Nie oczekiwał od nas, byśmy go lubili.

Stary Hrabia uśmiechnął się do niego.

- Wyglądasz znajomo – powiedział. – Jesteś spokrewniony z rodziną Ravi, prawda?

- Piotr, proszę pana. Syn Hansa.

- Ach, rzeczywiście. Bardzo podobna struktura kości. Pozdrów ode mnie swoją babcie.

- Odeszła dziesięć lat temu, proszę pana.

- Och, nie może być? Tak mi przykro. Czas pędzi nieubłaganie, kiedy jest się martwym – stary Hrabia westchnął. – Ślicznie wyglądała w nocnej koszuli... Taką ją zapamiętałem.

- On był w porządku – odezwał się kolejny głos z tłumy. – Od czasu do czasu kogoś ukąsił, ale jakoś sobie radziliśmy.

- Znajomy głos – powiedział wampir. – Nazywasz się Veyzen?

- Tak, psze pana.

- Spokrewniony z Arno Veyzenem?

- Toż to mój prapradziadek, psze pana!

- Wspaniały człowiek! Zabił mnie na śmierć jakieś siedemdziesiąt lat temu. Trafił kołkiem z dwudziestu metrów, dokładnie w samo serce! Powinieneś być z niego dumny!

Człowiek w tłumie pokraśniał, promieniując rodową dumą.

- Wciąż trzymamy kołek nade kominkiem, wasza miłościwość – powiedział.

- Wspaniale. Zacny z ciebie człowiek. Lubie, kiedy ktoś pielęgnuje stare zwyczaje.

Hrabia Srokacz wrzasnął.

- Jakim cudem możecie woleć GO ode mnie! Przecież to POTWÓR!

- Jednak niczego nigdy nie organizował – krzyknęła, jeszcze głośniejsze, Agnes. – Założę się, że na myśl mu nie przyszło, by wszystko usystematyzować!

Hrabia Srokacz dotarł ze swoimi zakładnikami do drzwi.

- Nie! – wrzeszczał. – To się nie dzieje! Jeśli ktoś naprawdę uważa, że nie skrzywdzę moich uroczych zakładników, może spróbuje mnie zatrzymać? Czy ktokolwiek wierzy tej starusze!?

Niania Ogg otworzyła usta, jednak zamilkła, kiedy dostrzegła wyraz twarzy Babci. Tłum rostał się przed Hrabią, kiedy ciągnął Magrat do wyjścia.

Wprost na Wielebnego Oatsa.

- Czy myślałeś kiedyś, by wpuścić Oma do swego życia? – zapytał kapłan. Jego głos drżał a twarz zlaną miał potem.

- Och... znowu ty? – zachnął się Hrabia. – Jeśli zdołałem się oprzeć jej, młodzieńcze, to i ty nie sprawisz mi kłopotu!

Oats trzymał topór przed sobą, jak gdyby był zrobiony z rzadkiego i delikatnego kruszca.

- Odejdź, śmierdzący demonie... – zaczął.

- Och, bogowie! – powiedział Hrabia, odpychając topór na bok. – Niczego się nie nauczyłeś? Mały, głupi człowieczek i jego mała głupia wiara w małego głupiego boga!

- Jednak dzięki temu... widzę rzeczy takimi, jakimi są naprawdę – powiedział Oats, opanowując zdenerwowanie.

- Naprawdę? I wydaje ci się, że możesz mi stawać na drodze? Topór nie jest nawet świętym symbolem!

- Och – powiedział Oats, zbity z tropu. Agnes ujrzała, jak opuszcza zrezygnowany opuszcza ostrze.

A potem uniósł głowę i uśmiechnął się promiennie.

- Więc zrobimy to inaczej...

Ostrze zakreśliło srebrzystą smugę w powietrzu. Rozległ się cichy, niemal jedwabisty dźwięk. Topór upadł na szachownicę kafli. W nagłej ciszy zabrzmiało to, niczym dźwięk dzwonu. Oats wziął dziecko z rąk nie stawiającego oporu wampira i podał je Magrat.

Pierwszym dźwiękiem, który przerwał wstrząsającą ciszę był szelest babcinej sukni. Wiedźma wstała, podeszła do topora i trąciła go nogą.

- Prawdopodobnie się nie myliłam – powiedziała, dając wszystkim do zrozumienia, że było to jedynie teoretyczną możliwością. – Nie wiedział kiedy odejść i blefował, mając słabe karty.

Jej głos odbił się echem po sali. Wcześniej nikt nie śmiał głośno odetchnąć.

Nachyliła się ku Hrabiemu, który wolno podnosił dłonie ku czerwonej bliźnie ciągnącej się dookoła jego szyi.

- To ostry topór – powiedziała. – I kto tu twierdził, że nie istnieje litość? Najważniejsze, byś opanował się przed ruszaniem głową. Może ktoś zabierze cię do jakiejś miłej chłodnej trumny. Uważam, że te pięćdziesiąt lat przeleci, jak z bicza strzelił i być może nabierzesz rozsądku na tyle, by pozostawać głupim.

Pomruk tłumu oznajmił ich powrót do życia. Babcia potrząsnęła głową.

- Widzę jednak, że wołam cię jeszcze bardziej martwego niż teraz – mówiła, kiedy Hrabia wpatrywał się przed siebie zrozpaczonym wzrokiem, jak zamrożony. Krew ciekła i spływała między jego palcami.

- Istnieje na to rada. Owszem, możemy cię spalić i rozrzucić prochy w morzu...

Tłum przyjął to z głośnym westchnieniem aprobaty.

- ...i to pośród największej nawałnicy...

Rozległy się oklaski.

- ...albo wynająć jakiegoś marynarza, który wyrzucił by je poza krawędź – Tłum zaczął gwizdać. – Jak sądzę, wróciłbyś pewnego dnia, jednak latanie w przestrzeni przez miliony lat... To brzmi nieciekawie – uniosła rękę, uciszając tłum.

- Nie. Pięćdziesiąt lat na przemyślenie kilku spraw brzmi rozsądnie. Ludzie potrzebują wampirów – powiedziała. – Dzięki nim pamiętają, do czego służą kolki i czosnek.

Wskazała ręką na tłum – Wy dwaj, zabierzcie go do krypty. Okażcie szacunek zmarłemu...

- To nie wystarczy! – zaproponował występując naprzód Piotr. – Nie po tym wszystkim, co nam...

- W takim razie zajmiecie się nim po swojemu, kiedy wróci! – wrzasnęła donośnie Babcia. – Uczcie swoje dzieci! Nie ufajcie ludożercom tylko dlatego, że używają noża i widelca! I zapamiętajcie, wampiry nie przychodzą nieproszone!

Cofnęli się. Babcia uspokoiła się odrobinę.

- Tym razem ON należy do mnie. To mój... wybór – dodała, nachylając się do okropnie wykrzywionej twarzy Hrabiego. – Próbowałeś odebrać mi mój umysł – powiedziała ściszym głosem. – Oto, co mogę ci dać! Zastanów się na tym i wyciągnij wnioski – cofnęła się. – Zabierzcie go!

Odwróciła się do wysokiej postaci – Cóż... więc to ty jesteś Starym Mistrzem? – zapytała.

- Alison Weatherwax? – zapytał Stary Hrabia. – Mam doskonałą pamięć do szyi.

Babcia zamarła na sekundę.

- Co? Nie! Eee... skąd znasz to imię?

- Cóż, nasze ścieżki przecięły się jakieś pięćdziesiąt lat temu. To było krótkie spotkanie... Potem odcięła mi głowę i wbiła kołek w serce – Hrabia westchnął z rozmarzeniem. – Bardzo zacięta kobieta. Ośmielę się zapytać... jesteś jej krewną? Niestety, powoli tracę rachubę pokoleń.

- Wnuczką – powiedziała z wahaniem Babcia.

- Igor poinformował mnie, że mamy tu feniksa...

- Sądzę, że niebawem odleci.

Hrabia skinął głową – Poniekąd je lubię – powiedział z nostalgią. – Kiedy byłem młody, widywało się je częściej. Ich blask sprawiał, że noce były takie... piękne. Cudowne. Wtedy wszystko było prostsze... – mówił coraz ciszej. A potem z dodał głośno – Jednak teraz, jak widzę, żyjemy w nowoczesnym świecie.

- Cały czas o tym gadają – przyznała Babcia.

- Cóż, *madame*, nigdy nie zwracałem na to uwagi. Pięćdziesiąt lat później nie sprawiają już wrażenia takich nowoczesnych – powiedział, potrząsając młodymi wampirami, jak lalkami. – Przepraszam za zachowanie mojego siostrzeńca. Tak bywa, kiedy młodzież pozbawiona jest autorytetu. Czy mieszkańcy Escrow mają życzenie zabić tych dwoje? Wiem, że to niewielka rekompensata, ale mogę zrobić chociaż tyle...

- Czy to przypadkiem nie twój krewnik? – zapytała Niania Ogg, gdy tłum ruszył naprzód.

- Och, tak. Jednak nigdy nie przykładaliśmy zbytnej wagi do ogrywania szczęśliwych rodzin.

Vlad błagalnie spojrział na Agnes i wyciągnął do niej rękę.

- Pozwolisz, by mnie zabili? Nigdy nie dałbym cię skrzywdzić! Moglibyśmy mieć... moglibyśmy... mogłabyś...

Tłum zawahała się. Zabrzmiało to, jak ważna prośba. Sto par oczu wpatrywało się w Agnes.

Podala mu dłoń. *Wydaje mi się, że zrobilibyśmy z niego ludzi*, powiedziała Perdita. Jednak Agnes wciąż widziała Escrow i ustawiające się w kolejkach dzieci, kiedy wampiry spokojnie czekały, jak zwierzęta na ofiary, wchodzące w biały dzień w ich matecznik.

- Vlad – powiedziała czule, wpatrując się mu w oczy. – Wydaje mi się, że mogłabym potrzymać ich płaszcz.

- Rozumiem cię, moja droga – usłyszała za sobą głos Babci – jednak nie będzie takiej potrzeby. Zabierz ich, Hrabio. Naucz starych obyczajów. Naucz ich, jak być głupimi.

Hrabia skinął głową i wyszczerzył zęby.

- Oczywiście. Nauczę ich, że aby żyć trzeba powstać z martwych...

- Hehe... Nie Hrabia, wampiry nie żyją. Feniksy powstają żywe z popiołów, ale nie wampiry... Teraz zabierz ich ze sobą!

Czas po raz kolejny zwolnił a potem z miejsca, gdzie stały trzy wampiry uniosło się z wrzaskiem stado srok i odleciało, ginąc w ciemnościach wysokiego stropu.

- Są ich setki! – szepnęła Agnes do Niani.

- Cóż, wampiry umieją tego typu sztuczki – powiedziała Niania. – Wie to każdy, kto słyszał cokolwiek o wampirach.

- Co może oznaczać te trzysta srok?

- Nic, ponad to, że czas przykryć meble – powiedziała Niania. – I wypić solidnego drinka.

Tłum zaczął się rozchodzić, świadom że przedstawienie dobiegło końca.

- Dlaczego zwyczajnie nie zmiotła ich z powierzchni ziemi? – biadolił Piotr. – Śmierć to dla nich za mało!

- Tak – przyznała Agnes. – Sądzę, że właśnie dlatego pozwoliła im odejść.

Oats ani drgnął. Wciąż wpatrywał się przed siebie z drżącymi rękoma. Agnes zaprowadziła go do ławki i pomogła usiąść.

- Zabiła go, prawda? – wyszeptał.

- Coś w tym rodzaju – powiedziała Agnes. – Ciężko myśleć tymi kategoriami w wypadku wampirów.

- Po prostu nie mogłem zrobić nic innego! Wszystko stało się tak nagle... powietrze zaczęło migotać i miałem tylko ten jeden moment, żeby coś zrobić...

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś narzekał – uspokajała go Agnes. *Musisz przyznać, że jest całkiem atrakcyjny*, szepnęła Perdita. *Gdyby tak jeszcze zrobił coś z tym katarem...*

Magrat usiadła po drugiej stronie kapłana. Wzięła kilka głębokich oddechów.

- Postąpiłeś bardzo odważnie – powiedziała.

- Nie, wcale nie – powiedział ochryple Oats. – Myślałem, że pani Weatherwax coś zrobi...

- Zrobiła – powiedziała Magrat drżącym głosem. – Och, zrobiła...

Babcia Weatherwax usiadła na końcu ławki i potarła czubek nosa.

- Teraz chciałabym jedynie wrócić do domu – powiedziała. – Wrócić do domu i pospać jakiś tydzień – dodała, ziewając. – Umarłabym... za filiżankę herbaty.

- Wydawało mi się, że przed chwilą piłaś herbatę! – zachnęła się Agnes. – Wszysy się śliniliśmy na jej widok!

- Gdzie tutaj znalazłabym herbatę? To było zwykłe błoto. Wiem jednak, że Niania zawsze ma przy sobie trochę herbaty – powiedziała, ponownie ziewając. – Przygotuj herbatę, Magrat.

Agnes otworzyła usta, jednak Magrat uciszyła ją machnięciem a potem podała jej dziecko.

- Oczywiście, Babciu – powiedziała, delikatnie przytrzymując wstającą Agnes. – Spytam tylko Igora, gdzie trzyma czajnik, dobrze?

* * *

Wielebny Oats spacerował na blankach. Słońce świeciło jasno a od lasu Uberwaldu powietrze niesło świeżą bryzę. Z kilku okolicznych drzew dobiegało szczebiotanie srok.

Babcia spoglądała ku otaczającej zamek, rzędnej mgłę, opierając się rękoma o mur.

- Zapowiada się piękny dzień – powiedział wesoło Oats. Ku swemu zdumieniu, czuł się szczęśliwy. Powietrze wydawało mu się dziwnie rześkie a nadchodząca przyszłość wypełniona była po brzegi możliwościami. Wciąż pamiętał tą chwilę, kiedy ciął toporem. Kiedy *obaj* uderzyli. Być może znalazł się wreszcie na właściwej drodze?...

- Od Osi nadciąga burza – oświadczyła oschle Babcia.

- Cóż... deszcz przynajmniej przyda się zbiorom – powiedział Oats.

Coś błysnęło ponad nimi. W świetle dnia trudno było dostrzec skrzydła feniksa – powietrze migotało żółtawo a w centrum znajdował się mały jastrząb.

- Jak można chcieć zabić coś tak cudownego? – powiedział Oats.

- Och, niektórzy ludzie zabijają dla rozrywki.

- To prawdziwe stworzenie czy coś, co istnieje tylko...

- To coś, co *istnieje* – przerwała mu ostro Babcia. – Chyba nie zaczniesz znowu rozwodzić się na tych twoich alegoriach?

- Cóż, czuję się... błogosławiony, mogąc to ujrzeć.

- Naprawdę? To przyjemne uczucie, zwłaszcza o tak wczesnej porze – powiedziała Babcia. – Zwłaszcza w moim wieku – westchnęła. – Ona nigdy nie stałaby się zła – mówiła dalej, jakby do siebie. – Nieważne, co mówili ludzi. Trzeba być gotowym, by stawić czoło własnemu wampirowi a ona nigdy nie stała się zła. Słyszałeś, co powiedział? Powiedział to, chociaż nie musiał.

- Eee... rzeczywiście.

- Do tego była starsza ode mnie. Babcia Alison była cholernie dobrą wiedźmą. Ostrą niczym nóż. Miała kilka zabawnych nawyków, jednak któż ich nie ma?

- Każdy, kogo znam.

- Właśnie. Masz rację – Babcia wyprostowała się. – Doskonale – powiedziała.

- Eee...

- Słucham?

Oats spoglądał w dół na zwodzony most i drogę do zamku.

- Widzę człowieka w ubłoconej koszuli nocnej, wymachującego mieczem – powiedział. – A za nim mnóstwo ludzi z Lancre i jakies... niebieskie skrzaty... – przez chwilę kontemplował tą scenę w milczeniu, po czym dodał. – Bynajmniej te ślady na koszuli wyglądają, jak błoto...

- To pewnie Król – powiedziała Babcia. – Sądząc po odgłosach, Wielka Aggie dała mu trochę swojej owsianki. Zatem nadciąga ratunek.

- Eee... potrzebny nam ratunek?

- Och, przecież to Król. Przynajmniej uratuje ten dzień, zanim stanie się obrzydliwie przyjemny. Trzeba pozwolić władcom coś robić. Swoją drogą, nie jestem pewna, czy po specjale Aggie będzie wiedział, jaki mamy dzień. Lepiej tam chodźmy.

- Czuję, że powinienem podziękować – odezwał się Oats, kiedy dotarli do krętych schodów.

- Chodzi ci o to, że pomogłam ci przejść przez góry?

- Świat jest... inny – spojrzenie kapłana powędrowało ku zamglonym lasom i purpurowym górą. – Wszędzie, gdzie tylko spoglądam, widzę coś świętego.

Po raz pierwszy odkąd ją spotkał dostrzegł porządny uśmiech Babci Weatherwax. Zazwyczaj jej usta wykrzywiały się zaraz przed czymś nieprzyjemnym, co spotykało kogoś, kto sobie na to, oczywiście, zasłużył. Tym razem jednak jej mina sugerowała, że to co usłyszało sprawiło jej przyjemność.

- To dobry początek – powiedziała.

* * *

Powóz Srokaczy został naprawiony i sprowadzony do zamku. Jason Ogg powoził na koźle, całą uwagę poświęcając unikaniu wybojów. Koleiny sprawiały, że sińce nie dawały o sobie zapomnieć. Poza tym w środku znajdowała się rodzina królewska a w tej chwili czuł się wobec nich wyjątkowo lojalny.

Jason Ogg był bardzo duży i bardzo silny i – co normalne – nie był gwałtownym człowiekiem. Nie musiał nim być. Czasami bywał wzywany do większych bójek w

gospodzie, jednak wszystko, co musiał robić to trzymać adwersarzy, dopóty nie przestali się szarpać. Jeśli to nie skutkowało, uderzał rywali jednego o drugiego, w sposób możliwie najprzyjaźniejszy.

Agresja nie robiła na nim większego wrażenia. Jednak po wczorajszej bitwie o Zamek, kiedy musiał powstrzymać Verenca przed masakrowaniem wrogów, przyjaciół, mebli, ścian i jego własnych nóg, zaczął postrzegać władcę w nowym świetle. Sama bitwa okazała się niezmiernie krótka. Najemnicy nie pragnęli niczego, poza poddaniem się, zwłaszcza po akcji Shawna. Prawdziwa walka polegała na utrzymaniu Verenca od nich wystarczająco długo, by mogli o tym powiedzieć.

To wywarło wrażenie nawet na Jasonie.

Wewnątrz powozu Król Verence złożył głowę na kolanach żony, która przecierała jego czoło chusteczką...

W pewnej odległości od powozu od powozu jechał wóz drabiniasty, zawierający wiedźmy, chociaż zdawać się mogło, że jego główną zawartość stanowiło chrapanie.

Chrapanie Babci Weatherwax cechowało się pewną pierwotną dzikością, bowiem nigdy nie zostało poskromione. Nikt, kto kiedykolwiek znalazł się w polu jego rażenia nie był w stanie powstrzymać się przed próbami uciszenia tego kopnięciami, szturchaniem w plecy, czy nawet przed użyciem poduszki. Chrapanie to było doskonalone przez lata samotnego sypiania, zawierało w sobie doskonale *chrrr... wrrr...* i kilka znaczących *ehem, ehem...* wydawanych pod wpływem dźwięków, szturchnięć i sporadycznych prób morderstwa. Wszystko to przerywały chrapanie, aczkolwiek cisza nie trwała długo...

Babcia leżała z otwartymi ustami zakopana w słomie. I chrapała.

- Nie zastanawiasz się przypadkiem, czym możnaby odpiłować dyszel? – zapytała powożąca Niania. – Kiedy milczymy, słyhać ją lepiej.

- Trochę się martwię o pana Oatsa – powiedziała Agnes. – Siedzi sam i wciąż się uśmiecha.

Kapłan siedział z nogami przewieszonymi przez tył wozu, wpatrując się z błogim wyrazem twarzy w niebo.

- Walnął się w głowę? – zapytała Niania.

- Nie sędzę.

- Więc go zostaw. Przynajmniej nie podkłada pod coś ognia... Och, a oto stary przyjaciel...

Igor z wywieszonym językiem, stawiał ostatnie znaki na nowej tablicy – „*Czymu nie miałbyś odwiedzić naszego Sklepu Z Pamniontkami?*”. Kiedy wóz się zbliżył, wstał i skinął głową.

- Stafy Mistf obudzif się z nofymi pomysfami, kótfę fpadfy mu do głófy, gdy byf martwy – oznajmił, czując, że należy się jakieś wytłumaczenie. – Dzifaj mam zacząć budofać wesofe miastefko... cokolwiek by to nie byfo...

- To głównie huśtawki – poinformowała go Niania.

Igor rozpozgodził się – Och, mam mnóstfo liny a poza fym zafwsze byfem sfecjalistą od fubienic – powiedział.

- Nie to nie tak... – zaczęła Agnes, ale Niania przerwała jej szybko.

- Myślę, że wszystko zależy od tego, kto będzie się bawił – powiedziała. – Cóż, uważaj na siebie Igorze. Nie rób niczego, czego sama bym nie zrobiła... O ile w ogóle jest coś, czego nie robiłam.

- Bardzo nam przykro z powodu Odpadka – dodała Agnes. – Może poszukamy jakiegoś szczeniaka albo...

- Fiękuje, ale Odfadek byf jedyny w sfoim rodzaju.

Machał im dopóki nie zniknęły za kolejnym zakrętem.

Kiedy Agnes odwróciła się ujrzała trzy sroki. Siedziały na gałęzi ponad drogą.

- „*Trójka, znaczy pogrzeb...*” – zaczęła.
Kamień popędził ku górze. Rozległ się oburzony świergot i opadł na nich deszcz piór.
- „*Dwie to jest zabawa...*” – powiedziała zadowolona z siebie Niania.
- Nianiu, oszukujesz!
- Wiedzmy zawsze oszukują – powiedziała Niania Ogg. Obejrzała się na śpiącą postać. – Wie to każdy, kto słyszał cokolwiek o wiedźmach.
Jechali do domu. Do Lancre.

* * *

Znowu padało. Namiot Wielebnego Oatsa przeciekał. Akordeon kapłana przesiąkł zupełnie i wydawał teraz dźwięki przypominające skrzeczenie zgniatanej żaby. Poza tym śpiewniki niepokojąco pachniały kotem. Na wszelki wypadek postanowił je zostawić i zabrał się do nielada zadania polegającego na rozmontowaniu polowego łóżka. Kosztowało go to dwa stłuczone palce i zgnieciony kciuk. Tak czy owak, kiedy je złożył wyglądało jakby zostało zaprojektowane dla człowieka o kształtach banana.

Oats złapał się na tym, że próbuje unikać myślenia. Poza tym był szczęśliwy. W codziennych zwyczajnych czynnościach kryła się jakaś dziwna radość. Być może to była właściwa droga...

Z zewnątrz dobiegły odgłosy stukania i stłumionych rozmów. Wyjrzał z namiotu.

Ludzie zbierali się na polu. Kilku niosło deski, inni popychali beczki. Wpatrywał się z otwartymi ustami, kiedy ustawiali prowizoryczne ławki, które z wolna zaczęły się wypełniać. Niektórzy nosili na twarzach opatrunki.

Następnie usłyszał stukot kół i dostrzegł kołyszący się na boki królewski powóz, wyjeżdżający przez bramę. To go przywołało do rzeczywistości. Popędził do namiotu, przerzucając wilgotne ubrania w poszukiwaniu czystej koszuli. Kapelusza nie znalazł a cały płaszcz oblepiony był błotem. Skóra butów popękała zupełnie a klamry zmatowiały na kwaśnych bagnach. Mimo to musiał znaleźć czystą koszulę...

Ktoś próbował zapukać o wilgotne płótno namiotu i pół sekundy później, nie czekając na zaproszenie gość wkroczył do środka.

- Jesteś gotowy? – zapytała Niania Ogg, mierząc go wzrokiem. – Czekamy na zewnątrz. Można powiedzieć, że zagubione barany czekają, aż je ktoś znajdzie i tak dalej... – dodała w sposób sugerujący, że mimo wszystko potępia całe to zamieszanie.

Oats odwrócił się.

- Wiem, że pani za mną nie przepada, pani Ogg...

- A niby dlaczego miałabym cię lubić? – powiedziała Niania. – Za to, że przylepiłeś się do Esme i musiała ci pomagać w górach?

Riposta wrzaskiem domagała się wypuszczenia na wolność, ale wtedy dostrzegł w oczach Niani nikły przejaw zrozumienia. Zakaszłał, tłumiąc cisnące się na usta słowa.

- Eee... racja. – powiedział. – Rzeczywiście. Ależ ze mnie dureń, prawda? Eee... sporo tam ludzi, prawda?

- Och, będzie ze stu albo i ze stu pięćdziesięciu.

Odpowiednie bodźce, przemknęło przez myśli Oatsa wraz z wizją portretów w salonie Niani. *Potrafi znaleźć odpowiednie bodźce dla wielu ludzi. Jednak mogę się założyć, że najpierw kto inny musiał pociągnąć za sznurki.*

- Czego ode mnie oczekują?

- Na afiszu jest mowa o nabożeństwie – powiedziała, jakby od niechcenia Niania. – Jeśli ktoś chciałby znać moje zdanie, to dobre piwo byłoby lepsze.

I wyszedł. Przed nim rozpościerały się twarze większości populacji Lancre, stojące w rzędach w świetle późnego popołudnia. Pierwszy rząd zajmowali król i królowa. Verence

skinął głową po królewsku, sygnalizując, że jeśli zamierzał cokolwiek zrobić, właśnie nadeszła ku temu odpowiednia pora.

Język ciała Niani sugerował, że żadne omiańskie ortodoksyjne modlitwy nie będą tolerowane, więc ograniczył się do ogólnego dziękczynienia wszystkim słuchającym bogom, nawet tym, których istnienia nie podejrzewał.

Śpiew nie był zbyt entuzjastyczny, chociaż Oats próbował nauczyć ich prostych piosenek ze swojego dzieciństwa, pełnych gromów, ognia, śmierci i sprawiedliwości, o nieskomplikowanych melodiach, które od biedy dawały się nawet gwizdać i o tytułach takich, jak „*Om zdepcze bezbożnych*”, „*Wnieś mnie ku niebiosom*”, czy „*Jak mile Panie, Światło Twoje*”. Szło im nieźle. Mieszkańców Lancre nie interesowała wprawdzie religia, ale śpiewanie mogliby ostatecznie polubić.

Gdy tak śpiewali pośpiesznie sklecony hymn, dyrygujący patykiem Oats spoglądał na swoich... cóż, z braku lepszego określenia nazwał ich swoimi parafianami. Jego pierwsza, prawdziwa parafia. Wiele kobiet i starannie wyszorowanych mężczyzn. Niemniej jednak pośród twarzy nie było tej jednej, której nieobecność zdominowała całe pole widzenia.

Jednak kiedy uniósł głowę wysoko na niebie dostrzegł orła. Małą plamkę zataczającą koła na tle ciemniejącego nieba, wypatrującą pewnie zagubionych jagniąt.

Nabożeństwo dobiegło końca. Ludzie odchodzili z wymalowanym na twarzy poczuciem spełnionego obowiązku, który wcale nie był przyjemny, jednak – chwała bogom – się skończył. Na tacy znajdowały się dwa pensy, kilka marchewek, duża cebula, trochę baraniny, dzbanek mleka i plaster wędzonej wieprzowiny.

- Prawdę mówiąc, nie prowadzimy tu gospodarki pieniężnej – wyjaśnił król Verence, występując naprzód. Czoło miał owinięte bandażem.

- Och, zrobię z tego wyśmienitą kolację, Wasza Łaskawość – odpowiedział Oats entuzjastycznym głosem, który ludzie zazwyczaj stosują względem monarchów.

- Zechcesz zjeść z nami obiad? – zapytała Magrat.

- Ja... eee... to znaczy... zamierzam odejść z samego rana, sir. Powinienem zająć się pakowaniem i składaniem łóżka.

- Odchodzisz? Myślałem, że zostaniesz tutaj... Przeprowadziłem nawet... sondę wśród poddanych – powiedział król – i pragnę zauważyć, że podzielam pewną popularną opinię.

Oats spojrział na twarz Magrat, której wyraz sugerował wyraźnie, że Babcia nie wyraża sprzeciwu.

- Cóż... ja... eee... Sądzę, że wrócę, sir – powiedział. - Mimo wszystko... jeśli mam być szczerzy, myślałem o podróży do Uberwaldu.

- To przekłete miejsce, panie Oats.

- Cały dzień się nad tym zastanawiałem, sir i wydaje mi się, że jestem zdecydowany.

- Och – Verence sprawiał wrażenie zażenowanego, jednak królowie posiadają wrodzoną zdolność szybkiego maskowania podobnych uczuć. – Jestem pewien, że sam wiesz najlepiej czego pragniesz. – Podskoczył lekko, kiedy łokieć Magrat musnął jego żebra. – Och... właśnie... słyszeliśmy, że zgubił pan swój amulet i dlatego kazałem... Znaczy się królowa i panienska Nitt... więc kazaliśmy Shawnowi zrobić to w mennicy...

Oats odpakował czarny zwój aksamitu, w który zawinięty był złoty łańcuszek z małym obosiecznym toporem również ze złota. Wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Shawn nie zna się na robieniu zółwi – powiedziała Magrat, przerywając ciszę.

- Będę o niego dbał – powiedział w końcu Oats.

- Oczywiście, pragnę zauważyć, że to nie jest nazbyt święte – powiedział król.

Oats machnął uspokajająco ręką – Kto wie, sir? Świętość jest tam, gdzie się ją znajdzie – powiedział.

Za plecami króla stali Jason i Darren Ogg wpatrując się weń z szacunkiem i troską. Obaj mieli na nosach plastry. Rozstąpili się pośpiesznie, by zrobić drogę władcy, który

zdawał się ich nie zauważać. Niania zagrała fanfarę na akordeonie, po czym para królewska ze swą świtą odeszła w kierunku zamku.

- Powinieneś dać do naprawy miechy w tym instrumencie... Zresztą sama dopilnuję, byś wpadł z nim do kuźni naszego Jasona, zanim odejdziesz – powiedziała niewyraźnie. Oats uprzytomnił sobie, że słowa te w ustach Niani Ogg były równoważnikiem trzech owacji na stojąco i wdzięczności całej populacji.

- Jestem pod wrażeniem wszystkich tych nawróconych z własnej woli – powiedział. – Spontanicznie, tak jak trzeba.

- Nie przeciągaj struny, chłopcze – powiedziała Niania, wstając.

- Miło było panią poznać, Nianiu Ogg.

Niania odeszła kilka kroków, jednak Oggowie nigdy nie pozostawiają innym ostatniego słowa.

- Nie powiem, żebym cię tolerowała – powiedziała sztywno. – Jeśli jednak kiedykolwiek zawitasz do drzwi jakichkolwiek Oggów z tych stron... dostaniesz gorącą strawę. Jesteś stanowczo za chudy. Widywałam więcej mięsa na ołówku rzeźnika.

- Dziękuję.

- Zaznaczam, że będzie to coś więcej niż tylko budyń.

- Oczywiście.

- A więc... – Niania Ogg wzruszyła ramionami. – Więcej szczęścia w Uberwaldzie.

- Jestem pewien, że Om będzie kroczył przy mnie – powiedział Oats. Chciał możliwie najbardziej dopiec Niani, starając się zachować możliwie pozbawiony emocji ton. Zastanawiał się, czy Babcia Weatherwax kiedykolwiek tego próbowała.

- A pewnie, niech kroczy – mruknęła Niania. – Wolę, żeby kroczył za tobą niż sterczał tutaj.

Kiedy odeszła kapłan zapalił świecę i rozłożył wokół mokre śpiewniki.

- Cześć...

Najgorsze w pojawiającej się w ciemnościach wiedźmie jest to, że wszystko, co widzisz to twarz otoczona czernią. Po chwili niewielki obszar czerni wyodrębnił się z reszty, przekształcając się w Agnes.

- Och, dobry wieczór – powiedział Oats. – Dziękuję, że przyszałaś. Nigdy nie słyszałem nikogo śpiewającego w chórze z samym sobą.

Agnes zakaszlała nerwowo.

- Naprawdę udajesz się do Uberwaldu?

- A mam jakikolwiek powód, by zostać tutaj?

Lewa ręka Agnes drgnęła kilka razy i zastygła w uścisku prawej.

- Nie sądzę – powiedziała. – *Nie!* Zamknij się! Nie czas na...

- Słucham?

- Ja... ehem... po prostu rozmawiam ze sobą – powiedziała słabo Agnes. – Posłuchaj, każdy wie, że pomogłeś Babci. Oni tylko udają, że nie wiedzą.

- Wiem o tym.

- Pozwalasz na to?

Oats wzruszył ramionami. Agnes chrząknęła.

- Myślałam, że może przedłużysz swój pobyt w Lancre.

- To byłoby bezcelowe. Nie jestem tutaj potrzebny.

- Nie sądzę, żeby wampiry gorliwie śpiewały hymny i w ogóle – powiedziała cicho Agnes.

- Może nauczę ich czegoś innego? – powiedział Oats. – Zobaczą, co da się zrobić.

Agnes wahała się przez kilka chwil.

- Chcę żebyś to wziął – powiedziała, podając mu małą torbę. Oats wyjął z niej mały słoik.

Wewnątrz płonęło pióro feniksa, rozjaśniając wnętrze namiotu chłodnym światłem.

- To od... – zaczęła Agnes.

- Wiem od kogo – przerwał jej Oats. – Jak się miewa pani Weatherwax? Nie widziałem jej na nabożeństwie.

- Eee... dzisiaj odpoczywa.

- Cóż... podziękuj jej ode mnie, dobrze?

- Powiedziała byś zabrał to do mrocznych miejsc.

Oats roześmiał się.

- Eee... cóż... ehem... mogę przyjść i odprowadzić cię... z rana... – powiedziała niepewnie Agnes.

- To miło z twojej strony.

- Więc... zanim... wiesz...

- Tak.

Agnes zmagiała się z jakimś wewnętrznym oporem. – Ja... eee... – odezwała się po chwili – jest coś o czym... Chodzi o to, że może mógłbyś...

Prawa dłoń sięgnęła gwałtownie ku kieszeni i wyjęła małą paczuszkę opakowaną w tłusty papier.

- To okład – powiedziała. – To stary dobry przepis... w książce napisano, że zawsze skutkuje... Musisz to podgrzać i... pomoże na katar.

Oats wziął delikatnie pakunek. – To najmilszy prezent jaki kiedykolwiek dostałem – powiedział.

- Eee... dobrze. To jest od... nas obu... Do zobaczenia.

Oast patrzył jak wychodzi poza krąg światła a potem coś kazało mu spojrzeć w górę. Orzeł wzniósł się ponad kontur szczytów ku światłu zachodzącego słońca. Przez chwilę skrzył się na złoto a potem zanurkował w ciemność.

* * *

Z góry mógł widzieć na odległość wielu, wielu mil.

Nad Uberwaldem rozpoczęła swe występy burza. Najpierw jedna błyskawica, jakby nieśmiało przecięła niebo. Kilka kolejnych trzasnęło wokół najwyższej wieży Zamczyska i w kapelusz przeciwdeszczowy na głowie Igora, chroniący jego głowę przed rdzą. Kilka uderzyło w kulę na czubku długiego teleskopowego pręta, rozszarżając ją do białości. Igor kręcił cierpliwie korbą, stojąc na gumowej macie.

Poniżej skomplikowanej aparatury brzęczącej od wysokiego napięcia, spoczywał duży toból.

Kula znalazła się w odpowiednim położeniu. Igor westchnął i czekał.

* * *

SIAD! DOBRY PIESEK! POWIEDZIAŁEM – SIAD! PRZESTAŃ JUŻ... NO, IDŹ JE JUŻ! POSZEDŁ! NO, DOBRZE... CO MY TU MAMY?... APORT? APORT! NO, DALEJ...

Śmierć wpatrywał się podskakującego Odpadka.

Nie był do tego przyzwyczajony. Było to zupełnie odmienne od spotkania niezadowolonych ludzi, którzy w ostatnich chwilach swojego życia często bywali ściskani, ścinani i tak dalej... a potem pojawiała się oziębła istota w czerni i okazywali coś w rodzaju wdzięczności. Nigdy jednak nie spotkał się z takim entuzjazmem, ani – skoro o tym mowa – z taką ilością śliny. Było to irytujące. Przyprawiało o uczucie, że nie wykonuje należycie swojej pracy.

CÓŻ ZA SZCZĘŚLIWY PIES. CÓŻ... ZDECHŁ PIES! IDŹ JUŻ, PROSZĘ! SŁYSZYSZ, CO POWIEDZIAŁEM? IDŹ! NATYCHMIAST!

Odpadek odbiegł w podskokach. Stanowczo za dobrze się bawił, by teraz to skończyć. Z wnętrza szaty Śmierci dobiegło brzęczenie. Wytarł starannie ręce i wyciągnął klepsydrę. Cały piasek znajdował się dolnej bańce. Jednak samo szkło było zniekształcone, poskręcane, pokryte obwódkami z cienkich rurek a kiedy Śmierć się mu przyglądał, wypełniło się błękitnym światłem.

Zazwyczaj nie tolerował tego typu rzeczy.

Strzelił palcami. W kościstych rękach pojawiła się kosa.

Uderzenie błyskawicy.

Zapach przypalanej wełny.

Igor odczekał chwilę, po czym nachylił się nad tobołkiem, ciągnąc za sobą stopioną gumę. Ostrożnie rozwinął koc.

Odpadek ziewnął. Wielki język musnął dłoń Igora.

Stary sługa uśmiechnął się z ulgą.

Gdzieś poniżej, w Zamku zabrzmiały opętane dźwięki „*Toccata Dla Dziewki Młodej W Podwiniętej Koszuli*”.

* * *

Orzeł zapikował ku dolinie Lancre.

Wieczne światło połyskiwało na tafli jeziora, ukazując sunącą po niej bryzę w kształcie litery V. Coś płynęło w kierunku niczego nie podejrzewającej wyspy.

Głosy odbijały się echem wokół gór.

- Te, obacz! Wydro!

- Taggit, jins ma greely!

- Teroz my som wolne luda!

- Nac mac Feegle!

Orzeł spadł gwałtownie pomiędzy drzewa tonącego w ciemności lasu. Przez chwilę kluczył między nimi aż usiadł na gałęzi nieopodal małej chatki.

Babcia Weatherwax obudziła się.

Przez chwilę ani drgnęła. Rozglądała się czujnie dookoła a kontur jej nosa wyglądał jakoś bardziej haczykowato niż zazwyczaj. Potem usiadła. Jej ramiona zgarbiły się, nadając jej ciało pozę siedzącego na gałęzi ptaka.

Po chwili wstała, przeciągnęła się i wyszła na zewnątrz.

Noc wydawała się cieplejsza. Nieomal czuła budzącą się w ziemi zielen. Nadszedł nowy rok – odpędzając stary daleko ku ciemnościom. Owszem, ciemność kiedyś powróci... jednak taka właśnie była natura świata. Teraz jednak wiele rzeczy się zaczynało.

Wróciła do chatki. Rozpaliła ogień, wyjęła z kredensu pudełko świec i zapaliła wszystkie, roztawiając je na spodeczkach.

Na stole zebrała się już spora kałuża, kapiącej od kilku dni wody. Jej powierzchnia zmarszczyła się i wezbrała lekko pośrodku. A potem zaczęła kapać w górę, ku mokrej plamie na suficie.

Babcia nakręciła zegar i uruchomiła wahadło. Wyszła na chwilę i wróciła z kawałkiem tekturki z przymocowanym doń kawałkiem sznurka. Usadowiła się w fotelu na biegunach i sięgnęła do kominka po nadwęglony patyk.

Zegar tykał miarowo, kiedy pisała. Kropla za kroplą uderzały w sufit.

Potem Babcia Weatherwax powiesiła tekturkę na szyi i oparła się wygodnie, uśmiechając się. Fotel kołysał się przez chwilę kontrapunktem wobec kapiącej wody i tykającego zegara. Coraz wolniej i wolniej...

Napis na kartoniku głosił...

WCIONSZ NIE JEZDEM MARTFA!

Ostatnie promienie słońca zostały wchłonięte przez ciemność nocy.
Kilka minut później, na pobliskim drzewie, pewna sowa ocknęła się ze snu i wzniosła się ponad tonący w mroku las.